PROLOG

SHELBY

Potrafię poruszać się tak cicho. Bezszelestnie.

Pośpiech jest wrogiem ciszy. Niecierpliwość przeszkadza w polowaniu. Ja się nie śpieszę.

Bezgłośnie skradam się w ciemnościach. Pyłki kurzu niczym miriady gwiazd wirują w świetle księżyca, które smugami przebija się przez baldachim gałęzi.

Słyszę tylko swój oddech, gdy powoli wciągam powietrze poprzez obnażone kły. Poduszki moich łap miękko opadają na wilgotne leśne runo. Nozdrza mi drgają. Wsłuchuję się w bicie własnego serca, tłumiące szmer pobliskiego strumyka. Suchy patyk zaczyna pękać pod moja łapą.

Zamieram.

Czekam.

Mija dużo czasu, zanim znów ostrożnie unoszę łapę. „Cicho" – powtarzam sobie. Czuję kolejny zimny powiew powietrza. Żołądek mam ściśnięty i pusty. Nagle moją uwagę przykuwa jakiś szelest w pobliżu.

Ruszam dalej w mrok. Nadstawiam uszu. Ogarnięte paniką zwierzę jest blisko. Czy to jeleń? Przystaję znowu na dłuższą chwilę, której ciszę zakłóca jedynie brzęczenie nocnego owada i gwałtowne bicie mojego serca. Jak duże jest to zwierzę? Jeśli jest ranne, to nie będzie miało znaczenia, że poluję sama.

Coś ociera się o mój bark. Miękko. Czule.

Powstrzymuję przemożną potrzebę, żeby się wzdrygnąć, spojrzeć do tyłu i kłapnąć to coś zębami. Zamieram na długi, naprawdę długi moment, a potem odwracam głowę, żeby zobaczyć, co tak delikatnie niczym piórko ociera się o moje ucho.

Nie potrafię tego nazwać. To unosi się w powietrzu, dryfuje na wietrze, raz za razem dotykając mojego ucha. Umysł mi płonie i skręca się w bolesnej próbie odnalezienia właściwego określenia.

Papier…?

Nie rozumiem, dlaczego tam jest. Dlaczego zwisa z gałęzi, skoro nie jest liściem. Czuję się przez to nieswojo. Dokoła na ziemi walają się rzeczy przesycone nieznajomym, wrogim zapachem. Jest też skóra jakiegoś niebezpiecznego zwierzęcia, zdarta i pozostawiona samej sobie. Odsuwam się, obnażając zęby, i nagle dostrzegam swoja ofiarę.

Tylko że to nie jest jeleń.

To dziewczyna. Leży w błocie, orząc palcami ziemię, wijąc się i skomląc. W miejscach, gdzie pada światło księżyca, skóra nieznajomej wydaje się biała jak śnieg na tle czarnej gleby. Strach bije od niej falami i wypełnia moje nozdrza. Czuję niepokój. Futro na moim karku jeży się i unosi. Ona nie jest wilkiem, ale pachnie jak wilk.

Zbliżam się bezszelestnie.

Dziewczyna nie zauważa mojego nadejścia.

Kiedy otwiera oczy, stoję tuż przed nią. Nasze nosy niemal się stykają. Na mój widok jej gorący, dyszący oddech się urywa.

Mierzymy się wzrokiem.

Pod wpływem tego spojrzenia futro na moim karku i wzdłuż kręgosłupa jeży się coraz bardziej.

Jej palce gorączkowo grzebią w ziemi. Kiedy się porusza, pachnie mniej wilkiem, a bardziej człowiekiem. W mojej czaszce rozbrzmiewają sygnały ostrzegawcze.

Obnażam kły, wycofuję się. Potrafię myśleć tylko o ucieczce. Pragnę znaleźć się znów pośród drzew, z dala od niej. Ale nagle przypominam sobie papier zwisający z drzewa i skórę na ziemi. Czuję się osaczona –

ta dziwna dziewczyna przede mną, ten dziwny i obcy liść za mną. Przykucam i zaczynam szorować brzuchem po poszyciu, z ogonem pomiędzy tylnymi łapami.

Warkot w moim gardle narasta tak powoli, że czuję jego wibracje na języku, zanim stanie się słyszalny.

Jestem uwięziona pomiędzy dziewczyną a tamtymi przedmiotami, które leżą na ziemi, tańczą wśród gałęzi i pachną jak ona. Nieznajoma patrzy mi prosto w oczy, rzuca mi wyzwanie, próbuje unieruchomić spojrzeniem. Jestem jej więźniem i nie mogę uciec.

Ale kiedy zaczyna krzyczeć, zabijam ją.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

GRACE

Stałam się nie tylko wilkiem, lecz także złodziejką.

Ocknęłam się w ludzkiej postaci na granicy lasu Boundary. Gdzie dokładnie, nie wiedziałam – tutejsze lasy były ogromne, ciągnęły się kilometrami. Jako wilk przemierzałam je bez trudu, ale pokonywanie odległości w ciele dziewczyny sprawiało już więcej problemów. Był przyjemny, ciepły dzień – wspaniały jak na wiosnę w Minnesocie. O ile człowiek nie był zagubiony i nagi…

Wszystko mnie bolało. Czułam, jakby ktoś pomylił moje kości z wałeczkami ciastoliny i uparcie próbował uformować z nich wybrane kształty. Skóra mnie swędziała, zwłaszcza w okolicach kostek, kolan i łokci. W uchu mi dzwoniło. Miałam problemy z koncentracja i dziwne uczucie *déja vu.*

Skrępowanie własną nagością pogłębiała świadomość, że znajdowałam się bardzo blisko cywilizacji. Muchy bzyczały leniwie, gdy podnosiłam się z ziemi, żeby się rozejrzeć. Przez rzadką ścianę drzew przeświytywały tylne podwórka kilku niewielkich domów. U moich stóp leżał rozdarty worek na śmieci, którego zawartość wysypała się na ziemię. Prawdopodobnie to było moje śniadanie. Uznałam, że lepiej będzie się nad tym nie zastanawiać.

Wolałam nie skupiać myśli na niczym konkretnym. Wspomnienia wracały do mnie falami, wypływając na powierzchnie świadomości niczym na wpół zapomniane sny. I w miarę jak się pojawiały, coraz wyraźniej uświadamiałam sobie, że nie przeżywam tego stanu po raz pierwszy. Niejednokrotnie przechodziłam już przez ten dezorientujący moment bycia nowo narodzonym człowiekiem. Doświadczałam tego wiele razy. W różnych miejscach. Powoli dotarło do mnie, że to po prostu kolejna przemiana w tym roku. I że znów zapomniałam o wszystkim, co się działo pomiędzy.

Cóż… prawie o wszystkim.

Zacisnęłam powieki. Zobaczyłam jego twarz, jego złotożółte oczy, jego ciemne włosy. Przypomniałam sobie, jak moja dłoń pasowała do jego dłoni. Widziałam we wspomnieniach, jak siedzę obok niego w samochodzie, który już nie istniał.

Ale nie byłam w stanie przypomnieć sobie jego imienia. Jak mogłam je zapomnieć?

Nagle usłyszałam warkot silnika samochodu, który rozległ się echem po okolicy. Hałas powoli ucichł, gdy auto się oddaliło, ale jeszcze wyraźniej uświadomił mi, jak blisko mnie znajduje się prawdziwy świat.

Znowu otworzyłam oczy. Nie mogłam teraz rozmyślać o tym chłopaku. Wiedziałam, że prędzej czy później wspomnienia do mnie wrócą, a tymczasem musiałam się skupić na bieżącej sytuacji.

Miałam do wyboru kilka opcji. Po pierwsze: mogłam wrócić do ciepłych wiosennych lasów w nadziei, że wkrótce znowu przemienię się w wilka. Problem polegał jednak na tym, że w tej chwili czułam się człowiekiem i nic nie zwiastowało rychłej metamorfozy. Mogłam też zdać się na łaskę ludzi mieszkających w niebieskim domku, który znajdował się przede mną. Ostatecznie skorzystałam już z ich pomocy, najwyraźniej częstując się śmieciami – i to nie tylko ich, lecz także sąsiadów. Niestety, to rozwiązanie niosło ze sobą wiele komplikacji. Mimo że w tej chwili czułam się pewnie w ludzkiej skórze, nie miałam pojęcia, jak długo potrwa ten stan. Byłam też naga i zagubiona. Jak mogłabym to komuś wyjaśnić, nie trafiając przy okazji do szpitala psychiatrycznego albo na posterunek policji?

Sam.

Jego imię powróciło nagle, a wraz z nim tysiące innych wspomnień: wiersze szeptane niepewnie do mojego ucha, gitara w jego dłoniach, kształt cienia pod jego obojczykiem, sposób, w jaki jego palce gładziły strony książki, kiedy czytał. Kolor ścian księgarni. Brzmienie jego głosu, gdy leżał obok i szeptał coś z głową

wtuloną w moją poduszkę. Lista postanowień noworocznych spisanych dla każdego z nas. I cała reszta też: Rachel, Isabel, Olivia. Tom Culpeper rzucający mi pod nogi martwego wilka.

Moi rodzice. Boże, moi rodzice! Przypomniałam sobie, jak stałam w kuchni, czując wypełzającego ze mnie wilka, i kłóciłam się z nimi o Sama. Przypomniałam sobie, jak wepchnęłam ubrania do plecaka i uciekłam do domu Becka. Jak dławiłam się własną krwią…

Grace Brisbane.

Zapomniałam o tym wszystkim jako wilk. I znowu o tym zapomnę.

Zachwiałam się i przykucnęłam, obejmując nogi ramionami. Brązowy pająk przebiegł mi po stopie, zanim zdążyłam zareagować. W górze śpiewały ptaki. Drgające cętki słonecznego światła obdarzały poszycie lasu gorącymi pocałunkami. Wiosenny wietrzyk szumiał pośród świeżych jasnozielonych liści zdobiących gałęzie. Las wokół mnie oddychał głęboko raz za razem, ponownie budząc się do życia. Wszystko wokół niewzruszenie toczyło się stałym rytmem, wyznaczonym przez matkę naturę. A ja byłam jej wybrykiem i nie wiedziałam już, do którego świata przynależę i co powinnam zrobić.

W tym momencie kolejny ciepły podmuch wiatru, niosący ze sobą nieznośnie cudowny zapach serowych ciasteczek, potargał mi włosy i podsunął jeszcze jedno rozwiązanie. Mieszkańcy ceglanego domu, wyraźnie optymistycznie nastawieni do zwodniczej wiosennej pogody, rozwiesili na zewnątrz pranie do wysuszenia. Powiewające na wietrze ubrania przykuły moją uwagę. Sznur pełen schludnie poprzypinanych możliwości. Właścicielka strojów była co najmniej kilka rozmiarów większa ode mnie, ale jedna z sukienek miała pasek, więc mogło się udać. Starałam się nie myśleć o tym, że będę musiała kogoś okraść.

Zdarzało mi się już robić rzeczy, które ktoś mógłby uznać za niezbyt uczciwe, ale nigdy niczego nie ukradłam. A teraz miałam zamiar zabrać komuś jego najładniejszą sukienkę, zapewne uprana ręcznie, a następnie troskliwie rozwieszoną do wyschnięcia. Na sznurze suszyły się tez bielizna, skarpetki i poszewki na poduszki, więc mieszkańców prawdopodobnie nie było stać na suszarkę. Czy naprawdę chciałam ukraść czyjąś odświętną sukienkę, żeby mieć szansę na powrót do Mercy Falls? Czy naprawdę taką osobą teraz byłam?

Zwrócę ją. Kiedy już będzie po wszystkim.

Zaczęłam się skradać wzdłuż linii drzew, żeby lepiej przyjrzeć się swojemu celowi. Aromat serowych ciasteczek, który prawdopodobnie przyciągnął mnie tu jeszcze jako wilka, sugerował czyjąś obecność w domu. Nikt nie potrafiłby przejść obojętnie obok takiego zapachu. Odkąd dotarła do mnie ta cudna woń, ciężko mi było skupić się na czymkolwiek innym. Zmusiłam się jednak do myślenia o ważniejszych problemach. Czy mieszkańcy domu mogą mnie zauważyć? A ich sąsiedzi? Jeśli będę sprytna, być może uda mi się pozostać poza zasięgiem ich wzroku przez większość czasu.

Podwórko mojej pechowej ofiary było podobne do wielu innych znajdujących się w obrębie lasu Boundary – zaśmiecone puszkami po pomidorach, ze starannie wykopanym dołem do barbecue oraz anteną telewizyjną z kablami prowadzącymi donikąd. Stała tam kosiarka do trawy na wpół przykryta brezentem, popękany dziecinny basenik wypełniony nieświeżo wyglądającym piaskiem i zestaw mebli ogrodowych z plastikowymi pokrowcami ozdobiony nadrukiem w słoneczniki. Nic, co dałoby mi osłonę.

Z drugiej strony mieszkańcy domu nie zauważyli nawet, że wilk porwał im torbę ze śmieciami z ganku. Miałam więc nadzieję, że pozostaną równie nieświadomi obecności nagiej licealistki kradnącej sukienkę z ich sznura na bieliznę.

Odetchnęłam głęboko, żałując, że nie mogę wziąć udziału w łatwiejszym przedsięwzięciu – na przykład wystartować w olimpiadzie matematycznej albo zerwać plaster z nieogolonej nogi – i jak strzała pomknęłam na podwórko. W pobliżu zaczął ujadać pies. Dopadłam do sukienki, chwyciłam ją, po czym uciekłam. Ani się obejrzałam, a już było po wszystkim. Schowałam się w zaroślach, krzewy wyglądały jak jadowity sumak. Ściskając zdobycz w dłoni, próbowałam uspokoić oddech.

Ktoś krzyknął na ujadającego psa: „Zamknij się, bo wywalę cię razem ze śmieciami!”.

Poczekałam, aż serce przestanie mi walić jak oszalałe. Potem, z wyrzutami sumienia, ale i z poczuciem triumfu, włożyłam sukienkę. Była ładna, niebieska, w kwiatki, choć tak naprawdę zbyt lekka jak na tę porę roku i wciąż odrobinę wilgotna. Prezentowałam się w niej chyba całkiem przyzwoicie, mimo że musiałam ją mocno związać w pasie, żeby na mnie nie wisiała.

Piętnaście minut później z ganku innego domu podwędziłam parę chodaków – jeden miał psią kupę na obcasie i pewnie dlatego buty zostały wystawione na zewnątrz – i ruszyłam wzdłuż drogi, swobodnie, jakbym mieszkała w okolicy. Dzięki naukom Sama, używając wilczych zmysłów i poddając się napływającym zewsząd bodźcom, potrafiłam stworzyć sobie w głowie znacznie bardziej szczegółowy obraz otaczającego mnie terenu, niż za pomocą samego wzroku. Ale pomimo wszystkich tych dodatkowych informacji tak naprawdę nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Wiedziałam tylko, że nie znajdowałam się w pobliżu Mercy Falls.

Ale miałam plan. Wydostać się stąd, zanim ktoś rozpozna na mnie swoja sukienkę lub buty. Znaleźć jakiś sklep albo firmę, jakikolwiek punkt orientacyjny, który pomoże mi określić położenie, zanim cudze chodaki zafundują mi odciski. A potem skontaktować się z Samem.

To nie był plan idealny, ale tylko takim dysponowałam.

ROZDZIAŁ DRUGI

ISABEL

Odmierzałam czas, licząc wtorki.

Trzy wtorki do początku ferii wiosennych.

Siedem wtorków, od kiedy Grace zniknęła ze szpitala.

Pięćdziesiąt dziewięć wtorków do ukończenia liceum i opuszczenia tej dziury – Mercy Falls w Minnesocie.

Sześć wtorków, od kiedy po raz ostatni widziałam Cole'a St. Claira.

Wtorki od zawsze były najgorszym dniem tygodnia w domu Culpeperów. To był dzień kłótni. Wprawdzie u nas każdy dzień mógł pretendować do tego miana, ale we wtorki kłótnia była gwarantowana. Zbliżała się pierwsza rocznica śmierci mojego brata Jacka i po trwającym dwie godziny rodzinnym krzykatonie, który objął zasięgiem trzy piętra rezydencji i zakończył się groźbą rozwodu ze strony matki, ojciec znowu zaczął z nami chodzić na terapię grupową. A to oznaczało, że w każdą środę mama się perfumowała, tata na chwilę odkładał telefon, a ja wsiadałam do gigantycznego niebieskiego SUV-a ojca, starając się udawać, że tył auta nie śmierdzi martwym wilkiem.

W środy wszyscy zachowywali się wzorowo. Kilka godzin po terapii upływało w spokoju i doskonałej harmonii: obiad w St. Paul, odmóżdżające zakupy lub wspólny seans w kinie. A potem, godzina po godzinie, zaczynaliśmy się oddalać od tego ideału – aż do następnego wtorku, kiedy to dochodziło do kolejnych eksplozji i walki na pięści.

We wtorki zazwyczaj starałam się wymykać z domu.

Tego konkretnego dnia stałam się jednak ofiarą własnego niezdecydowania. Po powrocie ze szkoły nie mogłam się zebrać, żeby zadzwonić do Taylor albo Madison i umówić się na wyjście. W zeszłym tygodniu pojechałam z nimi i z ich kolegami do Duluth. Wydałam dwieście dolców na buty dla mojej matki, sto na koszulkę dla siebie i pozwoliłam chłopakom wydać jedna trzecią tej samej kwoty na lody, których nawet nie zjedliśmy. Nie widziałam sensu w odtwarzaniu tego scenariusza, chyba żeby zależało mi na zaszokowaniu Madison szastaniem karta kredytową – buty pewnie poniewierały się gdzieś przy łóżku mamy, koszulka dziwnie na mnie leżała, a ja nie potrafiłam nawet przypomnieć sobie imion tamtych chłopaków. Jedno chyba zaczynało się na „j".

Mogłam się tez zadowolić moją drugą ulubiona rozrywką – wsiąść do SUV-a, pojechać dokądś, włączyć muzykę na cały regulator, odpłynąć myślami i udawać, że jestem daleko. Zwykle potrafiłam zająć sobie w ten sposób tak dużo czasu, żeby wrócić do domu już po finale kłótni rodziców. Jak na ironię – gdy mieszkałam w Kalifornii, w ogóle tego nie potrzebowałam; miałam milion razy więcej możliwości na spędzenie dnia poza domem.

Tak naprawdę chciałam zadzwonić do Grace i powłóczyć się z nią po mieście albo poleżeć na jej łóżku, kiedy będzie odrabiała pracę domową. Nie wiedziałam, czy to jeszcze kiedykolwiek będzie możliwe.

Spędziłam tyle czasu na rozważaniu możliwych opcji, że przegapiłam szansę na ucieczkę. Stałam właśnie w holu z telefonem w dłoni, kiedy mój ojciec zbiegł hałaśliwie po schodach, a w drzwiach salonu na dole pojawiła się matka. Utknęłam pomiędzy dwoma frontami pogodowymi. Mogłam tylko przygotować się na najgorsze i mieć nadzieję, że wichura nie porwie krasnala ogrodowego.

Napięłam wszystkie mięśnie.

Mój ojciec poklepał mnie po głowie.

– Hej, ptysiu – rzucił.

Ptysiu?

Zamrugałam, gdy mnie mijał: efektywny i wpływowy, olbrzym na swoich włościach. Zupełnie jakbym cofnęła się w czasie o rok.

Gapiłam się jeszcze na niego, gdy stanął w drzwiach przy mojej matce. Czekałam, Az wymienią przytyki. Zamiast tego wymienili pocałunek.

- Co zrobiliście z moimi rodzicami? – zapytałam.
- Ha! – zawołał ojciec głosem, który można by opisać jako jowialny. – Byłbym wdzięczny, gdybyś włożyła coś zakrywającego brzuch, zanim Marshall tu dotrze. Chyba że będziesz siedzieć cały czas na górze.

Mama obdarzyła mnie spojrzeniem typu: „A nie mówiłam", mimo że w żaden sposób nie skomentowała mojego stroju, gdy wróciłam ze szkoły.

- Kongresmen Marshall? – zapytałam zdziwiona. Wielu kumpli z college'u mojego ojca obejmowało teraz wysokie stanowiska. Ale od śmierci Jacka tata nie spędzał z nimi za dużo czasu. Co nie zmienia faktu, że słyszałam sporo pikantnych historii na ich temat, zwłaszcza kiedy dorośli powtarzali je przy zakrapianych alkoholem spotkaniach. – Grzybek Marshall? – upewniłam się. – Ten, który bzykał mamę, zanim zaczęliście być razem?
- Dla ciebie to „pan Landy" – upomniał mnie ojciec, ale nie wyglądał na zirytowanego. – Nie bądź niegrzeczna wobec matki – dodał, przechodząc do kuchni.

Matka podążyła za nim. Słyszałam, jak rozmawiają. W którymś momencie mama nawet się zaśmiała.

We wtorek…

Był wtorek, a ona się śmiała.

- Dlaczego on tu przychodzi? – zapytałam podejrzliwie, dołączając do nich.

Spojrzałam na kuchenny blat. Połowę jego powierzchni pokrywały torebki z chipsami i warzywa, a na drugiej leżały podkładki do pisania, teczki z dokumentami i zabazgrane notatniki.

- Jeszcze się nie przebrałaś – zauważyła mama.
- Wychodzę – wyjaśniłam, podejmując decyzje dokładnie w tym momencie. Wszyscy kumple taty uważali, że są wyjątkowo zabawni, a byli wyjątkowo nudni, więc nie miałam wyboru. – Po co przychodzi tu Marshall?
- Pan Landy – uparcie poprawił mnie ojciec. – Będziemy omawiać pewne istotne kwestie prawne, a potem nadrabiać zaległości.
- Jakiś proces sądowy? – Coś przykuło mój wzrok, więc powoli przesunęłam się w kierunku pokrytej papierami części blatu. Słowo „wilki" było wszędzie.

Na widok dokumentów zadrżałam. W zeszłym roku, zanim poznałam Grace, przeszyłby mnie dreszcz ekscytacji na myśl o tym, że ktoś wreszcie zemści się na wilkach za śmierć Jacka. Teraz, o dziwo, czułam tylko strach.

- To przepisy dotyczące ochrony wilków w Minnesocie… - zaczęłam.
- Prawdopodobnie wkrótce się zmienią – oświadczył ojciec. – Landy ma kilka pomysłów. Może uda nam się pozbyć całej sfory.

To d l a t e g o był taki szczęśliwy! On, Landy i mama spotykają się, żeby zaplanować eksterminację wilków! Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę uważa, iż to pomoże mu uporać się ze śmiercią Jacka.

Grace była w tych lasach. W tej chwili. On o tym nie wiedział, ale właśnie planował jej morderstwo.

- Fantastycznie – podsumowałam. – Zmywam się stąd.
- Dokąd idziesz? – zapytała mama.
- Do Madison.

Mama zamarła w połowie otwierania paczki chipsów. Miała wystarczająco dużo jedzenia, żeby wykarmić cały kongres Stanów Zjednoczonych.

- Naprawdę do niej idziesz, czy mówisz mi tak tylko dlatego, że wiesz, iż będę zbyt zajęta, żeby to sprawdzić?
- Okej – przyznałam. – Idę do Kenny's, ale nie wiem jeszcze z kim. Zadowolona?
- Wniebowzięta – rzuciła mama.

Nagle zauważyłam, że ma na sobie buty, które jej kupiłam. Poczułam się dziwnie. Mama założyła prezent ode mnie, rodzice się uśmiechali, a ja się zastanawiałam, czy uda im się zastrzelić moją przyjaciółkę.

Złapałam torebkę i wyszłam. Wsiadłam do swojego SUV-a i zamknęłam się w dusznym wnętrzu. Nie przekręcałam kluczyka w stacyjce, tylko siedziałam przez chwilę z telefonem w dłoniach i próbowałam wykombinować, co dalej. Wiedziałam, co powinnam zrobić, ale nie wiedziałam, czy tego chcę. Minęło sześć wtorków, od kiedy z nim rozmawiałam. Może to Sam odbierze telefon. Z Samem mogłabym pogadać.

Nie, ja wręcz m u s i a ł a m porozmawiać z Samem. Bo kongresmen Marshall Landy i mój ojciec naprawdę mogą coś uknuć podczas tej napędzanej chipsami narady wojennej. Nie miałam wyboru.

Zagryzłam wargę i wybrałam numer domu Becka.

- *Da?*

Głos w słuchawce był nieskończenie znajomy, a nerwowe szepty w moim żołądku zamieniły się w wycie.

To nie był Sam.

- Cole, to ja. – Mój głos bezwiednie zabrzmiał lodowato, choć tego nie chciałam.
- Och – odpowiedział chłopak i się rozłączył.

ROZDZIAŁ TRZECI

GRACE

Burczało mi w brzuchu. Minęła wieczność, zanim zebrałam się na odwagę, żeby wejść do środka. Szary budynek ukryty pośród drzew wyglądał tak, jakby wyrósł z otaczającej go błotnistej ziemi. Do sklepu wędkarskiego „Ben's Fish and Tackle" prowadził pełen dziur żwirowany parking zalany roztopionym śniegiem i deszczówką. Znak nad klamką informował, że jeśli chcę tu pozostawić wynajętą gdzieś indziej ciężarówkę, to kluczyki do pojazdu powinnam wrzucić do skrzynki znajdującej się po drugiej stronie budynku. Na kolejnym ogłoszeniu właściciele lokalu zawiadamiali o tym, że mają na sprzedaż szczenięta rasy beagle. Dwa pieski i jedną suczkę.

Położyłam dłoń na gałce. Zanim ją obróciłam, raz jeszcze powtórzyłam w myślach historyjkę, którą ułożyłam sobie wcześniej. Zawsze przecież istniało ryzyko, że ktoś mnie rozpozna. Przeżyłam lekki wstrząs, gdy uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie mam pojęcia, ile czasu minęło, od kiedy po raz pierwszy przemieniłam się w wilka, ani jak głośno zrobiło się po moim zniknięciu. A przecież w Mercy Falls nawet problem z zatkaną ubikacją mógł trafić na czołówki gazet.

Weszłam do sklepu i zamknęłam za sobą drzwi. Skrzywiłam się, bo w środku było niewiarygodnie gorąco i śmierdziało starym potem. Minęłam półki ze sprzętem wędkarskim, trutką na szczury i folią bąbelkową i dotarłam do lady, za którą stał zgarbiony starszy mężczyzna w starszym wieku. To właśnie on i jego koszula w paski byli źródłem wszechobecnego nieprzyjemnego zapachu.

- Chcesz wypożyczyć ciężarówkę? – Mężczyzna wyprostował się i spojrzał na mnie przez kwadratowe okulary. Na tablicy za jego plecami wisiały rolki szerokiej taśmy klejącej. Starałam się oddychać przez usta.
- Dzień dobry – przywitałam się. – Nie chcę wynająć ciężarówki. – Nabrałam powietrza w płuca, przybrałam lekko tragiczny wyraz twarzy i zaczęłam kłamać jak z nut. – Chodzi o to, że ja i moja przyjaciółka właśnie strasznie się pokłóciłyśmy i ona wyrzuciła mnie z samochodu. Nie mam torebki ani komórki… czy mogłabym skorzystać z waszego telefonu?

Mężczyzna ściągnął brwi, przyglądając mi się nieufnie, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo jestem pokryta błotem i w jakim stanie są moje włosy. Przygładziłam je na wszelki wypadek.

- Jak to…? Teraz? – odezwał się w końcu.

Powtórzyłam swoja historyjkę, pilnując, żeby nie zmieniać szczegółów i zachowywać smutny wyraz twarzy. A że czułam się dość tragicznie, nie było to trudne. Właściciel sklepu wciąż patrzył na mnie z powątpiewaniem, więc dodałam:

- Chciałabym zadzwonić do kogoś, kto by po mnie przyjechał.
- No cóż – powiedział. – Zamiejscowa?

A więc jest nadzieja. Nie miałam pojęcia, czy to będzie rozmowa zamiejscowa czy nie, więc odpowiedziałam:

- Mercy Falls.
- Ha! – rzucił, nie rozwiewając moich wątpliwości. – No cóż.

Upłynęła kolejna dobijająca minuta. Usłyszałam, jak na zapleczu ktoś wybucha głośnym, przypominającym szczekanie śmiechem.

- Moja żona rozmawia właśnie przez telefon – wyjaśnił wreszcie mężczyzna. – Ale kiedy skończy, chyba będziesz mogła skorzystać.
- Dziękuję – powiedziałam. – A tak na marginesie, gdzie dokładnie jesteśmy? Żebym mogła powiedzieć mojemu chłopakowi, dokąd ma po mnie przyjechać.

- No cóż – powtórzył znowu. Ta fraza chyba nie miała dla niego żadnego znaczenia. Po prostu powtarzał ją, kiedy się nad czymś zastanawiał. – Powiedz mu, że jesteśmy dwie mile za Burntside.

Burntside. Prawie trzydzieści minut jazdy od Mercy Falls. Ogarnął mnie niepokój na myśl o tym, że pokonałam cały ten dystans nieświadomie, jak lunatyczka.

- Dzięki – uśmiechnęłam się.
- Chyba wdepnęłaś w psie gówno – dodał sklepikarz uprzejmie. – Czuję je.

Udałam, że patrzę na but.

- Ojej, chyba tak.
- To jeszcze trochę potrwa – ostrzegł mnie.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ma na myśli żonę wiszącą na telefonie. Zrozumiałam aluzję.

- Rozejrzę się. – Kiwnęłam na półki za sobą, a jemu wyraźnie ulżyło, jakby czuł się zobowiązany, żeby zabawiać konwersacja każdego, kto stoi przy ladzie.

Gdy tylko odeszłam, żeby przyjrzeć się wiszącym na ścianie przynętom, usłyszałam, że znów zaczął myszkować po szufladach. Jego żona wciąż się śmiała tym swoim szczekającym śmiechem, a sklep niezmiennie cuchnął ludzkim potem.

Obejrzałam wędki, głowę jelenia ozdobioną różową bejsbolówką oraz sztuczne sowy służące do odstraszania ptaków z ogrodu. W rogu stały pojemniki z żywymi larwami. Mój żołądek zaczął się buntować, a ja nie wiedziałam, czy to z powodu obrzydliwego widoku, czy też był to sygnał zbliżającej się przemiany.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna w czapeczce z daszkiem. Przywitał właściciela uściskiem dłoni. Przesunęłam palcem po krawędzi jaskrawopomarańczowej obroży dla psa myśliwskiego. Koncentrowałam się na poszeptach własnego ciała, usiłując przewidzieć, czy dzisiaj znowu się przemienię, gdy rozmowa mężczyzn nagle przykuła moją uwagę.

Nieznajomy w czapeczce powiedział właśnie:

- To znaczy, wiesz, coś w końcu powinno zostać zrobione. Jeden z nich porwał mi dziś ze schodów torbę ze śmieciami. Żona myślała, że to sprawka jakiegoś psa, ale przyjrzałem się odciskom łap – były za duże.

Wilki. Oni rozmawiali o wilkach.

O mnie…

Skuliłam się, kucając tuż przy ziemi i udając, że oglądam torby z suchą karmą dla psów stojące na najniższej półce.

Starszy mężczyzna rzucił:

- Słyszałem, że Culpeper próbuje cos zdziałać.

Koleś w czapce prychnął pogardliwie.

- Tak jak w zeszłym roku? Tamto polowanie gówno pomogło. Tylko połaskotał im brzuszki. Czy licencje wędkarskie naprawdę kosztują aż tyle w tym roku?
- Tak – odpowiedział właściciel, po czym wrócił do tematu. – Ale tym razem on próbuje je załatwić na dobre, tak jak to zrobili w Idaho. Z helikopterami i tymi… no… zabójcami. Nie, to nie to słowo. Ze snajperami, o! próbuje to załatwić legalnie.

Żołądek znowu wywrócił mi się do góry nogami. Miałam wrażenie, jakby wszystko wciąż sprowadzało się do Toma Culpepera. Postrzał Sama. Potem śmierć Victora. Kiedy ten człowiek będzie miał wreszcie dość?

- Życzę mu powodzenia z przeforsowanie tego planu przy tych wszystkich zwariowanych ekologach – skomentował sceptycznie Czapeczka. – Wilki są chronione czy coś. Mój kuzyn

wpakował się w niezłe bagno, gdy potrącił jednego kilka lat temu. A do tego rozwalił samochód. Culpepera czeka niezła przeprawa.

Właściciel milczał chwilę, szeleszcząc czymś za ladą.

– Chcesz trochę? Nie? No cóż, w końcu to prawnik z wielkiego miasta. A wilki zabiły mu dzieciaka. Jeśli ktoś ma coś zdziałać, to właśnie on. W Idaho wybili całą sforę. A może to było w Wyoming… gdzieś tam.

Całą sforę?

– Ale nie za buszowanie po śmietnikach – zauważył Czapeczka.

– Za owce. Ale myślę sobie, że tu jest znacznie gorzej, skoro wilki zabijają nasze dzieciaki. Więc może uda mu się to przeforsować, kto wie…? – przerwał. – Hej, panienko! Panienko!! Telefon jest wolny.

Poczułam kolejne szarpnięcie w żołądku. Wstałam, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, mając nadzieje i modląc się, żeby Czapeczka nie rozpoznał skradzionej przeze mnie sukienki, ale on tylko obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem. Nie wyglądał na faceta, który zwracałby uwagę na niuanse kobiecych strojów. Podeszłam do lady, a starszy mężczyzna podał mi słuchawkę.

– To zajmie tylko chwilkę – obiecałam.

Właściciel nawet nie zarejestrował, że coś do niego powiedziałam, więc wycofałam się kąt sklepu. Mężczyźni dalej rozmawiali, ale już nie o wilkach.

Stojąc z telefonem w dłoni, uświadomiłam sobie, że mogę zadzwonić pod trzy numery. Sam. Isabel. Rodzice.

Nie. Rodziców nie ma na liście.

Do nich nie zadzwonię.

Wystukałam więc numer Sama. Nabrałam głęboko powietrza i zamknęłam oczy, rozpaczliwie pragnąc, żeby to on podniósł słuchawkę. Pragnęłam tego bardziej, niż chciałam się przyznać przed samą sobą. Łzy zakłuły mnie pod powiekami, więc zamrugałam gwałtownie.

Telefon dzwonił uparcie. Dwa sygnały. Trzy. Sześć. Siedem. Musiałam się pogodzić z myślą, że Sam może nie odebrać.

– Halo?

Na dźwięk jego głosu kolana ugięły się przede mną. Musiałam przyklęknąć i przytrzymać się półki, żeby nie stracić równowagi. Dół mojej kradzionej sukienki opadł na podłogę niczym rozwarty kielich kwiatu.

– Sam – wyszeptałam.

Po drugiej stronie linii panowała cisza. Trwała tak długo, że bałam się, iż nas rozłączyło.

– Jesteś tam? – zapytałam.

Zaśmiał się dziwnym drżącym śmiechem.

– Ja… nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. Nie wierzę, że to ty…

Pomyślałam o tym, co będzie, gdy się wreszcie spotkamy, jak weźmie mnie w ramiona i będę znowu bezpieczna, będę znowu sobą, jak będę udawać, że nie muszę go znowu opuścić. Pragnęłam tego tak bardzo, że aż rozbolał mnie brzuch.

– Przyjedziesz po mnie? – zapytałam.

– Gdzie jesteś?

– W sklepie wędkarskim „Ben's Fish and Tackle". W Burntside.

– Jezu… już jadę. Będę za dwadzieścia minut. Już jadę.

– Czekam na parkingu – szepnęłam i otarłam łzę, której udało się wymknąć spod mojej powieki.

– Grace… - zamilkł.

– Wiem – szepnęłam. – Ja też.

SAM

Bez Grace moje myśli krążyły po wielu światach, omijając ten, w którym się znajdowałem. Każdą sekundę wypełniałem muzyka stworzoną przez kogoś innego albo książkami, których wcześniej nie czytałem. Pracą. Pieczeniem chleba. Czymkolwiek, co mogło zająć mój umysł. Bawiłem się w normalność, udając, że muszę wytrzymać bez niej jeszcze tylko jeden dzień, a nazajutrz zobaczę, jak przekracza mój próg i życie znowu zacznie płynąć normalnie.

Bez Grace byłem maszyną w wiecznym ruchu, napędzaną przez bezsenność i strach przed myślami, które mogłyby skumulować się w mojej głowie, gdybym im na to pozwolił. Każda noc była kopią poprzedzającego ją dnia, a każdy dzień był kopią minionej nocy. Wszystko było nie tak: dom wypełniony po brzegi obecnością Cole'a St. Claira i nikogo innego; moje wspomnienia przesycone obrazami Grace zbryzganej własna krwią, przemieniającej się w wilka; mnie pozostającego człowiekiem, niezależnie od pory roku. Czekałem na pociąg, który nigdy nie zatrzymywał się na mojej stacji. Ale nie mogłem przestać czekać, bo kim bym się wtedy stał? Obserwowałem mój świat odbity w lustrze.

Rilke powiedział: *To się zwie losem: być w obliczu, wobec, i nic prócz tego, zawsze tylko wobec*[*].

Gdy Grace odeszła, pozostały mi tylko piosenki o jej głosie i o echu, w którym ten glos wciąż pobrzmiewał, gdy ona zamilkła.

Aż w końcu zadzwoniła.

Gdy to się stało, na dworze było ciepło. Szorowałem właśnie volkswagena po trwającej całą wieczność zimie, zdrapując z karoserii resztki soli i piasku. Opuściłem szyby, żeby móc słuchać muzyki podczas pracy. Leciał akurat ogłuszający gitarowy kawałek, który później już zawsze kojarzyłem z tym momentem, kiedy zadzwoniła i zapytała: „Przyjedziesz po mnie?".

Cały samochód był pokryty mydlinami, tak samo jak moje ręce, ale spłukiwanie czegokolwiek nie przeszło mi nawet przez myśl. Wskoczyłem do auta, rzuciłem telefon na siedzenie pasażera i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Wycofywałem samochód z podwórza w takim pośpiechu, że bez zatrzymania wrzuciłem pierwszy bieg i prawie rozwaliłem silnik. Mokra podeszwa ślizgała się na sprzęgle. Ryk auta wtórował biciu mojego serca.

Niebo nad moją głową było ogromne, niebieskie i pokryte białymi chmurami uformowanymi z delikatnych lodowych kryształków, które unosiły się zbyt wysoko nad ziemią, żebym mógł wyczuć ich chłód. Po dziesięciu minutach jazdy uświadomiłem sobie, że nie podniosłem szyb. Pęd powietrza osuszył mydliny na moich ramionach, pozostawiając na skórze białe smugi. Wyprzedziłem inny samochód na odcinku, gdzie było to zakazane.

Za dziesięć minut Grace będzie siedziała na miejscu pasażera. Wszystko będzie dobrze. Już czułem jej palce splecione z moimi, jej policzek dociśnięty do mojej szyi. Miałem wrażenie, jakby minęły lata, od kiedy po raz ostatni miałem ją w ramionach. Wieki, od kiedy ostatnio ją całowałem. Miliony lat, od kiedy słyszałem jej śmiech.

Ciężar nadziei sprawiał mi niemal fizyczny ból. Skupiłem myśli na niewiarygodnie błahych rozważaniach na temat tego, że przez ostatnie dwa miesiące Cole i ja żywiliśmy się kanapkami z masłem orzechowym i galaretką, tuńczykiem z puszki i mrożonymi burritos. Kiedy Grace wróci, zacznie nam się wieść lepiej. Pomyślałem, że mamy słoik sosu do spaghetti i trochę makaronu. Przygotowanie odpowiedniej kolacji na jej powrót wydawało mi się niezmiernie ważnym zadaniem.

Z każdą minutą byłem coraz bliżej niej. Ale wciąż dręczyły mnie obawy. Te największe dotyczyły rodziców Grace. Oboje uważali, że mam coś wspólnego ze zniknięciem ich córki, ponieważ tuż przed przemiana pokłóciła się z nimi o mnie. W ciągu dwóch miesięcy jej nieobecności policja przesłuchała mnie kilka razy i przeszukała mój samochód. Matka Grace ciągle znajdowała nowe wymówki, żeby pojawiać się w

[*] Rainer M. Rilke, „Elegie duinejskie", przeł. M. Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962, s. 39.

pobliżu księgarni w moich godzinach pracy. Zaglądała przez okna do sklepu, myśląc, że tego nie widzę. W lokalnej gazecie pojawiały się artykuły na temat zaginięcia Grace i Olivii. Autorzy snuli przypuszczenia, że mam z tymi zdarzeniami coś wspólnego, choć nikt nie wymienił mojego nazwiska.

W głębi duszy wiedziałem, że te okoliczności – Grace w ciele wilka, jej wrogo nastawieni rodzice, ja w ludzkiej postaci – to węzeł gordyjski, niemożliwy do rozplątania. Ale wierzyłem, że dzięki obecności Grace wszystko się jakoś ułoży.

Byłem tak zamyślony, że prawie przegapiłem sklep wędkarski, niepozorny budynek niemal całkowicie ukryty za skarłowaciałymi sosnami. Volkswagen szarpnął, kiedy wjeżdżałem na parking. Wyboje w żwirze były głębokie i wypełnione błotnista wodą, która rozpryskiwała się na podwoziu. Zwolniłem, omiatając wzrokiem teren. Za budynkiem stało zaparkowanych kilka ciężarówek do wynajęcia. A nieopodal, w pobliżu linii drzew…

Zatrzymałem wóz przy krawędzi placu i wysiadłem, nie wyłączając silnika. Przeszedłem nad drewnianym podkładem kolejowym i zamarłem. U moich stóp, na mokrej trawie, leżała porzucona sukienka w kwiaty, a kilka metrów od niej – chodak. Drugi but do pary leżał dalej, na boku. Odetchnąłem głęboko, a potem przykucnąłem, żeby zebrać ubranie. Zmiąłem w dłoni sukienkę – materiał delikatnie pachniał Grace. Wyprostowałem się i przełknąłem ślinę.

Zobaczyłem bok volkswagena pokryty brudem z parkingu. Poranne mysie poszło na marne.

Usiadłem z powrotem za kółkiem i rzuciłem sukienkę na tylne siedzenie. Ukryłem twarz w dłoniach i oddychałem głęboko raz za razem, z łokciami opartymi o kierownicę. Siedziałem tak dość długo, spoglądając ponad deską rozdzielcza na porzucone w trawie buty.

Było o wiele łatwiej, kiedy to ja byłem wilkiem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

COLE

Byłem wilkiem. Byłem Cole'em St. Clairem. Dawnym wokalistą „NARKOTIKI".

Myślałem, że po wyeliminowaniu z życia dudniących basów, wrzasków tysięcy fanek i kalendarza wypełnionego trasami koncertowymi nic ze mnie nie zostanie, ale okazało się, że pod zdrapanym ze mnie strupem znajduje się świeża skóra. Teraz cieszyłem się małymi przyjemnościami: zapiekanymi tostami z serem bez śladu spalenizny na skórce, dżinsami, które nie uciskały moich najbardziej szlachetnych części ciała, odrobiną wódki, dziesięcioma czy dwunastoma godzinami snu.

Nie byłem pewien, jak do tego wszystkiego pasowałaby Isabel.

Potrafiłem przeżyć większość tygodnia, nie myśląc o tostach z serem i wódce, ale nie bez uporczywego myślenia o tej dziewczynie.

Nie śniłem o niej na jawie, nie fantazjowałem. Ona była jak swędząca wysypka. Gdy byłem naprawdę zajęty, niemal o niej zapominałem, ale kiedy tylko przestawałem coś robić, myśl o niej zaczynała mnie dobijać.

Prawie dwa miesiące i ani słowa od Isabel, pomimo wielu wyjątkowo zabawnych wiadomości, jakie zostawiłem na jej poczcie głosowej.

Wiadomość numer jeden: „Cześć, Isabel Culpeper. Leżę sobie na łóżku i gapię się w sufit. Nie mam nic na sobie. Myślę o… twojej matce. Zadzwoń do mnie".

Czy zadzwoniła?

Nic z tego.

Nie potrafiłem usiedzieć w domu, gdzie milczący telefon wyraźnie ze mnie drwił. Założyłem więc buty i wyszedłem na zewnątrz. od kiedy Grace stała się wilkiem, drążyłem temat, próbując odkryć, co zamienia nas w te istoty. Tutaj, w dziczy, nie mogłem obejrzeć naszych komórek pod mikroskopem w celu uzyskania konkretnych odpowiedzi, ale zaplanowałem kilka eksperymentów, które nie wymagały korzystania z laboratorium. Przeprowadzałem je na sobie, więc potrzebowałem tylko odwagi odrobiny szczęścia.

Wiedziałem, że niektóre dałyby lepszy rezultat, gdybym dostał w swoje ręce któregoś z pozostałych wilków – robiłem więc wypady do lasu. Nazywałem je rekonesansami. Tak Victor mówił o naszych nocnych wycieczkach do sklepu w poszukiwaniu szybkich posiłków złożonych z plastiku i dodatków smakowych w postaci sproszkowanego sera. Teraz, w imię nauki, przeprowadzałem rekonesanse w lesie Boundary. Czułem się zobowiązany, żeby zakończyć to, co zacząłem.

Wiadomość głosowa numer dwa – pierwsza minuta i trzydzieści sekund piosenki „Bee Gees" pod tytułem „I've Gotta Get s Message to You".

Dziś było ciepło i mogłem wyczuć zapach wszystkich stworzeń, które kiedykolwiek sikały w tych lasach. Podążałem swoja zwyczajową trasą.

„Cole to ja".

Boże, to doprowadzało mnie do szału. Kiedy nie prześladował mnie głos Isabel, męczył mnie głos Victora. W mojej głowie robiło się trochę ciasno. W chwilach, gdy nie wyobrażałem sobie, jak zdejmuję Isabel stanik, pragnąłem, żeby zadzwoniła. Albo przypominałem sobie, jak jej ojciec rzucił martwe ciało Victora na podjazd domu Becka. Jeśli dodać do tego postać Sama, żyłem na co dzień z trzema duchami.

Wiadomość głosowa numer trzy: „Nudzę się. Potrzebuję rozrywki. Sam jest wkurzający. Mam ochotę zatłuc go jego własna gitarą. Przynajmniej miałbym coś do roboty, a on może wreszcie by się odezwał. Dwie pieczenie na jednym ogniu! Hej, czy Sam z tobą rozmawia? Do mnie nic nie mówi. Boże, nudzę się. Zadzwoń do mnie".

Dosyć! Muszę się skupić na swoich eksperymentach. Po pierwsze: sidła. Złapanie wilka okazało się niewiarygodnie skomplikowanym zadaniem. Używając przedmiotów znalezionych w piwnicy domu Becka, skleciłem mnóstwo pułapek, skrzyń i przynęt. Schwytałem w nie sporo zwierzyny, ale ani jednego przedstawiciela gatunku *Canis lapus*. Ciężko powiedzieć, co było bardziej irytujące – złapanie kolejnego bezużytecznego stworzenia czy kombinowanie, jak uwolnić je z sideł bez ryzyka utraty ręki lub oka.

Robiłem się coraz szybszy.

„Cole, to ja".

Nie mogłem uwierzyć, że po takim czasie w końcu oddzwoniła, a jej pierwsze słowa nie były przeprosinami. Może ta część miała nastąpić później, a ja ją przegapiłem, bo się rozłączyłem…

Wiadomość głosowa numer cztery: „Hotel California" zespołu „Eagles", w całości. Ze słowem „California" zastąpionym w całym tekście przez „Minnesota".

Kopnąłem próchniejący pień. Obserwowałem, jak strzela mnóstwem czarnych odłamków po przesiąkniętym deszczem leśnym poszyciu. Tak, odmówiłem przespania się z Isabel. Zachowałem się przyzwoicie po raz pierwszy od kilku lat. Ale żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie, jak mawiała moja matka. To było jej motto. Prawdopodobnie teraz też tak sobie myśli, wspominając, jak zmieniała mi pieluchy.

Miałem nadzieję, że Isabel wciąż gapi się na swój telefon. Miałem nadzieję, że próbowała się do mnie dodzwonić ze sto razy, po tym jak wyszedłem. Miałem nadzieję, że czuje się źle, tak samo jak ja.

Wiadomość głosowa numer pięć: „Cześć, tu Cole St. Clair. Powiedzieć ci coś? Po pierwsze, nigdy nie odbierasz tego telefonu. Po drugie, ja nigdy nie przestanę zostawiać ci na poczcie długich wiadomości. To jest jak terapia. Trzeba przecież mieć do kogo się odezwać. Hej, wiesz, co dzisiaj zrozumiałem? Że Victor nie żyje. Zrozumiałem to samo również wczoraj. Każdego dnia dociera to do mnie na nowo. Nie mam pojęcia, co tutaj robię. Czuję się tak, jakbym nie miał nikogo, z kim mógłbym…".

Sprawdziłem wnyki. Wszystkie były pokryte błotem po ulewnych deszczach, które trzymały mnie w domu przez ostatnich kilka dni. Ziemia pod moimi stopami była śliska, a moje konstrukcje okazały się bezużyteczne. W wąwozie nie było nic, do pułapki w pobliżu drogi złapał się jedynie szop pracz, a sidła w pobliżu szopy – zupełnie nowy rodzaj – były całkowicie zdemolowane: kołki powyrywane z ziemi, druty sterczące na wszystkie strony, drzewka połamane, cała przynęta wyjedzona. Wyglądało to tak, jakbym próbował złapać Cthulhu[*].

Powinienem myśleć jak wilk, ale to było niezwykle trudne, kiedy akurat nim nie byłem.

Zebrałem resztki zniszczonych sideł i ruszyłem do szopy, żeby zobaczyć, czy znajdę narzędzia do ich odbudowy. Zwykłe szczypce do cięcia drutu mogły naprawić dosłownie wszystko.

„Cole, to ja".

Nie zamierzałem do niej oddzwaniać.

Wyczuwałem w powietrzu coś martwego. To coś jeszcze nie gniło, ale wkrótce miało zacząć.

Nie zrobiłem nic złego. Isabel mogła zadzwonić do mnie co najmniej dwadzieścia razy. W kocu ja tyle razy zadzwoniłem do niej.

Wiadomość głosowa numer sześć: „Tak więc… no… przepraszam. Tamta ostatnia wiadomość była nieco nietrafiona. Lubisz to wyrażenie? Sam użył go ostatnio. Hej, przymierz się do tej teorii: myślę, że on jest reinkarnacją brytyjskiej kury domowej w ciele Beatlesa. Wiesz, znałem taki zespół, którego członkowie udawali brytyjski akcent podczas występów. O rany! Pomijając fakt, że byli dupkami, byli naprawdę beznadziejni. Nie pamiętam teraz ich nazwy. Albo mam demencje starczą, albo już tak uszkodziłem sobie mózg, że wspomnienia z niego wypadają. To niezbyt fair z mojej strony, że mówię tylko o sobie, prawda? A

[*] Cthulhu – bóstwo stworzone przez amerykańskiego pisarza fantasy i autora opowieści grozy H. P. Lovecrafta; jeden z Wielkich Przedwiecznych żyjący na dnie Pacyfiku

więc jak się masz, Isabel Rosemary Culpeper? Uśmiechałaś się ostatnio? „Hot Toddies”. Tak się nazywał ten zespół. „The Hot Toddies”. Co za nazwa!”.

Zakląłem, kiedy przeciąłem sobie wnętrze dłoni kawałkiem drutu z sideł. Dopiero po dłuższej chwili uwolniłem się z plątaniny metalu i drewna. Upuściłem konstrukcje na ziemię i spojrzałem na nią z wyrzutem. Ta kupa złomu do niczego mi się już nie przyda. Powinienem po prostu zostawić to wszystko. Nikt mnie nie prosił, żebym się bawił w pana naukowca.

Mógłbym po prostu się zmyć. Zamienię się w wilka dopiero następnej zimy i do tej pory powinienem być setki kilometrów stąd. Mógłbym nawet wrócić do rodziców. Tyle że ich dom był po prostu miejscem, gdzie stał zaparkowany mój czarny mustang. Należałem do ich miejsca mniej więcej tak samo, jak do tego tutaj, do domu Becka.

Pomyślałem sobie o szczerym uśmiechu Grace. O tym, że Sam zaufał mojej teorii. O tym, że Grace przeżyła dzięki mnie. Świadomość, że moje życie ma jakiś cel, była niezwykle przyjemna.

Przyłożyłem zakrwawione wnętrze dłoni do ust i przyssałem się do rozcięcia. Potem pochyliłem się i znowu zebrałem resztki sideł.

Wiadomość głosowa numer dwadzieścia: „Naprawdę chciałbym, żebyś oddzwoniła”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

GRACE

Obserwowałam go.

Leżałam na wilgotnym poszyciu, z podkulonym ogonem, obolała i czujna. Nie potrafiłam odejść i go tu zostawić. Słońce obniżyło się na horyzoncie, jego promienie pełzały po liściach dokoła mnie, a on wciąż tu tkwił. Jego gniewne okrzyki i moja głęboka fascynacja jego osobą wprawiały mnie w drżenie. Oparłam głowę na przednich łapach, położyłam uszy po sobie. Słaby wietrzyk przyniósł mi jego zapach. Znałam go. Znałam go całą sobą.

Chciałam zostać odnaleziona.

Musiałam uciekać.

Jego głos oddalał się, zbliżał, a potem znowu oddalał. Chwilami chłopak był tak daleko, że niemal go nie słyszałam. Uniosłam się odrobinę, chcąc za nim podążyć, ale on wtedy znów się zbliżył, ptaki ucichły, a ja w pośpiechu ukryłam się pośród liści. Zataczał coraz szersze kręgi. Odstępy czasu między tym, gdy nadchodził i odchodził, wydłużały się. Robiłam się coraz bardziej niespokojna.

Czy mogłam pójść za nim?

Wrócił znowu, po długim okresie ciszy. Tym razem był tak blisko, że widziałam go z miejsca, w którym leżałam w bezruchu. Przez chwilę wydawało mi się, że mnie zobaczył, ale jego wzrok pozostał skupiony na jakimś punkcie za mną. Widok tych znajomych oczy sprawił, że mój żołądek zadrżał niepewnie. Coś w moim wnętrzu ciągnęło i szarpało boleśnie. Chłopak przyłożył dłonie do ust i znowu zaczął wołać w las.

Gdybym wstała, z pewnością by mnie zauważył. Pragnęłam tego tak bardzo. Tak bardzo chciałam się do niego zbliżyć, że aż zaskomliłam bezgłośnie. Niemal wiedziałam, czego chciał. Niemal wiedziałam…

– Grace!

To słowo przeszyło mnie na wskroś.

Chłopak wciąż mnie nie widział. Po prostu posyłał swój głos w pustkę, czekając na odpowiedź.

Za bardzo się bałam. Instynkt przyszpilał mnie do ziemi. „Grace”. To słowo odbijało się echem wewnątrz mnie, tracąc znaczenie z każdym powtórzeniem.

Chłopak odwrócił się, zwieszając głowę, i powoli zaczął się oddalać w kierunku światła oznaczającego skraj lasu. Zaczęła mnie ogarniać panika. „Grace”. Traciłam kształt tego słowa. Traciłam coś. Byłam zagubiona. Ja…

Wstałam. Gdyby się odwrócił, od razu by mnie dostrzegł – szarego wilka na tle czarnych drzew. Chciałam, żeby został. Gdyby został, może to straszne uczucie rozbicia by zniknęło. Stałam tam, na widoku, tak blisko niego. Poczułam, że nogi pode mną zadrżały.

Wystarczyłoby, żeby się odwrócił.

Nie zrobił tego. Oddalał się ode mnie coraz bardziej, zabierając ze sobą tę cząstkę mnie, którą odzyskałam na chwilę, gdy tu był, znaczenie tamtego słowa – „Grace”.

Nie wiedział, jak bardzo był blisko.

Stałam jak sparaliżowana. W milczeniu obserwowałam, jak znika.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
SAM

Żyłem w strefie wojennej.

Kiedy zatrzymałem się na podjeździe, w okna mojego samochodu uderzyła muzyka. W przestrzeni wokół domu dudniły basy, jakby cały budynek był jednym wielkim głośnikiem. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali całe akry dalej, więc nie byli narażeni na symptomy zaburzeń psychicznych, jakie regularnie serwował im Cole St. Clair. Jego ego było tak wielkie, że po prostu nie mieściło się w czterech ścianach. Krwawiło przez okna, ryczało ze stereo, krzyczało w środku nocy. Mimo braku dostępu do sceny chłopak wciąż był gwiazdą rocka.

Od kiedy Cole zamieszkał w domu Becka – czyli w m o i m domu – przeistoczył go nie do poznania. Zupełnie jakby nie mógł się powstrzymać od niszczenia wszystkiego, co stanęło mu na drodze. Chaos stanowił efekt uboczny samej jego obecności w pokoju. Cole rozrzucał opakowania od płyt CD po podłodze w salonie, zostawiał telewizor włączony na telezakupach, przypalał dziwne lepkie substancje na dnie patelni i porzucał brudne naczynia na kuchence. Panele podłogowe w korytarzu na dole poryte były śladami pazurów, które wilczym szyfrem prowadziły z pokoju Cole'a do łazienki i z powrotem. Z niewiadomych przyczyn chłopak wyjął wszystkie szklanki z szafek kuchennych (drzwiczki zostawił pootwierane) i uszeregował je według wielkości na blacie. Obejrzał z tuzin filmów z lat osiemdziesiątych i zostawił niespakowane do pudełek płyty na podłodze przed odtwarzaczem, który znalazł gdzieś w piwnicy.

Kiedy po raz pierwszy wróciłem do domu i zobaczyłem panujący w nim bałagan, popełniłem błąd, biorąc całe sprzątanie na siebie.

Minęło wiele tygodni, zanim uświadomiłem sobie, że jego problemy mnie nie dotyczą. Są jego. W życiu Cole'a wszystko kręciło się wyłącznie wokół jego osoby.

Wysiadłem z volkswagena i ruszyłem w kierunku drzwi. Nie zamierzałem zostać w domu na tyle długo, żeby natężenie dźwięku miało mi przeszkadzać. Miałem do skompletowania bardzo konkretną listę przedmiotów: latarka, benadryl, druciana klatka z garażu. Po drodze kupiłem trochę mielonej wołowiny, żeby włożyć do niej lek.

Próbowałem ustalić, czy wilk wciąż może mieć wolną wolę. Zastanawiałem się, jak straszną jestem osobą, skoro planuję otumanić lekami swoją dziewczynę i przetrzymywać ją w piwnicy… Jednak jako wilk mogła umrzeć na tyle sposobów: jedna sekunda za długo na autostradzie, kilka dni bez udanego polowania, jeden krok za daleko na podwórku pijanego wieśniaka ze strzelbą.

Czułem, że ją stracę. Nie wytrzymałbym kolejnej nocy, myślą o zagrożeniach, które na nią czyhają.

Kiedy otworzyłem tylne drzwi, linia basów zmieniła się w muzykę. Piosenkarz, z głosem zniekształconym przez głośność, krzyczał do mnie: „Suffocate suffocate suffocate". Tembr głosu wydawał mi się znajomy i nagle uświadomiłem sobie, że to była „NARKOTIKA", puszczona tak głośno, że pomyliłem pulsujący elektroniczny *beat* z biciem własnego serca. Wszystko we mnie wibrowało w rytm piosenki.

Nawet nie zawracałem sobie głowy nawoływaniem Cole'a. I tak by mnie nie usłyszał. Światła, które zostawił pozapalane, zdradzały historię jego ruchów: przez kuchnię, korytarzem do jego pokoju, do łazienki na dole i do salonu, gdzie stały wieża i głośniki.

Przez chwilę rozważałem, czy go odszukać, ale nie miałem czasu, żeby polować na niego i na Grace. Znalazłem latarkę w szafce przy lodówce, chwyciłem banana i ruszyłem w kierunku hallu. Natychmiast potknąłem się o porzucone w przejściu buty Cole'a, pokryte skorupą błota. Dopiero teraz zauważyłem, że podłoga kuchenna była pokryta warstwą ziemi. Matowe, żółte światło zalewało brudną wężową ścieżkę kroków chłopaka wydeptaną przed szafkami.

Zanurzyłem dłoń we włosach i niepewnie potarłem palcami skórę głowy. Miałem ochotę zakląć, ale się powstrzymałem. Co Beck zrobiłby z Cole'em?

Nagle przypomniałem sobie psa, którego Urlik przyprowadził kiedyś po pracy do domu. Był to prawie dorosły rottweiler, z niewiadomych przyczyn wabiący się Szofer. Ważył tyle co ja, był pokryty świerzbem w okolicy bioder i przejawiał bardzo przyjacielskie usposobienie. Urlik był cały w skowronkach, mówił o psach stróżujących i Schutzhund*, i o tym, że pokochał Szofera jak brata. W ciągu godziny od swojego przybycia pies zjadł prawie dwa kilo mielonej wołowiny, odgryzł okładkę z biografii Margaret Thatcher – myślę, że zjadł tez większość pierwszego rozdziału – i zostawił parującą kupę na kanapie. „Zabierz stąd tego cholernego langoliera*" – zażądał kategorycznie Beck.

Urlik określił Becka mianem Wichser*, zgarnął psa i wyszedł. Beck powiedział mi, żebym nie powtarzał tego słowa, bo właśnie takiego określenia używają nieokrzesani Niemcy, kiedy wiedzą, że nie mają racji. Kilka godzin później Urlik wrócił bez Szofera i było jak dawniej. Ale nigdy już nie usiadłem po tamtej stronie kanapy.

Ja nie mogłem wyrzucić Cole'a. on przecież nie miał gdzie się podziać. Poza tym nie chodziło o to, że chłopak był nieznośny z natury. Stawał się taki dopiero wtedy, gdy był nierozcieńczony, spożywany bez dodatków, które mogłyby stłumić wyraźny smak jego ego.

Ten dom był zupełnie inny, kiedy wypełniali go ludzie.

Piosenka dobiegła końca, a w salonie na moment zapadła cisza. Potem z głośników ryknął kolejny utwór „NARKOTIKI". Głos Cole'a eksplodował w korytarzu. Był głośniejszy i bardziej przenikliwy niż w codziennym życiu:

Połam mnie na kawałki
wystarczająco małe, by
zmieściły się we wnętrzu twej dłoni, kochanie.
Nigdy nie myślałem, że mnie ocalisz.
Odłam kawałek
dla swoich przyjaciół,
odłam kawałek
dla siebie na szczęście,
odłam kawałek
i sprzedaj, sprzedaj,
połam mnieeee…

Mój słuch nie był tak wrażliwy jak wtedy, kiedy przemieniałem się w wilka, ale wciąż był lepszy niż u większości ludzi. Ta muzyka wydała mi się agresywna niczym napaść, prawie namacalna.

Szybko przeciąłem pusty salon – postanowiłem, że wyłączę wieżę w drodze powrotnej – i dotarłem do schodów. Wiedziałem, że w łazience na dole całe mnóstwo lekarstw, ale nie potrafiłem tam wejść. Widok wanny wciąż przywoływał złe wspomnienia. Na szczęście Beck, pamiętając o mojej przeszłości, trzymał dodatkowy zapas lekarstw w łazience na górze, gdzie był tylko prysznic.

Także tutaj czułem pod stopami wibrujące basy. Zamknąłem za sobą drzwi, na chwilę odłożyłem banana i latarkę, a następnie opłukałem ramiona z zaschniętych mydlin. Potem otworzyłem szafkę z lustrem na drzwiczkach. Jak większość wspólnych mebli łazienkowych była pełna nieco obrzydliwych

---

* Schutzhund (j. niem.) – pies obronny.

* Langoliery – fikcyjne istoty, monstra występujące w opowiadaniu S. Kinga pt. „Langoliery", zawartym w zbiorze „Czwarta po północy".

* Wichser (j. niem.) – wulgarnie: idiota.

dowodów bytności innych ludzi: maści i tubek z pasta do zębów, pigułek na już nieaktualne dolegliwości, szczotek pokrytych włosami nie mojego koloru, płynów do płukania jamy ustnej, których data ważności upłynęła około dwóch lat wcześniej. Powinienem tu posprzątać. Kiedyś się za to zabiorę.

Ostrożnie wyjąłem benadryl. Kiedy zamknąłem szafkę, zobaczyłem w lustrze swoje odbicie. Włosy miałem dłuższe niż kiedykolwiek, a moje złotożółte tęczówki wdawały się jaśniejsze niż zwykle w kontraście z sińcami pod oczami. Ale coś innego przykuło moją uwagę. Coś w wyrazie mojej twarzy, coś, czego nie rozpoznawałem. Jakaś bezradność, a jednocześnie poczucie poniesionej porażki. Kimkolwiek był ten Sam, nie znałem go.

Złapałem banana i latarkę z brzegu umywalki. Nie było na co czekać. Prawdopodobnie z każdą minutą Grace oddalała się ode mnie coraz bardziej.

Zbiegłem po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz, i znowu wpadłem w sam środek kipiącej złością muzyki. Salon wciąż był pusty, więc podszedłem do wieży, żeby ją wyłączyć. Nie było tu nikogo, kto słuchałby tej furii eksplodującej z głośników. Lampy stojące przy sofach w szkocką kratę rzucały cienie w każdym kierunku. To właśnie one, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiły, że poczułem się nieswojo. Były odrobinę niedopasowane do wystroju, z ciemnymi drewnianymi podstawami i kremowymi abażurami. Beck przyniósł je któregoś dnia, a Paul oświadczył, że teraz już cały dom prezentuje się tak, jakby urządziła go jego babcia. Może to z tego powodu nigdy ich nie używaliśmy. Zawsze decydowaliśmy się na jaśniejsze oświetlenie sufitowe, które sprawiało, że wyblakłe czerwienie na kanapach stawały się mniej smutne, i zatrzymywało noc na zewnątrz. Ale teraz bliźniacze kałuże światła rzucane przez lampy przypominały reflektory punktowe na scenie.

Wbrew temu, co myślałem, salon nie był pusty.

Obok mebla leżał wilk. Drżał i szarpał się. Miał odsłonięte zęby. Rozpoznałem kolor futra i przenikliwe zielone oczy – to był Cole w trakcie transformacji.

Doświadczenie podpowiadało mi, że chłopak musiał się właśnie przemieniać. Nie wiedziałem, czy była to przemiana z wilka w człowieka, czy odwrotnie, ale czułem się nieswojo. Obserwowałem go przez minutę, żeby sprawdzić, czy będę musiał wypuścić go na zewnątrz.

Dudniąca muzyka zamilkła wraz z końcem kolejnej piosenki, ale echa bitów wciąż drgały w moich uszach. Upuściłem zebrane przedmioty na kanapę obok, czując, jak jeżą mi się włosy na karku. Przy drugiej kanapie wilk wciąż wił się w spazmach, raz za razem rzucając łbem na boki, nieprzytomnie, gwałtownie i mechanicznie. Łapy sztywno wyciągnął przed sobą. Z jego rozwartych szczęk ciekła ślina.

To nie była przemiana. To był atak padaczki.

Wzdrygnąłem się, zaskoczony, gdy powolny akord pianina rozdzwonił się tuż obok mojego ucha, ale to był tylko początek następnej piosenki na płycie.

Obszedłem kanapę i ukląkłem przy wilku. Para spodni leżała na dywanie obok. Kawałem dalej walała się na wpół dociśnięta strzykawka.

Cole – wyszeptałem – co ty sobie zrobiłeś?

Wilk wciąż rzucał głową na boki.

Cole śpiewał z głośników. Jego głos był powolny i niepewny w zestawieniu z rzadkimi nutami samotnego pianina. Takiego Cole'a jeszcze nie słyszałem:

Skoro jestem Hannibalem,
gdzie są moje Alpy?

Nie było nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc. Nie mogłem przecież zadzwonić pod 911. Także Beck nie wchodził w grę. Wyjaśnienie wszystkiego Karyn, mojej szefowej z księgarni, trwałoby za

długo, nawet jeśli mógłbym jej zaufać, że dochowa tajemnicy. Grace pewnie wiedziałaby, co robić, ale nawet ona była daleko w lesie, ukryta przede mną.

Odczułem bolesne ukłucie, przeczucie nieuchronnie zbliżającej się straty. Czułem, jakby moje płuca z każdym wdechem natykały się na papier ścierny.

Ciało Cole'a przeszywały kolejne spazmy, wilcza głowa odskakiwała w drgawkach raz za razem. Było coś niepokojącego w tym, że jedynym dźwiękiem towarzyszącym tym gwałtownym ruchom było tarcie łba o dywan, podczas gdy z głośników płynął głos, którym Cole już nie dysponował. Wyciągnąłem telefon. Tylko do jednej osoby mogłem zadzwonić. Wybrałem numer.

- Romulus – rzuciła Isabel, odbierając po zaledwie dwóch dzwonkach. W tle usłyszałem ryk silnika i szum samochodów na drodze. – Myślałam o tym, żeby do ciebie zadzwonić.
- Isabel – zacząłem. Z jakiegoś powodu nie potrafiłem przybrać odpowiednio poważnego tonu. Mój głos brzmiał tak, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. – Myślę, że Cole ma atak padaczki. Nie wiem, co robić.

Nawet się nie zawahała.

- Przekręć go na bok, żeby nie udławił się własną śliną.
- Ale on jest wilkiem.

Cole wciąż walczył. W jego ślinie pojawiły się drobinki krwi. Pomyślałem, że chyba ugryzł się w język.

- Oczywiście – warknęła. Była wyraźnie wkurzona. To oznaczało, że naprawdę obchodzi ją, co się z nami dzieje. – Gdzie jesteście?
- W domu.
- No to do zobaczenia za chwilę.
- Czy ty…?
- Przecież ci powiedziałam – oświadczyła Isabel – że myślałam o tym, żeby do ciebie zadzwonić.

Po dwóch minutach SUV zatrzymał się na podjeździe.

Dwadzieścia sekund później zdałem sobie sprawę z tego, że Cole nie oddycha.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SAM

Isabel weszła do salonu. Rozmawiała przez telefon. Rzuciła torebkę na kanapę, ledwie patrząc na mnie i Cole'a.

– Jak już mówiłam, mój pies ma atak padaczki – tłumaczyła rozmówcy. – Nie mam pod ręka samochodu. Jak mogę mu sama pomóc? Nie, nie chodzi o Chloe.

Spojrzała na mnie, wysłuchując odpowiedzi. Przez chwile gapiliśmy się na siebie nawzajem. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Isabel też się zmieniła. Włosy miała dłuższe, ale podobnie jak w moim przypadku, różnica tkwiła w wyrazie twarzy. Wyglądała obco. Byłem ciekaw, czy pomyślała tak samo o mnie.

Po drugiej stronie linii ktoś zadał pytanie.

– Od jak dawna to trwa? – zwróciła się do mnie.

Zerknąłem na zegarek. Dłonie miałem lodowate.

– Eee… jakieś sześć minut, od kiedy go znalazłem. Nie oddycha.

Isabel spojrzała na Cole'a, którego ciało wciąż przeszywały fale drgawek, choć jego klatka piersiowa pozostawała nieruchoma. Wyglądał niczym reanimowane zwłoki. Kiedy zobaczyła strzykawkę, powieki jej zadrgały. Odsunęła telefon od ust i szepnęła:

– Mówią, żeby przyłożyć mu lód. Do karku.

Wyjąłem dwie torebki z frytkami z zamrażarki. Gdy wróciłem, Isabel już nie rozmawiała przez komórkę. Kucała przed Cole'em – ryzykowna poza w jej wysokich obcasach. Było coś uderzającego w jej postawie, w przechyleniu jej głowy. Wyglądała niczym piękne i samotne dzieło sztuki, czarujące, ale niedostępne.

Ukląkłem po drugiej stronie Cole'a i przycisnąłem torebki do jego karku. Czułem bezsilność. Musiałem walczyć ze śmiercią, a jedyną bronią, jaka dysponowałem, były mrożone frytki.

– Teraz – wyrecytowała Isabel – zawierają trzydzieści procent mniej sodu.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że po prostu przeczytała napis na opakowaniu.

Głos Cole'a popłynął z głośników, seksowny i sarkastyczny. *Jestem zbędny* – zaśpiewał.

– Co on sobie zrobił? – zapytała, odwracając wzrok od strzykawki.

– Nie wiem – przyznałem. – Nie było mnie tu.

Isabel wyciągnęła dłoń, żeby zabrać jedną z torebek.

– Głupi gnój.

Zauważyłem, że drgawki stają się coraz słabsze.

– Uspokaja się – powiedziałem. A ponieważ czułem, że nadmierny optymizm mógłby oznaczać kuszenie losu, dodałem: - Albo jest martwy.

– On żyje – zaprotestowała Isabel, jednak w jej głosie brakowało pewności.

Wilk leżał nieruchomo, z głową odrzucona do tyłu pod groteskowym kątem. Moje palce były jaskrawoczerwone z zimna. Trwaliśmy tak w kompletnej ciszy.

Grace była już pewnie daleko od miejsca, z którego do mnie dzwoniła. Schwytanie jej wydawało się teraz równie mało prawdopodobne, co uratowanie życia Cole'a za pomocą mrożonych frytek.

Klatka piersiowa wilka nadal była nieruchoma. Nie wiedziałem, jak dużo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni zaczerpnął tchu.

– Cóż – mruknąłem cicho. – Cholera.

Isabel zacisnęła dłonie leżące na kolanach w pięści.

Ciało wilka wygięło się w kolejnym gwałtownym spazmie. Zwierzę zamłóciło łapami w powietrzu.

- Lód! – warknęła Isabel. – Sam, obudź się!

Ale ja się nie poruszyłem. Byłem zaskoczony tym, jaką ulgę odczułem, gdy ciało Cole'a zaczęło drgać i nabrzmiewać. Rozpoznawałem ten nowy ból – to była przemiana. Wilk szarpał się i trząsł. Futro w jakiś sposób zamieniło się w skórę, łapy przeistoczyły się w palce, ramiona zafalowały i rozszerzyły się, a kręgosłup wygiął w łuk. Ciało wilka rozciągnęło się w niemożliwy sposób, mięśnie pulsowały pod skórą, kości tarły o siebie nawzajem.

Po chwili Cole w ludzkiej postaci leżał na podłodze, dysząc ciężko, z ustami zabarwionymi błękitem, a jego palce kurczowo chwytały powietrze. Wciąż widziałem, jak jego skóra rozciąga się i formuje na nowo wokół żeber. Zielone oczy chłopaka pod wpółprzymkniętymi powiekami poruszały się powoli, niemal niedostrzegalnie.

Usłyszałem, jak Isabel głośno wciąga powietrze. Pomyślałem, że powinienem ją ostrzec, żeby odwróciła wzrok. Położyłem jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się.

- Dobrze się czujesz? – zapytałem.
- Świetnie – odpowiedziała zbyt szybko, żeby to mogła być prawda.

Nikt nie mógłby się czuć świetnie po zobaczeniu czegoś takiego.

Z głośników popłynęła jedna z najpopularniejszych piosenek „NARKOTIKI", a Cole zaśmiał się cicho, śmiechem kompletnie pozbawionym poczucia humoru.

Isabel wstała, z wściekłym wyrazem twarzy, jakby ten śmiech stanowił dla niej policzek.

- Zrobiłam swoje. Pójdę już.

Cole złapał ją za kostkę. Jego głos był bełkotliwy.

- IshbelCulprepr. – Zamknął oczy, a potem znowu je otworzył. Źrenice miał wąskie jak szparki. – Wiszcorobić – przerwał. – Po sygnale. Biip.

Spojrzałem na Isabel. W tle Victor pośmiertnie uderzał w perkusję.

- Następnym razem spróbuj się zabić na zewnątrz – rzuciła do Cole'a. – Sam będzie miał mniej sprzątania.
- Isabel! – zareagowałem ostro.

Ale Cole'a najwyraźniej to nie obeszło.

- Ja tylko… - zaczął powoli, ale przerwał. Jego usta wreszcie odzyskały normalna barwę. – Ja tylko próbowałem znaleźć…

Umilkł i zamknął oczy. Mięsień na jego łopatce wciąż drgał, jakby żył własnym życiem.

Isabel przestąpiła nad nim i porwała torebkę z kanapy. Ściągnęła brwi i wlepiła wzrok w banana, którego tam zostawiłem, jakby to była najbardziej niewytłumaczalna rzecz, jaką dzisiaj widziała.

Myśl o zostaniu teraz sam na sam z Cole'em, a do tego z Cole'em w takim stanie, wydała mi się nieznośna.

- Isabel! – zawołałem. Zawahałem się jednak. – Nie musisz iść.

Znowu spojrzała na Cole'a i zacisnęła usta w jedną bezwzględną linijkę. Na jej długich rzęsach zalśniło coś wilgotnego.

- Przykro mi, Sam – powiedziała.

Wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi wystarczająco mocno, żeby zadźwięczały wszystkie szklanki pozostawione przez Cole'a na blacie w kuchni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ISABEL

Tak długo, jak utrzymywałam strzałkę prędkościomierza na poziomie ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, koncentrowałam się tylko na trasie.

Po zmroku krajobraz okolic Mercy Falls wszędzie wyglądał tak samo. Wysokie drzewa, potem niższe, potem krowy, potem znowu wysokie i niskie drzewa, i krowy. I tak w kółko. Ścinałam zakręty, pokonywałam identyczne proste odcinki. W jeden zakręt weszłam tak szybko, że mój pusty kubek termiczny wyleciał z uchwytu, uderzył o drzwi od strony pasażera, a potem poturlał się po podłodze, podczas gdy ścinałam kolejny zakręt. Wciąż miałam wrażenie, że nie jadę wystarczająco szybko.

Musiałam przemieszczać się szybciej niż dręczące mnie pytanie: „A co, gdybyś została?".

Nigdy nie dostałam mandatu za przekroczenie prędkości. Fakt, że mój ojciec był ważnym prawnikiem, który miał problemy z opanowaniem gniewu, działał na mnie poskramiająco. Zazwyczaj wystarczyło, żebym wyobraziła sobie jego minę na wieść o moim wykroczeniu, a już zdejmowałam stopę z gazu. Poza tym przekraczanie prędkości w tych okolicach nie miało tak naprawdę żadnego sensu. To było Mercy Falls. Populacja: osiem osób. Zanim zdążyłabym się rozpędzić, już wylądowałabym po drugiej stronie miasteczka.

Ale w tej chwili pyskówka z policjantem korespondowałaby ze stanem mojego umysłu.

Nie jechałam w kierunku domu. Wiedziałam, że mogę tam dotrzeć w dwadzieścia dwie minuty. To zdecydowanie za szybko.

Problem polegał na tym, że Cole ponownie zalazł mi za skórę. Zbliżyłam się za bardzo i znów go złapałam. Ta choroba objawiała się nader specyficznym zestawem symptomów: drażliwością, huśtawkami nastroju, urywanym oddechem, utrata apetytu, nieprzytomnym spojrzeniem i zmęczeniem. Po tym wszystkim człowiek chorował na wrzody i miał dymienice, jak przy dżumie. Na końcu czekała go śmierć.

Naprawdę myślałam, że już wyleczyłam się z Cole'a, ale kiedy go ujrzałam, okazało się, że to był jedynie okres remisji.

Nie chodziło tylko o niego. Dręczyło mnie również to, że nie powiedziałam Samowi o moim ojcu i o Marshallu. Chciałam wierzyć, że ojcu nie uda się znieść nakazu ochrony wilków. Nawet z pomocą kongresmena. Obaj byli grubymi rybami w swoich miastach, ale bycie szychą w Minnesocie to inna sprawa. Próbowałam stłumić wyrzuty sumienia, że nie ostrzegłam Sama.

Byłam tak pogrążona w myślach, że nie zauważyłam, kiedy we wstecznym lusterku pojawiły się błyskające czerwone i niebieskie światełka. Syrena zawyła. Krótki, ostrzegawczy sygnał.

Pyskówka z gliną już nie wydawała mi się takim znakomitym pomysłem. Zjechałam na pobocze. Wyciągnęłam prawo jazdy z torebki i dowód rejestracyjny ze schowka. Opuściłam szybę.

Kiedy funkcjonariusz podszedł do mojego wozu, zobaczyłam, że ma na sobie brązowy mundur i duży kapelusz, co oznaczało, że był z policji stanowej, a nie lokalnej. A stanowe gliny nigdy nie dawały upomnień.

Miałam przerąbane.

Poświecił na mnie latarką. Skrzywiłam się i włączyłam światło wewnątrz auta, żeby mógł wyłączyć swój sprzęt.

- Dobry wieczór, prawo jazdy o dowód rejestracyjny poproszę. – Funkcjonariusz wyglądał na odrobinę wkurzonego. – Nie widziała pani, że za panią jadę?
- Gdybym nie widziała, to pewnie nadal bym jechała – zażartowałam, wskazując na zaciągnięty hamulec ręczny.

Policjant uśmiechnął się sztucznie, tak jak to robił czasami mój ojciec, kiedy rozmawiał przez telefon. Wziął ode mnie dokumenty, nawet na nie nie patrząc.

- Jechałem za panią dwa kilometry, zanim wreszcie się pani zatrzymała.
- Byłam rozkojarzona – wyjaśniłam.
- Tak nie można jeździć – pouczył mnie gliniarz. – Dostanie pani mandat za przekroczenie prędkości, rozumiemy się? Zaraz wrócę. Proszę się stąd nie ruszać.

Poszedł z powrotem do radiowozu. Zostawiłam otwarte okno, mimo że nocne owady krążyły wokół, uderzając skrzydełkami o maskę i szyby samochodu. Opadłam na siedzenie i zamknęłam oczy, wyobrażając sobie reakcje ojca na mandat. Dostanę szlaban. Zabiorą mi kartę kredytową. Utracę przywileje związane z telefonem. Moi rodzice dysponowali całym asortymentem narzędzi tortur, które starannie obmyślili jeszcze w Kalifornii. Już nie musiałam się zamartwiać tym, czy powinnam znów spotkać się z Samem albo Cole'em, bo będę zamknięta w domu przez resztę ostatniego roku w liceum.

- Proszę pani?

Otworzyłam oczy i wyprostowałam się. Policjant znowu stał przy moim oknie. Wciąż trzymał w dłoni moje dokumenty, a pod nimi bloczek z mandatami.

Mówił teraz innym tonem.

- Zgodnie z tym, co jest zapisane w prawie jazdy, nazywa się pani Isabel R. Culpeper. Czy jest pani spokrewniona z Thomasem Culpeperem?
- To mój ojciec.

Policjant postukał długopisem w bloczek.

- Ach tak… - powiedział i oddał mi dokumenty. – Tak właśnie myślałem. Przekroczyła pani prędkość. Proszę tego więcej nie robić.
- A co z…?

Policjant dotknął ronda kapelusza.

- Bezpiecznej drogi, panno Culpeper.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

SAM

Bawiłem się w generała. Przez większość nocy głowiłem się nad strategią, jak najlepiej przeprowadzić konfrontację z Cole'em. Używając obrotowego fotela Becka jako fortecy, kręciłem się na nim w tę i z powrotem, gryzmoląc fragmenty potencjalnego dialogu w starym kalendarzu i układając pasjansa. Jeśli wygram w tę grę, powiem mu, jakich zasad musi przestrzegać, jeśli chce zostać w tym domu. Jeśli przegram, nic nie powiem i zobaczę, co się wydarzy. Im dalej w noc, tym bardziej skomplikowane reguły sobie dyktowałem: jeśli wygram, ale zajmie mi to dłużej niż dwie minuty, napisze do Cole'a notatkę i przykleję ja na drzwiach jego sypialni. Jeśli wygram i najpierw wyłożę króla kier, zadzwonię do niego z pracy i przeczytam mu listę zasad przez telefon.

Pomiędzy kolejnymi rozdaniami wypróbowywałem zdania, które kłębiły mi się w głowie. Gdzieś tam były słowa, dzięki którym potrafiłbym wyrazić swoją troskę o Cole'a, nie brzmiące przy tym protekcjonalnie. Słowa, które były zarazem taktowne i pozbawione niepotrzebnych emocji. Ale nie wiedziałem, jak je odnaleźć.

Kilka razy wychodziłem z gabinetu Becka i kierowałem się ciemnym korytarzem do salonu. Stawałem w przejściu i obserwowałem wycieńczone atakami ciało Cole'a, upewniając się, że chłopak nadal oddycha. Potem frustracja i gniew nakazywały mi powrót do gabinetu, gdzie znowu zajmowałem się jałowym planowaniem.

Oczy piekły mnie ze zmęczenia, ale nie mogłem spać. Gdyby Cole się obudził, mógłbym z nim porozmawiać. Gdybym tylko wygrał pasjansa… nie mogłem ryzykować, że on się obudzi, a ja nie porozmawiam z nim od razu. Nie byłem pewien dlaczego, ale po prostu nie mogłem tego zaryzykować. Byłem pewien, że nie zasnę, wiedząc, że tymczasem on może odzyskać przytomność.

Kiedy zadzwonił telefon, kręciłem się akurat w fotelu. Pozwoliłem mu dokończyć obrót, po czym ostrożnie podniosłem słuchawkę.

- Halo?
- Sam – odezwała się Isabel. Jej głos był energiczny i rzeczowy. – Możemy chwilkę pogadać?

Pogadać. Żywiłem wyjątkowy rodzaj niechęci do idei telefonu jako medium dla pogawędek. Urządzenie nie pozwalało na przestrzeń w rozmowie, ani na ciszę, ani na oddechy. Albo się mówiło, albo milczało, a to drugie wydawało mi się nienaturalne.

- Tak – zgodziłem się ostrożnie.
- Nie miałam okazji wspomnieć ci o tym wcześniej – zaczęła Isabel. Wciąż ostro wypowiadała słowa, niczym windykator firmy telekomunikacyjnej. – Mój ojciec spotyka się z kongresmenem w sprawie ściągnięcia wilków z listy zwierząt chronionych. Pomyśl o helikopterach i strzelcach wyborowych.

Nie zareagowałem. Pozwoliłem fotelowi Becka obrócić się jeszcze raz. Czułem, jakby ktoś zamarynował mi oczy w czaszce. Zastanawiałem się, czy Cole już się obudził. Zastanawiałem się, czy wciąż oddychał. Przypomniałem sobie małego chłopca w wełnianej czapce, wepchniętego w śnieżną zaspę przez wilki. Pomyślałem o tym, jak daleko musi być teraz Grace.

- Sam, słyszałeś mnie?
- Helikoptery – powtórzyłem. – Strzelcy wyborowi. Tak, słyszałem.
- Grace postrzelona z odległości trzystu metrów. – Jej głos był opanowany.

To zapiekło, ale bardziej jak odległy, hipotetyczny koszmar. Jak katastrofa relacjonowana w wiadomościach.

- Isabel – rzuciłem – czego ty ode mnie chcesz?
- Tego co zawsze – wyjaśniła. – Żebyś coś zrobił.

W tym momencie zatęskniłem za Grace bardziej niż kiedykolwiek w ciągu minionych dwóch miesięcy. Tęskniłem za nią tak bardzo, że niemal się dławiłem, jakby jej brak był czymś namacalnym, co utkwiło mi w gardle. Jej obecność nie rozwiązałaby żadnych problemów, ani nie sprawiła, że Isabel zostawiłaby mnie w spokoju. Ale gdyby Grace tutaj była, odpowiedziałaby coś Isabel. Wiedziałaby, że nie chcę tej odpowiedzi usłyszeć. Powiedziałaby mi, żebym poszedł spać, a ja potrafiłbym zasnąć. A wtedy ten straszliwy długi dzień wreszcie dobiegłby końca. Poczułbym ukojenie. A kiedy obudziłbym się rano, wszystko wyglądałoby na bardziej prawdopodobne. Poranek tracił swoje lecznicze moce, kiedy przybywał i znajdował cię z szeroko otwartymi oczami po bezsennej nocy.

- Sam… Boże, czy ja mówię do ściany? – Po drugiej stronie linii usłyszałem ciężki odgłos otwieranych drzwi samochodu, potem ostry wdech i głośny trzask zamykanego auta.

Uświadomiłem sobie, że jestem niewdzięczny.

- Przepraszam, Isabel. To po prostu był… to był naprawdę długi dzień.
- Coś o tym wiem. – Jej stopy chrzęściły na żwirze. – Wszystko z nim w porządku?

Poszedłem z telefonem w głąb korytarza. Musiałem poczekać chwilę, zanim mój wzrok przyzwyczaił się do światła rzucanego przez lampy. Byłem tak zmęczony, że pod powiekami wirowały mi jasne cętki. Upewniłem się, że klatka piersiowa Cole'a unosi się i opada miarowo.

- Tak – wyszeptałem. – Śpi.
- Szczęściarz… - z przekąsem skomentowała Isabel.

Zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej udawać, że mnie to nie obchodzi. Prawdopodobnie i tak zwlekałem z tym pytaniem zbyt długo.

- Isabel… - zacząłem. – Co się wydarzyło między wami dwojgiem?

Dziewczyna milczała.

- Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy – zawahałem się. – Ale obchodzi mnie, co wyprawia Cole.
- Och, Sam, już odrobinę za późno na to, żebyś zgrywał się na autorytet.

Chyba nie chciała być okrutna, ale jej słowa zabolały. Miałem ochotę się rozłączyć, jednak wtedy przypomniałem sobie, co Grace opowiedziała mi o Isabel. O tym jak ta dziewczyna pomagała jej, kiedy wszyscy myśleli, że nie żyję.

- Po prostu powiedz mi. Czy coś jest między wami?
- Nie – warknęła Isabel.

Zrozumiałem prawdziwe znaczenie tego słowa. To było „nie", które w rzeczywistości oznaczało „nie w tej chwili". Pomyślałem o jej twarzy, kiedy zobaczyła strzykawkę leżącą obok Cole'a.

- On musi sobie poradzić z wieloma rzeczami – szepnąłem. – Nie nadaje się dla nikogo, Isabel.

Nie odpowiedziała od razu. Docisnąłem palce do skroni, czując nadchodzący ból głowy, jeden z tych, które dręczyły mnie od czasu zapalenia opon mózgowych. Wpatrywałem się w karty na ekranie komputera i widziałem, że nie mam więcej opcji. Według zegarka musiało upłynąć siedem minut i dwadzieścia jeden sekund zanim uświadomiłem sobie, że przegrałem.

- Ty też się nie nadawałeś – zauważyła Isabel.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

COLE

Mój żyjący na planecie zwanej Nowym Jorkiem ojciec – doktor nauk medycznych George St. Clair, członek Mensy – był zwolennikiem metody naukowej, przykładem dobrego, choć szalonego naukowca. Obchodziło go „dlaczego". Obchodziło go „jak". Nawet jeśli nie obchodziły go wyniki, interesowało go, jak można ustalić formułę umożliwiającą powtarzanie danego eksperymentu.

Mnie obchodziły rezultaty.

Zależało mi również na tym, żebym pod żadnym względem nie przypominał ojca. Właściwie to większość moich życiowych decyzji opierała się na filozofii bycia innym niż doktor St. Clair.

Więc było to dla mnie bolesne doświadczenie, że musiałem się z nim zgodzić w tak ważnej kwestii – nawet jeśli miał się nigdy o tym nie dowiedzieć. Ale kiedy otworzyłem oczy, czując, jakby ktoś rozbił tłuczkiem moje wnętrzności na płasko, najpierw wymacałem dziennik leżący na stoliku nocnym obok łóżka.

Wcześniej obudziłem się na podłodze w salonie. Okazało się, że żyję – to była niespodzianka. Doczołgałem się do swojej sypialni, żeby zasnąć wygodniej albo dokończyć proces umierania. Teraz czułem się tak, jakby moje członki zostały zebrane do kupy przez fabrykę z kiepską kontrolą jakości. Mrużąc oczy w szarym świetle, które mogło oznaczać każdą porę dnia lub nocy, otworzyłem dziennik palcami sprawiającymi wrażenie nieożywionych przedmiotów. Musiałem przerzucić ileś stron zapisków Becka, żeby dotrzeć do swoich. Następnie zanotowałem i skopiowałem format, którego używałem już przy poprzednich eksperymentach. Moje pismo na sąsiedniej stronie było odrobinę bardziej sztywne niż litery, które nabazgrałem teraz:

epinefryna/ pseudoefedryna – mieszanka 4

metoda: zastrzyk dożylny

rezultat: eksperyment zakończony powodzeniem

(efekty uboczne: atak padaczki)

Zamknąłem dziennik i położyłem go na piersi. Otworzyłbym szampana, żeby uczcić swoje odkrycie, gdybym tylko był w stanie zachować przytomność. I gdyby postęp tak bardzo nie przypominał choroby.

Znowu zamknąłem oczy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

GRACE

Kiedy stałam się wilkiem, nie wiedziałam, jak walczyć o przetrwanie.

Dołączyłam do sfory, ale nie miałam pojęcia o wielu rzeczach. Nie wiedziałam, jak polować, jak odnaleźć inne wilki, kiedy się zgubię, gdzie spać… Nie umiałam się porozumiewać z pozostałymi członkami stada. Nie potrafiłam odczytywać tych różnorakich gestów i obrazów, którymi wilki się posługiwały.

Ale wiedziałam jedno: jeśli poddam się strachowi, umrę.

Najpierw nauczyłam się odnajdywać sforę. Zupełnie przypadkowo. Samotna i głodna, czując pustkę, której nie wypełniłoby żadne jedzenie, w rozpaczy odrzuciłem łeb do tyłu i zawyłam prosto w lodowatą ciemność. To był bardziej lament niż skowyt, czysty i samotny. Mój głos odbił się echem od pobliskich skał.

Wkrótce usłyszałam odpowiedź. Krótki skowyt, potem następny. Po chwili uświadomiłam sobie, że nawołujący mnie wilk czeka, aż zareaguję. Zawyłam znowu, a on natychmiast odpowiedział. Jeszcze nie skończył wyć, kiedy dołączył do niego następny wilk, a potem kolejny. Ich wycie niosło się echem. Musiały być bardzo daleko.

Ale odległość była dla mnie niczym. To nowe ciało nigdy się nie męczyło.

Opanowanie mechanizmów rządzących sforą zajęło mi wiele dni. Grupą najwyraźniej dowodził ogromny czarny wilk. Jego najskuteczniejszym środkiem panowania nad sforą było bezwzględne spojrzenie, które skutecznie odbierało pewność siebie pozostałym jej członkom, zmuszając do pokornego kulenia się przy ziemi. Spojrzenie działało na wszystkich poza wielkim szarym wilkiem, który był darzony niemal równym szacunkiem. On zaledwie kładł uszy po sobie i odrobinę obniżał ogon, chcąc okazać respekt czarnemu.

Od przywódców nauczyłam się języka dominacji: odwinięte wargi, odsłonięte zęby, zjeżone futro wzdłuż całego kręgosłupa.

Od niższych rangą członków sfory nauczyłam się sygnalizować uległość: przewracałam się na plecy, żeby odsłonić brzuch, spuszczałam oczy, kuliłam się przy ziemi, by moje ciało wyglądało na mniejsze.

Każdego dnia ostatniemu wilkowi w hierarchii, temu, który wyglądał na chorego, z łzawiącym okiem, przypominano, gdzie jest jego miejsce. „Znikaj stąd” – zdawały się mówić kłapiące na niego paszcze i przyszpilające go do ziemi łapy. Myślałam, że bycie tym, który je ostatni, jest straszne, ale było coś gorszego – bycie ignorowanym.

Biała wilczyca egzystowała na granicy sfory. Była niewidzialna. Nie zapraszano jej do zabaw, nie robił tego nawet szarobrązowy wilk, największy kawalarz w sforze. Wolał bawić się ptakami niż z nią. Wilczyca była nieobecna podczas polowań. Nie ufano jej. Ignorowano ją. Ale sposób, w jaki traktowała ja sfora, nie był całkowicie nieuzasadniony – podobnie jak ja ona też zdawała się nie znać języka grupy. A może raczej używanie wspólnego kodu nie było dla niej ważne.

W jej oczach kryło się wiele tajemnic.

Tylko raz widziałam jej interakcje z innym wilkiem, kiedy warknęła z obnażonymi kłami na jasnoszarego, a on ja zaatakował. Bójka wywiązała się pośród paproci.

Myślałam, że jasnoszary wilk zabije białą wilczycę.

Ale ona była silna.

Ostatecznie interweniował kawalarz, który lubił spokój. Skoczył pomiędzy walczące zwierzęta i przerwał walkę. A kiedy jasnoszary wilk otrząsnął się i poszedł w swoja stronę, rozjemca tylko odwrócił się do białej wilczycy, po czym pokazał jej kły, dając do zrozumienia, że nie chce jej widzieć w pobliżu.

Po tym wydarzeniu postanowiłam, że nie będę zachowywać się tak jak ona. Nawet najsłabszego wilka traktowano lepiej niż ją. W tym świecie nie było miejsca dla outsiderów. Zbliżyłam się do czarnego wilka alfa, próbując sobie przypomnieć wszystko, co już wiedziałam, a instynkt podszeptywał mi to, czego nie pamiętałam. Uszy położone płasko, głowa pochylona. Skuliłam się, żeby wyglądać na mniejszą. Polizałam jego pysk, błagając o przyjęcie do sfory. Kawalarz obserwował tę scenę. Zerknęłam na niego i rzuciłam mu zawadiacki wilczy uśmiech. Skupiłam myśli i zdołałam wysłać obraz – ja biegnąca razem ze sforą, dołączająca do zabawy, pomagająca przy polowaniu.

Powitanie było radosne, hałaśliwe i natychmiastowe. Wilki najwyraźniej czekały, aż się do nich zbliżę. Wtedy zrozumiałam, że biała wilczyca została odrzucona tylko dlatego, że sama tego chciała.

Wiosna eksplodowała kwiatami tak słodkimi, że niemal pachniała zgnilizną. Ziemia była miękka i wilgotna. Rozpoczęły się moje lekcje. Cała sfora skupiła się na moim wychowaniu. Szary wilk nauczył mnie, jak niepostrzeżenie podkradać się do ofiary, jak biegać wokół niej i zaatakować od pyska, podczas gdy inne wilki atakowały boki. Czarny samiec alfa pokazał, jak wyczuwać tropy. Kawalarz – jak zakopywać jedzenie i oznaczać zapełnione zapasami kryjówki.

Wilki zdawały się czerpać osobliwą radość z mojej ignorancji. Jeszcze długo po tym, jak nauczyłam się wszystkich ruchów i sygnałów podpowiadały mi wyolbrzymionymi gestami. Kiedy zdołałam sama schwytać mysz, skakały wokół mnie i świętowały, jakbym upolowała co najmniej jelenia. Jeśli podczas polowania zostałam w tyle, przynosiły mi kawałki mięsa, jakbym była szczeniakiem wymagającym opieki. Przez długi czas pozostawałam przy życiu tylko dzięki ich dobroci. Kiedy kuliłam się na ziemi, jęcząc cicho, gdy moje ciało szarpały konwulsje przemiany, a wnętrzności były rozdzierane na strzępy przez dziewczynę, która żyła wewnątrz mnie, wilki stały na straży. Chroniły mnie, choć nie do końca wiedziałam przed czym.

Byliśmy największymi mieszkańcami lasu, no, może z wyjątkiem jeleni. Jednak upolowanie czegokolwiek wymagało od nas wielkiego wysiłku i wielu godzin biegu. I rzeczywiście dużo biegaliśmy. Nasze terytorium było ogromne i początkowo wydawało mi się nieskończone. Ale niezależnie od tego, jak daleko ścigaliśmy zwierzynę, ostatecznie zataczaliśmy krąg i wracaliśmy do naszego odcinka lasu – pagórkowatego pasa ziemi porośniętego drzewami o bladej korze.

„To dom. Podoba ci się?”.

Nocami, zanim zasnęliśmy, wyłam do księżyca. Głód, którego nic nie mogło zaspokoić, wzbierał we mnie, gdy mój umysł natykał się na myśli zdające się nie pasować do mojej głowy. Moje wycie prowokowało innych i razem śpiewaliśmy, ostrzegając nieproszonych gości o naszej obecności, wzywając wszystkich członków sfory, których akurat z nami nie było.

Wciąż na niego czekałam.

Wiedziałam, że nie przyjdzie, ale i tak wyłam. A kiedy to robiłam, towarzysze przesyłali mi jego obrazy: zwinnego szarego wilka o złotożółtych oczach. A ja odsyłałam im moje: wilka na skraju lasu, milczącego i ostrożnego, obserwującego mnie. Te obrazy, wyraźne jak drzewa o wąskich liściach rosnące tuż przede mną, sprawiały, że znalezienie tego jedynego wilka wydawało mi się koniecznością, chociaż nie wiedziałam, jak go odszukać.

Dręczyło mnie coś więcej niż wspomnienie jego oczu. W mojej głowie były też zamknięte drzwi do innych niemal wspomnień, niemal obrazów, niemal wersji mnie samej, których nie potrafiłam pochwycić. Otworzenie ich stanowiło cel bardziej ulotny od najszybszego z jeleni. Myślałam, że umrę z głodu, pragnąc tego.

Uczyłam się, jak przetrwać jako wilk, ale jeszcze nie wiedziałam, jak żyć w wilczym ciele.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

GRACE

Przemieniłam się ponownie któregoś dnia, wczesnym popołudniem. Tak, „któregoś”, ponieważ absolutnie straciłam poczucie czasu. Nie miałam pojęcia, ile godzin czy dni upłynęło, od kiedy po raz ostatni byłam w pełni sobą. Pamiętałam tylko, że miało to miejsce obok sklepu wędkarskiego „Ben’s Fish and Tackle”.

Tym razem, kiedy otrząsnęłam się po przemianie, znajdowałam się na zarośniętym patio w pobliżu domu Isabel. Twarz miałam dociśniętą do wilgotnej ziemi częściowo zakrywającą kolorową mozaikę, którą zobaczyłam po raz pierwszy kilka miesięcy temu. Leżałam na tej wzorzystej podłodze wystarczająco długo, żeby płytki odcisnęły liniowany wzór na moim policzku. Kaczki pływające nieopodal na stawie porozumiewały się głośnym, urywanym kwakaniem.

Podniosłam się, żeby sprawdzić, czy w ogóle utrzymam się na nogach, a następnie strząsnęłam z siebie pokrywającą mnie ziemię oraz lepkie, wilgotne resztki liści.

- Grace – powiedziałam na głos.

Kaczki przestały na chwile kwakać.

Fakt, że byłam w stanie przypomnieć sobie własne imię, sprawił mi niewiarygodną przyjemność. Bycie wilkiem drastycznie obniżyło moje standardy, jeśli chodzi o uznawanie cudów. Wypowiadając własne imię na głos, udowodniłam sobie też, że naprawdę znów stałam się człowiekiem i mogę zbliżyć się do domu Culpeperów.

Słońce przeświecające przez gałęzie grzało mnie w plecy, gdy skradałam się pomiędzy drzewami. Upewniłam się, że podjazd jest pusty – ostatecznie byłam naga – i pobiegłam do tylnych drzwi.

Ostatnim razem, kiedy Isabel mnie tu przyprowadziła, były one otwarte. Pamiętam, że to skomentowałam. Isabel powiedziała wtedy: „Ciągle zapominam je zamknąć”.

Dzisiaj znowu zapomniała.

Ostrożnie wślizgnęłam się do środka i odnalazłam telefon w nieskazitelnie czystej kuchni. Zapach jedzenia był tak kuszący, że przez chwilę po prostu tam stałam z aparatem w dłoni, zanim wykręciłam numer.

Isabel odebrała natychmiast.

- Cześć – powiedziałam. – To ja. Jestem u ciebie w domu. Nikogo tu nie ma.

Zaburczało mi w brzuchu. Zerknęłam na pojemnik na pieczywo i zobaczyłam bajgla.

- Nie ruszaj się stamtąd – rzuciła Isabel. – Już do ciebie jadę.

Pół godziny później znalazła mnie w foyer z wypchanymi zwierzętami, jedzącą bajgla i ubraną w jej ciuchy.

Prawdę mówiąc, na swój koszmarny sposób to pomieszczenie fascynowało. Przede wszystkim było ogromne – wysokie na dwa piętra, oświetlone jak muzeum i mniej więcej długości całego domu moich rodziców. A do tego pełne wypchanych zwierząt. Zakładałam, że Tom Culpeper sam zastrzelił wszystkie swoje eksponaty. Czy strzelanie do łosi było legalne? I czy w Minnesocie w ogóle były łosie? Wydawało mi się, że jeśli ktoś powinien to wiedzieć, to właśnie ja. A może ojciec Isabel po prostu kupił wszystkie te zwierzaki, już wypchane. Wyobraziłam sobie mężczyzn w jednoczęściowych kombinezonach, wyładowujących zwierzęta ze styropianem przyklejonym taśmą do poroży.

Drzwi zatrzasnęły się głośno za Isabel, a w domu rozniosło się echo niczym w kościele. Jej obcasy zastukały, a rezonans kroków w panującej dokoła ciszy tylko spotęgował dziwne wrażenie, że jesteśmy w świątyni.

- Wyglądasz wyjątkowo wesoło – skomentowała, widząc mnie uśmiechającą się do wypchanego łosia. Stanęła obok mnie. – Przyjechałam tak szybko, jak tylko mogłam. Widzę, że odnalazłaś moją szafę.
- Tak – odpowiedziałam. – Dziękuję.

Skubnęła rękaw T-shirtu, który miałam na sobie: starego i żółtego z napisem „SANTA MARIA ACADEMY".

- Ta koszulka przywołuje złe wspomnienia. Wtedy byłam Isabel C., bo najlepsza przyjaciółka też miała na imię Isabel. Isabel D. Rany, ale była z niej suka…
- Wiesz, w razie przemiany, nie chciałam zniszczyć ci żadnego ładnego ciucha. – Zerknęłam na nią. Naprawdę się cieszyłam, że ją widzę. Każda inna moja przyjaciółka wyściskałaby mnie po tak długim rozstaniu. Ale Isabel raczej nikogo nie ściskała, w żadnych okolicznościach. Żołądek mi się skręcił, ostrzegając, że mogę nie pozostać Grace tak długo, jak bym tego chciała. – Czy twój ojciec zastrzelił je wszystkie? – zapytałam.

Isabel skrzywiła się.

- Nie, nie wszystkie zastrzelił. Niektóre prawdopodobnie zanudził na śmierć swoimi tyradami.

Przeszłyśmy kilka kroków. Zatrzymałam się przed wilkiem o szklanych oczach. Oczekiwałam, że ten widok mnie przerazi, ale nie czułam strachu. Promienie słońca wpadające przez małe okrągłe okienka pod sufitem rzucały kręgi światła na łapy wypchanego wilka. Był skurczony i zakurzony, miał matową sierść i nie wyglądał, jakby kiedykolwiek żył. Jego oczy zostały zrobione w fabryce i nie mówiły mi nic o tym, kim mógł być, zwierzęciem czy człowiekiem.

- Kanada – powiedziała Isabel. – Pytałam go. To nie jest jeden z wilków z Mercy Falls. Nie musisz już się tak na niego gapić.

Nie byłam pewna, czy wierze ojcu Isabel.

- Tęsknisz za Kalifornią? – zapytałam. – I za Isabel D.?
- Tak – ucięła, nie wdając się w szczegóły. – Dzwoniłaś do Sama?
- Nie odpowiada.

W telefonie Sama od razu włączała się poczta głosowa – pewnie wyładowała mu się bateria – a w domu nikt nie odbierał. Starałam się ukryć rozczarowanie. Isabel by tego nie zrozumiała, a ja w tej chwili nie miałam ochoty dzielić się z nią moimi smutkami. Wiedziałam, że i ona by tego nie chciała.

- Mnie też nie udało się do niego dodzwonić – przyznała. – Zostawiłam mu wiadomość w pracy.
- Dzięki. – Uśmiechnęłam się.

Prawda była taka, że nie czułam się zbyt pewnie w swojej skórze. Ostatnio coraz częściej budziłam się w ludzkiej postaci, z zażenowaniem rozglądając się po nieznanych częściach lasu, ale wciąż nie udawało mi się pozostać w tej formie dłużej niż godzinę. Zdarzało się, że nie byłam człowiekiem nawet na tyle długo, żeby zarejestrować zmianę ciała moim wciąż wilczym umysłem. Nie miałam pojęcia, ile czasu upływało pomiędzy przemianami. Wszystkie te dni mijające w milczeniu…

Pogłaskałam nos wilka. Był zakurzony i twardy – jakbym gładziła półkę. Żałowałam, że nie jestem teraz w domu Becka, że nie śpię w łóżku Sama. Albo nawet we własnym domu, szykując się do szkoły. Jednak groźba przemiany w wilka przyćmiewała wszelkie inne troski w moim życiu.

- Grace – szepnęła Isabel. – Mój ojciec próbuje nakłonić znajomego kongresmena, żeby pomógł mu usunąć wilki z listy chronionych gatunków. Chce zorganizować odstrzał z powietrza.

Żołądek znowu mi się skręcił w supeł. Przeszłam po pięknej drewnianej podłodze do następnego zwierzęcia, niesamowicie wielkiego zająca na wieki zamarłego w pół skoku. Miał pajęczynę pomiędzy tylnymi łapami.

Tom Culpeper… Czy ten człowiek musiał wciąż tak obsesyjnie ścigać wilki? Nie mógł zostawić ich w spokoju? Wiedziałam, że nie mógł. Dlatego to nie była zemsta, tylko prewencja. Cnotliwe wymachiwanie mieczem. Ochrona innych przed losem, jaki spotkał jego syna. Jeśli naprawdę się starałam, potrafiłam zrozumieć jego punkt widzenia, a wtedy, ze względu na Isabel, na dwie sekundy przestawałam o nim myśleć jak o potworze.

- Ty i Sam jesteście siebie warci! – wybuchła niespodziewanie Isabel. – Wyglądasz, jakby cię to w ogóle nie obeszło. Nie wierzysz mi?
- Wierzę – zapewniłam ją.

Patrzyłam na nasze odbicia w lśniącym drewnie. To było niewiarygodnie satysfakcjonujące widzieć przyćmiony, rozmyty kształt własnej ludzkiej formy. Poczułam przypływ tęsknoty za moimi ulubionymi dżinsami.

- Jestem tym wszystkim po prostu odrobinę zmęczona – westchnęłam. – To trochę dużo jak na jeden raz.
- Ale i tak trzeba będzie się z tym uporać, czy ci się to podoba, czy nie. A Sam jest równie praktyczny co… - urwała. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy żadne dobre porównanie.
- Wiem, że trzeba to załatwić – powiedziałam znużona. Znowu poczułam szarpnięcie w brzuchu. – Musimy przesiedlić wilki, ale w tej chwili nie potrafię wykombinować, jak się za to zabrać.
- Przesiedlić je?

Powoli podeszłam do następnego zwierzęcia. To była gęś z rozpostartymi skrzydłami. Możliwe, że właśnie miała lądować. Ukośne popołudniowe światło padające z góry spłatało mi figla – wydawało mi się, że gęś mrugnęła do mnie swoim czarnym okiem.

- Ewidentnie musimy je zabrać z dala od twojego ojca. On nie przestanie ich ścigać. Trzeba znaleźć jakieś bezpieczniejsze miejsce.
- Uwielbiam to, że potrafisz wpaść na świetny pomysł w dwie sekundy, chociaż Sam i Cole nie byli w stanie nic wymyślić przez dwa miesiące – Isabel zachichotała.

Zerknęłam na nią. Patrzyła na mnie z ironicznym uśmiechem, z jedna brwią uniesioną. W jej wypadku ta mina zapewne oznaczała podziw.

- Cóż, to może się nie udać. To znaczy przesiedlenie sfory dzikich zwierząt…
- Tak, ale to przynajmniej jest jakiś pomysł. Naprawdę miło patrzeć, jak ktoś używa mózgu.

Przewróciłam oczami. Spojrzałyśmy obie na gęś. Już na mnie nie mrugała.

- Czy to boli? – zapytała Isabel.

Zdałam sobie sprawę, że patrzy na moją lewą rękę, którą mimowolnie zaczęłam przyciskać do boku.

- Tylko odrobinę – skłamałam.

Nie wytknęła mi tej nieszczerości.

Obie podskoczyłyśmy, gdy zadzwonił jej telefon.

- To do ciebie – powiedziała, jeszcze zanim go wyciągnęła. Spojrzała na wyświetlacz i podała mi komórkę.

Mój żołądek fiknął koziołka. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to z powodu wilka budzącego się wewnątrz mnie, czy w wyniku nagłego niewytłumaczalnego zdenerwowania.

- Powiedz coś. – Isabel pacnęła mnie w ramię.

Moja skóra zafalowała pod jej dotykiem.

- Cześć – wykrztusiłam po chwili. Mój głos przypominał żabi rechot.
- Cześć – powiedział Sam tak cicho, że ledwo go usłyszałam. – Jak się czujesz?

Byłam wyjątkowo świadoma obecności Isabel obok mnie. Odwróciłam się w stronę gęsi. Znowu do mnie mrugnęła. Czułam, jakby moja skóra nie należała do mnie.

– Już lepiej.

Nie wiedziałam, co miałabym mu powiedzieć w dwie minuty po kilku miesiącach rozłąki. Nie chciałam mówić. Chciałam zwinąć się przy nim w kłębek i zasnąć. A najbardziej chciałam znowu go zobaczyć, zobaczyć w jego oczach, że to, co jest między nami, jest prawdziwe i że nie staliśmy się sobie obcy. Nie pragnęłam wielkich gestów ani wyszukanej konwersacji, po prostu chciałam zyskać pewność, że to „coś" było wciąż takie samo, nawet jeśli wszystko inne się zmieniło. Poczułam przypływ gniewu na myśl, że nie mogę tego wszystkiego przekazać przez telefon, gniewu na moje niepewne ciało, na wilki, które mnie stworzyły i zniszczyły.

– Już jadę – rzucił do słuchawki. – Dziesięć minut.

O osiem minut za długo. Kości mnie bolały.

– Naprawdę chciałabym… - przerwałam, zaciskając zęby, żeby nie szczękały. To była najgorsza część, kiedy naprawdę zaczynało boleć, ale wiedziałam, że potem będzie bolało jeszcze bardziej - … napić się kakao, kiedy wrócę. Tęsknię za czekoladą.

Sam jęknął cicho. On w i e d z i a ł i to bolało bardziej niż przemiana.

– Wiem, że to trudne – szepnął. – Ale pomyśl o lecie, Grace. Pamiętaj, że to ustanie.

Oczy mnie piekły. Skuliłam ramiona, odcinając się od obecności Isabel.

– Chcę, żeby skończyło się teraz – wydusiłam i poczułam się strasznie, przyznając się do tego.

– Ty… - zaczął Sam.

– Grace! – Isabel wyrwała mi z ręki telefon. – Musisz uciekać! Moi rodzice są w domu!

Zatrzasnęła klapkę komórki w momencie, gdy usłyszałam głosy w sąsiednim pomieszczeniu.

– Isabel! – rozbrzmiał głos Toma Culpepera.

Moje ciało rozciągało się i rozdzierało od wewnątrz. Miałam ochotę schować się w samej sobie.

Isabel popchnęła mnie w kierunku jakichś drzwi. Zataczając się, wpadłam do sąsiedniego pokoju.

– Właź tutaj i bądź cicho! Ja się tym zajmę – rzuciła.

– Ale… - sapnęłam – ja nie mogę…

Masywny stary zamek po drugiej stronie foyer huknął przy otwieraniu niczym wystrzał w tym samym momencie, w którym Isabel zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ISABEL

Przez jedną krótką chwilę nie potrafiłam stwierdzić, czy mój ojciec widział Grace, czy nie.

Jego zazwyczaj schludnie zaczesane włosy były w nieładzie, a w oczach czaił się szok, zaskoczenie albo jakieś inne nietypowe dla niego emocje. Otworzył drzwi z taką siłą, że walnęły o ścianę i odbiły się od niej. Łoś się zakołysał – czekałam, aż się przewróci. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jaki to byłby niesamowity widok: zobaczyć, jak wszystkie te figury zaczynają się przewracać niczym kostki domina. Mój ojciec wciąż się trząsł, nawet po tym, jak łoś już przestał.

Spojrzałam na niego chłodno, żeby zamaskować niepokój.

- Cóż, to było bardzo dramatyczne. – Opierałam się o drzwi do pokoju muzycznego, mając nadzieję, że Grace niczego tam nie zniszczy.
- Dzięki Bogu – wydyszał ojciec, jakby w ogóle mnie nie słyszał. – Dlaczego, do diabła, nie odbierasz telefonu?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Dość często pozwalałam, żeby rodzice nagrali się na pocztę. Po jakimś czasie w końcu do nich oddzwaniałam. Fakt, że nie odebrałam kilku ich telefonów, nie powinien przyprawiać nikogo o wrzody żołądka.

Mama weszła do pomieszczenia. Jej oczy były zaczerwienione, a makijaż rozmazany. Biorąc pod uwagę, że zazwyczaj jej łzy wyglądały niczym modny dodatek do ubrania, byłam pod wrażeniem. Pomyślałam, że może chodzi o zatrzymanie przez policję, ale to raczej nie mogło doprowadzić jej aż do takiego stanu.

- Dlaczego mama tak płacze? – zapytałam.

Głos mojej matki brzmiał niemal jak warknięcie.

- Isabel, daliśmy ci tę komórkę nie bez powodu!

Byłam pod wrażeniem jej wystąpienia. Brawo, mamo! Zwykle do ojca należały wszystkie dobre teksty.

- Czy masz ją przy sobie? – zapytał tata.
- Jezu… - wymamrotałam. – Mam ją w torebce.

Moi rodzice wymienili wiele znaczące spojrzenia.

- Oczekuję, że od teraz będziesz ją zawsze odbierać – oznajmił ojciec. – O ile nie będziesz na lekcji albo nie stracisz akurat kończyn. Chcę, żeby ten telefon był odbierany i przykładany do twojego ucha za każdym razem, kiedy widzisz, że to my dzwonimy. Jeśli nie, to możesz się z nim pożegnać. Telefon to…
- Przywilej. Tak, wiem.

Nagle usłyszałam szmery dochodzące z pokoju muzycznego za moimi plecami. Aby je zatuszować, zaczęłam grzebać w torebce. Gdy hałas ustał, wyciągnęłam telefon, żeby udowodnić, że go mam. Na wyświetlaczy widniało dwanaście nieodebranych połączeń od rodziców. I żadnego od Cole'a, co po miesiącu nękania przez chłopaka mojej poczty głosowej wydawało mi się nieco dziwne.

- Co się w ogóle stało?
- Travis zadzwonił do mnie i powiedział, że policja właśnie znalazła w lesie ciało. Dziewczyny. Jeszcze jej nie zidentyfikowali – wyjaśnił ojciec.

Niedobrze. Cieszyłam się, że Grace jest tuż obok, wydając te dziwne drapiące dźwięki. Mama wciąż patrzyła na mnie znacząco, jakby oczekiwała, że powinnam jakoś zareagować.

- I po prostu założyliście, że ta przypadkowa martwa osoba to ja – skomentowałam.

- To było w lesie Boundary! – wybuchła mama.

Wtedy mój ojciec powiedział coś, czego podświadomie się spodziewałam:

- Została zabita przez wilki.

Nagle ogarnął mnie niesamowity gniew na Sama i na Cole'a, i nawet na Grace, że nic nie zrobili, gdy powtarzałam im, że trzeba działać.

Hałasy dochodzące z pokoju muzycznego zaczynały się nasilać. Podniosłam glos, żeby je zagłuszyć.

- Cóż, byłam w szkole, a potem tutaj przez cały dzień. Trudno jest zginąć w szkole. – Potem z udawanym zainteresowaniem rzuciłam: - Kiedy będą wiedzieli kto to?
- Nie mam pojęcia – odparł ojciec. – Powiedzieli, że była w kiepskim stanie.
- Idę się przebrać – matka zmieniła temat.

Przez chwilę nie rozumiałam, dlaczego wyparowała tak szybko z foyer, ale potem uświadomiłam sobie, że musiała pomyśleć o śmierci mojego brata, wyobrazić sobie jego ciało rozdarte przez wilki. Ja byłam obojętna wobec tej wizji. Wiedziałam przecież, jak naprawdę umarł Jack.

Właśnie wtedy w pokoju muzycznym rozległ się głośny łomot, wystarczająco wyraźny, żeby mój ojciec podejrzliwie zmrużył oczy.

- Przepraszam, że nie odebrałam telefonu! – rzuciłam głośno. – Nie chciałam zdenerwować mamy. A tak w ogóle, to coś uderzyło w podwozie mojego auta, gdy wracałam do domu. Mógłbyś zerknąć, czy wszystko jest okej?

Myślałam, że mi odmówi, wpadnie do pokoju muzycznego i znajdzie Grace-wilka. Ale zamiast tego tylko westchnął, pokiwał głową i ruszył do wyjścia.

Oczywiście z moim samochodem było wszystko w porządku, ale ojciec spędził tyle czasu, badając podwozie, że zdążyłam sprawdzić, czy Grace zniszczyła już naszego steinwaya[*]. Wszystko, co znalazłam, to otwarte okno i moskitierę wypchniętą na zewnątrz. wychyliłam się i zobaczyłam błysk czegoś żółtego. Moja koszulka, porwana, wisiała na jednym z krzaków.

To był najgorszy moment dla Grace, żeby znów stać się wilkiem.

[*] Steinway &Sons, Steinway – amerykańsko-niemiecka renomowana marka fortepianów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SAM

Znowu za nią tęskniłem.

Po jej telefonie straciłem wiele godzin, robiąc… sam nie wiem co. Byłem odurzony dźwiękiem głosu Grace. Moje myśli goniły jedna drugą, na okrągło dręczyły mnie te same pytania. Zastanawiałem się, czy udałoby mi się ją zobaczyć, gdybym wcześniej odebrał wiadomość, gdybym nie poszedł do szopy, żeby szukać śladów innych wilków, gdybym nie wszedł głębiej w las i nie krzyczał prosto w niebo, sfrustrowany atakiem Cole'a, nieobecnością Grace i przytłoczony ciężarem bycia sobą.

Nurzałem się w tych pytaniach aż do zmroku. Zgubiłem kilka godzin życia jak podczas przemiany, choć przecież nie opuściłem własnej skóry. Minęły lata, od kiedy ostatni raz straciłem poczucie czasu w podobny sposób.

Kiedyś moje życie tak wyglądało. Potrafiłem patrzeć przez okno całymi godzinami, dopóki nogi pode mną nie zasnęły. To było na samym początku, kiedy zamieszkałem z Beckiem – musiałem mieć z osiem lat – niedługo po tym, jak rodzice zostawili mnie z moimi bliznami. Czasami Urlik brał mnie pod pachy i zanosił do kuchni, do świata zamieszkanego przez innych ludzi, którego ja byłem tylko drżącym milczącym świadkiem. Godziny, dni, miesiące znikały, zagubione w jakimś innym miejscu, które nie należało ani do Sama, ani do wilka. Dopiero Beck sprawił, że zły czar prysł.

Pewnego dnia podał mi chusteczkę. To był wystarczająco dziwny prezent, żebym wrócił do rzeczywistości. Beck pomachał mi nią przed nosem.

– Sam. Twoja twarz – rzucił enigmatycznie.

Dotknąłem moich policzków. Były nie tyle wilgotne, co lepkie od wspomnienia zalewających je łez.

– Nie płakałem – zapewniłem go.

– Wiem – odparł Beck.

Podczas gdy przyciskałem chusteczkę do twarzy, dodał:

– Powiem ci coś, Sam… W twojej głowie jest mnóstwo małych pudełek.

Spojrzałem na niego pytająco. To też była na tyle dziwna myśl, że przykuła moją uwagę.

– Jest tam dużo pustych pudełek i możesz wkładać do nich różne rzeczy. – Beck podał mi kolejną chusteczkę, żebym mógł wytrzeć drugą stronę twarzy.

W tamtym momencie jeszcze nie ufałem całkowicie mojemu opiekunowi. Pamiętam, że pomyślałem, że opowiada mi bardzo kiepski dowcip, którego nie rozumiem. W moim głosie zabrzmiała czujność, nawet jak dla mnie:

– Jakiego rodzaju rzeczy?

– Smutne rzeczy – wyjaśnił Beck. – Czy masz dużo smutnych rzeczy w swojej głowie?

– Nie – zaprzeczyłem.

Beck zagryzł dolną wargę.

– No cóż, ja mam.

To było szokujące. Nie zadałem pytania na głos, ale nachyliłem się w jego stronę.

– I te rzeczy sprawiały, że chciało mi się płakać – ciągnął Beck. – Kiedyś płakałem przez nie całymi dniami.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że to na pewno kłamstwo. Nie potrafiłem sobie wyobrazić płaczącego Becka. Był jak skała. Nawet wtedy, gdy to mówił, wyglądał na opanowanego, pewnego, niezmiennego.

- Nie wierzysz mi? Zapytaj Urlika. To on musiał się ze mną męczyć – przekonywał mnie opiekun. – I wiesz, co w końcu zrobiłem z tymi smutnymi rzeczami? Powkładałem je do pudełek. Włożyłem te smutne rzeczy do pudełek w mojej głowie, pozamykałem je, pozaklejałem taśmą, upchnąłem w kącie i jeszcze przykryłem kocem.
- Mózgową taśmą? – zasugerowałem ironicznie. Ostatecznie miałem osiem lat.

Beck uśmiechnął się tym jedynym w sowim rodzaju uśmiechem, którego wtedy jeszcze nie rozumiałem. Poczuł ulgę, że udało mu się sprowokować żart z mojej strony, niezależnie od tego, jak bardzo był żałosny.

- Tak, mózgową taśmą. I mózgowym kocem. Teraz już nie muszę patrzeć na te smutne rzeczy. Czasami mógłbym chyba otworzyć pudła, gdybym chciał, ale wolę trzymać je zaklejone.
- Jak użyłeś tej mózgowej taśmy?
- Musisz to sobie wyobrazić. Pomyśl, że wkładasz smutne rzeczy do pudełek i wyobraź sobie, że zaklejasz pudełka mózgową taśmą. I wyobraź sobie, że spychasz je w kąt mózgu, tam gdzie się o nie nie potkniesz, kiedy będziesz myślał o czymś innym, a potem zarzuć na nie koc. Masz jakieś smutne rzeczy, Sam?

Widziałem zakurzony kąt mojego mózgu, gdzie teraz stały te pudła. Były ogromne – na tyle wysokie, że można byłoby z nich budować domy – a do ich zaklejenia zużyłem wiele rolek mózgowej taśmy. Obok leżały żyletki, które chciały otworzyć pudełka i mnie z powrotem.

- Mama – wyszeptałem.

Nie patrzyłem na Becka, ale kątem oka zobaczyłem, jak z trudem przełyka ślinę.

- Co jeszcze? – Ledwie usłyszałem jego pytanie.
- Woda – przyznałem. Zamknąłem oczy. Widziałem to pod powiekami i musiałem się zmusić do wypowiedzenia następnego słowa. – Moje…

Palcami dotknąłem blizn.

Beck wyciągnął rękę i z wahaniem dotknął mojego ramienia. Kiedy się nie odsunąłem, objął mnie, a ja przytuliłem się do jego piersi, czując, że jestem tylko małym, zagubionym, ośmioletnim chłopcem.

- Ja – powiedziałem.

Miałem zamknięte oczy i wydawało mi się, że bicie serca Becka, które słyszałem przez wełniany sweter, było jedynym dźwiękiem na świecie. Mój opiekun milczał przez długa chwilę, przytulając mnie, a potem poradził:

- Włóż do pudełek wszystko poza sobą, Sam. Ciebie chcemy zachować. Obiecaj mi, że zostaniesz tutaj z nami.

Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas, a kiedy w końcu wstaliśmy, wszystkie moje smutne rzeczy były w pudełkach, a Beck był moim ojcem.

Teraz wyszedłem na zewnątrz, na podwórze i położyłem się na ogromnym starym pniu, tak żebym mógł widzieć gwiazdy nad głową. Potem zamknąłem oczy i powoli powkładałem moje troski do pudełek, jedną po drugiej, i pozaklejałem je taśmą. Pociąg do autodestrukcji Cole'a do jednego, Tom Culpeper do drugiego. Nawet głos Isabel dostał oddzielne pudełko, bo teraz po prostu nie mogłem go znieść.

Z każdym następnym pudłem czułem się odrobinę lżejszy, trochę łatwiej mi się oddychało.

Jedyna rzecz, której nie potrafiłem schować, to mój smutek związany z moją tęsknotą za Grace. Ten zachowałem. Zasługiwałem na niego.

A potem po prostu leżałem na pniu.

Rano szedłem do pracy, więc powinienem był już spać, ale wiedziałem, że i tak nie uda mi się zasnąć. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, nogi zaczynały mnie boleć jak po biegu, a moje powieki drżały, jakby czuły, że powinny być otwarte. Przypominałem sobie, że muszę odświeżyć listę kontaktów w

telefonie, i że któregoś dnia naprawdę powinienem uprasować tę górę prania, którą wyjąłem z pralki tydzień temu.

Myślałem też o tym, że powinienem poważnie porozmawiać z Cole'em.

Pień miał tak dużą średnicę, że moje nogi tylko odrobinę wystawały poza krawędź. To drzewo – a właściwie dwa rosnące razem – musiało być ogromne, kiedy jeszcze żyło. Na pniu były czarne blizny w miejscach, w których Paul i Urlik odpalali fajerwerki. Gdy byłem młodszy, liczyłem słoje w pniach. Drzewa żyły dłużej niż ktokolwiek z nas.

Gwiazdy w górze wirowały w nieskończonej przestrzeni niczym skomplikowane mobile* stworzone przez gigantów. Przyciągały mnie do siebie, w otchłań i wspomnienia. Leżąc na plecach, przypomniałem sobie, jak zostałem zaatakowany przez wilki dawno temu, gdy byłem jeszcze kimś innym. Mój poranek i moje życie rozciągały się przede mną jak klatki filmu, każda sekunda tylko odrobinę różniła się od następnej. Cud płynnej, niezauważalnej metamorfozy. W jednej chwili byłem sam. A już w następnej chwili pojawiały się wilki.

Westchnąłem. Nad moja głową satelity i planety poruszały się pomiędzy gwiazdami. Kłębowisko chmur brzemiennych w błyskawice napływało powoli z północnego zachodu. Mój umysł skakał niespokojnie pomiędzy teraźniejszością – pniem drzewa, którego fakturę czułem pod łopatkami – a przeszłością – moim plecakiem zmiażdżonym pode mną, kiedy wilki wtaczały moje ciało w zaspę śniegu. Matka uzbroiła mnie w zimową niebieska kurtkę w białe paski na ramionach i w rękawiczki zbyt puchate, żeby można było swobodnie poruszać palcami.

W moich wspomnieniach nie słyszałem samego siebie. Widziałem tylko, jak poruszają się moje usta, a patykowate kończyny siedmiolatka młócą pyski wilków. Obserwowałem siebie, jakbym wyszedł z własnego ciała: niebiesko-biała kurtka uwięziona pod czarnym wilkiem. Pod jego łapami wyglądała na wiotką i pustą, jakbym już zniknął i porzucił swoje ludzkie życie.

– Patrz na to, Ringo.

Uniosłem powieki. Dopiero po chwili zarejestrowałem obecność Cole'a obok mnie. Siedział na pniu ze skrzyżowanymi nogami. Był ciemnym kształtem na tle nieba, które w kontraście z jego sylwetką wydawało się szare. Trzymał moją gitarę, jakby była nabita kolcami.

Zagrał D-dur, źle, nieczysto, i zaśpiewał skrzypiącym niskim głosem:

– *Zakochałem się w niej latem…* - Potem niezdarnie zmienił akord i melodramatycznie dokończył: - *W mej uroczej letniej dziewczynie.*

Uszy mi zapłonęły, kiedy usłyszałem własny tekst.

– Znalazłem twoją płytę… - Cole gapił się na gryf gitary przez bardzo długi czas, zanim ułożył dłoń do następnego akordu. Jednak wszystkie palce na progach położył źle, więc dźwięk był bardziej perkusyjny niż melodyjny. Wydał z siebie uprzejme chrząknięcie konsternacji, a potem spojrzał na mnie i dodał: - … kiedy grzebałem w twoim samochodzie.

Tylko potrząsnąłem głową.

– *Ona z tłuszczy jest zrobiona, ma urocza tłusta dziewczyna* – dodał zupełnie bez sensu, śpiewając do wtóru kolejnego nieczystego D-dur. Sztucznie przyjemnym głosem powiedział: - Myślę, że mógłbym skończyć tak jak ty, Ringo, gdyby matka karmiła mnie mrożonym latte, a wilkołaki czytały mi wiktoriańską poezję na dobranoc. – Zauważył moją minę. – Och, tylko się nie unoś niepotrzebnie, mój drogi.

– Bez obaw – wycedziłem. – Piłeś?

– Wydaje mi się, że wypiłem już wszystko, co było w tym domu. Więc nie.

---

* Mobil – kolorowa wisząca ozdoba poruszająca się na wietrze.

- Dlaczego grzebałeś w moim samochodzie?
- Bo ciebie w nim nie było – wyjaśnił Cole, po czym uderzył w ten sam akord. – Łatwo wpada w ucho, zauważyłeś? *Chciałbym spędzić całe lato z ma uroczą letnią dziewczyną, ale nigdy nie jestem dość męski dla mej wstrętnej letniej wiewiórki…*

Obserwowałem samolot pełznący po niebie, jego światełka mrugały z oddali. Wciąż pamiętałem, jak pisałem ten utwór ostatniego lata, zanim naprawdę poznałem Grace. To była jedna z tych piosenek, które wypłynęły ze mnie w pośpiechu. Siedziałem skulony nad gitarą w nogach łóżka, próbując dopasować akordy do słów, zanim umknie mi melodia. Śpiewałem ją pod prysznicem, żeby dobrze zadomowiła się w mojej pamięci. Nuciłem ją, kiedy składałem pranie w suszarni w piwnicy, bo nie chciałem, żeby Beck usłyszał, że śpiewam o dziewczynie. Cały czas pragnąłem wtedy niemożliwego, pragnąłem tego, czego wszyscy chcieliśmy: przetrwać dłużej niż lato.

Cole w końcu przerwał swoje bezsensowne zawodzenie i powiedział:

- Oczywiście bardziej podoba mi się ta z akordem molowym, ale nie potrafię go rozgryźć. – Podjął próbę zagrania innego akordu. Gitara zabrzęczała nieczysto.
- Gitara słucha tylko swojego pana – wyjaśniłem.
- Tak – zgodził się Cole – ale Grace tutaj nie ma. – Wyszczerzył do mnie zęby w przebiegłym uśmiechu. Znowu trącił ten sam akord. – To jedyny, który umiem grac. Tyko popatrz, Ringo. Dziesięć lat gry na pianinie, a gdy dostaję gitarę do ręki, jestem jak śliniące się dziecko.

Chociaż słyszałem go w nagraniach „NARKOTIKI", zaskakująco trudno było mi sobie wyobrazić Cole'a biorącego lekcje gry na pianinie. Żeby nauczyć się grac na jakimś instrumencie, potrzeba pewnej tolerancji dla idei żmudnej pracy i błędów. I umiejętności cierpliwego siedzenia w jednym miejscu.

Obserwowałem błyskawicę przeskakującą z chmury na chmurę. Powietrze stawało się coraz cięższe, jak przed burzą.

- Przykładasz palce za blisko progów. To stąd to brzęczenie. Przesuń je dalej i dociśnij mocniej. Tylko czubkami palców, nie całymi opuszkami.

Nie sądziłem, żebym opisał to dobrze, ale Cole przesunął palce i zagrał akord idealnie, bez brzęczenia i martwych dźwięków.

Patrząc z rozmarzeniem w niebo, zaśpiewał:

- *Jestem przystojniakiem i siedzę na pniu…* - spojrzał na mnie. – Powinieneś zaśpiewać następny wers.

To była gra, w którą bawiłem się kiedyś z Paulem. Zastanowiłem się, czy nie jestem zbyt zirytowany na Cole'a za to, że nabijał się z mojej muzyki, żeby do niego dołączyć. Po odrobinę zbyt długiej przerwie dodałem na tę sama nutę i bez przekonania:

- *Patrzę sobie w gwiazdy po bardzo długim dniu.*
- Nieźle, emo-chłopcze – pochwalił mnie. Grzmot zadudnił w oddali. Cole zagrał kolejny akord i zaśpiewał: - *Niewiele mnie czeka na tym wygwizdowie…*

Podparłem się na łokciach. Cole trącił akord dla mnie, a ja dokończyłem:

- *Nawet ten obdarty pies mi to powie.* – A potem dodałem: - Zamierzasz grać jeden i ten sam akord przy każdym wersie?
- Prawdopodobnie. To mój najlepszy. Jestem artysta jednego hitu.

Sięgnąłem po gitarę, ale robiąc to, poczułem się jak tchórz. Czułem, że biorąc udział w tej grze, w pewien sposób godzę się na wydarzenia minionego wieczoru, na to, co Cole robił z domem podczas kolejnych tygodni, to, co robił sobie w każdej minucie kolejnego dnia.

Ale kiedy wziąłem od niego gitarę i lekko przebiegłem palcami po strunach, żeby sprawdzić, czy jest dobrze nastrojona, przyszło mi do głowy, że to właśnie język muzyki jest mu bliższy niż jakikolwiek inny. To właśnie tego języka powinienem użyć, żeby przeprowadzić z nim poważna rozmowę.

Zagrałem F-dur.

- Teraz to co innego – ucieszył się Cole, ale nie zaśpiewał następnego wersu. Teraz, kiedy to ja siedziałem z gitarą, on przybrał moją pozycje na pniu – położył się i zapatrzył w niebo. Przystojny i opanowany, wyglądał, wyglądał jakby został tam upozowany przez śmiałego fotografa, jakby atak padaczki poprzedniego wieczoru w ogóle go nie poruszył. – Zagraj ten molowy akord.
- Który?
- Ten od „żegnaj".

Spojrzałem w czarny las i zagrałem a-moll. Przez chwilę nie było słychać żadnego dźwięku z wyjątkiem brzęczenia jakiegoś owada pośród drzew.

- Nie, zaśpiewaj cały kawałek – poprosił Cole.

Pomyślałem o tym, jak nabijał się ze mnie, przekręcając piosenkę o letniej dziewczynie i zaprotestowałem:

- Nie. Ja… nie.

Cole westchnął, jakby spodziewał się, że go rozczaruję. Nad naszymi głowami huczały grzmoty, wyprzedzając burzową chmurę, która zaczynała otulać wierzchołki drzew niczym dłoń kryjąca sekret. Z roztargnieniem przebierałem palcami po strunach – to mnie uspokajało – i patrzyłem w górę. To było fascynujące, jak ta chmura, pomiędzy błyskami piorunów, zdawała się Świecic od wewnątrz, jakby zbierała światło ze wszystkich domów i miast, które mijała po drodze. Wyglądała sztucznie na czarnym niebie: fioletowoszara, z ostrymi krawędziami. Wydawało się niemożliwe, żeby coś takiego istniało w naturze.

- Biedne są – zadumał się Cole ze wzrokiem utkwionym w gwiazdach. – Muszą być już zmęczone obserwowaniem, jak wciąż popełniamy te same cholerne błędy.

Nagle poczułem, że jestem niesamowitym szczęściarzem, że mam na co czekać. Bo niezależnie od tego, jak mnie to gnębiło, odbierało mi sen i kradło myśli, na końcu tego nieskończonego czekania była Grace.

A na co czekał Cole?

- A teraz? – zapytał.

Przerwałem grę na gitarze.

- Teraz co?

Cole uniósł się i oparł na łokciach, wciąż patrząc w niebo. Zaśpiewał, kompletnie bez skrępowania – ale w sumie dlaczego miałby się krępować. Byłem widownia o dwa tysiące ludzi mniejszą niż ta, do jakiej przywykł:

Tysiąc sposobów, by powiedzieć „żegnaj".
Tysiąc sposobów, by uronić łzę jedną…

Trąciłem a-moll, a on uśmiechnął się przepraszająco, gdy uświadomił sobie, że zaczął w złej tonacji. Zagrałem akord ponownie i tym razem zaśpiewałem. I też nie czułem się skrępowany, bo Cole już słyszał mnie na płycie, więc nie mógł się rozczarować:

Tysiąc sposobów, by powiedzieć „żegnaj".
Tysiąc sposobów, by uronić łzę jedną.

Tysiąc sposobów, by nałożyć kapelusz,
nim po raz ostatni wyjdziesz na zewnątrz.

Więc wołam: - Żegnaj, żegnaj, żegnaj!
Krzyczę to tak głośno, głośno,
bo następnym razem, gdy odzyskam głos,
może być już za późno.

Podczas gdy śpiewałem: „Żegnaj, żegnaj, żegnaj!", Cole dołączył się, udając chórki, które nagrałem na swoim demo. Gitara była odrobinę rozstrojona – tylko struna B, jak to zwykle struna B – i my też trochę fałszowaliśmy, ale było w tym coś pocieszającego i kojącego.

To była tylko jedna postrzępiona lina rzucona nad przepaścią, która nas dzieliła. Nie była wystarczająco mocna, żeby po niej przejść, ale dzięki tej chwili pomyślałem, że być może otchłań między nami nie jest aż tak szeroka, jak mi się początkowo wydawało.

Na koniec Cole wydał z siebie syczące „aaaa aaaaa aaaa", naśladując dźwięk widowni. Nagle gwałtownie przerwał i spojrzał na mnie, przechylając głowę. Zmrużył oczy, nasłuchiwał.

A potem i ja je usłyszałem.

Wilki zawodziły. Ich odległe głosy były raz melodyjne, innym razem nieharmonijne, a potem znowu zlewały się w jedność. Tego wieczoru brzmiały niespokojnie, ale pięknie. Czekały, jak my wszyscy, na coś, czego jeszcze nie potrafiliśmy nazwać.

Cole wciąż na mnie patrzył, więc wyjaśniłem:

- To ich wersja tej piosenki.
- Wymaga trochę pracy – odpowiedział, po czym spojrzał na moją gitarę. – Ale brzmi całkiem nieźle.

Potem siedzieliśmy w milczeniu, słuchając wycia wilków rozlegającego się pomiędzy kolejnymi uderzeniami piorunów. Bez powodzenia starałem się wyłapać spośród nich głos Grace. Rozpoznawałem tylko te wilki, z którymi dorastałem. Próbowałem sobie uświadomić, że przecież dopiero co, po południu, słyszałem przez telefon prawdziwy głos mojej dziewczyny. To nic nie oznaczało. Że teraz milczała.

- Nie potrzebujemy deszczu – zauważył Cole.

Ściągnąłem tylko brwi.

- Chyba musimy wracać do środka. – Klepnął się w ramię, po czym strzepnął z ubrania niewidocznego owada. Wstał, zatknął kciuki za tylne kieszenie spodni i spojrzał w las. – W Nowym Jorku Victor…

Przerwał. W domu zadzwonił telefon. Zanotowałem w pamięci, żeby zapytać go później co w tym Nowym Jorku, ale kiedy wszedłem do środka, okazało się, że dzwoni Isabel. Powiedziała, że wilki zabiły dziewczynę i to nie była Grace, ale że muszę włączyć cholerny telewizor.

Więc go włączyłem. Staliśmy przed kanapą. Cole skrzyżował ręce na piersi, a ja skakałem po kanałach.

Wilki znowu były na tapecie. Pewnego razu dziewczynka została zaatakowana przez drapieżniki z Mercy Falls. Wtedy relacja dziennikarzy była krótka i oparta na domysłach. Słowem, jakiego używano, był „wypadek".

Minęło dziesięć lat i teraz inna dziewczyna została zaatakowana. Zabita. Relacja ciągnęła się w nieskończoność.

Słowem, które często padało, była „eksterminacja".

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

GRACE

To był koszmar.

Świat wokół mnie był czarny jak smoła. To nie był wypełniony kształtami mrok mojego pokoju nocą, tylko absolutna, bezdenna ciemność miejsca pozbawionego jakichkolwiek źródeł światła. Woda zalewała moja nagą skórę. Czułam siekące ukłucia kropli, a jednocześnie mocniejsze uderzenia wody spływającej gdzieś z góry, spośród listowia.

Otaczał mnie dźwięk padającego deszczu.

Byłam człowiekiem.

Nie miałam pojęcia, gdzie jestem.

Nagle wokół mnie eksplodowało światło. Przykucnęłam, trzęsąc się. Zdążyłam dostrzec rozwidloną błyskawicę gdzieś pomiędzy czarnymi gałęziami nad moją głową. Zobaczyłam też moje mokre i brudne palce oraz fioletowe majaki pni drzew wokół mnie.

Potem nastała ciemność.

Czekałam.

Wiedziałam, że nadchodzi, ale wciąż nie byłam gotowa na uderzenie…

Huk grzmotu zabrzmiał tak blisko, jakby pochodził z wewnątrz mnie. Był tak głośny, że aż zatkałam uszy dłońmi i ze strachu przyciągnęłam głowę do piersi. Dopiero po chwili udało mi się samej sobie wytłumaczyć, że to był tylko grzmot. Nie mógł przecież zrobić mi krzywdy.

Ale serce dudniło mi jak oszalałe.

Podniosłam się. Stałam w mroku, obejmując się ramionami. Było tak ciemno, że to aż bolało. Instynkt podpowiadał mi, żebym jak najszybciej znalazła bezpieczne schronienie.

A potem znowu błyskawica.

Fioletowe niebo. Sękate gałęzie. I czyjeś oczy.

Wstrzymałam oddech.

Znowu ciemno.

Czarno.

Przymknęłam powieki. Wciąż widziałam tę postać w negatywie – duże zwierzę, kilka metrów ode mnie. Oczy utkwione we mnie, bez mrugnięcia.

Włoski na ramionach zjeżyły mi się w milczącym ostrzeżeniu. Nagle wszystko, o czym byłam w stanie myśleć, to czas, kiedy miałam jedenaście lat. Siedziałam na huśtawce z opony i czytałam. W pewnej chwili podniosłam wzrok i zobaczyłam tamte oczy… a potem zostałam ściągnięta z huśtawki.

Grzmot.

Ogłuszający.

Wysiliłam zmysły, żeby usłyszeć, jak się zbliża.

Błyskawica znów rozpaliła świat do białości. Dwie sekundy jasności i zobaczyłam je. Oczy pozbawione koloru w blasku spływającego z nieba światła. Wilk. Niecałe trzy metry ode mnie.

To była Shelby.

Świat znowu pogrążył się w ciemnościach.

Zaczęłam biec.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

SAM

Obudziłem się.

Zamrugałem, zdezorientowany przedziwną jasnością w środku nocy. Powoli zebrałem myśli i przypomniałem sobie, że zostawiłem włączoną lampkę, sądząc, że i tak nie dam rady zasnąć. A jednak udało mi się.

Wzrok wciąż miałem niepewny od snu. Lampa na biurku rzucała koślawe cienie na jedną stronę pokoju. Notes częściowo zsunął mi się z piersi, wszystkie słowa były poprzekrzywiane. Papierowe żurawie nade mną kręciły się na swoich sznurkach gorączkowo, poruszane podmuchem powietrza płynącym z kratki wentylacyjnej na suficie. Wyglądały, jakby rozpaczliwie chciały się wyrwać ze swoich światów.

Kiedy stało się jasne, że już nie zasnę, wyciągnąłem się na posłaniu i naga stopą włączyłem odtwarzacz CD stojący na stoliku w nogach łóżka. Dźwięki gitary popłynęły z głośników, każda nuta w rytmie mojego serca. Bezsenne leżenie przypominało mi o nocach sprzed Grace, gdy mieszkałem tu z Beckiem i innymi. W tamtych czasach populacji papierowych żurawi wiszących nade mną, zabazgranych wspomnieniami, nie groziło, że ich siedlisko stanie się ciasne. Tymczasem ja składałem wciąż nowe i czekałem, aż upłynie mi data ważności i nadejdzie dzień, kiedy zatracę się w lasach na dobre. Czuwałem wtedy do późna, zagubiony w pragnieniach.

W tamtym czasie moje pragnienia były abstrakcyjne. Chciałem czegoś, czego nie mogłem mieć: życia po wrześniu, życia po dwudziestce, życia, w którym więcej czasu spędzałbym jako Sam, a nie jako wilk.

Ale to, czego pragnąłem teraz, nie było wyimaginowana przyszłością. To było konkretne wspomnienie – ja skulony w skórzanym fotelu w gabinecie Brisbane'ów z powieścią „Ludzkie dzieci" w dłoni, podczas gdy Grace siedziała przy biurku, gryząc koniec ołówka i odrabiając pracę domową. Nie odzywaliśmy się, bo nie musieliśmy. Ja po prostu siedziałem, przyjemnie odurzony zapachem fotela, unoszącym się w powietrzu słabym aromatem pieczonego kurczaka i dźwiękiem westchnień Grace obracającej się na krześle w te i z powrotem. Obok niej stało radio, z którego wydobywały się ciche pomruki piosenek pop, rozpływające się w tle, dopóki Grace nie próbowała śpiewać refrenów – fałszując.

Po jakimś czasie traciła zainteresowanie pracą domową i dołączała do mnie. „Przesuń się" – mówiła, chociaż nie miałem jak. Protestowałem, kiedy szczypała mnie w udo, starając się zmieścić obok mnie. „Przepraszam, że robię ci krzywdę" – szeptała mi do ucha, ale to tak naprawdę nie były przeprosiny, bo nie gryzie się nikogo w płatek ucha, żeby potem za to przepraszać. Szczypałem ją, a ona śmiała się, przytulając twarz do mojego obojczyka. Jedna rękę wciskała pomiędzy oparcie fotela a moje plecy, żeby dotknąć moich łopatek. Udawałem, że nadal czytam, a ona udawała, że spokojnie przytula się do mnie, ale wciąż szczypała mnie w łopatkę, a ja wciąż łaskotałem ja wolną ręką, aż zaczynała się śmiać nawet wtedy, gdy całowaliśmy się bez końca.

Nic nie ma lepszego smaku od śmiechu ukochanej osoby w twoich ustach.

Po jakimś czasie Grace naprawdę zasypiała na mojej piersi, a ja bez powodzenia próbowałem zrobić to samo. W końcu poddawałem się, podnosiłem książkę, gładziłem włosy mojej dziewczyny i czytałem, słuchając ścieżki dźwiękowej jej oddechu. Jej ciężar przyszpilał moje ulotne myśli do ziemi i w takim momencie byłem bardziej na tym świecie niż kiedykolwiek.

Więc teraz, patrząc na papierowe żurawie szarpiące się na swoich sznurkach, wiedziałem dokładnie, czego chciałem. Bo już to miałem.

Nie potrafiłem znowu zasnąć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

GRACE

Nie potrafiłam biec szybciej niż wilk.

Żadna z nas nie widziała zbyt dobrze w ciemnościach, ale Shelby posiadała wilczy zmysł węchu i słuchu. Ja dysponowałam tylko nagimi stopami poranionymi przez ciernie, tępymi paznokciami, które były zbyt krótkie, żeby zaatakować, oraz płucami, które wydawały się niezdolne do zaczerpnięcia wystarczającej ilości powietrza. Czułam się bezsilna w tym burzowym lesie.

Wszystko, o czym mogłam myśleć, to wspomnienie zębów zatapiających się w moim obojczyku, gorącego oddechu na twarzy, śniegu spijającego moją krew.

Grzmot huknął znowu do wtóru z boleśnie szybkim łomotem mojego serca.

Panika nic tu nie pomoże.

„Uspokój się, Grace".

Zataczałam się pomiędzy błyskami piorunów, wyciągając ręce przed siebie. Częściowo po to, aby na nic nie wpaść, a częściowo mając nadzieję, że znajdę drzewo z wystarczająco niskimi gałęziami, żeby się na nie wspiąć. To była moja jedyna przewaga nad Shelby – palce. Ale w pobliżu rosły tylko wątłe sosny albo masywne dęby, których gałęzie zaczynały się dopiero na wysokości kilku metrów.

A za mną, gdzieś tam, była biała wilczyca.

Wiedziała, że ją zauważyłam, więc nawet nie próbowała być cicho. Wciąż słyszałam, jak podąża za mną.

Byłam bardziej przestraszona, kiedy jej nie słyszałam.

Błyskawica zamigotała. Wydawało mi się, że widzę…

Zamarłam w oczekiwaniu. Wstrzymałam oddech. Włosy kleiły mi się do twarzy i ramion. Mokre pasmo przywarło do kącika ust. Łatwiej było nie oddychać, niż oprzeć się pokusie, żeby odsunąć ten kosmyk. Gdy stałam tak nieruchomo, myślałam tylko o tym, że bolą mnie stopy, deszcz chłoszcze moje ubłocone nogi, jestem poraniona od cierni, a z głodu ściska mnie w żołądku.

Starałam się nie myśleć o Shelby, tylko koncentrować na miejscu, gdzie, jak mi się wydawało, dostrzegłam bezpieczną przystań. Kiedy błyskawica znowu rozjaśni las, muszę zaplanować dalszą drogę.

Piorun przeciął niebo i zyskałam pewność. Ledwie widoczna, ale była tam: czarny kontur szopy, w której przechowywane były zapasy dla wracających do ludzkiej postaci członków sfory. Stała kilkadziesiąt metrów po mojej prawej, na wzniesieniu. Jeśli uda mi się tam dotrzeć, będę mogła zatrzasnąć Shelby drzwi przed nosem.

Las znowu pogrążył się w ciemnościach, a potem grzmot rozłupał ciszę. Był na tyle głośny, że przez kilka sekund wydawało mi się, że wszystkie inne odgłosy zostały wyssane ze świata.

W tej dźwiękowej próżni rzuciłam się do ucieczki, z rękami wyciągniętymi przed sobą, starając się podążać w stronę szopy. Słyszałam Shelby za plecami, blisko. Złamała jakąś gałąź, skacząc w moim kierunku. Bardziej wyczuwałam, niż słyszałam jej obecność. Nagle jej futro otarło się o moją dłoń. Zrobiłam unik, a potem…

ja

spadałam

młóciłam rękami powietrze

nieskończona czerń

spadanie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że krzyczę, dopóki nie straciłam oddechu i dźwięk wychodzący z mych ust się nie urwał. Uderzyłam w coś zimnego i twardego, a moje płuca opróżniły się nagle z resztek powietrza. Miałam tylko chwilę, żeby uświadomić sobie, że zderzyłam się z powierzchnia wody, zanim wypełniła mi usta.

Nie wiedziałam, gdzie jest góra, a gdzie dół. Wokół mnie była tylko ciemność. I woda zalewająca moje usta i oczy. Była taka zimna. Tak niewiarygodnie zimna. Kolorowe kręgi eksplodowały mi pod powiekami. Mózg krzyczał o powietrze.

Wydostałam się na powietrze i odetchnęłam. W ustach miałam płynne zgrzytające w zębach błoto. Czułam, jak maź spływa mi z włosów po policzkach.

Grzmot zadudnił nade mną; dźwięk wydawał się dochodzić z daleka. Czułam się tak, jakbym tkwiła w samym wnętrzu ziemi. Dygotałam niemal za bardzo, żeby ustać, jednak wyprostowałam nogi, próbując stopami wymacać dno. Kiedy wreszcie udało mi się stanąć, woda sięgała mi do podbródka. Była lodowato zimna i brudna, ale przynajmniej mogłam utrzymać głowę nad powierzchnia bez większego wysiłku. Cała trzęsłam się w mimowolnych spazmach. Było mi tak zimno.

I wtedy, stojąc w tej lodowatej wodzie, poczułam to. Powoli nadchodzące mdłości, które zaczynały się w żołądku i stopniowo pełzły w kierunku gardła. Zimno. Napierało na mnie, każąc memu ciału zmienić formę.

Ale ja nie mogłam się teraz przemienić! Jako wilk musiałabym pływać, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią wody. A przecież nie mogłam pływać w nieskończoność.

Zaczęłam szukać drogi ucieczki. Na wpół płynąc, na wpół tracąc zmysły w lodowatej wodzie, wyciągałam ręce, macając wokół siebie. Musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Przesuwałam dłońmi po pobrużdżonej ścianie ziemi, całkowicie pionowej i tak wysokiej, że nie mogłam sięgnąć jej brzegu. Mój żołądek fiknął koziołka.

„Nie – powiedziałam sobie. – Nie, nie przemienisz się, nie teraz".

Przesuwałam się wzdłuż ścian, szukając czegoś, czego mogłabym się przytrzymać przy wspinaczce. Zbita ziemia nie ustępowała pod palcami, za to korzenie rwały się pod moim ciężarem, posyłając mnie z powrotem w błoto. Trzęsłam się z zimna i drżałam pod wpływem nieuchronnie zbliżającej się przemiany. Zagryzłam zziębnięte wargi, starając się powstrzymać dzwonienie zębów.

Mogłam wołać o pomoc, ale prawdopodobnie i tak nikt by mnie nie usłyszał.

Ale z drugiej strony, co innego mogłam zrobić? Wiedziałam, że jeśli zamienię się w wilka, zginę.

Nagle pomyślałam, że to byłaby potworna śmierć – zupełnie sama, w ciele, którego nikt nigdy nie rozpozna.

Zimno szarpało mną, przenikało moje żyły, budziło obłęd wewnątrz mnie. Nie, nie, nie! Nie potrafiłam już dłużej mu się opierać. Moje palce pulsowały, a skóra nabrzmiewała, przybierając inny kształt.

Woda rozbryzgiwała się wokół mnie, podczas gdy moje ciało zaczynało się rozpadać.

Krzyczałam imię Sama prosto w mrok dopóty, dopóki pamiętałam, czym jest ludzka mowa.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

SAM

– A więc to jest to twoje magiczne miejsce – mruknął Cole. – Czy teraz założysz swój obcisły trykot?

Staliśmy przy tylnym wejściu do „Krzywej półki", księgarni, w której czasami mieszkałem. Kiepsko spałem za sprawą burzy, a po rewelacjach minionego wieczoru nie miałem ochoty przychodzić do pracy, ale nie było mowy, żebym od ręki znalazł jakieś zastępstwo, więc poszedłem.

Musiałem przyznać, że normalność tej czynności w jakiś sposób koiła mój ogólny niepokój. Cóż, z wyjątkiem niepokoju o Cole'a. Co drugi dzień zostawiałem go samego, kiedy szedłem do pracy i za bardzo o tym nie myślałem. Jednak tego ranka, gdy się szykowałem, przypadkowo podniosłem wzrok, a wtedy zobaczyłem, że przygląda mi się w milczeniu. Zapytałem go, czy chce pójść ze mną. Jak dotąd nie zacząłem żałować swojej decyzji, ale dzień był jeszcze młody.

Cole, z włosami zmierzwionymi w artystycznym nieładzie, zerkał na mnie z podestu schodków, opierając ręce na barierce. W jasnym świetle poranka wyglądał rozbrajająco i swobodnie. Kamuflaż.

– Mój trykot? – powtórzyłem zdezorientowany.

– No wiesz, wdzianko superbohatera – wyjaśnił ze złośliwym uśmieszkiem Cole. – Sam Roth, wilkołak nocą, księgarz za dnia. Nie potrzebujesz do tego peleryny?

– Jasne – odpowiedziałem, otwierając drzwi. – Poziom czytelnictwa w tym kraju jest zatrważająco niski. Potrzebuję peleryny, żeby sprzedać choćby książkę kucharską. Schowasz się na zapleczu, jeśli ktoś wejdzie, okej?

– Wątpię, żeby ktoś mnie rozpoznał w księgarni – zauważył Cole. – Czy front tego sklepu wygląda równie obskurnie co tył?

Wszystkie sklepy na Main Street dzieliły wspólną tylną uliczkę, zatłoczoną śmietnikami pomalowanymi sprayem, porośniętą chwastami, które wyglądały jak na wpół dojrzałe młode drzewka, i plastikowymi torbami zaplątanymi w pręty barierek przy schodach. Nikt tędy nie chodził poza właścicielami i pracownikami. Lubiłem to miejsce właśnie za jego opłakany wygląd. Panował tu taki chaos, że nie było sensu sprzątać.

– Nikt nigdy nie widzi tej części – powiedziałem. – Nie ma znaczenia, czy jest ładna.

– Zupełnie jak utwór numer sześć na płycie – mruknął Cole, śmiejąc się pod nosem z jakiegoś żartu, który tylko on sam rozumiał. – A więc jaki mamy plan, Stan?

Otworzyłem tylne drzwi.

– Plan? Muszę pracować do południa. Isabel powinna wpaść jakoś wcześniej, żeby opowiedzieć mi, czego się dowiedziała od zeszłego wieczoru. Potem założę ci torbę na głowę i pójdziemy na lunch.

Zaplecze było zagracone stosami papierów i pudeł czekających, aż ktoś je wyniesie na śmietnik. Nie byłem typem porządnisia, a właścicielka księgarni, Karyn, miała swój tajemniczy system segregowania dokumentów, zrozumiały tylko dla niej samej.

Kiedy Grace po raz pierwszy zobaczyła ten bałagan, była naprawdę przerażona. Cole natomiast, zamyślony, wcale na niego nie zareagował, bezmyślnie oglądał nożyk do papieru, a następnie stertę gumowych zakładek do książek, podczas gdy ja włączałem światła.

– Odłóż je potem na miejsce – poprosiłem.

Podczas gdy wykonywałem zwyczajowe czynności związane z otwieraniem księgarni, on chodził za mną krok w krok, z rękami założonymi za plecami, jak dziecko, któremu nakazano, żeby niczego nie zepsuło.

Nie pasował do tego miejsca. Wyglądał jak wytworny, ale i agresywny drapieżnik spacerujący pośród zalanych słońcem półek, które w zestawieniu z nim nagle zaczęły się wydawać plebejskie.

Zastanawiałem się, czy to była świadoma decyzja – postawa, jaką sam sobie narzucił – czy też po prostu produkt uboczny osoby, którą rzeczywiście był. I łamałem sobie głowę, jak ktoś taki jak on – pogrążone w furii słońce – miał przetrwać w takim miejscu jak Mercy Falls.

Cole utkwił we mnie uważne spojrzenie. Czułem dziwne skrępowanie, otwierając drzwi frontowe, włączając kasę i system nagłaśniający. Wątpiłem, żeby naprawdę umiał docenić estetykę sklepu, ale czułem tez małe, przenikliwe ukłucie dumy, gdy zobaczyłem, jak się po nim rozgląda. Było tutaj tyle ze mnie.

Jego uwagę przykuły wyłożone wykładziną schody w głębi sklepu.

- Co jest na górze? – zapytał.
- Poezja i trochę rzadkich wydań – rzuciłem. „Oraz wspomnienia o mnie i Grace, zbyt przeszywające, by w tej chwili na nowo je przeżywać" – pomyślałem.

Cole sięgnął po jakąś babską powieść wyeksponowaną na bocznej półce regału, przejrzał ją z roztargnieniem i odłożył. Był tu zaledwie pięć minut, a już odczuwał zniecierpliwienie. Zerknąłem na zegarek, żeby zobaczyć, za ile przyjdzie Karyn, żeby mnie zastąpić. Nagle cztery godziny wydały mi się wiecznością. Próbowałem wzbudzić w sobie ponownie ten filantropijny impuls, który kazał mi zabrać ze sobą Cole'a.

Właśnie wtedy, gdy odwróciłem się w kierunku lady, kątem oka dostrzegłem coś, co przykuło moją uwagę. To było jedno z tych przelotnych spojrzeń, które nie powinny niczego zarejestrować. Kiedy później się o nich myśli, człowiek jest zdumiony, że dostrzegł tak wiele w tak krótkim czasie i że coś, co powinno być tylko zamazana plamą, wryło się w pamięć ostre niczym fotografia. A ta fotografia przedstawiała Amy Brisbane, matkę Grace, idącą wzdłuż okien księgarni w kierunku swojego studia. Szła sztywno, jak marionetka. Jedną rękę trzymała przy piersi, kurczowo ściskając pasek torebki, jakby się bała, że przy kolejnym kroku mogłaby spaść jej z ramienia. Miała na szyi zwiewny blady szal, a na twarzy maskę wypraną z emocji – wyraz, jaki przybierają ludzie, gdy chcą być niewidzialni. Zrozumiałem, widząc jej twarz, że już wie o martwej dziewczynie w lesie i że właśnie się zastanawia, czy to była Grace.

Powinienem jej powiedzieć, że nie.

Och, ale Brisbane'owie dopuścili się Tylku wykroczeń przeciwko mnie. Z łatwością mogłem przywołać wspomnienie pięści Lewisa Brisbane'a lądującej na mojej twarzy w szpitalnym pokoju. Albo tego, jak zostałem wyrzucony z ich domu w środku nocy. Albo tych dni, kiedy nie mogłem widywać Grace, bo nagle odkryli rodzicielskie zasady. Miałem tak niewiele, a oni i tak mi to odebrali.

Ale ten wyraz twarzy Amy Brisbane… Wciąż widziałem ją w myślach, mimo że już dawno minęła sklep. Powiedzieli Grace, że jestem tylko przelotnym romansem.

Uderzałem pięścią w otwarta dłoń raz za razem, rozdarty. Byłem świadomy tego, że Cole mnie obserwuje.

Ta pusta twarz… Wiedziałem, że ja chodzę ostatnio z taka sama miną.

Sprawili, że ostatnie dni Grace jako człowieka były nieszczęśliwe. Przeze mnie.

Nienawidziłem tego. Nienawidziłem tego, że wiedziałem, czego chcę, i wiedziałem, co było właściwe, i wiedziałem, że to nie są te same rzeczy.

- Cole – rzuciłem. – Pilnuj sklepu.

Cole spojrzał na mnie, unosząc brew.

Boże, nie miałem ochoty tego robić. Gdyby odmówił, podjąłby decyzję za mnie.

– Nikt raczej nie przyjdzie. To potrwa tylko moment. Obiecuję.

Cole wzruszył ramionami.

– Nie krępuj się.

Wahałem się jeszcze jedną chwilę, żałując, że nie potrafię udawać, że zobaczyłem przez okno kogoś innego. Ostatecznie to była tylko twarz, na wpół ukryta za szalem, która mignęła mi przez sekundę. Ale jednak ją widziałem.

– Nie spal niczego! – krzyknąłem na odchodnym.

Otworzyłem drzwi i wypadłem na chodnik. Nagła jasność oślepiła mnie – słońce ledwie zaglądało przez okna sklepu, ale na zewnątrz zalewało blaskiem całą ulicę. Nadal mrużąc oczy, zorientowałem się, że matka Grace pokonała już niemal całą długość ulicy.

Pośpieszyłem za nią po nierównym chodniku. Musiałem wyminąć dwie damy w średnim wieku plotkujące nad parującymi kubkami z kawą, starszą panią palącą papierosa przed sklepem z odzieżą używaną, a w końcu kobietę pchającą podwójny dziecięcy wózek.

Biegłem, aż nazbyt świadomy tego, że Cole zajmuje się sklepem pod moją nieobecność. Matka Grace nawet się nie zatrzymała przed przejściem przez ulicę. Ja przystanąłem bez tchu na rogu, pozwalając przejechać furgonetce, aż w końcu dogoniłem Amy Brisbane w cienistym i pomalowanym na filetowo wejściu do jej studia. Z bliska matka Grace wyglądała jak liniejąca papuga – włosy uciekały jej spod opaski, jedną stronę bluzki miała krzywo wetkniętą w spódnicę, a szal, który widziałem wcześniej, niechlujnie zwisał jej z szyi.

– Pani Brisbane! – zawołałem urywanym głosem, z trudem łapiąc powietrze. – Proszę poczekać.

Nie byłem pewien, jakiej reakcji się spodziewałem, kiedy zobaczy, że to ja. Przygotowywałem się na wstręt albo na gniew. Ale ona patrzyła na mnie tak, jakbym był nikim. Może z lekką irytacją.

– Sam? – odezwała się po chwili, jakby musiała się zastanowić, jak mam na imię. – Jestem zajęta.

Grzebała przy zamku, nie mogąc go otworzyć. Po chwili porzuciła klucz, którego używała i zaczęła przekopywać torebkę w poszukiwaniu innego. Jej torebka była ogromnym, krzykliwym patchworkowym tworem, pełnym rupieci. Jeśli potrzebowałbym jakiegokolwiek dowodu na to, że Grace w niczym nie przypominała matki, ta torba by wystarczyła. Pani Brisbane nie patrzyła na mnie. Jej całkowita obojętność – jakbym teraz nie zasługiwał nawet na jej gniew ani podejrzliwość – sprawiła, że pożałowałem, iż wyszedłem z księgarni.

Cofnąłem się o krok.

– Po prostu pomyślałem, że może pani nie wiedzieć. To nie była Grace.

Tak gwałtownie podniosła głowę, żeby na mnie spojrzeć, że szal zsunął się do końca z jej szyi.

– Usłyszałem od Isabel – wyjaśniłem. – Culpeper. To nie była Grace, ta dziewczyna, którą znaleźli.

Mój przejaw miłosierdzia przestał mi się wydawać dobrym pomysłem, gdy uświadomiłem sobie, że ktoś nieco bardziej podejrzliwy bez trudu mógłby podważyć moją historyjkę.

– Sam – wycedziła pani Brisbane bardzo opanowanym tonem, jakby zwracała się do młodzieńca przyłapanego na kłamstwie. Jej dłoń zawisła nad torebką, z palcami rozwartymi i nieruchomymi jak u manekina. – Jesteś pewien, że to prawda?

– Isabel powie pani to samo – zapewniłem.

Zamknęła oczy. Przez chwilę czułem cień satysfakcji, widząc ewidentny ból, jaki odczuwała z powodu nieobecności córki. Ale potem poczułem się strasznie z tego powodu. Rodzicom Grace zawsze się to udawało. Sprawiali, że czułem się jak gorsza wersja samego siebie. Schyliłem się z zakłopotaniem, żeby podnieść szal.

Podałem go jej.

- Muszę wracać.
- Czekaj – zatrzymała mnie. – Wejdź na chwilę do środka. Masz parę minut, prawda?

Zawahałem się.

Odpowiedziała za mnie:

- Och, pracujesz… Oczywiście, że tak. Ty… zostawiłeś księgarnie specjalnie dla mnie?

Wlepiłem wzrok w swoje stopy.

- Naprawdę pani nie wiedziała?
- Nie wiedziałam – potwierdziła.

Zamilkła. Kiedy na nią spojrzałem, jej oczy były zamknięte, a ona pocierała podbródek skrajem szala.

- To straszne, Sam, że córka jakiejś innej matki jest martwa, a ja mogę się tylko cieszyć.
- Ja też – powiedziałem bardzo cicho. – Jeśli pani czuje się strasznie, to ja też, bo bardzo, bardzo się cieszę.

Pani Brisbane spojrzała na mnie wtedy – naprawdę na mnie spojrzała – prosto w moją twarz.

- Pewnie myślisz, że jestem złą matką.

Nic nie powiedziałem, bo miała rację. Złagodziłem to wzruszeniem ramion. To było jedyne, na co mogłem się zdobyć.

Popatrzyła na przejeżdżający samochód.

- Oczywiście wiesz, że mieliśmy potworną kłótnię z Grace, zanim ona… zanim zachorowała… O ciebie. – Zerknęła na mnie, żeby sprawdzić, czy wiem. Kiedy nie odpowiedziałem, wzięła to za „tak”. – Miałam mnóstwo głupich chłopaków, zanim wyszłam za mąż. Lubiłam towarzystwo chłopców. Nie lubiłam być sama. Chyba myślałam, że Grace jest taka jak ja, ale ona tak naprawdę w ogóle w niczym mnie nie przypomina, prawda? Bo to, co jest między wami, to coś poważnego, zgadza się?

Stałem nieruchomo.

- Bardzo, pani Brisbane.
- Jesteś pewien, że nie chcesz wejść? Ciężko jest mi użalać się nad sobą tutaj, gdzie wszyscy na mnie patrzą.

Z niepokojem pomyślałem o Cole’u. Ale przypomniałem sobie ludzi, których mijałem po drodze. Żadnych p[potencjalnych klientów księgarni. Szanse, że chłopak władуje się w kłopoty, wydawały się minimalne.

- Tylko na chwilkę – zaznaczyłem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

COLE

Księgarnia nie była najbardziej rozrywkowym miejscem na świecie. Łaziłem po niej przez kilka minut, rozglądając się za książkami, w których mogłoby być coś interesującego dla mnie, rysując stopą swoje imię na czerwonej wykładzinie i szukając płyty do puszczenia z głośników. Sklep pachniał Samem – albo on pachniał sklepem. Atrament i stary budynek, i coś bardziej liściastego niż kawa, ale mniej interesującego niż trawka. To wszystko było bardzo… uczone. Czułem się otoczony przez rozmowy, w których nie miałem ochoty uczestniczyć.

W końcu znalazłem książkę na temat tego, jak przetrwać w najgorszych życiowych sytuacjach i zacząłem ja kartkować, usadowiwszy się na stołku za ladą ze stopami na blacie obok kasy. W poradniku nie uwzględniono problemów takich jak: „Wilkołactwo" ani „Jak wrócić do siebie po nałogu", ani nawet „Jak wytrzymać z samym sobą".

Rozległo się ciche „dzyń", ale nawet nie spojrzałem w stronę wejścia, zakładając, że to Sam.

- A co t y tutaj robisz?

Rozpoznałem ja po pogardliwym tonie głosu i zapachu perfum, jeszcze zanim podniosłem wzrok. Boże, ależ ona była seksowna. Jej usta wyglądały tak, jakby smakowały lukrecjowymi cukierkami. Jej tusz do rzęs był gęsty jak farba, a włosy dłuższe niż wcześniej – mógłbym owinąć ich pasma w kolorze lodowaty blond dwa razy wokół nadgarstka… Nie żebym wyobrażał sobie takie rzeczy…

Pozwoliła, by drzwi zamknęły się za nią powoli. Jej smakowite usta rozchyliły się nieco.

- Witamy w „Krzywej półce" – oświadczyłem, unosząc brew. – Czy szuka pani czegoś konkretnego? Nasz dział z poradnikami jest bardzo obszerny.
- Z pewnością coś o tym wiesz – rzuciła złośliwie.

Trzymała w dłoniach dwa papierowe kubki. Z impetem postawiła je na blacie, z dala od moich stóp. Przyjrzała mi się z wyższością. A może strachem? Czy Isabel Culpeper była zdolna do odczuwania lęku?

- Co, do cholery, myślał sobie Sam? Wiesz, że przez okna każdy może zobaczyć twoją twarz, prawda?
- To miły widok – zauważyłem.
- To musi być miłe, być tak beztroskim.
- To musi być miłe, tak bardzo przejmować się problemami innych ludzi.

Jakieś obce uczucie z wolna przepływało moimi żyłami. Uświadomiłem sobie, że to gniew. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio się wkurzyłem – to na pewni musiało mieć związek z moim ojcem – i nie mogłem sobie przypomnieć, jak należy się zachować w takiej sytuacji.

- Nie pogrywam z tobą – oznajmiła.

Spojrzałem na kubki, które przyniosła. Jeden dla niej, jeden dla Sama. Taka hojność wydawała się nietypowa dla Isabel, którą znałem.

- A pogrywałabyś z Samem? – zapytałem.

Isabel patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Boże, czy mógłbyś być jeszcze mniej pewny siebie?

Odpowiedź na to pytanie zawsze brzmiała „tak", ale nie byłem jej wdzięczny za podkreślanie moich mniej pociągających wad. Pochyliłem się, żeby lepiej przyjrzeć się kubkom, podczas gdy Isabel miażdżyła mnie morderczym wzrokiem. Usunąłem pokrywki i zbadałem zawartość. W jednym kubku było coś, co pachniało podejrzanie zdrowo. Zielona herbata albo końskie szczyny. W drugim była kawa. Wziąłem łyk.

Była gorzkawa i skomplikowana, z zaledwie wystarczającą ilością śmietanki i cukru, żeby w ogóle dało się ją pić.

- To – wycedziła Isabel – było moje.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko. Nie miałem ochoty się uśmiechać, ale ukryłem rozczarowanie własną reakcją, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- A teraz jest moje. Co oznacza, że jesteśmy prawie kwita.
- Boże, Cole, co takiego? Kwita w związku z czym?

Spojrzałem na nią i czekałem, aż to do niej dotrze. Pięćdziesiąt punktów, jeśli załapie to w trzydzieści sekund. Dwadzieścia punktów, jeśli będzie potrzebowała minuty. Dziesięć, jeśli…

Isabel tylko skrzyżowała ramiona na piersi i wyjrzała przez okno, jakby czekała na atak paparazzich. O dziwo była tak wściekła, że aż mogłem to wyczuć. To podnieciło moje wilcze zmysły, ciarki przebiegły mi po skórze. Uśpione instynkty szeptały, żebym zareagował. Walka. Ucieczka. Żadne z tych rozwiązań nie wydawało mi się stosowne. Kiedy nic nie powiedziała, potrząsnąłem głową i przyłożyłem do ucha dłoń z odchylonym kciukiem i małym palcem, udając, że dzwonię.

- Ach – westchnęła Isabel i potrząsnęła głową. – Poważnie? Nadal? Chodzi o nieodebrane telefony? Daj spokój, Cole. Chyba nie myślałeś, że dam się w to wciągnąć. Jesteś toksyczny.
- Toksyczny? – powtórzyłem. Właściwie to skłamałbym, twierdząc, że mi to nie pochlebiło. Słowo „toksyczny” miało w sobie pociągającą siłę. – Tak, toksyczność to jedna z moich lepszych cech. Czy to dlatego, że się z tobą nie przespałem? Zabawne. Zazwyczaj dziewczyny są na mnie złe właśnie dlatego, że je przeleciałem.

Zaśmiała się tym swoim twardym, powściągliwym śmiechem: „Ha. Ha. Ha”. Jej obcasy zastukały, gdy wmaszerowała za ladę, żeby stanąć tuż obok mnie. Czułem na twarzy jej oddech, jej gniew był głośniejszy niż głos.

- Dwa dni temu byłam świadkiem, jak zwijasz się w spazmach i ślinisz z powodu tego, co wstrzyknąłeś sobie w żyłę. Wyciągnęłam cie z tej dziury raz. Teraz sama jestem na skraju i zaglądam do środka. Nie mogę być w pobliżu kogoś innego, kto też wisi nad przepaścią. Ciągniesz mnie za sobą w dół. A ja próbuję się wydostać.

I znowu to zrobiła. Ta odrobina szczerości z jej strony wytrąciła mnie z równowagi. Gniew, który wcześniej czułem, stał się dziwnie trudny do podtrzymania.

Zdjąłem nogi z blatu, powoli, jedną po drugiej, a potem obróciłem się na stołku przodem do niej. Nie odsunęła się, żeby zrobić mi miejsce. Wyzwanie. A może jednak oddanie.

- To kłamstwo – zaprotestowałem. – Znalazłaś mnie w tej norze tylko dlatego, że już sama w niej siedziałaś.

Stała tak blisko mnie, że czułem zapach jej szminki. Byłem boleśnie świadomy tego, że jej biodra znajdują się zaledwie kilka centymetrów od moich ud.

- Nie zamierzam patrzeć, jak się zabijasz – wyjaśniła Isabel. Milczeliśmy długo, wsłuchując się w ryk samochodu dostawczego, który przejechał ulicą. Patrzyła na moje usta, ale nagle odwróciła wzrok. – Boże, nie mogę tutaj zostać. Po prostu powiedz Samowi, że do niego zadzwonię.

Położyłem ręce na jej biodrach w momencie, gdy próbowała się odwrócić.

- Isabel – szepnąłem. Jeden z moich kciuków dotknął jej nagiej skóry tuż nad paskiem dżinsów. – Nie próbowałem się zabić.
- Tylko odlecieć? – Próbowała się wyszarpnąć, ale nie zwolniłem uchwytu. Nie trzymałem jej wystarczająco mocno, żeby móc ją powstrzymać, ale i ona nie wyrywała się na tyle mocno, żeby uciec, więc dalej trwaliśmy w tej samej pozie.

- Nie próbowałem odlecieć. Próbowałem przemienić się w wilka.
- Jak zwał tak zwał. To różnice semantyczne. – Isabel nie patrzyła teraz na mnie.

Puściłem ja i wstałem, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz. Nauczyłem się dawno temu, że najskuteczniejszą bronią w moim arsenale jest umiejętność naruszania przestrzeni osobistej innych ludzi. Dziewczyna uniosła twarz, żeby na mnie spojrzeć. Nasze oczy spotkały się i poczułem, jak wzbiera we mnie przekonanie, że mogę właśnie w tej chwili powiedzieć właściwą rzecz we właściwym miejscu i czasie, i że mogę ją skierować do właściwej osoby. To było coś, w co wierzyłem.

- Powiem to tylko raz, więc lepiej, żebyś mi uwierzyła. Szukam lekarstwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

SAM

Amy – próbowałem myśleć o niej jako o „Amy” zamiast o „mamie Grace” – otworzyła drzwi o poprowadziła mnie przez ciemny przedpokój utrzymany w stonowanym odcieniu fioletu do oślepiająco jasnego głównego pomieszczenia zastawionego płótnami. Światło wlewało się do pokoju przez tylną ścianę, w całości złożoną z okien, z widokiem na obskurny parking zastawiony starymi traktorami. Jeśli zignorować ten widok, to przestrzeń sama w sobie była profesjonalna i z klasą – jasnoszare ściany, jak w muzeum, z drutami do zawieszania obrazów zwisającymi z białej listwy ciągnącej się wzdłuż sufitu. Obrazy wisiały na ścianach i stały w kątach. Niektóre z nich wyglądały tak, jakby wciąż były wilgotne.

- Wody? – zaproponowała Amy.

Stałem pośrodku pomieszczenia, starając się niczego nie dotykać. Zajęło mi chwilę, zanim umieściłem słowo „woda” w odpowiednim kontekście: do picia, nie do utopienia się w niej.

- Nie, dziękuję – pokręciłem głową.

Wcześniejsze prace Amy były dziwne, kapryśne i tętniące kolorami: zwierzęta w przestrzeniach miejskich, kochankowie odmalowani w dziwnych barwach. Ale wszystkie nowe płótna były pozbawione życia. Nawet jeśli przedstawiały jakieś miejsca – uliczki czy stodoły – sprawiały wrażenie jałowych planet. Nie było na nich zwierząt ani kochanków. Żadnego centralnego punktu. Jedynym płótnem, które miało jakiś podmiot, było to rozstawione na sztalugach. Niemal tak wysokie jak ja, cale białe z wyjątkiem bardzo małej postaci siedzącej w lewym dolnym rogu. Dziewczyna odwracała się tyłem do widza, ramiona miała zgarbione, ciemnoblond włosy spływały jej po plecach. Mimo że nie było widać jej twarzy, to bez wątpienia była Grace.

- No dalej, poddaj mnie psychoanalizie – zaproponowała Amy, podczas gdy przyglądałem się obrazowi.
- Próbuje z tym skończyć – zażartowałem i ten drobny ukłon w jej stronę wydał mi się oszustwem, podobnie jak minionej nocy, kiedy grałem w „zaśpiewaj-następną-linijkę” z Cole’em, chociaż powinienem suszyć mu głowę.

Bratałem się z wrogiem.

- W takim razie powiedz, co o nich myślisz – poprosiła. – Pryz tobie robi się nerwowa, Sam. Czy ci to kiedyś mówiłam? Chyba powinnam była. Nigdy nie odzywałeś się za wiele, kiedy byłeś z Grace, i nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Wszyscy cos do mnie mówią. Potrafię otworzyć każdego. A ty… Im dłużej milczałeś, tym bardziej się zastanawiałam, w czym tkwi problem.

Spojrzałem na nią. Wiedziałem, że w ten sposób potwierdzam jej słowa, ale nie miałem pojęcia, co powinienem powiedzieć.

- Och, a teraz po prostu się ze mną bawisz – ciągnęła dalej. – O czym myślisz?

Myślałem o tylu rzeczach, jednak większość z nich musiała pozostać niewypowiedziana. Wszystkie były gniewne, oskarżycielskie. Popatrzyłem na Grace na płótnie, zwróconą plecami do mnie. Pełna bariera.

- Pomyślałem, że t a k i e j Grace nigdy nie znałem.

Przeszła przez studio i stanęła obok mnie. Odsunąłem się od niej delikatnie, ale i tak zauważyła.

- Rozumiem. Cóż, to jedyna Grace, jaką ja znam.
- Wygląda na samotną. Chłodną – powiedziałem powoli. Zastanawiałem się, gdzie teraz jest.
- Niezależną. Upartą. – Amy westchnęła niespodziewanie i odsunęła się ode mnie tak gwałtownie, że aż się wzdrygnąłem. – Nie sądziłam, że jestem straszną matką. Moi rodzice

nigdy nie dawali mi wiele prywatności. Czytali każdą książkę, którą ja czytałam. Chodzili wszędzie tam, gdzie ja. Musiałam wracać do domu o ściśle określonej porze. Byłam pod lupą, dopóki nie wyjechałam do college'u. już nigdy nie wróciłam do domu. Wciąż z nimi nie rozmawiam. A oni wciąż patrzą na mnie przez szkło powiększające… Myślałam, że jesteśmy świetni, ja i Lewis. Gdy tylko Grace zaczęła chcieć robić różne rzeczy sama, pozwoliliśmy jej na to. Nie będę kłamać… byłam szczęśliwa, że tak szybko mogę wrócić do swojego życia. A ona radziła sobie świetnie. Wszyscy mówili, że ich dzieciaki źle się zachowują albo kiepsko sobie radzą w szkole. Gdyby Grace zaczęła sobie źle radzić, zmienilibyśmy się.

To nie brzmiało jak wyznanie. Bardziej jak deklaracja artysty. Konflikt pokoleń przedestylowany na krótkie fragmenty wywiadu dla prasy. Nie patrzyłem na Amy. Po prostu przyglądałem się tej Grace z płótna.

– Zostawiliście ja zupełnie samą.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Może nie spodziewała się, że cokolwiek powiem. A może nie spodziewała się, że się z nią nie zgodzę.

– To nieprawda – zaprotestowała.
– O ile dobrze pamiętam, właśnie to mi powiedziała. Widziałem, jak płacze z waszego powodu. To było prawdziwe. Grace nie ma skłonności do dramatyzowania.
– Nigdy nie prosiła o więcej – broniła się Amy.

Teraz spojrzałem na nią. Utkwiłem w niej swoje złotożółte oczy. Wiedziałem, że przez to poczuje się skrępowana. Wszystkich to krępowało.

– Czyżby?

Amy wytrzymała moje spojrzenie przez kilka sekund, a potem odwróciła wzrok. Pomyślałem, że pewnie żałuje, że nie zostawiła mnie na chodniku.

Ale kiedy zerknęła na mnie znowu, jej policzki były mokre od łez, a nos czerwony.

– Okej, Sam. Będę szczera. Wiem, że były takie chwile, kiedy zachowywałam się jak egoistka. Były chwile, kiedy widziałam tylko to, co chciałam widzieć. Ale to działa w obie strony, Sam. Grace tez nie była najlepszą córką na świecie. – Odwróciła się, ocierając nos rękawem bluzki.
– Kocha ja pani? – zapytałem.

Przechyliła głowę, przyciskając policzek do ramienia.

– Bardziej niż ona mnie.

Na to nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, jak bardzo Grace kocha swoich rodziców. Żałowałem, że w tej chwili nie jestem z nią, zamiast tutaj, w pracowni jej matki, zastanawiając się, co powiedzieć.

Amy poszła do łazienki. Usłyszałem, jak głośno wydmuchuje nos. Gdy wróciła, zatrzymała się kilka metrów ode mnie, wciąż ocierając nos chusteczką. Miała dziwny wyraz twarzy, taki, jaki miewają ludzie, gdy zamierzają być bardziej poważni niż zazwyczaj.

– A ty ją kochasz? – zapytała.

Poczułem, jak zapiekły mnie uszy, choć przecież nie wstydziłem się tego, co czuję.

– Jestem tutaj – powiedziałem.

Zagryzła wargę i kiwnęła głową, wlepiając wzrok w podłogę. Potem, nie patrząc na mnie, zapytała:

– Gdzie ona jest?

Nie poruszyłem się.

Po dłuższej chwili przeniosła wzrok na mnie.

– Lewis sądzi, że ja zabiłeś.

Nic nie poczułem. Jeszcze nie. W tej chwili to były tylko słowa.

– Ze względu na twoją przeszłość – dodała. – Stwierdził, że byłeś zbyt cichy i dziwny, a twoi rodzice namieszali ci w głowie. Że nie ma mowy, żebyś nie był spaczony po czymś takim, i że zabiłeś Grace, kiedy dowiedziałeś się, że on nie pozwoli jej się z tobą spotykać.

Miałem ochotę zacisnąć dłonie w pięści, ale pomyślałem, że to by źle wyglądało, więc przemogłem się i pozwoliłem im zwisać luźno przy bokach. Były jak balast, opuchnięte i nienależące do mojego ciała. Przez cały ten czas Amy obserwowała mnie, oceniając moją reakcję.

Wiedziałem, że chciała słów, jednak nie znalazłem żadnych, które chciałbym wypowiedzieć. Tylko potrząsnąłem głową.

Uśmiechnęła się smutno kącikiem ust.

– Ja nie sądzę, żebyś to zrobił. A w takim razie… gdzie ona jest, Sam?

Wewnątrz mnie powoli kiełkował niepokój. Nie wiedziałem, czy to z powody krępującej rozmowy, oparów farby czy pozostawienia Cole'a samego w sklepie.

– Nie wiem – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Mama Grace dotknęła mojego ramienia.

– Jeśli ją znajdziesz, zanim nam się to uda, powiedz jej, że ja kocham – poprosiła.

Pomyślałem o Grace i o tej pustej sukience w moje dłoni. O Grace daleko, daleko, nieuchwytnej w lasach.

– Bez względu na wszystko? – zapytałem, chociaż nie sądziłem, że jej odpowiedź mogłaby mnie przekonać.

Rozdzieliłem dłonie, gdy uświadomiłem sobie, że pocieram kciukiem pokryty bliznami nadgarstek.

– Bez względu na wszystko – zapewniła mnie Amy stanowczym tonem.

Nie uwierzyłem jej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ISABEL

Problem z Cole'em St. Clairem polegał na tym, że można było uwierzyć we wszystko, co mówił, a jednocześnie nie wolno było Wierzyc w ani jedno jego słowo. Był tak ambitny, że łatwo można by uznać, iż to właśnie jemu uda się to, co niemożliwe. Ale jednocześnie był tak niewiarygodnie niemoralnym dupkiem, że nie można było ufać żadnemu słowu, które wychodziło z jego ust.

Problem ze mną polegał na tym, że ja c h c i a ł a m mu zaufać.

Chłopak zatknął palce za tylne kieszenie spodni, jakby próbując dowieść, że nie zamierza mnie dotknąć, o ile sama nie wykonam pierwszego kroku. Z tymi wszystkimi książkami za plecami wyglądał jak na jednym z plakatów, które można zobaczyć w bibliotece, tych z celebrytami wspierającymi czytelnictwo: „Cole St. Clair mówi: NIGDY NIE PRZESTAWAJ CZYTAĆ!". Z takim moralizatorskim hasłem i z tym wyrazem twarzy prezentowałby się naprawdę dobrze.

W ogóle prezentowałby się cholernie nieźle.

Nagle przypomniała mi się pewna sprawa, nad którą kiedyś pracował mój ojciec. Nie pamiętałam za dobrze szczegółów – to prawdopodobnie było kilka różnych spraw prowadzonych jednocześnie – wiedziałam tylko, że chodziło o jakiegoś faceta, który w przeszłości został skazany, a potem oskarżono go o coś innego. I moja mama mówiła coś- w stylu: „Jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy". Nigdy nie zapomnę odpowiedzi mojego ojca, bo to była pierwsza i ostatnia mądra rzecz, jaka kiedykolwiek powiedział: „Ludzie nie zmieniają tego, kim są. Zmieniają tylko to, co z tym robią".

Jeśli mój ojciec miał rację, oznaczało to, że za tymi poważnymi zielonymi oczami, wpatrzonymi teraz w moje, nadal krył się ten sam Cole, wciąż całkowicie zdolny do upijania się di nieprzytomności i zbierania się na odwagę, żeby popełnić samobójstwo.

Nie wiedziałam, czy jestem w stanie to znieść.

W końcu powiedziałam:

- Więc twoim zdaniem lekarstwem na wilkołactwo jest… epilepsja?

Cole wydał znudzony pomruk.

- Och, to był tylko efekt uboczny. Uporam się z nim.
- Mogłeś umrzeć.

Uśmiechnął się szerokim, ujmującym uśmiechem, o którym wiedział zbyt dobrze, że jest szeroki i ujmujący.

- Ale nie umarłem.
- Nie sądzę, żeby to się liczyło jak brak skłonności samobójczych – zaoponowałam.

Ton jego głosu był lekceważący:

- Podejmowanie ryzyka nie oznacza skłonności samobójczych. Inaczej spadochroniarze potrzebowaliby poważnej pomocy.
- Spadochroniarze mają spadochrony, do cholery!

Cole wzruszył ramionami.

- A ja miałem ciebie i Sama.
- Nawet nie wiedzieliśmy, że ty… - przerwałam, bo zaczęła dzwonić moja komórka.

Odsunęłam się od Cole'a i spojrzałam na wyświetlacz. Mój ojciec. Jeśli kiedykolwiek był dobry moment, żeby pozwolić mu się nagrać na pocztę, to właśnie teraz, ale po wczorajszej awanturze musiałam odebrać.

Byłam świadoma tego, że Cole mi się przygląda, kiedy otwierałam klapkę telefonu.

- Tak, słucham?
- Isabel? – Mój ojciec był zaskoczony i… radosny.
- Chyba że masz inną córkę – odpowiedziałam. – Co by wiele wyjaśniało…

Ojciec udał, że tego nie usłyszał. Wciąż był w podejrzanie dobrym nastroju.

- Wybrałem twój numer przez pomyłkę. Chciałem zadzwonić do matki.
- No cóż, ale dodzwoniłeś się do mnie. Czego od niej chcesz? Brzmisz, jakbyś był na haju – skomentowałam jego szczebiot.

Cole w zdumieniu uniósł brwi.

- Uważaj na język – automatycznie zwrócił mi uwagę ojciec. – Właśnie dzwonił do mnie Marshall. Śmierć tej dziewczyny była kroplą, która przepełniła czarę. Dostał wiadomość, że nasza wilcza sfora zostanie usunięta z listy zwierząt chronionych. Zaczynają organizować polowanie z powietrza. Tym razem zajmą się tym stanowi, nie żadne wieśniaki ze strzelbami. Mowa o helikopterach. Załatwią to, jak trzeba. Jak w Idaho.
- Czy to już pewne? – zapytałam.
- Została nam tylko kwestia wyznaczenia terminu, zebrania środków finansowych, zasobów ludzkich i tak dalej – zapewnił ojciec.

To ostatnie trafiło w czuły punkt. „Środki finansowe i zasobu ludzkie" to były dokładnie takie gówniane sformułowania, jakimi lubił się posługiwać Marshall. Mój ojciec zapewne usłyszał to od niego zaledwie parę minut temu, a teraz powtarzał mnie.

No to po ptakach.

Kuszący i zblazowany jednocześnie wyraz twarzy Cole'a się zmienił. Moja mina albo ton głosu musiały dać mu do myślenia, bo patrzył na mnie intensywnie, przenikliwie, tak że poczułam się obnażona. Odwróciłam wzrok.

- Wiesz już, kiedy to się stanie? To znaczy tak mniej więcej? – zapytałam ojca.

Rozmawiał z kimś innym. Ten ktoś się śmiał i mój ojciec też.

- Co? Och, Isabel, nie mogę rozmawiać. Mówili coś o miesiącu. Ale pracujemy nad tym, żeby to przyśpieszyć. Dochodzi kwestia pilotowania helikoptera i wyznaczenia obszaru, tak myślę. Pogadamy w domu. Hej… a dlaczego nie jesteś w szkole?
- Jestem, tyle że w łazience – skłamałam.
- Och, no cóż, nie musiałaś odbierać telefonu w szkole – oświadczył wielkodusznie mój ojciec. Usłyszałam, jak jakiś mężczyzna wymawia jego imię. – Muszę kończyć. Pa, Ptysiu!

Zatrzasnęłam klapkę telefonu i wlepiłam wzrok w książki przede mną. Zobaczyłam biografię Teddy'ego Roosevelta wyłożona frontem do przodu.

- Ptysiu… - rzucił Cole.
- Nawet nie zaczynaj.

Odwróciłam się i spojrzeliśmy na siebie. Nie byłam pewna, ile usłyszał. Chyba wystarczyło kilka zdań, żeby zrozumieć sedno sprawy. W twarzy Cole'a wciąż było coś, przez co czułam się dziwnie. Wcześniej zawsze wyglądał tak, jakby sądził, że życie jest żartem, może odrobinę śmiesznym, ale na ogół kiepskim. Jednak teraz, w obliczu tej nowej informacji, chłopak wydawał się… niepewny. To było tak, jakbym zajrzała w głąb niego, tylko na sekundę, i zobaczyła prawdziwego Cole'a, ale potem drzwi otworzyły się z cichym „dzyń" i ten Cole zniknął.

Sam stanął na progu sklepu, drzwi powoli zamknęły się za nim.

- Złe wieści, Ringo – oznajmił stary dobry Cole. – Wszyscy zginiemy.

Sam spojrzał na mnie pytająco.

- Mojemu tacie się udało – wyjaśniłam. – Polowanie się odbędzie. Czekają na pilota helikoptera.

Chłopak długo stał przy wejściu, jego szczęka drgała lekko. Było coś dziwnego i stanowczego w wyrazie jego twarzy. Za nim widniał napis „ZAMKNIĘTE”, wiszący na drzwiach księgarni.

Milczał tak długo, że już chciałam coś powiedzieć, ale w końcu się odezwał. Dziwnie oficjalnie:

- Zabieram Grace z tych lasów. Innych też, ale ona stanowi dla mnie priorytet.
- Myślę, że mogę ci w tym pomóc – odrzekł Cole.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

SAM

Isabel niechętnie pojechała z księgarni do szkoły, a kiedy Karyn przybyła, żaby mnie zastąpić, Cole i ja ruszyliśmy w kierunku domu tak szybko, jak tylko się dało. W samochodzie podzielił się ze mną swoim błyskotliwym planem złapania Grace. W sidła.

Dotarliśmy do lasu. Był mokry i cichy po wieli dniach deszczu. Cole prowadził mnie pewnym krokiem, który świadczył o tym, że często przemierzał te ścieżki.

Jakoś nie do końca potrafiłem uwierzyć w to, że przez wszystkie te dni, kiedy myślałem, że chłopak poświęca cały swój czas na demolowanie domu, on próbował łapać wilki. Ale w nim wszystko było nieprzewidywalne, więc chyba nie miałem prawa być aż tak zaskoczony.

- Ile pułapek zrobiłeś? – zapytałem, gdy przedzieraliśmy się przez las.

Powinienem myśleć o nowinach, które przekazała nam Isabel, i nieuchronnie zbliżającym się polowaniu na wilki, ale obecnie wolałem się skupić na znajdowaniu ścieżki pomiędzy drzewami. Było tak ślisko, że marsz wymagał koncentracji. Po wczorajszej burzy woda wciąż skapywała z gałęzi, gdy się ich przytrzymywałem, a stopy rozjeżdżały mi się we wszystkich kierunkach na błotnistym podłożu.

- Pięć – rzucił Cole, zatrzymując się, żeby postukać butem o pień drzewa. Kawałki błota odpadły od podeszwy. – Mniej więcej.
- Mniej więcej?

Cole ruszył dalej.

- Następną pułapkę zrobię na Toma Culpepera – oświadczył, nie odwracając się.

Nie miałem nic przeciwko.

- A co planujesz, gdy już złapiesz jakiegoś wilka?

Cole wydał z siebie przesadny jęk obrzydzenia, gdy przypadkiem wlazł w jelenie odchody.

- Dowiem się, co wywołuje naszą przemianę. I dowiem się, czy naprawdę zostałeś wyleczony.

Byłem zaskoczony, że dotąd nie poprosił mnie o próbkę krwi.

- Może potem zwerbuję cie do łagodniejszych eksperymentów – kontynuował Cole z zadumą.

Najwyraźniej znałem go lepiej, niż sądziłem.

- Może lepiej nie – wymamrotałem.

Nagle uchwyciłem w powietrzu woń, która przypominała mi Shelby. Obróciłem się powoli i ostrożnie przestąpiłem nad przypominającą bicz, a dodatkowo pokryta kolcami jaskrawozieloną gałęzią u moich stóp.

- Co robisz, Ringo? – zapytał Cole, przystając, żeby na mnie poczekać.
- Wydawało mi się, że poczułem… - zamilkłem. Nie wiedziałem, jak to wyjaśnić.
- Białą wilczycę? Tę, która tak wszędzie szcza?

Spojrzałem na jego cwaną minę.

- Tak. Shelby – powiedziałem. – Są z nią same kłopoty. Widziałeś ją ostatnio?

Cole pokiwał głową. Żołądek skręcił mi się w zimny supeł rozczarowania. Nie widziałem Shelby od miesięcy i miałem nadzieję, że opuściła te lasy. Zdarzało się, że wilki porzucały swoje watahy. Większość sfor miała kozła ofiarnego, którego się czepiano, zabierano mu jedzenie, spychano go na sam dół hierarchii. Takie wilki często przemierzały setki kilometrów, żeby założyć własną grupę, z dala od prześladowców.

Kiedyś to Salem, starszy i nie do końca zrównoważony psychicznie wilk, był wilkiem omega w naszej sforze. Ale kiedy wygrzebywałem się z zapalenia opon mózgowych, przekonałem się, jak nisko Shelby upadła w oczach Paula, a zatem i całej grupy. Zupełnie jakby Paul wiedział, co zrobiła mnie i Grace.

- Jakie kłopoty? – zapytał Cole.

Nie miałem ochoty mu opowiadać. Mówienie o Shelby wymagałoby wyjęcia wspomnień o niej z pudełek, do których ostrożnie je powkładałem, a raczej nie chciałem tego jeszcze robić.

– Shelby woli być wilkiem – wyjaśniłem z rezerwą. – Ona… miała złe dzieciństwo i nie wszystko jest z nią w porządku… - Gdy tylko to powiedziałem, pożałowałem, bo dokładnie to samo mama Grace powiedziała o mnie.

Cole odchrząknął i rzucił:

– Beck chyba lubi ludzi z problemami.

Odwrócił się i podjął marsz, mniej więcej podążając tropem pozostawionym przez Shelby. Po chwili ruszyłem za nim, chociaż zatopiony w myślach.

Przypomniałem sobie, jak Beck przyprowadził Shelby do domu. Nakazał nam wszystkim, żebyśmy dali jej czas i przestrzeń, i jeszcze to coś, czego potrzebowała, ale czego nie mogliśmy jej zaoferować. Minęło kilka miesięcy. To był ciepły dzień, podobny do dzisiejszego. Beck poprosił: „Czy mógłbyś pójść i sprawdzić, co kombinuje Shelby?". Tak naprawdę nie sądził, żeby robiła coś złego, w przeciwnym wypadku poszedłby sam.

Znalazłem ją na zewnątrz, siedzącą w kucki na podjeździe. Wzdrygnęła się, słysząc moje kroki, ale kiedy zobaczyła, że to ja, odwróciła się z powrotem, obojętnie. Traktowała mnie jak powietrze: nie byłem ani zły, ani dobry. Po prostu byłem. Nie zareagowała, kiedy podszedłem do miejsca, w którym siedziała. Twarz miała zasłoniętą włosami, tak jasnymi, że zdawały się białe.

W dłoni trzymała ołówek i rozgrzebywała nim wnętrzności ptaka, ciągnąc za pętle jelit samym jego koniuszkiem. Bebechy wyglądały jak robaki. Pośród nich leżał jakiś metalicznie zielony i wyglądający na tłusty organ. Tuż obok wciąż żywy szpak szarpał się i przebierał nóżkami, trzymany jak marionetka na własnych wnętrznościach oplątanych wokół ołówka.

– To im robimy, kiedy je zjadamy – beznamiętnie objaśniła mi Shelby.

Pamiętam, że po prostu tam stałem, próbując wytropić jakikolwiek ślad emocji w jej głosie. Wskazała na zmasakrowaną jamę brzuszną ptaka innym ołówkiem, który trzymała w drugiej dłoni. Był to jeden z moich ołówków. Z mojego pokoju. Ten z Batmanem. Dopiero co zatemperowany. Myśl, że Shelby była w moim pokoju, wydała mi się bardziej przerażająca niż widok torturowanego zwierzęcia na podjeździe.

– Ty to zrobiłaś? – zapytałem, choć wiedziałem, że tak.

Shelby jakby mnie nie słyszała.

– Tu jest jego mózg – powiedziała. – Oko strusia jest większe niż jego mózg.

Wskazała na oko szpaka. Widziałem ostry koniuszek ołówka spoczywający bezpośrednio na lśniącej czarnej powierzchni i coś ścisnęło mnie w środku. Szpak leżał już całkowicie nieruchomo. Jego odsłonięte wnętrzności pulsowały wyraźnie.

– Nie - powiedziałem.

Wtedy Shelby wetknęła mój ołówek z Batmanem w oko szpaka. Uśmiechnęła się przy tym odległy uśmiechem, który nie miał nic wspólnego z radością. Nawet nie odwróciła do mnie głowy.

Stałem tam, a serce waliło mi tak, jakbym to ja był jej ofiarą. Oddychałem nierówno, mdliło mnie. Patrząc na Shelby i na ptaka – na czerń i biel, i czerwień – ciężko było sobie przypomnieć, czym jest szczęście.

Nigdy nie powiedziałem o tym Beckowi.

Stałem się więźniem wstydu. Nie powstrzymałem jej. To był mój ołówek. Moją pokutą było to, że nigdy nie zapomniałem tamtego widoku. Nosiłem go w sobie i był tysiąc razy cięższy niż waga małego ptasiego ciałka.

I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,

Pełznie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?[*]

Chciałem, żeby Shelby nie żyła. Chciałem, żeby ten zapach, za którym obaj z Cole'em podążaliśmy, był tylko wspomnieniem, a nie groźbą. Kiedyś wystarczyłoby mi, żeby opuściła te lasy i poszukała innej sfory, ale już nie byłem tamtym Samem. Teraz miałem nadzieję, że znajdowała się w miejscu, z którego nie było powrotu.

Ale jej zapach utrwalony w wilgotnym poszyciu lasu był zbyt mocny. Ona żyła. Była tutaj. Niedawno.

Zatrzymałem się, nasłuchując.

– Cole… - szepnąłem.

Natychmiast zamarł w bezruchu. Coś w moim głosie go ostrzegło. Przez chwilę nie zarejestrowaliśmy niczego szczególnego. Czuć było tylko zapach lasów budzących się do życia pod dotykiem ciepłego powietrza. Słychać było ptaki nawołujące się pośród drzew. Szczekającego psa gdzieś w oddali. I nagle… do naszych uszu znowu dobiegł ten odległy, słaby, przesycony strachem jęk. Gdybyśmy się nie zatrzymali, nasze kroki z pewnością by go zagłuszyły. Jednak teraz wyraźnie usłyszałem świszczące skomlenie cierpiącego wilka.

– Jedna z twoich pułapek? – zapytałem cicho Cole'a.

Potrząsnął głową.

Dźwięk rozległ się znowu. Złe przeczucie ścisnęło mi żołądek. Nie sądziłem, żeby to była Shelby.

Przyłożyłem palec do ust, a Cole skinął głową na znak, że rozumie. Jeśli zwierzę było ranne, nie chciałem go wystraszyć, zanim będziemy mogli mu pomóc.

Nagle staliśmy się wilkami w ludzkich skórach – bezgłośnymi i czujnymi. Tak jak wtedy, gdy polowałem, tak i teraz przesuwałem się nisko przy ziemi, długimi krokami, a moje stopy ledwie dotykały podłoża. Nie musiałem sobie przypominać, co trzeba robić. Po prostu na ten jeden moment odrzuciłem moje człowieczeństwo. Pod tą warstwą czekały na mnie stłumione zwierzęce instynkty, gotowe, by z powrotem wypłynąć na powierzchnię.

Ziemia pod moimi stopami była grząska i śliska – mokra glina i wilgotny piasek. Gdy schodziłem do płytkiego wąwozu, z ramionami wyciągniętymi na boki dla równowagi, moje buty ślizgały się, zostawiając po sobie rozjechane ślady.

Zatrzymałem się. Nasłuchiwałem. Cole za mną syknął, też próbując utrzymać równowagę. Znów usłyszałem skomlenie wilka. Było tak pełne rozpaczy, że zdołało poruszyć jakąś strunę głęboko we mnie. Skradałem się dalej.

Serce dudniło mi w uszach.

Im bliżej celu byłem, tym mocniej czułem, że coś jest nie tak. Skomleniu wilka wtórował dziwny chlupot, co nie miało sensu. Wąwozem nie płynęła żadna rzeka, a jezioro znajdowało się w innej części lasu. A jednak wciąż słyszałem odgłosy wody.

Nad naszymi głowami ptak wyśpiewywał głośno swoje trele, a wokół nas igrał wietrzyk, podrywając liście i odsłaniając ich blade spody. Cole patrzył na mnie, ale nie całkiem na mnie, raczej przeze mnie. Nasłuchiwał. Miał teraz dłuższe włosy niż wtedy, gdy się poznaliśmy. O dziwo wyglądał tak, jakby należał do tego miejsca, świadomy i spięty. Płatki wirowały wokół nas w podmuchach wiatru, chociaż w pobliżu nie było żadnych kwitnących drzew. To był zwyczajny i piękny wiosenny dzień, ale ja oddychałem nierówno i potrafiłem myśleć tylko o jednym: „Zapamiętam ten moment do końca życia".

[*] William B. Yates, „Drugie przejście", tłum. S. Barańczak, [w:] William B. Yates, „Poezje wybrane", PIW, Warszawa 1987, s. 99.

Nagle wyraźnie poczułem, jakbym tonął. Poczułem wodę, zimną i mulistą, zamykającą się nad moją głową, palącą mnie w nozdrza, ściskającą płuca w żelaznej obręczy. To był strzęp wspomnienia kompletnie wyrwany z kontekstu. Tak komunikowały się wilki.

I wtedy zrozumiałem, gdzie jest ten wilk. Zapomniałem o ostrożności i puściłem się biegiem.

- Sam! – krzyknął Cole.

Zatrzymałem się w ostatniej chwili tuż nad wypełnioną wodą jamą. Ziemia osunęła się spod mojej prawej stopy i z pluskiem wpadła do jeziora. Cofnąłem się na bezpieczną odległość i zajrzałem do środka.

Glina poniżej była szokująco żółta. Plama nierealnego koloru wyglądał spod ciemnych liści. To był lej krasowy, nowo powstały, sądząc po świeżo odsłoniętych korzeniach drzew, które sterczały z jego śliskich zboczy. Krawędź otworu była poszarpana w miejscu, w którym zapadła się ziemia – deszcz musiał mocno nadwerężyć sklepienie podziemnej jaskini. Dziura była głęboka na trzy do opięciu metrów – trudno to było stwierdzić, patrząc z góry. Jej dno wypełniał żółtopomarańczowy szlam wystarczająco gęsty, by przywierać do zboczy, ale na tyle rzadki, by można się było w nim utopić.

Pływał w nim wilk. Jego futro było całkowicie pokryte błotem. Już nie skomlił, tylko unosił się bezwładnie na mazi. Nawet nie przebierał łapami. Był zbyt ubłocony, żebym mógł go rozpoznać.

- Żyjesz? – wyszeptałem.

Na dźwięk mojego głosu wilk konwulsyjnie szarpnął kończynami i uniósł łeb, żeby na mnie spojrzeć.

Grace…

Byłem jak radio nastrojone na wszystkie stacje jednocześnie. W mojej głowie kłębiło się tyle myśli, że żadna nie miała znaczenia.

Teraz dostrzegłem świadectwo jej zmagań: ślady pazurów w miękkiej glinie w pobliżu linii wody, kawałki ziemi wyrwane ze zboczy leja, ścieżki wyślizgane w miejscach, w których jej ciało z powrotem osuwało się do wody. Była tu już od dłuższego czasu, a kiedy na mnie spojrzała, zobaczyłem, że jest zmęczona walką. Dostrzegłem tez w jej oczach świadomość, zadumę, zrozumienie. Gdyby nie zimna woda, która utrzymywała jej ciało w wilczej formie, prawdopodobnie byłaby już człowiekiem.

To tylko pogarszało sytuację.

Cole nabrał powietrza, zanim powiedział:

- Mamy coś, po czym mogłaby się wspiąć? Coś, żeby chociaż…

Nie dokończył, bo ja już przetrząsałem okolice jamy w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się przydać. Ale co mogłem zrobić, skoro Grace pozostawała w wilczej formie? Poziom wody zaczynał się co najmniej dwa metry poniżej krawędzi otworu i nawet gdybym zdołał znaleźć coś wystarczająco długiego, żeby opuścić to do środka – może znalazłoby się coś w szopie – to musiałoby być coś, na co mogłaby wejść, skoro nie była w stanie się wspiąć. Czy w ogóle będę potrafił przekonać ją, żeby na coś weszła? Nawet gdyby miała ludzkie dłonie, palce, to nadal byłoby trudne, ale przynajmniej nie niemożliwe.

- Wszystko na nic – uznał Cole, trącając stopą jakąś gałąź. Wokół jamy leżało tylko parę próchniejących starych pni sosen, powalonych przez wiek i burze, nic przydatnego. – Mamy coś w domu?
- Drabina – powiedziałem.

Droga w tę i z powrotem zajęłaby mi jednak co najmniej trzydzieści minut. Nie sądziłem, żeby Grace mogła wytrzymać w błocie kolejne pół godziny. Tu, w cieniu drzew, było zimno, a w wodzie musiało być jeszcze gorzej. Jak zimno musi być, żeby dostać hipotermii?

Znowu zbliżyłem się do krawędzi jamy. Czułem się bezradny. Zaczął mnie zatruwać ten sam strach, który towarzyszył mi, gdy zobaczyłem atak padaczki Cole’a.

Grace zbliżyła się do ściany leja obok mnie. Obserwowałem, jak próbuje znaleźć oparcie dla łap trzęsących się ze zmęczenia. Nie zdołała wydźwignąć się z wody nawet na kilka centymetrów, a już zsunęła

się z powrotem ze zbocza. Jej głowa ledwie unosiła się nad wodą, drżące uszy miała na wpół położone po sobie. Wszystko w jej wyglądzie świadczyło o skrajnym wycieńczeniu, wyziębieniu, porażce.

– Nie wytrzyma do czasu, aż przyniesiemy drabinę – stwierdził Cole. – Nie ma już tyle siły.

Poczułem mdłości na myśl o prawdopodobieństwie jej śmierci.

– Cole, to przecież Grace… - jęknąłem żałośnie.

Wtedy on spojrzał na mnie zamiast na nią. Miał dziwny wyraz twarzy.

Wilczyca zamrugała, przez chwile odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie. Jej brązowe ślepia były utkwione w moich żółtych oczach.

– Grace – wyszeptałem. – Nie poddawaj się.

To najwyraźniej dodało jej sił, bo znowu zaczęła płynąć, tym razem w kierunku innej części leja. Z bólem pomyślałem, że w tej ponurej determinacji wilczycy widać zdecydowany charakter Grace. Znowu próbowała się wspinać, zapierając się barkiem o zbocze, a druga łapą skrobiąc w stromą ścianę. Tylne łapy opierała na czymś pod powierzchnia wody. Wyciągając się do góry, tak że aż drgały jej mięśnie, napierała na glinianą ścianę, przymykając jedno oko, do którego spływało jej błoto. Cała drżąca, patrzyła na mnie tym drugim.

Tak łatwo było dojrzeć w niej moją Grace, pomimo szlamu, wilczej skóry i całej reszty.

A potem ściana się poddała. Kaskada błota i piachu runęła w dół i wilczyca znów wpadła do wody. Jej głowa zniknęła pod powierzchnią.

Przez nieskończenie długą chwilę brązowa woda pozostawała całkowicie nieruchoma.

W ciągu tych kilku sekund, w trakcie których Grace walczyła o to, żeby się wynurzyć, podjąłem decyzję.

Ściągnąłem kurtkę, stanąłem na krawędzi leja i zanim zdążyłem rozważyć wszelkie przerażające potencjalne konsekwencje tego czynu, zsunąłem się do środka.

Usłyszałem, jak Cole woła moje imię, ale było już za późno.

Na wpół zjechałem, na wpół wpadłem do wody. Moja stopa dotknęła czegoś śliskiego i zanim zdołałem określić, czy to już dno jamy, czy tylko jakiś wystający korzeń, pochłonęło mnie błoto. Piaszczysta breja zapiekła mnie w oczy. W ciemności czas zniknął, stał się pojęciem względnym. Chwilę potem wymacałem nogami dno i wystawiłem głowę nad powierzchnię.

– Sam Roth, ty draniu! – zawołał Cole.

W jego głosie pobrzmiewał podziw, co prawdopodobnie oznaczało, że podjąłem złą decyzję.

Woda sięgała mi do obojczyków. Była lepka, szlamowata i przenikliwie zimna. Znajdując się w tej cholernej jamie, czułem, jakbym nie miał skóry, tylko same kości obmywane lodowatym błotem.

Grace trwała dociśnięta do przeciwległej ściany, z łbem nad powierzchnią, rozdarta pomiędzy czujnością a uczuciem, którego jej zwierzęce rysy nie potrafiły wyrazić. Teraz, kiedy znałem głębokość jamy, uświadomiłem sobie, że wilczyca musi stać na tylnych łapach, opierając się o ścianę, żeby oszczędzać siły.

– Grace – szepnąłem.

Na dźwięk mojego głosu w jej oczach pojawił się strach. Starałem się nie brać tego do siebie. Wilcze instynkty brały górę niezależnie od tego, ile ludzkich emocji widziałem wcześniej w jej spojrzeniu.

Musiałem przemyśleć mój plan podsadzenia jej do krawędzi jamy. Trudno mi było jednak się skupić. Było tak zimno, że pokrywająca moje ciało gęsia skórka niemalże bolała. Instynkt podpowiadał mi, żebym się stąd wynosił, zanim się przemienię.

Było tak zimno.

Nade mną Cole kucał przy krawędzi jamy. Wyczuwałem jego zniecierpliwienie, słyszałem niezadane pytanie, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

Przesunąłem się ostrożnie w kierunku Grace, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Szarpnęła się do tyłu w odruchu obronnym i straciła grunt pod łapami. Zniknęła w wodzie i tym razem nie było jej przez kilka oddechów. Kiedy znowu się wyłoniła, bezskutecznie próbowała znaleźć poprzedni punkt oparcia, ale ściana nie chciała jej już podtrzymać. Anemicznie przebierała łapami, głośno wydychając powietrze przez nozdrza. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu.

- Mam tam zejść? – zapytał Cole.

Potrząsnąłem głową. Ledwie byłem w stanie mówić.

- Za… z-zimno. Przemienisz… się…

Obok mnie wilk zaskomlił cicho ze strachu.

„Grace – pomyślałem, zamykając oczy. – Proszę, pamiętaj, kim jestem". Uniosłem powieki.

Zniknęła. Zobaczyłem tylko parę zmarszczek na wodzie w miejscu, w którym tonęła.

Rzuciłem się do przodu – moje buty grzęzły w miękkim szlamie na dnie jamy – i zacząłem zagarniać ramionami wodę. Sekundy mijały, a ja wyczuwałem tylko błoto na skórze i korzenie pod palcami. Zbiornik, który z góry wydawał się mały, okazał się ogromny i bezdenny.

Wszystko, o czym potrafiłem myśleć, to: „Ona umrze, zanim ja odnajdę. Ona umrze kilka centymetrów od koniuszków moich palców, wciągając wodę przez nos i oddychając błotem. Będę przeżywał ten koszmarny moment wciąż i wciąż, każdego dnia, aż do końca swoich dni".

W tym momencie moje dłonie natrafiły na jakiś kształt. Poczułem pod palcami mokre futro. Oplotłem tułów wilczycy ramionami, podniosłem ja i wydostałem jej głowę nad wodę.

Nie musiałem się martwić, że zacznie kłapać na mnie zębami. Była wiotka w moich ramionach, niemal nic nie ważyła, a woda jeszcze wypychała ją na powierzchnię. Po wielu godzinach spędzonym w wodzie była niczym golem ulepiony z błota i patyków, zimna niczym trup. Brązowy szlam z bulgotem wypływał jej z nozdrzy.

Nie mogłem przestać drżeć. Przytuliłem czoło do jej ubłoconego pyska. Nawet się nie wzdrygnęła. Poczułem jej żebra dociśnięte do mojego brzucha. Znowu odetchnęła, wypluwając lepką, brudna wodę.

- Grace – wyszeptałem. – To się tak nie skończy.

Każdy z jej wydechów był mokry i chrapliwy. Różne pomysły i rozwiązania rywalizowały o pierwsze miejsce w mojej głowie: gdybym tak wyciągnął ją bardziej z wody, gdyby tak udało mi się ją ogrzać, gdybym tak utrzymał ja nad wodą, dopóki nie odzyska trochę sił, gdyby tak Cole zdobył drabinę… Ale nie potrafiłem skupić się na żadnym z nich. Podtrzymując jej łeb ponad powierzchnia płynnego błota, krążyłem powoli, próbując wymacać stopami podpórkę, na której wcześniej stała.

Spojrzałem w górę, w stronę krawędzi jamy. Cole zniknął. Nie wiedziałem, co myśleć.

Przesuwając się powoli, wymacałem stopą śliski, ale gruby korzeń, który wytrzymał moją wagę, i oparłem się o ścianę, z wilczym ciałem Grace w ramionach. Przytulałem ja do siebie, dopóki nie poczułem dziwnie szybkiego bicia jej serca przy mojej piersi. Drżała teraz – nie wiedziałem, czy ze strachu, czy z wyczerpania. Nie wiedziałem też, jak nas stąd wydostanę.

Ale wiedziałem jedno – nie zamierzałem się poddać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

COLE

Gdy byłem wilkiem, bieganie nie sprawiało mi żadnych trudności. Każdy mięsień wilczego ciała był do tego przystosowany, części organizmu współpracowały, gwarantując płynny, bezustanny ruch, a zwierzęcy umysł nie pojmował koncepcji zmęczenia po długim wysiłku. Biegałem tak, jakbym nigdy nie miał się zatrzymać – dopóki nie dotarłem do miejsca przeznaczenia.

Jako człowiek czułem się powolny i niezdarny. Moje stopy były bezużyteczne w tym błocie, które lepiło się do nich tak nachalnie, że co chwile musiałem je strząsać, żeby móc iść dalej. Gdy dotarłem do celu, brakowało mi tchu, a kolana bolały od wbiegania pod górę. Ale nie miałem czasu na użalanie się nad sobą. Wiedziałem mniej więcej, czego potrzebuję z szopy, o ile na miejscu nie wpadnę na lepszy pomysł.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Rzeczy, które wcześniej uważałem za nieskończenie praktyczne, teraz wydały mi się kompletnie zbędne. Pojemniki z ubraniami. Pudła z jedzeniem. Butelkowana woda. Telewizor. Koce.

Zrywałem pokrywki z kolejnych pojemników, szukając potrzebnego sprzętu: jakiegoś kabla, sznura, liny do skoków bungee, zwiniętego w kłębek pytona królewskiego. Czegokolwiek, do czego mógłbym przymocować pojemnik, żeby zamienić go w swego rodzaju windę do transportu wilków. Ale w szopie nie przechowywano niczego takiego. To było swoiste przedszkole dla wilkołaków. Przekąski na podwieczorek i kocyki do leżakowania.

Zakląłem w pustkę.

Może powinienem był zaryzykować i wrócić do domu po drabinę? Pomyślałem o Samie, trzęsącym się z Imna w tamtej jamie, z Grace w ramionach.

Przed oczami błysnęło mi wspomnienie: zimne ciało Victora na dnie dołu; przysypująca go ziemia. Cholerny umysł płatał mi figle – Victor był przecież zawinięty w prześcieradło, kiecy go pochowaliśmy – ale pomogło. Nie zamierzałem grzebać Sama, a z nim kolejnego wilka. A zwłaszcza Grace.

Jeśli chodzi o Sama i Grace, i fakt, że chłopak nie potrafił bez niej funkcjonować, to zaczynałem już powoli rozumieć, na czym to polegało. To był ten rodzaj miłości, który istniał wyłącznie wtedy, gdy były obecne obie połówki. Gdyby jedna strona równania odeszła, umarła lub jej okazała się nie tak doskonała, jak się wydawało, to uczucie zamieniłoby się w najbardziej tragiczną i żałosną historię miłosną wszech czasów, śmiechu wartą w swojej niedorzeczności. Bez Grace Sam był po prostu jak żart bez pointy.

„Myśl, Cole. Jaka jest logiczna odpowiedź?”.

Głos mojego ojca.

Zamknąłem oczy, wyobraziłem sobie boki jamy, Grace, Sama, mnie na górze. Proste. Czasami najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Otworzyłem oczy, złapałem dwa pojemniki i wyrzuciłem ich zawartość na podłogę pomieszczenia. Zostawiając wszystko poza ręcznikiem. Włożyłem jeden pojemnik w drugi, wrzuciłem do środka ręcznik, a pokrywy wepchnąłem pod pachę.

Wyglądało na to, że najlepszą bronią w moim życiu zawsze były rzeczy najbardziej nieszkodliwe: puste plastikowe pojemniki, puste płyty CD, nieoznaczone strzykawki, mój uśmiech w ciemnym pokoju.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi szopy.

GRACE

Byłam martwa, unosiłam się w wodzie głębszej niż ja i szerszej niż ja.

Byłam

bulgoczącym oddechem
gliną w moich ustach
ciemnością przed oczami
momentem
potem jeszcze jednym
a potem byłam
Grace
Unosiłam się w wodzie zimniejszej niż ja i silniejszej niż ja.
„Pozostań przytomna”.
Ciepło jego ciała szarpało moja skórę
rozrywało ją
„Proszę, jeśli potrafisz mnie zrozumieć”.
byłam wywrócona na lewą stronę
wszystko było żółte, złote, rozmazane na mojej skórze
„Pozostań przytomna”.
ja
byłam
przytomna
ja
byłam

COLE

Kiedy wróciłem, w jamie panowała upiorna cisza. Z jakiegoś powodu prawie spodziewałem się, że znajdę już tylko ich martwe ciała. Kiedyś wykorzystałbym to uczucie i napisałbym o nim piosenkę, ale tamte czasy już dawno minęły.

Jednak oni żyli. Sam podniósł na mnie wzrok, kiedy zbliżyłem się do krawędzi otworu. Włosy miał w nieładzie, który w normalnej sytuacji szybko skorygowałby dłonią, ale oczywiście teraz nie miał wolnych rąk. Trząsł się z zimna i przyciskał podbródek do piersi.

Gdybym nie wiedział, co trzyma w ramionach, nigdy bym nie odgadł, że ten ciemny kształt to żywe a w dodatku dzikie zwierzę.

- Uwaga! – zawołałem.

Sam spojrzał do góry dokładnie w momencie, w którym wrzuciłem do jamy dwa pojemniki. Skrzywił się, kiedy woda eksplodowała fontanną, tak wysoko, że aż opryskała moją skórę zimnymi kroplami. Poczułem, jak zwierzę wewnątrz mnie szarpie się pod wpływem tego doznania, po czym niemal natychmiast zasypia. To było dziwne upomnienie, że ostatecznie i tak przemienię się w wilka – i to nie dlatego, że coś sobie wstrzyknę albo w wyniku innego eksperymentu. Koniec końców zmienię się, bo nic nie mogę na to poradzić.

- C-cole? – zapytał Sam z konsternacją.
- Stań na pojemnikach. Jeden może wystarczyć. Jest ciężka?
- N-nie.
- Podasz mi ją – wyjaśniłem.

Czekałem, podczas gdy on przesuwał się sztywno w kierunku najbliższego pojemnika, który unosił się, podskakując, na powierzchni. Będzie musiał wepchnąć go pod wodę i odwrócić do góry dnem, żeby zrobić z niego stopień. Próbował się pochylić, żeby złapać krawędź, jednocześnie wciąż przytrzymując Grace. Jej

głowa oderwała się bezwładnie od jego piersi. Było jasne, że nie mógł manipulować pojemnikiem, nie wypuszczając wilczycy z ramion, a to oznaczałoby jej utopienie.

Sam stał tam, gapiąc się na pływający po powierzchni obiekt. Trwał w całkowitym bezruchu, z głową przekrzywiona na bok. Zgarbiony, z opuszczonymi ramionami. Victor nauczył mnie rozpoznawania takiej postawy, uniwersalnej w każdym języku. To oznaczało poddanie się.

Są takie chwile, kiedy tylko rozsiadasz się wygodnie i pozwalasz innym zagrać solówkę. Są też takie momenty, kiedy wstajesz i przejmujesz kontrolę nad sceną. Prawda była taka, że nigdy nie prezentowałem się zbyt dobrze, siedząc bezczynnie.

- Uważaj! – zawołałem i zjechałem na tyłu do dziury, właściwie nie dając Samowi szansy, by odpowiednio zareagował. Przez chwilę moje ciało nie miało pojęcia, jak długo jeszcze będę leciał i kiedy muszę się czegoś złapać. W ostatniej chwili znalazłem oparcie dla stóp, tuż zanim moja głowa zanurzyła się pod powierzchnię płynnego błota. – Jasna cholera – sapnąłem, bo woda była wściekle lodowata.

Pokryta warstwą szlamu twarz Sama zdradzała niepewność, ale chyba zrozumiał, co zamierzam zrobić.

- L-lepiej się pośpiesz…
- Myślisz? – rzuciłem.

Ale Sam miał rację. Zimne palce wody szarpały mnie i dźgały, próbując obudzić we mnie wilka. Przewróciłem pierwsze pudło. Błoto zaczęło się wlewać do środka i wkrótce pojemnik zanurzył się. Starając się utrzymać w ryzach kolejne skręty żołądka, na wyczucie obróciłem pudło i popchnąłem je głębiej w szlam, na samo dno. Sięgnąłem po kolejne, pozwoliłem mu napełnić się błotem, a potem umieściłem je na poprzednim. Złapałem unoszącą się na powierzchni pokrywkę i docisnąłem ją na górze konstrukcji.

- T-trzymaj mocno – wydusił Sam. Zęby kłapały mu jak na kreskówce. – P-pozwól mi wziąć ja i…

Nie dokończył, ale nie musiał. Poprawił ją sobie w ramionach i wszedł na pierwszy pojemnik. Wyciągnąłem wolną rękę, żeby go asekurować. Jego ramię miało temperaturę błota. Grace na jego rękach wyglądała jak martwy pies. Sam zacisnął zęby i wspiął się na kolejny pojemnik. Oba zachwiały się niepewnie. Tylko ja powstrzymywałem je przed zawaleniem się pod ciężarem człowieka i wilka.

- Szybko – wysyczałem.

Boże, ta woda była lodowata! Nie mogłem się do niej przyzwyczaić. Zamienię się w wilka… Nie, nie mogę się przemienić, nie teraz… Docisnąłem mocniej pojemniki. Sam stał na nich z Grace w objęciach, a jego ramiona zrównały się z krawędzią leja. Przymknął oczy na ułamek sekundy. Wyszeptał „przepraszam”, a potem wyrzucił ciało wilka na brzeg. Delikatnie, ale i tak widziałem, że go to zabolało. Odwrócił się do mnie. Wciąż trząsł się z zimna.

Byłem tak bliski przemiany, że czułem smak wilka w ustach.

- Wychodź pierwszy – powiedział Sam, zaciskając zęby, żeby głos mu się nie rwał. – Nie chciałbym, żebyś się teraz przemienił.

Moje życie nie miało znaczenia, to nie ja za wszelką cenę musiałem wydostać się z tej dziury, ale Sam nie chciał słuchać żadnym argumentów. Zszedł z pojemników i ciężko wpadł do wody obok mnie. Moje trzewia były już splątane w supeł, który zaciskał się i rozluźniał.

- Wspinaj się – powtórzył chłopak.

Skóra na czubku mojej głowy falowała. Sam złapał mnie za szczękę, że aż zabolało, kiedy jego palce wbiły mi się w żuchwę. Spojrzał mi prosto w oczy i poczułem, jak wilk wewnątrz mnie reaguje na wyzwanie, na ten milczący zew, który przydał siły jego poleceniu. Takiego Sama nie znałem.

- Wspinaj się! – rozkazał. – Ale już!

Nie miałem wyjścia. Wszedłem na pojemniki, choć moim ciałem szarpały drgawki, i wymacałem palcami krawędź leja. Z każdą sekundą czułem się bardziej człowiekiem, a mniej wilkiem, choć cuchnąłem zwierzęciem, śmierdziałem niemal-przemianą. Przez moment odpoczywałem, żeby zebrać siły, po czym podciągnąłem się i wypełzłem na brzeg. Nie był to najseksowniejszy z moich ruchów, ale i tak byłem pod wrażeniem, że mi się udało. Grace leżała na boku, nieruchomo, ale oddychała.

Tymczasem Sam wspiął się niepewnie na pierwszy pojemnik i zamarł na chwilę, żeby złapać równowagę.

- Ja… Za sekundę to wszystko runie – powiedział. – Mógłbyś…
- Jasne – przytaknąłem.

Mylił się. Miał mniej niż sekundę. Ledwie wspiął się na drugi pojemnik, kiedy konstrukcja zaczęła się pod nim przewracać. Wyciągnął ręce do góry, a ja niemal w tym samym momencie złapałem go za ramię. Pojemniki wpadły z powrotem do wody – plusk był bardziej stłumiony, niż bym się spodziewał – podczas gdy Sam machnął drugą ręką, żebym chwycił go również za nią. Zaparłem się o rozmokłą krawędź leja. Całe szczęście, że chłopak był takim chuderlakiem, bo inaczej obaj skończylibyśmy z powrotem w dole.

A potem było już po wszystkim. Opierałem się na rękach, łapiąc oddech, od stóp do głów pokryty śliskim błotem. Sam siedział obok Grace, zaciskając i rozwierając pięści, patrząc na glinę pokrywającą jego dłonie. Wilczyca leżała spokojnie obok niego, jej oddech był urywany i szybki.

- Nie musiałeś tam schodzić – zauważył.
- A właśnie że musiałem – odpowiedziałem.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że na mnie patrzy. W cieniu lasu jego oczy wyglądały bardzo blado. Były tak uderzająco wilcze. Przypomniałem sobie, jak złapał mnie za żuchwę i nakazał się wspinać, odwołując się do moich wilczych instynktów. Ostatnim razem, gdy ktoś patrzył mi w twarz w ten sposób, nakazał mi słuchać i skupić się. To było wtedy, gdy przemieniłem się po raz pierwszy. Tamten głos należał do Geoffreya Becka.

Sam wyciągnął dłoń i dotknął boku Grace. Zobaczyłem, jak jego palce przesuwają się po jej żebrach ukrytych pod futrem.

Jest taki jeden wiersz: *Wie Lange braucht Man jeden Tag, bis Man sich kennt*[*]. – Wciąż dotykał wilczych żeber, dopóki wilk nie uniósł głowy z niepokojem. Wtedy dopiero położył dłonie na swoich kolanach. – To znaczy: „Ile czasu potrzeba nam, każdego dnia, by poznać siebie nawzajem". Nie byłem całkiem fair wobec ciebie, Cole.

Powiedziałem mu, że to nie miało znaczenia. Chociaż tak naprawdę miało.

- Zachowaj swoją szwabską poezje dla Grace – rzuciłem po chwili. – Przyprawiasz mnie o dreszcze tymi dziwactwami.
- Mówię serio – upierał się chłopak.
- Ja też – odparłem, nie patrząc na niego. – Nawet po wyleczeniu jesteś niewiarygodnie anormalny.

Sam się nie zaśmiał.

- Przyjmij przeprosiny, Cole, a obiecuję, że więcej o tym nie wspomnę.
- W porządku – zgodziłem się, wstałem i rzuciłem mu ręcznik. – Przeprosiny przyjęte. Na twoją obronę dodam, że tak naprawdę nie zasługiwałem na to, żeby traktować mnie fair.

Sam ostrożnie otulił ciało wilczycy ręcznikiem. Wzdrygnęła się pod jego dotykiem, ale była zbyt wyczerpana, żeby zareagować.

[*] Sonja Schüler, fragment wiersza „Für W.".

- Nie tak zostałem wychowany – odezwał się w końcu. – Ludzie nie muszą sobie zasłużyć na dobroć. Mogą zasłużyć najwyżej na okrucieństwo.

Nagle pomyślałem o tym, że ta rozmowa mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej, gdyby była tu Isabel. Ona nie zgodziłaby się z takim poglądem. W jej przypadku pojęcia dobroci i okrucieństwa czasami oznaczały to samo.

- Tak czy inaczej… - podjął Sam, ale nie skończył.

Podniósł ciało Grace, tak ciasno owinięte ręcznikiem, że nie mogłaby się ruszyć, nawet gdyby odzyskała siły, i skierował się w stronę domu.

Zamiast podążyć za nim, podszedłem z powrotem do krawędzi leja i zajrzałem do środka. Dwa pojemniki wciąż unosiły się w błocie, tak pokryte brudnym szlamem, że nie dało się dojrzeć ich oryginalnego koloru. Nic nie zdradzało głębokości jamy.

Splunąłem do niej. Błoto było tak gęste, że nie ustąpiło nawet odrobinę pod moją plwociną. To było piekło, umrzeć w takim miejscu. Dotarło do mnie, że wszystkie sposoby umierania, których próbowałem, były proste. Tylko że wtedy tak mi się nie wydawało – gdy leżałem na podłodze i powtarzałem „dośćdośćdośćpozwólciemiodejść” nieskierowane do nikogo konkretnego. Ale nigdy tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym, że śmierć we własnym ciele może stanowić przywilej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ISABEL

Jeszcze przed śmiercią Jacka rodzice mieli w zwyczaju wykręcać nam pewien numer. Czekali, aż zaplanujemy coś, na czym naprawdę nam zależało – umówimy się z przyjaciółmi albo zorganizujemy wypad do kina na premierę filmu, o którym marzyliśmy od miesięcy – po czym porywali nas i zabierali do „Il Pomodoro".

Ta włoska restauracja znajdowała się półtorej godziny drogi od Mercy Falls, pośrodku pustkowia, co wiele mówiło o miejscu, w którym żyłam, bo Mercy Falls też znajdowało się pośrodku pustkowia. Można by nawet się zastanawiać, po co ktoś miałby jechać z jednego zadupia na drugie. Prawda była taka, że nasz tata, znany przez większość osób jako twardziel patroszący przeciwników na sali sądowej z łatwością welociraptora na haju, zamieniał się w rozkoszne kociątko w otoczeniu Włochów, którzy serwowali mu pieczywo czosnkowe.

W trakcie tego ciężkiego dnia, kiedy marzyłam tylko o tym, by lekcje wreszcie się skończyły, żebym mogła pojechać do domu Becka i zobaczyć, co wymyślili Sam z Cole'em, nie licząc miliona innych rzeczy spoczywających na mojej głowie, powinnam była sobie uświadomić, że to idealne okoliczności do rodzicielskiego porwania. Ale minął już ponad rok, od kiedy ostatnio zrobili coś takiego. Opuściłam gardę i nie byłam przygotowana.

Ledwie wyszłam ze szkoły, kiedy zadzwoniła moja komórka. To był ojciec, więc oczywiście musiałam odebrać, żeby nie ryzykować jego gniewu. Otwierając klapkę telefonu, machnęłam ręką do odjeżdżającej z parkingu Mackenzie. Dziewczyna odmachała mi przez ramię, nie oglądając się za siebie.

- Tak, co tam? – rzuciłam, naciskając guzik na breloku od kluczyków, żeby sprawdzić zasięg zdalnego otwierania samochodu.
- Jak skończysz lekcje, wracaj od razu do domu – powiedział mój ojciec. Usłyszałam syk bieżącej wody w tle oraz trzask kasetki z kosmetykami. – Idziemy dziś wieczorem do „Il Pomodoro". Ruszamy, jak tylko tu dotrzesz.
- Mówisz serio? – zapytałam. – Mam pracę domową do odrobienia i muszę jutro rano wstać. Nie możecie pojechać beze mnie? Będziecie mieć romantyczny wieczór.

Mój ojciec roześmiał się bezlitośnie: „Ha. Ha. Ha", a potem dodał:

- Spotykamy się większą grupą, Isabel. To takie małe przyjęcie dla uczczenia naszego sukcesu. Wszyscy chcą cię zobaczyć. Minęło już dużo czasu. – Moja mama zamruczała cos w tle. – Twoja matka mówi, że jeśli pojedziesz z nami, zapłaci za wymianę oleju w twoim aucie.

Szarpnięciem otworzyłam drzwi SUV-a i skrzywiłam się, bo przy okazji wdepnęłam w kałużę. Wszystko w tym tygodniu było mokre. Z wnętrza samochodu buchnęło ciepłe powietrze: znak, że jednak nadeszła już wiosna, skoro zdołała się nagrzać, stojąc na parkingu.

- Już mi to obiecała za to, że odebrałam jej ostatnio pranie.

Mój ojciec przekazał tę informacje matce. Po chwili kontynuował negocjacje:

- Mówi, że zabierze cię do Duluth na jakiś ba… balejaż. Czekaj, czy to coś związanego z włosami? Bo nie jestem zwolennikiem…
- Naprawdę nie chcę jechać – przerwałam mu. – Mam plany. – W tym momencie dotarło do mnie, co powiedział wcześniej. – A co w ogóle świętujecie? Chodzi o to polowanie na wilki?
- Cóż, tak, ale przecież nie zamierzamy o tym rozmawiać przez c a ł y wieczór – obiecał ojciec. – Będzie zabawnie. Chcemy…

- Dobrze. W porządku. Pojadę. Powiedz mamie, że bardziej potrzebuję strzyżenia niż farbowania. I nie u tego matoła, którego ona lubi. Przez niego wyglądam staro. Chyba nauczył się fryzjerstwa, oglądając sitcomy z lat dziewięćdziesiątych. – Wsiadłam do samochodu i odpaliłam silnik, starając się nie myśleć o czekającym mnie wieczorze. Robiłam dla Grace i Sama rzeczy, których nie zrobiłabym dla nikogo innego.
- Bardzo się cieszę, Isabel – powiedział mój ojciec.

Ściągnęłam brwi nad kierownicą. Ale uwierzyłam mu.

Za każdym razem, gdy przychodziliśmy do „Il Pomodoro", zastanawiałam się, jak to miejsce zdołało tak zauroczyć moich rodziców. Byliśmy Kalifornijczykami, na litość boską, którzy powinni się znać na dobrej kuchni. A jednak siedzieliśmy tutaj, przy stole nakrytym obrusem w biało-czerwoną kratkę, słuchając jakiejś marnej śpiewaczki operowej, studiując menu i przegryzając cztery różne gatunki pieczywa, z których żadne nie wyglądało na włoskie – wszystkie prawdopodobnie były rodem z Minnesoty. Sala restauracyjna była ciemna, sufit zawieszony nisko i wyłożony dźwiękochłonnymi płytami. To był włosko-amerykański grobowiec z dodatkiem pesto.

Robiłam, co tylko mogłam, żeby usiąść jak najbliżej ojca, bo było tu z nami piętnaście osób, a ja zgodziłam się dołączyć do nich tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o obławie. Niestety i tak wylądowałam obok kobiety imieniem Dolly, która wepchnęła się między nas. Po mojej drugiej stronie siedział jej syn, który wyglądał, jakby układał sobie włosy, stając tyłem w tunelu aerodynamicznym. Skubałam paluszek chlebowy i starałam się nie stykać łokciami z żadnym z sąsiadów.

Coś przeleciało przez stół i wylądowało dokładnie w zagłębieniu mojego dekoltu, pomiędzy piersiami. Naprzeciwko siedziała kolejna ofiara tunelu aerodynamicznego – może brat – uśmiechając się ironiczne i zerkając porozumiewawczo na chłopaka koło mnie. Dolly nie zareagowała, rozmawiając z moją matką, która siedziała po drugiej stronie ojca.

Pochyliłam się w stronę rzucającego okruszkami.

- Zrób to jeszcze raz – zagroziłam, wystarczająco głośno, żeby przekrzyczeć śpiewaczkę, Dolly, moją matkę i zagłuszyć aromat paluszków chlebowych – a sprzedam twojego pierworodnego szatanowi.

Kiedy się z powrotem wyprostowałam, chłopak siedzący obok mnie zagaił:

- Jest wkurzający, przepraszam.

Wiedziałam, że tak naprawdę pomyślał: „Ale świetny pretekst do rozpoczęcia rozmowy, dzięki, brachu!". Oczywiście Grace powiedziałaby, że może po prostu chciał być miły, bo ona była miła dla wszystkich. Ale mój brat zgodziłby się ze mną.

Naprawdę ciężko było nie myśleć o tym, jak byliśmy tu ostatnim razem. Jack siedział przy stole naprzeciwko mnie. Za jego plecami ciągnęły się rzędy butelek wina, tak jak za plecami dzieciaka siedzącego teraz przede mną. Mój brat zachowywał się wtedy jak debil, chociaż starałam się o tym nie pamiętać. Miałam wrażenie, że nie tęskniłabym za nim w odpowiedni sposób, gdybym nie wymazała z pamięci wspomnień o tym, jak bardzo nim czasami pogardzałam. Zamiast tego starałam się pamiętać, jak wyglądał, kiedy się uśmiechał i pracował upaćkany przy aucie na podjeździe, chociaż ostatnio coraz częściej wydawało mi się, że pamiętam tylko wspomnienie wspomnienia jego uśmiechu, a nie sam uśmiech. Gdy myślałam o tym za dużo, czułam się tak, jakbym traciła kontakt z rzeczywistością.

Śpiewaczka operowa przerwała występ, który został nagrodzony uprzejmymi brawami i przeniosła się na małą scenę z boku restauracji, gdzie zaczęła rozmawiać z inną osobą w równie gorszącym kostiumie. Mój ojciec skorzystał z okazji, żeby zadzwonić łyżeczką o kieliszek.

- Wypijmy za tych z nas, którzy dzisiaj nie piją – oświadczył, wstając. – Za Marshalla, który uwierzył, że nam się uda. I za Jacka, który nie może być tutaj dziś z nami… - przerwał, a potem dodał - … i który męczyłby nas, żebyśmy też dali mu się napić, gdyby tu był.

Pomyślałam, że to marny toast, nawet jeśli prawdziwy, ale pozwoliłam, by sąsiedzi stuknęli swoimi kieliszkami o mój, wypełniony wodą. Obdarzyłam gnojka z naprzeciwka pogardliwym spojrzeniem i zabrałam swój kieliszek, zanim zdążył się ze mną stuknąć. Wciąż miałam okruchy w staniku.

Marshall siedział na końcu stołu, a jego głos grzmiał z oddali, górując nad wypowiedziami mojego ojca. Miał donośny głos typowego kongresmana. Taki, który brzmiał dobrze zarówno wtedy, gdy wypowiadał zdania typu: „Mniejsze obciążenia podatkowe dla przedstawicieli klasy średniej" i „Dziękuję panu za tę darowiznę", jak i: „Kochanie, czy mogłabyś mi przynieść ten sweter z kaczuszką?". Teraz swobodnym tonem zauważył:

- Czy wiedzieliście, że macie tu najbardziej niebezpieczne wilki w Ameryce Północnej? – Uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem, że mógł się z nami podzielić tą informacją. Krawat miał poluźniony. – Zanim wataha z Mercy Falls stała się aktywna, w sumie były tylko dwa potwierdzone ataki wilków w naszym kraju. Na ludzi, oczywiście. Na zachodzie farmerzy stracili trochę bydła, to na pewno właśnie dlatego wystrzelali te dwieście dwadzieścia wilków w Idaho.
- To myśliwi mogli zabić aż tyle? – zapytała Dolly.
- Pewnie, że tak – potwierdził Marshall nieoczekiwanie z akcentem z Minnesoty.
- To chyba dużo – zauważyła kobieta. – My też mamy tutaj tyle wilków?

Mój ojciec wtrącił się gładko do rozmowy. W porównaniu z Marshallem brzmiał znacznie bardziej elegancko i kulturalnie. Oczywiście wciąż siedzieliśmy w „Il Pomodoro", więc o jakiej kulturze mogłaby być mowa… Ale jednak przemówił dostojnie:

- Och nie, sfora z Mercy Falls szacowana jest na dwadzieścia do trzydziestu osobników. Najwyżej.

Zastanawiałam się, jak Sam odebrałby tę rozmowę. Zastanawiałam się, co postanowili z Cole'em, o ile w ogóle cos wymyślili. Przypomniałam sobie dziwny, zdecydowany wyraz twarzy Sama w księgarni i natychmiast poczułam się pusta i niekompletna.

- Co zatem sprawia, że nasza sfora jest taka niebezpieczna? – zastanawiała się Dolly, opierając podbródek na splecionych dłoniach. Stosowała sztuczkę, z której sama korzystałam wystarczająco często, żeby ją rozpoznać. Zainteresowanie połączone z ignorancją znakomicie przyciągało uwagę innych.
- Są zbyt spoufalone z ludźmi – odpowiedział mój ojciec. Dał znak jednej z kelnerek, że jesteśmy gotowi złożyć zamówienie. – To, co trzyma wilki z dala od ludzi, to strach, a kiedy się nie boją, są po prostu dużymi miejscowymi drapieżnikami. W przeszłości, w Europie oraz Indiach, wilcze stada słynęły z zabijania ludzi. – W jego głosie nie było śladu emocji, kiedy mówił o zabijaniu. Nie myślał teraz o tym, że wilki zabiły Jacka. Miał cel. Misję. I póki był na niej skupiony, czuł się dobrze.

To był stary dobry tata, potężny i frustrujący, jednocześnie budzący dumę i respekt. Nie widziałam tej wersji jego osoby od czasu śmierci Jacka. Z goryczą uświadomiłam sobie, że gdyby nie groźba wisząca nad Samem, Grace i Cole'em, byłabym szczęśliwa w tym momencie, nawet siedząc w „Il Pomodoro". Moi rodzice, uśmiechnięci i gawędzący jak za dawnych dobrych czasów. Mogłabym to odzyskać, ale straciłabym wszystkich moich prawdziwych przyjaciół.

- Och, nie, w Kanadzie maja znaczną populację – tłumaczył mój ojciec starszemu mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko niego.

– Tu nie chodzi o liczby – uciął Marshall.

Nikt poza nim nie wtrącił się do tej rozmowy. Nic już nie można było dodać.

Wszyscy podskoczyliśmy, kiedy śpiewaczka znowu zaczęła zawodzić. Zobaczyłam, jak Marshall mówi: „Mój Boże", choć nie było go słychać przez ten sopran.

W tej samej chwili, gdy poczułam wibracje telefonu, coś załaskotało mnie w szyję. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak głupek po drugiej stronie stołu idiotycznie szczerzy do mnie zęby po tym, jak wrzucił mi za dekolt kolejny okruszek. Tym razem śpiewaczka produkowała się za głośno, bym mogła zwrócić mu uwagę. I dobrze, bo wszystko, co przychodziło mi do głowy, to wulgaryzmy. Co więcej, za każdym razem, kiedy patrzyłam w jego stronę, myślałam o Jacku siedzącym tu wtedy z nami i o tym, że teraz rozmawiamy o zwierzętach, które go zabiły, a nie o tym, że już nigdy nie będzie jadł z nami w tej restauracji. Drgnęłam, kiedy poczułam kolejne dotknięcie, tym razem we włosach. To był mój sąsiad, z palcami przy mojej skroni.

– Miałaś trochę we włosach! – zawołał, przekrzykując operowy świergot.

Podniosłam dłoń, dając mu znak, żeby przestał.

Mój ojciec pochylał się nad stołem w stronę Marshalla, niemal krzycząc, żeby było go słychać przy muzyce, która brzmiała jak Bizet. Usłyszałam, jak wrzeszczy:

– Z powietrza widać wszystko!

Wyciągnęłam telefon i otworzyłam klapkę. Na widok numeru Sama poczułam, jak żołądek skręca mi się w nerwowy supeł. Przysłała mi wiadomość pełną literówek.

Znaleyzlisny ja. Bylo zlef ale cole zachowak się jak bohaterr.
Pomxyslalem ze bedyziesz chciala wiedec. S

Żadnych nazwisk. Sam potrafił być niegłupi, kiedy chciał. Ale trudno było patrzeć na słowa „Cole" i „bohater" w tym samym zdaniu. Ten wyraz sugerował swego rodzaju rycerskość. Próbowałam odpisać pod stołem, z dala od ciekawskich spojrzeń chłopaka obok i Dolly po drugiej stronie, że właśnie jestem w trakcie kolacji i słucham szczegółów na temat polowania, i że zadzwonię później. Albo wpadnę. Kiedy napisałam „wpadnę", poczułam skurcz żołądka i zapierającą dech w piersiach falę niezrozumiałego poczucia winy.

Wtedy śpiew wreszcie się urwał i wokół mnie rozległy się oklaski – Dolly trzymała ręce przy twarzy i klaskała tuż przy moim uchu – ale mój ojciec i Marshall rozmawiali dalej, pochylając się ku sobie nad stołem.

Głos mojego ojca brzmiał wyraźnie:

– … wykurzyć je z lasów, jak to zrobiliśmy wcześniej, ale użyć do tego więcej ludzi, z błogosławieństwem stanu, służb leśnych i tak dalej. A kiedy już będą na północ od lasu Boundary, na otwartej przestrzeni, do roboty wezmą się strzelcy wyborowi w helikopterze.
– Mieli dziewięćdziesięcioprocentową skuteczność w Idaho, powiadasz? – upewnił się Marshall, po czym zamarł z widelcem nad przystawką, jakby robił nim notatki.
– Nawet jeśli parę sztuk przeżyje, to nie będzie miało znaczenia – wyjaśnił ojciec. – Bez watahy nie dadzą sobie rady. Potrzeba więcej niż dwóch wilków, żeby upolować większą ilość jedzenia.

Telefon znowu zawibrował mi w dłoniach. Otworzyłam klapkę. Kolejny SMS od Sama.

Myslalenze ona umrze isabel. Czuje taka ulge ze to az bolh.

Usłyszałam, jak chłopak siedzący naprzeciwko mnie się śmieje i wiedziałam, że znowu czymś we mnie rzucił, choć tego nie zauważyłam. Nie chciałam na niego zerkać, żeby nie myśleć o Jacku na tle tej samej ściany.

Nagle poczułam, że będę wymiotować. Nie później, nie prawdopodobnie, ale właśnie tu i teraz. Musiałam natychmiast wyjść, żeby nie narobić sobie wstydu.

Odsunęłam krzesło, popychając przy tym Dolly, która była w połowie kolejnego głupiego pytania. Lawirując pomiędzy stolikami, śpiewaczkami i przystawkami przygotowanymi ze stworzeń morskich złowionych daleko stąd, dotarłam do łazienki – pomieszczenia bez ścianek działowych, urządzonego przytulnie jak w domu – i weszłam do środka. Oparłam się o ścianę, zakrywając usta dłonią. Ale nie zwymiotowałam. Zaczęłam płakać.

Nie powinnam sobie na to pozwolić, wiedząc, że będę musiała wrócić do stołu z opuchniętą twarzą, czerwonym nosem i zaczerwienionymi oczami i wszyscy to zobaczą – ale nie potrafiłam się powstrzymać. Zupełnie jakby łzy mnie dławiły. Ledwie oddychałam. Myślałam o Jacku, o tym, jak siedział przy stole, zachowując się jak debil. W głowie słyszałam głos ojca mówiącego o snajperach w helikopterach. Myślałam o Grace, która prawie umarła, a ja nawet bym o tym nie wiedziała, o idiotach wrzucających mi śmieci za dekolt, prawdopodobnie i tak za głęboko wycięty jak na rodzinny obiad; o Cole'u patrzącym na mnie na łóżku; i o tym, co wywołało ten cały napad płaczu – o szczerym, wzruszającym SMS-ie Sama na temat grace.

Jack odszedł. Mój ojciec zawsze dostawał to, czego chciał. Ja pragnęłam i nienawidziłam Cole'a St. Claira. Nikt, nikt nigdy nie będzie czuł do mnie tego, co czuł Sam do Grace, gdy wysyłał mi tę wiadomość.

Osunęłam się na podłogę łazienki, opierając się plecami o szafkę pod umywalką. Przypomniałam sobie pogardę, która przepełniała mnie, gdy znalazłam Cole'a na podłodze w domu Becka – nie ostatnio, ale wcześniej, kiedy powiedział mi, że musi się wydostać ze swojego ciała albo się zabije. Pomyślałam wtedy, że jest taki słaby, egoistyczny, pobłażliwy wobec samego siebie. Ale teraz to rozumiałam. W tym momencie, gdyby ktoś mi powiedział: „Isabel, mogę sprawić, że to odejdzie, tylko weź tę pigułkę", możliwe, że bym ją przyjęła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Zajęte – powiedziałam nie swoim głosem.
- Isabel? – To była moja matka.

Płakałam tak rozpaczliwie, że oddychanie sprawiało mi trudność. Postarałam się opanować głos:

- Zaraz wyjdę.

Gałka się obróciła. Cholera, w pośpiechu zapomniałam zamknąć drzwi.

Moja matka weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Spuściłam wzrok, upokorzona. Widziałam tylko jej stopy, tuz obok moich własnych. Miała na nogach buty, które jej kupiłam. To sprawiło, że znowu zebrało mi się na płacz, a kiedy spróbowałam zdławić szloch, z mojego gardła wyrwał się paskudny dźwięk.

Matka usiadła na podłodze obok mnie, też plecami do umywalki. Pachniała różami, jak ja. Oparła łokcie na kolanach i potarła twarz ręką.

- Powiem im, że się rozchorowałaś – mruknęła.

Schowałam twarz w dłoniach.

- Wypiłam trzy kieliszki wina, więc nie mogę prowadzić. – Wyciągnęła kluczyki i przytrzymała je tak, żebym mogła je zobaczyć przez przerwę między palcami. – Ale ty możesz.
- A co z tatą?
- Tatę podwiezie Marshall. Stanowią dobraną parę.

Wtedy spojrzałam na nią.

- Zobaczą mnie.

Potrząsnęła głową.

- Wyjdziemy drzwiami z tej strony. Nie musimy mijać stolika. Zadzwonię do niego. – Użyła chusteczki z torebki, żeby obetrzeć mi podbródek z łez. – Nienawidzę tej cholernej restauracji.
- Okej – powiedziałam.
- Okej?
- Okej.

Wstała, a ja złapałam ją za rękę. Uśmiechnęła się.

- Nie powinnaś siedzieć na podłodze… jest brudno i można coś złapać. Czemu jesteś cała w okruszkach?

Zdjęłam drobinki z bluzki. Gdy stanęłyśmy obok siebie przed lustrem, obie wyglądałyśmy upiornie podobnie, tyle że moja twarz była rozmazana od łez, a jej nie. Dwanaście miesięcy wcześniej było dokładnie odwrotnie.

- Okej – powiedziałam. – Chodźmy, zanim znowu zaczną śpiewać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

GRACE

Nie pamiętałam momentu przebudzenia. Pamiętałam tylko, że jestem. Usiadłam, próbując dojść do siebie. Ostre światło kłuło mnie w oczy; schowałam twarz w dłoniach. Potarłam policzki. Wszystko mnie bolało. Nie jak po przemianie. Raczej tak, jakby przejechał po mnie walec. Podłogowe płytki były zimne i twarde. Nie było tu okna, a rząd oślepiających żarówek nad umywalką sprawiał, że w pomieszczeniu panował wieczny dzień.

Dopiero po chwili doszłam do siebie na tyle, żeby rozejrzeć się wokół i przetrawić to, co widzę. Łazienka. Obok umywalki wisiała oprawiona w ramki pocztówka przedstawiająca jakiś górski widoczek. Kabina prysznicowa, bez wanny. Zamknięte drzwi. Nagle rozpoznałam to miejsce – to była łazienka na piętrze w domu Becka. Och. Nagle zrozumiałam, co to oznacza. Udało mi się wrócić do Mercy Falls. Udało mi się wrócić do Sama.

Zbyt zaskoczona, żeby w pełni się tym cieszyć, zwlokłam się z podłogi. Zimne płytki pod moimi stopami były ubłocone i brudne. Kolor tych smug – chorobliwie żółty – sprawił, że odruchowo zakasłałam, krztusząc się wodą, której nie miałam w płucach.

Kątem oka zarejestrowałam jakiś ruch i zamarłam z dłonią przy ustach. To było tylko moje odbicie w lustrze: naga wersja Grace, same żebra i ogromne oczy, usta przysłonięte palcami. Opuściłam dłoń, dotykając żeber i, jakby na zawołanie, zaburczało mi w brzuchu.

- Wyglądasz na trochę zdziczałą – wyszeptałam do siebie, tylko po to, żeby móc zaobserwować ruch warg.

Wciąż brzmiałam jak ja. To dobry znak.

Na rogu umywalki leżała sterta ubrań, złożona z wyjątkową schludnością charakterystyczną dla kogoś, kto albo często składa dużo prania, albo nie robi tego praktycznie nigdy. Rozpoznałam rzeczy z mojego plecaka, te, które przywiozłam ze sobą, kiedy uciekłam z domu, nie wiem, ile miesięcy wcześniej. Naciągnęłam moją ulubioną białą koszulkę z długim rękawem, a na nią nałożyłam niebieski T-shirt: ten zestaw był jak starzy przyjaciele. Potem majtki i dżinsy. Brakowało skarpetek, stanika i butów – pewnie zostały w szpitalu…

Byłam dziewczyną, która prawie umarła i zamieniła się w wilka, a tymczasem martwiła się głównie tym, że cały dzień będzie chodzić bez stanika…

Pod ubraniami leżała karteczka. Poczułam łaskotanie w żołądku, kiedy rozpoznałam znajome gryzmoły Sama.

Grace… to prawdopodobnie najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem – zamknąłem moją dziewczynę w łazience. Ale nie wiedzieliśmy, co będzie dla ciebie bezpieczne, dopóki się nie przemienisz. Położyłem tu ubranie dla ciebie. Drzwi są otwarte, więc możesz po prostu wyjść, kiedy już będziesz miała palce. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

S.

Szczęście. To było to uczucie. Trzymałam karteczkę w dłoniach i starałam się odtworzyć wydarzenia, o których pisał. Próbowałam sobie przypomnieć, jak byłam tu zamknięta po powrocie z lasu. To była jak próba przypomnienia sobie nazwiska aktora, którego twarz skądś się zna. Moje myśli tańczyły jak oszalałe. Nie potrafiłam ich pochwycić. Nic i nic, aż nagle… zalało mnie wspomnienie ciemności błota. Shelby.

Pamiętałam Shelby. Z trudem przełknęłam ślinę i znowu przejrzałam się w lustrze. Na mojej twarzy malował się strach, dłoń mimowolnie przycisnęłam do gardła.

Nie podobało mi się, jak wyglądałam, gdy czułam strach – jakbym była jakąś inną dziewczyną, której nie rozpoznawałam. Stałam tam i ostrożnie odzyskiwałam spokój, dopóki Grace w lustrze znów nie zaczęła wyglądać znajomo. Potem złapałam za klamkę. Tak jak napisał Sam, drzwi były otwarte, więc wyszłam na korytarz.

Byłam zaskoczona, gdy się zorientowałam, że jest środek nocy. Słyszałam szum urządzeń na dole, szept powietrza płynącego przez kratki systemu ogrzewania, dźwięki, jakie wydawał zamieszkany dom, kiedy myślał, że nikt nie słucha. Przypomniałam sobie, że pokój Sama był po mojej lewej stronie, ale drzwi były otwarte, a w środku panowała ciemność. Za to z pokoju po prawej stronie, na końcu korytarza, wylewało się światło. Wybrałam tę opcję i ruszyłam w tamtym kierunku, mijając po drodze uśmiechnięte zdjęcia Becka i innych oraz dziwaczną kolekcję skarpetek przybitą do ściany w artystycznym układzie.

Zajrzałam do środka pomieszczenia. Okazało się, że był to pokój Becka. Po chwili zdałam sobie sprawę, że nie pamiętałam tego faktu, tylko po prostu w i e d z i a ł a m czyj on jest. Był urządzony w odcieniach zieleni i błękitu, z dodatkiem ciemnego drewna i prostych wzorów. Lampa do czytania na stoliku przy łóżku zalewała światłem stos biografii i leżące na książkach okulary do czytania. W tym pokoju nie było niczego szczególnego. Był po prostu bardzo wygodny i prosty. Tak jak Beck.

Ale to nie Beck leżał na materacu, tylko Cole – rozwalony w poprzek na brzuchu, ze stopami zwisającymi poza materac, wciąż w butach. Obok niego leżała mała oprawiona w skórę książka. Po drugiej stronie walało się mnóstwo papierów i fotografii.

Cole wyglądał, jakby spał pośród tego bałaganu. Zaczęłam się wycofywać, ale podłoga zatrzeszczała pod moją stopą, a on cos wymruczał.

- Nie śpisz? – zapytałam.
- *Da.*

Odwrócił twarz, kiedy stanęłam w nogach łóżka. Poczułam się, jakbym była w pokoju hotelowym, ładnej, czystej, nieznanej sypialni urządzonej w oszczędnej kolorystyce i przesyconej atmosferą opuszczenia. Podłoga była zimna. Żałowałam, że nie mam skarpet.

Cole podniósł na mnie wzrok. Jego twarz zawsze szokowała: był taki przystojny. Musiałam to świadomie ignorować, żeby być w stanie rozmawiać z nim jak z osobą z krwi i kości. Nie mógł nic poradzić na to, jak wyglądał. Miałam zamiar zapytać go, gdzie jest Sam, ale po chwili namysłu uznałam, że to byłoby niegrzeczne – potraktować go tylko jako punkt informacyjny.

- To pokój Becka? – zapytałam.

Cole wyciągnął ramię nad kołdrą w moim kierunku i pokazał kciuk uniesiony do góry.

- Dlaczego tu sypiasz?
- Nie spałem – sprostował chłopak i przetoczył się na plecy. – Sam w ogóle nie sypia. A ja próbuję poznać jego sekrety.

Przysiadłam na skraju łóżka. Myśl, że Sam nie sypia, sprawiła, że zrobiło mi się smutno.

- Czy w tych papierach są jego sekrety?

Cole roześmiał się. Jego śmiech był krótki, perkusyjny, jakby stworzony do nagrania na albumie koncertowym. Pomyślałam, że to samotny rodzaj dźwięku.

- Nie. To są sekrety Becka. – Wymacał palcami oprawiony w skórę terminarz. – Dziennik Becka. – Drugą dłoń położył na jakichś leżących luzem papierach. Zobaczyłam teraz, że pod nim leży jeszcze większa sterta dokumentów. – Papiery związane z hipoteką, funduszami inwestycyjnymi, testament. Karty dentystyczne i recepty na leki, którymi Beck próbował wyleczyć sforę.

Byłam odrobinę zaskoczona faktem, że te dokumenty w ogóle istnieją, a nie powinnam. To nie były rzeczy, których Sam by szukał – takie informacje niezbyt go interesowały – a całkiem tez możliwe, że były to dokumenty, które znał od dawna i uznał już za nieprzydatne.

- Czy sądzisz, że Beck byłby zadowolony, że grzebiesz w jego rzeczach? – Złagodziłam pytanie uśmiechem.
- Nie ma go tutaj – uciął Cole, a potem dodał z powagą w głosie: - Beck powiedział, że chce, żebym zajął jego miejsce. Potem odszedł. To jedyny sposób, w jaki mogę się czegokolwiek nauczyć. Choć pewnie wyważam drzwi, które zostały już kiedyś otwarte.
- Myślałam, że on chciał, by to Sam przejął po nim dowodzenie. – Chwilę potem sama dokończyłam własną wypowiedź. – Och… chyba myślał, że Sam się już nie przemieni. To dlatego zwerbował ciebie.

Cóż, to dlatego w ogóle zwerbował k o g o ś. Ale dlaczego wybrał właśnie Cole'a – to było niepojęte. W którymś momencie musiał pomyśleć, że z tego faceta byłby naprawdę dobry przywódca sfory. Musiał dostrzec w Cole'u coś z samego siebie.

Pomyślałam, że może ja też to zauważę. Sam odziedziczył gesty Becka, ale Cole miał… siłę jego osobowości? Charakteru? Pewność siebie? Tam, gdzie Sam był uprzejmy, Cole był zdeterminowany.

Znowu się zaśmiał tym samym cynicznym śmiechem. I znowu usłyszałam w nim brawurę, ale podobnie jak w przypadku Isabel nauczyłam się już widzieć pod warstwą cynizmu prawdę: znużenie i samotność. Wciąż nie byłam tak spostrzegawcza jak Sam, ale te uczucia nietrudno było wyłowić, gdy się uważnie słuchało.

- Zwerbować to tak szlachetnie brzmiący czasownik – skomentował Cole, siadając po turecku. – Sprawia, że myślę o mężczyznach w mundurach i o wielkiej sprawie, i o zaciąganiu się do wojska, by bronić ojczyzny. Beck nie chciał, żebym umarł. To dlatego mnie wybrał. Myślał, że zamierzam się zabić i uznał, że mnie uratuje.

Nie mogłam pozwolić mu dłużej wierzyć w tę wersję.

- Ludzie zabijają się każdego dnia – zaprotestowałam. – Mniej więcej trzydzieści tysięcy Amerykanów rocznie, czy coś koło tego. Naprawdę sądzisz, że wybrał cię dlatego? Bo ja nie. To po prostu nielogiczne. Wybrał akurat ciebie z bardzo konkretnego powodu – inaczej po co byłby mu ktoś aż tak sławny? Świadomie zaryzykował. To logiczne.

Cole uśmiechnął się do mnie tym swoim nagłym, szerokim uśmiechem, który był tak ujmujący w swojej prawdziwości.

- Lubię cię – zmienił temat. – Możesz zostać.
- Gdzie jest Sam?
- Na dole.
- Dzięki – powiedziałam. – Hej… czy Olivia już się tu pokazała?

Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Nie musiał nic mówić, żebym zrozumiała, że nie miał pojęcia, o kim mówię. Odrobinę straciłam zapał.

- Kto? – zapytał.
- Jeden z najmłodszych wilków – wyjaśniłam. – Moja przyjaciółka. Została ugryziona w zeszłym roku. Jest w moim wieku.

Poczułam ból na myśl o niej tam, w lasach, przechodzącej przez to samo co ja.

W oczach Cole'a mignął dziwny błysk, ale znikł, zanim go zinterpretowałam. Nie byłam dobra w odczytywaniu ludzkich emocji. Chłopak odwrócił wzrok, zebrał trochę papierów w równy plik, a potem odłożył go w taki sposób, że natychmiast znowu się rozsypały.

- Nie widziałem jej – rzucił.

– Okej – kiwnęłam głową. – Pójdę poszukać Sama.

Ruszyłam w kierunku drzwi, czując niewielki skurcz w klatce piersiowej. Sam był tutaj, ja byłam tutaj i czułam się bardzo pewnie w swojej skórze. Będę z nim znowu. Nagle irracjonalnie zaczęłam się bać, że ujrzę go i okaże się, że to już nie jest to samo. Że to, co czuję, nie będzie pasowało do tego, co zobaczę, albo że jego uczucia do mnie się zmieniły. A co, jeśli będziemy musieli zacząć wszystko od nowa, od zera? Wiedziałam mimo to, że moje obawy są kompletnie nieuzasadnione i że nie znikną, dopóki znowu nie spotkam się z Samem.

– Grace! – zawołał Cole, gdy wychodziłam z pokoju.

Zatrzymałam się w drzwiach.

– Nieważne. – Wzruszył ramionami.

Po chwili z powrotem leżał na łóżku, z papierami rozłożonymi wokół siebie, otoczony przez to, co pozostawił po sobie Beck. Tak łatwo mógłby się zagubić pośród wszystkich tych wspomnień i słów, ale wyglądał na podniesionego na duchu. Jakby ból, który przeżyli przed nim inni, stanowił dla niego bufor bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ISABEL

Kiedy siadałam za kółko w obecności mojego ojca lub matki, momentalnie stawałam się gorszym kierowcą. Niezależnie od tego, ile czasu codziennie spędzałam z dłońmi na kierownicy, a nogą na gazie, towarzystwo rodzica na siedzeniu pasażera wystarczało, żebym hamowała za mocno, skręcała za ostro i przypadkiem uruchamiała wycieraczki, próbując włączyć radio. I chociaż zwykle nie mówiłam do ludzi, którzy nie mogli mnie słyszeć (Sam Roth zaczynał być godnym wyjątkiem od tej reguły), gdy jechało ze mną któreś z rodziców, nagle zaczynałam komentować głupie indywidualne tablice rejestracyjne innych pojazdów typu Zeus albo warczałam na innych kierowców, którzy włączali kierunkowskaz na trzy kilometry przed planowanym manewrem.

Dlatego też, kiedy światła mojego samochodu padły na przypominający ciężarówkę pojazd częściowo tylko stojący na poboczu, z przodem skierowanym w stronę rowu, rzuciłam kąśliwie:

- Łał, ktoś wykazał się znakomitymi umiejętnościami, jeśli chodzi o parkowanie.

Moja matka, senna i dobrotliwa z powodu wina i późnej godziny, nagle się ożywiła:

- Isabel, zatrzymaj się. Mogą potrzebować pomocy.

Chciałam tylko dotrzeć do domu, żeby móc zadzwonić do Sama albo w ostateczności do Cole'a i dowiedzieć się, co się dzieje z Grace. Byłyśmy zaledwie kilka kilometrów od celu. Co za złośliwość losu! Pojazd przy drodze wyglądał odrobinę podejrzanie.

- Mamo, to ty mówiłaś, żebym nigdy się nie zatrzymywała, bo mogę zostać zgwałcona albo poderwana przez demokratę.

Mama potrząsnęła głową i wyciągnęła puderniczkę z torebki.

- Nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego. To mi pasuje raczej do twojego ojca. – Opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby przejrzeć się w małym lusterku. – Ja bym powiedziała: „przez libertarianina".

Zwolniłam. Furgonetka – okazało się, że to była jedna z tych z paskudną wysoka nadbudówką, przy zakupie której pewnie trzeba pokazać dowód osobisty i udowodnić, że ma się ponad pięćdziesiąt lat – sprawiała wrażenie, jakby należała do pijanego kierowcy, który zatrzymał się, żeby zwymiotować.

- Zresztą jak możemy pomóc? Nie potrafimy… zmienić opon. – Zastanawiałam się, co jeszcze może skłonić kogoś do zjechania na pobocze poza ataku mdłości.
- Tam jest policjant – powiedziała mama.

I rzeczywiście. Na poboczu był też zaparkowany radiowóz, zasłonięty całkowicie przez ogromną furgonetkę.

- Mogą potrzebować pomocy medycznej – dodała mama pozornie beztrosko.

Mama żyła na co dzień nadzieją, że trafi na kogoś potrzebującego natychmiastowej pomocy medycznej. Kiedy byłam mała, zwykle niecierpliwie czekała, aż ktoś się skaleczy na placu zabaw. Obserwowała kucharzy w restauracjach, oczekując jakiejś katastrofy. W Kalifornii zawsze zatrzymywała się przy wypadkach. Gdyby była superbohaterką, jej zwołanie brzmiałoby: „Czy ktoś potrzebuje lekarza? Ja jestem lekarzem!". Mój ojciec mówił, że muszę przymknąć na to oko. Mamie było bardzo trudno zdobyć tytuł lekarza z powodu problemów rodzinnych i po prostu ekscytowała się możliwością mówienia ludziom, że jest doktorem. Okej, należy się realizować w życiu, ale uważałam, że trochę przesadza.

Wzdychając, zatrzymałam się za furgonetką. Zaparkowałam z pewnością lepiej niż jej właściciel. Moja matka zgrabnie wyskoczyła z SUV-a, a ja powoli ruszyłam za nią. Z tyłu furgonetki były trzy naklejki: „Zaciągnij się", „Dzwonisz? Nie jedź!" i – czego nie potrafiłam pojąć – „Wolę mieszkać w Minnesocie".

Po drugiej stronie wozu gliniarz rozmawiał z rudowłosym mężczyzną, który miał na sobie biały T-shirt i spodnie na szelkach. Co ciekawe, przez otwarte drzwi auta zobaczyłam broń leżącą na siedzeniu pasażera.

- Pani doktor Culpeper – przywitał ciepło policjant moją matkę.

Ona z kolei przybrała swój najsłodszy głos – ten, który oblewał rozmówcę obficie i tak powoli, że nie orientował się nawet, w którym momencie zaczynał się dusić:

- Funkcjonariusz Heifort! Zatrzymałam się, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pan pomocy.
- Cóż, to niezwykle uprzejme z pani strony – podziękował policjant. Palce miał zatknięte za pas z kaburą. – To pani córka? Równie ładna jak matka, pani doktor…

Moja mama zaprotestowała kurtuazyjnie, ale Heifort obstawał przy swoim.

Rudowłosy mężczyzna przestępował z nogi na nogę. Po chwili między dorosłymi wywiązała się rozmowa o ilości komarów o tej porze roku. Rudy powiedział, że nie jest nawet w przybliżeniu tak źle, jak miało być.

- Po co ta broń? – zapytałam nagle.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Wzruszyłam ramionami.

- Tylko się zastanawiam.

Heifort wyjaśnił.

- Cóż. Wygląda na to, że ten oto pan Lundgren postanowił na własną rękę zapolować na wilki i znaleźć się w centrum uwagi.

Rudowłosy pan Lundgren zaprotestował:

- Zaraz, zaraz, panie władzo, wie pan, że było inaczej. Tak się złożyło, że akurat natknąłem się na jednego, więc strzeliłem do niego z wozu. To nie to samo.
- Chyba nie – zgodził się Heifort. – Ale mamy tu martwe zwierzę, a po zachodzie słońca nikt nie powinien do niczego strzelać. Tym bardziej z rewolweru kaliber 38. Wiem, że jest pan tego świadomy, panie Lundgren.
- Zaraz, zaraz – wtrąciłam. – Zabił pan wilka? – Wepchnęłam dłonie w kieszenie kurtki. Mimo że nie było zimno, zadrżałam.

Heifort machnął w kierunku przodu furgonetki, potrząsając głową.

- Mój mąż powiedział mi, że nikomu nie wolno na nie polować do czasu odstrzału z powietrza – powiedziała moja matka, a jej słodki głos nieco stwardniał. – Żeby ich nie wystraszyć. Żeby się nie pochowały.
- To prawda – potwierdził policjant.

Odeszłam od nich i zbliżyłam się do rowu, który wskazał Heifort, świadoma tego, że Rudy obserwuje mnie smętnie. Zobaczyłam zwierzę leżące na boku w trawie.

„Dobry Boże i święty Antoni, wiem, że proszę o mnóstwo głupich rzeczy, ale ta jedna jest ważna. Proszę, niech to nie będzie Grace”.

Chociaż wiedziałam, że powinna być bezpieczna z Samem i Cole’em, wstrzymałam oddech i z trwoga w sercu podeszłam bliżej. Futro zwierzęcia falowało na wietrze. Jedna krwawa rana znaczyła jego tylną łapę, druga bark, a ostatnia czaszkę. Czubek łba, gdzie kula przeszła na wylot, wyglądał nieco obrzydliwie. Gdybym chciała sprawdzić, czy oczy wyglądają znajomo, musiałabym uklęknąć, ale nie miało to sensu.

- To jest kojot – zauważyłam oskarżycielsko.
- Zgadza się – przyznał Heifort, znów używają sympatycznego tonu. – Spory, prawda?

Odetchnęłam. Nawet miastowa dziewczyna taka jak ja potrafiła odróżnić wilka od kojota. Zaczęłam podejrzewać, że pan Lundgren wypił o jednego za dużo albo po prostu chciał wypróbować nową broń.

- Nie miewa pan za dużo takich sytuacji, prawda? – zapytała mama w taki sposób, jakby chciała się dowiedzieć czegoś dla ojca, a nie dla siebie. – Ludzi biorących sprawy w swoje ręce? Trzymacie to w sekrecie?
- Robimy, co możemy – zapewnił Heifort. – Większość się pilnuje. Nie chcą niczego zepsuć przed przybyciem wojska. Ale nie byłbym zaskoczony, gdybyśmy mieli jeden czy dwa wypadki przed właściwym polowaniem. Chłopcy są tylko chłopcami – powiedział, wskazując na pana Lundgrena, jakby tamten był głuchy. – Jak już mówiłem, robimy, co w naszej mocy.

Moja matka nie wyglądała na zadowoloną. Nieco chłodniejszym tonem dodała:

- To samo mówię swoim pacjentom. – Ściągnęła brwi, patrząc na mnie. – Isabel, nie dotykaj tego.

Jakbym miała zamiar. Przebrnęłam przez trawę i stanęłam znowu obok niej.

- Nie piła pani dzisiaj, prawda, pani doktor? – zapytał Heifort, gdy mama odwróciła się, by odejść. Popatrzyli na siebie w taki sam sposób. Z ukrywaną wrogością.

Moja matka obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Ależ tak – przerwała, by mógł się nad tym zastanowić. – Ale prowadzi moja córka. Chodź, Isabel.

Gdy tylko wróciłyśmy do samochodu, matka zatrzasnęła za sobą drzwi i warknęła:

- Prostak. Nie znoszę go. To chyba wyleczyło mnie z moich filantropijnych skłonności na dobre.

Nawet przez chwilę w to nie wierzyłam. Następnym razem, gdy tylko pomyśli, że może pomóc, znowu wyskoczy z samochodu, jeszcze zanim auto porządnie się zatrzyma. Czy będą jej potrzebować, czy nie.

Chyba zaczynałam coraz bardziej przypominać matkę.

- Tata i ja rozmawialiśmy o powrocie do Kalifornii – wypaliła nagle. – Kiedy to wszystko się skończy.

O mały włos nie rozbiłam samochodu.

- I kiedy zamierzaliście mi o tym powiedzieć?
- Jeszcze nie wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Dostałam parę propozycji pacy. Została jeszcze kwestia tego, za ile możemy sprzedać dom.
- Pozwól, że powtórzę – wydusiłam prawie bez tchu. – Kiedy zamierzaliście mi powiedzieć?

Matka była wyraźnie zmieszana.

- Cóż, Isabel, idziesz do college'u, a poza dwiema wszystkie szkoły z twojej listy są właśnie tam. Wygodniej ci będzie nas odwiedzać… Myślałam, że nienawidzisz Minnesoty.
- Nienawidziłam. Nienawidzę. Ja po prostu… nie mogę uwierzyć, że wcześniej mi nie powiedzieliście, że jest taka opcja, zanim… - Nie byłam pewna, jak dokończyć to zdanie, więc umilkłam.
- Zanim co?

Wyrzuciłam dłoń w powietrze. Uniosłabym obie, ale musiałam czuwać nad kierownicą.

- Nic. Kalifornia. Świetnie. Juhuu!

Pomyślałam o tym, że będę mogła pochować zimowe kurtki do pudeł, znowu mieć życie towarzyskie, mieszkać gdzieś, gdzie nie wszyscy znali makabryczną historię śmierci mojego brata. Wymiana Grace, Sama i Cole'a na życie w cieple i z podręcznikami akademickimi. Tak, zawsze miałam w planach college w Kalifornii. W przyszłości. Najwyraźniej jednak przyszłość nastąpiła szybciej, niż się spodziewałam.

- Niewiarygodne, że ten mężczyzna pomylił kojota z wilkiem – rozmyślała na głos moja matka. Zatrzymałam się na naszym podjeździe.

Pamiętałam, że jak się tu wprowadzaliśmy, uważałam, że nasz dom wygląda jak z horroru. W mojej sypialni na poddaszu paliło się światło – musiałam zostawić je przez pomyłkę. Pomyślałam, że dziś ta

ogromna rezydencja w stylu Tudorów z jednym żółtym okienkiem na górze wygląda niczym obrazek z książki dla dzieci.

- Przecież te zwierzęta wyglądają zupełnie inaczej – dodała mama.
- Cóż – powiedziałam – niektórzy ludzie widzą to, co chcą widzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

GRACE

Znalazłam Sama opartego o balustradę na frontowym ganku: wysoki, ciemny kształt, ledwie widoczny nocą. To było zabawne, że sam zarys jego ramion i sposób, w jaki pochylał głowę, potrafiły wywołać we mnie tak wiele emocji. Nawet komuś tak mało spostrzegawczemu jak ja łatwo było zauważyć frustrację i smutek widoczne w linii jego pleców, zgięciu lewego kolana, ułożeniu stopy.

Nagle poczułam się tak nieśmiała, niepewna i podekscytowana jak wtedy, gdy go dopiero poznawałam.

Bez zapalania światła dołączyłam do niego przy barierce, nie wiedząc, co powiedzieć. Miałam ochotę skoczyć na niego i zarzucić mu ramiona na szyję, uderzyć go w pierś i śmiać się jak szalona albo płakać. Nie byłam pewna, jak powinnam się zachować.

Sam odwrócił się do mnie i zobaczyłam, że jego podbródek pokrywa zarost. Postarzał się pod moją nieobecność. Wyciągnęłam dłoń i podrapałam nieznajomo wyglądającą szczecinę, a on uśmiechnął się smutno.

- Czy to bolało? – zapytałam, mocniej pocierając jego brodę. Tęskniłam za dotykaniem go.
- Dlaczego miałoby boleć?
- Bo wzięłam cię pod włos – zażartowałam.

Przepełniało mnie szczęście, że stoję tu, z dłonią na jego nieogolonym policzku. Wszystko to było straszne, ale jednocześnie wspaniałe. Miałam ochotę się uśmiechnąć i pomyślałam, że moje oczy prawdopodobnie już to robią, bo na jego ustach też błądził uśmiech, odrobinę niepewny, ale jednak.

- A tak przy okazji – dodałam – to „cześć".

Sam w końcu uśmiechnął się szeroko i szepnął:

- Cześć, aniele.

Przyciągnął mnie do siebie, a ja objęłam go i uściskałam tak mocno, jak tylko potrafiłam. Pragnęłam go pocałować, ale żaden pocałunek nie mógłby być równie cudowny jak to: jego oddech w moich włosach i moje ucho przytulone do jego piersi. Miałam wrażenie, że razem jesteśmy silniejszą istotą, Grace-i-Samem.

Wciąż trzymając mnie w ramionach, Sam zapytał:

- Jadłaś już coś?
- Kanapkę. Na blacie kuchennym znalazłam też trampki. Raczej nie do jedzenia.

Sam zaśmiał się cicho. Ten dźwięk sprawił mi radość. Byłam tak spragniona jego głosu.

- Zakupy nie są naszą mocną stroną – przyznał.
- Nie lubię kupować jedzenia. Tydzień w tydzień to samo. Chciałabym kiedyś zarabiać tyle, żeby ktoś inny robił to za mnie. Czy do tego trzeba być bogatym? Nie chcę luksusowego domu. Chcę tylko wynająć kogoś, kto będzie odwalał za mnie zakupy – wymamrotałam w jego koszulkę, która pachniała płynem do płukania tkanin.

Sam zamyślił się nad tym.

- Myślę, że to jest coś, co trzeba robić samemu.
- Założę się, że królowa nie robi sama zakupów.

Poczułam jego oddech na czubku głowy.

– Ale ona każdego dnia jada to samo: węgorza w galarecie, kanapki z łupaczem[*] i bułeczki z pastą Marmite[*].
– Ty chyba nawet nie wiesz, co to jest Marmite – zauważyłam z rozbawieniem.
– To coś, czym się smaruje chleb. Coś obrzydliwego. W każdym razie tak powiedział mi Beck. – Sam puścił mnie, oparł się o balustradę i zmierzył mnie wzrokiem. – Nie jest ci zimno?

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, o co tak naprawdę pyta: „Nie przemienisz się?".

Ale czułam się naturalnie, pewnie w swojej skórze. Potrząsnęłam głową i oparłam się o balustradę obok niego. Przez chwilę po prostu staliśmy tam w ciemnościach, wpatrując się w noc. Kiedy zerknęłam na Sama, zobaczyłam, że dłonie ma splecione, a palcami prawej ręki ściska kciuk lewej tak mocno, że cały zrobił się biały.

Oparłam głowę na jego ramieniu. Tylko materiał koszulki dzielił mój pliczek od jego skóry. Pod wpływem tego dotyku Sam westchnął – nie było to nieszczęśliwe westchnienie – i powiedział:

– Myślę, że to zorza polarna.

Podniosłam wzrok, nie unosząc głowy.

– Gdzie?
– Nad drzewami. Widzisz? Niebo jest różowawe.

Zmrużyłam oczy. Na niebie lśniły miliony gwiazd.

– To mogą być światła ze stacji benzynowej. Wiesz, z tego sklepu „QuikMart" pod miastem.
– Co za przygnębiające i rzeczowe spostrzeżenie – uznał Sam. – Wolałbym, żeby to było coś magicznego.
– *Aurora borealis* nie jest bardziej magiczna niż supermarket – wytknęłam mu.

Pisałam kiedyś referat na temat zorzy polarnej, więc wiedziałam sporo o tym zjawisku od strony naukowej. Choć muszę przyznać, że wiatr słoneczny i atomy tańczące ze sobą, by stworzyć dla nas ten pokaz świetlny, i tak wydawały mi się trochę magiczne.

– To również jest przygnębiające spostrzeżenie.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego.

– Mimo wszystko jest piękna.
– Chyba że to naprawdę „QuikMart" – stwierdził Sam. Spojrzał na mnie w zamyśleniu, sprawiając, że poczułam się odrobinę zaniepokojona. Niechętnie, jakby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach, zapytał: - Jesteś zmęczona? Wrócę z tobą do środka, jeśli chcesz.
– Nie jestem – zaprzeczyłam stanowczo. – Chcę tylko pobyć z tobą. Zanim wszystko stanie się trudne i skomplikowane.

Ściągnął brwi, patrząc w noc. Potem zaproponował:

– Sprawdźmy, czy to naprawdę jest zorza polarna.
– Masz samolot?
– Mam volkswagena – odparł. – Musimy pojechać gdzieś, gdzie będzie ciemniej. Z dala od „QuikMartu". Na dzikie pustkowia Minnesoty. Masz ochotę?

Na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech, który tak kochałam. Miałam wrażenie, jakby minęły wieki, od kiedy widziałam go po raz ostatni.

– Masz kluczyki? – zapytałam.

Poklepał się po kieszeni.

---

[*] Łupacz – gatunek ryby z rodziny dorszowatych, popularny w krajach anglosaskich, gdzie wraz z dorszem stanowi podstawę dania *fish and chips*.

[*] Marmite – brytyjski produkt spożywczy, pasta o smaku sosu sojowego używana m.in. do smarowania kanapek, wyciąg drożdżowy, który jest produktem ubocznym w procesie warzenia piwa.

- A co z Cole'em? – Spojrzałam na piętro.
- Śpi, jak wszyscy inni o tej porze – uspokoił mnie Sam. Nie powiedziałam mu, że jest inaczej. Zobaczył moje wahanie i błędnie je odczytał. – To ty masz tu głowę na karku. Czy to jest zły pomysł? Ja nie wiem. Może tak właśnie jest.
- Chcę jechać – uciełam. Mocno złapałam go za rękę. – Niedługo wrócimy – zapewniłam.

Wsiedliśmy do volkswagena stojącego na ciemnym podjeździe. Samochód zagrzmiał, budząc się do życia. Miałam wrażenie, jakbyśmy planowali coś ważniejszego niż tylko ściganie świateł na niebie. Moglibyśmy pojechać dokądkolwiek w pogoni za obietnica magii. Sam podkręcił ogrzewanie, podczas gdy ja przesunęłam siedzenie do tyłu – ktoś musiał przestawić je maksymalnie do przodu. Poczułam jeszcze jak mocno ściska moja dłoń, po czym sprawnie wycofał auto z podjazdu.

- Gotowa?

Uśmiechnęłam się do niego. Po raz pierwszy od dawna czułam się jak stara Grace, ta, która mogła robić wszystko, co tylko przyszło jej do głowy.

- Od zawsze.

Mknęliśmy ulicami. Sam wyciągnął dłoń i pogłaskał palcem moje ucho. Ta czynność sprawiła, że samochód odrobinę zboczył z drogi. Chłopak szybko przeniósł wzrok z powrotem na jezdnię i zaśmiał się, poprawiając tor jazdy.

- Wyglądaj przez okno – nakazał mi. – Bo ja najwyraźniej nie pamiętam, jak się prowadzi. Mów mi, gdzie jechać. Gdzie jest najjaśniej. Ufam ci.

Przycisnęłam twarz do szyby i zmrużyłam oczy, szukając śladów zorzy na niebie. Początkowo trudno było mi stwierdzić, gdzie się znajduje, więc najpierw skierowałam Sama na najciemniejsze drogi, jak najdalej od świateł miasta. W miarę jak minuty mijały, coraz łatwiej było znajdować drogę na północ. Każdy zakręt zabierał nas dalej od domu Becka, dalej od Mercy Falls, od lasu Boundary. A potem, nagle, znaleźliśmy się wiele mil od naszego prawdziwego życia, jadąc prostą jak strzała drogą przez nieskończoną przestrzeń pod bezkresnym niebem usianym milionami świetlistych punkcików. W noc taką jak ta nietrudno było uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno temu ludzi prowadziło po świecie tylko światło gwiazd.

- 1859 roku – poinformowałam Sama – doszło do burzy magnetycznej, dzięki której zorza polarna była tak jasna, że ludzie mogli przy niej czytać.

Sam ani przez chwilę nie wątpił w moją wiedzę.

- Dlaczego tyle o tym wiesz?
- Bo to interesujące – wyjaśniłam.

Na jego usta znowu wypłynął uśmiech. Odrobinę ironiczny, co oznaczało, że był oczarowany moją nadmiernie rozwiniętą lewą półkulą mózgu.

- Opowiedz mi coś jeszcze.
- Zorze polarne bywały tak mocne, że operatorzy telewizyjni odcinali normalne zasilanie i korzystali z energii wytwarzanej właśnie przez nie.
- Niemożliwe. – Sam pokręcił głową, ale wiedziałam, że mi uwierzył. – I co jeszcze?

Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam jego ręki spoczywającej na dźwigni zmiany biegów. Kiedy przesunęłam kciukiem po jego nadgarstku, poczułam, że dostał gęsiej skórki. Opuszkami palców odnalazłam bliznę – nienaturalnie gładki wzgórek i pomarszczone krawędzie.

- Nic nie czuję w tym miejscu – powiedział. – Jest zupełnie martwe.

Na chwilę otoczyłam jego nadgarstek dłonią, mocno dociskając kciuk do skóry. Czułam trzepotanie jego pulsu.

- Moglibyśmy jechać i jechać, wciąż i wciąż przed siebie – rzuciłam.

Sam milczał i początkowo uznałam, że nie zrozumiał, co miałam na myśli. Ale potem zobaczyłam jego dłonie na kierownicy. W świetle deski rozdzielczej dostrzegłam, że wciąż miał błoto pod paznokciami prawej dłoni. W przeciwieństwie do mnie nie porzucił swojej brudnej skóry.

– O czym myślisz? – zapytałam go.

Odpowiedział dziwnie lepkim głosem, jakby musiał oddzielać od siebie słowa, żeby wydostać je z ust:

– Że w zeszłym roku o tej porze nie chciałbym tego. – Z trudem przełknął ślinę. – Ale teraz, gdybyśmy tylko mogli, zrobiłbym to bez zastanowienia. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Potrafiłam. Potrafiłam sobie wyobrazić życie gdzieś daleko stąd, rozpoczęcie wszystkiego od zera, tylko we dwoje. Ale gdy tylko to zrobiłam – zobaczyłam skarpetki Sama suszące się na kaloryferze, moje książki rozłożone na małym kuchennym stole, brudne kubki po kawie stojące w zlewie – pomyślałam o tym, co musiałabym zostawić: Rachel, Isabel, Olivię i w końcu rodziców. Porzuciłam ich tak ostatecznie poprzez wątpliwy cud swojej przemiany, że mój gniew wydawał się teraz stłumiony i odległy.

Nie mieli już władzy nad moją przyszłością. Nic nie miało na nią wpływu… poza pogodą.

Nagle przez okno od strony kierowcy zobaczyłam zorzę polarną, jasną i wyraźną. Zdecydowanie nie była to łuna bijąca od sklepowych świateł…

– Sam, Sam! Patrz! Skręć, skręć, tędy!

Na niebie po naszej lewej wiła się sinusoidalna, poszarpana różowa wstążka. Jaśniała i pulsowała niczym żywy organizm. Sam skręcił w lewo, w wąską żwirowana drogę, która wiodła przez ogromne czarne pole. Samochód kołysał się, pokonując pełne dziur podłoże, żwir chrzęścił pod oponami. Zęby mi zadzwoniły, gdy podskoczyliśmy na wyboju, a z gardła Sama wyrwało się „hhh” – dźwięk, który zmieszał w dziwną melodię z wibrującym warkotem silnika volkswagena.

– Zatrzymaj się tutaj! – zawołałam.

Pole ciągnęło się w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Sam zaciągnął hamulec ręczny i razem wyjrzeliśmy przez przednią szybę.

Na niebie bezpośrednio nad nami unosiła się *aurora borealis*. Jak iskrząca się różowa droga, wiła się przez powietrze i znikała za drzewami, z jednej strony wpadając w ciemniejszy, fioletowy odcień. Migotała i gasła, rozciągała się i kurczyła, rosła i malała. W jednej chwili była pojedynczym pasmem, drogą do nieba, a w następnej zbiorem wielu smug, armią stworzoną ze światła, wiecznie maszerującą w kierunku północy.

– Chcesz wysiąść? – zapytał Sam.

Złapałam za klamkę i już po chwili oboje staliśmy na zewnątrz. powietrze było dość zimne, ale póki co czułam się dobrze. Oparliśmy się o maskę samochodu. Była wciąż jeszcze ciepła od pracy silnika – nasz volkswagen ogrzewał mnie w tę chłodna noc.

Razem spojrzeliśmy w górę. Płaskie czarne pole wokół nas sprawiło, że niebo wydawało się ogromne jak ocean. Z wilkiem wewnątrz i Samem u boku – oboje byliśmy dziwnymi stworzeniami – czułam, że w jakiś sposób jesteśmy nieodłączną częścią tego świata, tej nocy, tej bezgranicznej tajemnicy.

Z niewiadomego powodu serce zabiło mi mocniej. Nagle poczułam się wyjątkowo świadoma tego, że Sam stoi tak blisko mnie. Zobaczyłam parę jego oddechu.

– Tak blisko, że aż trudno uwierzyć – szepnęłam i nie wiem czemu głos załamał mi się na słowie „uwierzyć” – że to nie magia.

Sam pocałował mnie.

Bardziej w kącik ust, bo twarz wciąż miałam uniesioną. Odwróciłam głowę, żeby mógł mnie pocałować znowu. Moje usta zapłonęły w zetknięciu z jego zarostem, a kiedy dotknął mojego ramienia, skóra stała się wyjątkowo świadoma jego szorstkich palców. Wszystko we mnie zdawało się surowe i wygłodniałe. Nie potrafiłam zrozumieć, jak coś, co robiliśmy tak wiele razy, mogło się wydawać takie dziwne i nowe, i przerażające zarazem.

Kiedy się całowaliśmy, fakt, że jeszcze kilka godzin temu byłam wilkiem i że znowu się w niego zamienię, przestał się liczyć. Nie miało znaczenia, że po tej chwili czekało na nas tysiąc pułapek. Dla mnie ważna była tylko miękkość jego ust i to bolesne pragnienie wewnątrz mnie.

Sam docisnął twarz do mojej szyi i objął mnie gwałtownie, tak mocno, że aż trudno mi było oddychać, a moje biodro boleśnie napierało na maskę, ale przenigdy nie powiedziałabym mu, żeby wypuścił mnie z ramion.

Wymamrotał coś, ale nie dosłyszałam.

- Co takiego? – zapytałam.

Wypuścił mnie z objęć i spojrzał na moją dłoń spoczywającą na masce. Przycisnął opuszkę kciuka do czubka mojego palca wskazującego i przyglądał się naszym palcom, jakby były znaleziskiem muzealnym.

- Tęskniłem za patrzeniem na twoja twarz – wyszeptał cicho, ale mówiąc to, nie podniósł na mnie wzroku.

Zorza nad nami migotała i falowała. Nie miała początku an końca, ale wiadomo było, że prędzej czy później zniknie. Znowu pomyślałam o błocie pod jego paznokciami, o zadrapaniach na jego skroni. Co jeszcze się wydarzyło, kiedy byłam w lasach?

- Ja tęskniłam za posiadaniem twarzy – skwitowałam.

W myślach wydawało mi się to zabawne, ale gdy wypowiedziałam te słowa na głos, żadne z nas się nie zaśmiało. Sam zabrał dłoń i podniósł wzrok na *aurorę borealis*. Patrzył w niebo, jakby nie myślał o niczym i nagle dotarło do mnie, że byłam okrutna. Nie powiedziałam mu niczego miłego, nie powiedziałam, że ja też za nim tęskniłam, choć po tak długiej rozłące z pewnością chciał to usłyszeć. Ale było już za późno, by zareagować na jego słowa i nie wiedziałam, jak powiedzieć coś, co nie zabrzmi ckliwie. Pomyślałam, że powiem mu, że go kocham, ale nawet sama myśl o wypowiedzeniu tego na głos sprawiła, że poczułam się dziwnie. Nie wiedziałam dlaczego. Przecież kochałam go tak bardzo, że aż to bolało.

A jednak nie wiedziałam, jak to powiedzieć. Więc tylko wyciągnęłam dłoń, a Sam otoczył ja swoja dłonią.

SAM

Zorza wydawała się jeszcze bardziej olśniewająca, niż kiedy obserwowaliśmy ją z auta. Zimne powietrze wokół nas poruszało się i migotało fioletem i różem. Wyciągnąłem wolna rękę do góry, jakbym mógł jej dotknąć. Było zimno, ale w tym dobrym znaczeniu: to był taki chłód, który sprawia, że człowiek czuje, że żyje.

Nad naszymi głowami niebo było tak czyste, że mogliśmy widzieć wszystkie gwiazdy, a one mogły widzieć nas.

Teraz, kiedy już pocałowałem Grace, nie mogłem przestać myśleć o dotykaniu jej. Fantazjowałem o wszystkich tych miejscach, które mógłbym jeszcze pieścić: o miękkiej skórze w zagięciu jej łokcia, krzywiźnie ciała tuż nad biodrem, linii jej obojczyka. Znowu zapragnąłem ja pocałować, tak mocno. Chciałem jej w i ę c e j , ale zamiast tego trzymaliśmy się tylko za ręce, z głowami odchylonymi do tyłu i razem, powoli obracaliśmy się, wpatrzeni w bezkres nieba. To było jak spadanie albo latanie.

Czułem się rozdarty pomiędzy chęcią pośpiechu, by sięgnąć po w i ę c e j jak najszybciej, a pragnieniem trwania w stanie wyczekiwania i bezpieczeństwa. Gdy tylko wrócimy do domu, polowanie na wilki znowu stanie się realne, a ja zupełnie nie byłem na to gotowy.

Grace ni stąd ni z owąd zapytała mnie:

- Sam, zamierzasz mnie poślubić?

Drgnąłem i spojrzałem na nią, ale ona wciąż wpatrywała się w gwiazdy, jakby rozmawiała ze mną o pogodzie. Jednak w jej przymrużonych oczach dostrzegłem coś, co przeczyło beztroskiemu tonowi jej głosu.

Nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi oczekiwała. Miałem ochotę roześmiać się w głos, bo nagle zdałem sobie sprawę z tego, że oczywiście miała rację. Tak, lasy będą mi ją zabierać na zimne miesiące, ale przecież nie umierała, nie traciłem jej na dobre. I miałem ją przy sobie tutaj, teraz. W porównaniu z tym faktem wszystko inne stawało się nieistotne, wykonalne, drugorzędne.

Nagle świat wydał mi się przyjaznym, obiecującym miejscem. Nagle zobaczyłem przyszłość i było to miejsce, w którym chciałem się znaleźć.

Uświadomiłem sobie, że Grace wciąż czeka na odpowiedź. Przyciągnąłem ją bliżej, aż znaleźliśmy się nos w nos pod zorzą polarną.

- Czemu pytasz? – uśmiechnąłem się.
- Chcę się tylko upewnić – odpowiedziała, ale też uśmiechała się lekko, bo już znała moje myśli. Drobny kosmyk blond włosów przy jej skroni unosił się na wietrze. Powinno ją to łaskotać, jednak nawet nie drgnęła. – To znaczy nie chcę żyć w grzechu.

A wtedy oczywiście się roześmiałem, pomimo świadomości czyhających na nas niebezpieczeństw.

Kochałem ją, ona kochała mnie, a świat był piękny i skąpany w różowym świetle.

Pocałowała mnie delikatnie.

- Powiedz „okej”. – Zaczęła drżeć.
- Okej – zgodziłem się. – Umowa stoi.

Poczułem, jakby to było coś namacalnego, co mogłem trzymać w dłoniach.

- Naprawdę tak myślisz? – zapytała. – Nie mów tego, jeśli nie myślisz tak naprawdę.
- Naprawdę tak myślę – zapewniłem, choć mój głos zabrzmiał mniej poważnie, niż powinien.
- Okej – odpowiedziała Grace, zadowolona i pewna moich uczuć. Westchnęła cicho i splotła swoje palce z moimi. – Teraz możesz zabrać mnie do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

SAM

Gdy wróciliśmy do domu, Grace padła na moje łóżko i natychmiast zasnęła. Zazdrościłem jej tego. Leżała w bezruchu, pogrążona w upiornym, przypominającym śmierć śnie wycieńczonej osoby. Nie mogłem do niej dołączyć – wszystko we mnie było zbyt przytomne. Raz za razem odgrywałem w głowie wydarzenia całego dnia, aż przerodziły się w jeden długi film, którego nie dało się podzielić na poszczególne sceny i minuty.

Zostawiłem Grace w sypialni i po cichu zszedłem do kuchni. Wyciągnąłem z kieszeni kluczyki do samochodu i położyłem je na blacie. Nie rozumiałem, jak to możliwe, że kuchnia w ogóle się nie zmieniła. Po dzisiejszym wieczorze wszystko powinno wyglądać inaczej.

Szmer telewizora na górze stanowił jedyny dowód obecności Cole'a w domu. Cieszyłem się, że mogę pobyć sam. Przepełniało mnie tyle radości i smutku, że nie byłem w stanie mówić. Wciąż czułem policzek Grace wtulony w moją szyję i widziałem jej twarz, kiedy patrzyła w gwiazdy, czekając na moją odpowiedź. Jeszcze nie byłem gotowy, by rozcieńczyć to wspomnienie słowami.

Zamiast tego ściągnąłem kurtkę i poszedłem do salonu – tu również Cole pozostawił swój ślad w postaci włączonego telewizora, choć z wyciszonym dźwiękiem. Wyłączyłem odbiornik i wziąłem do ręki gitarę, która stała oparta o fotel. Była odrobinę brudna po wczorajszym graniu na zewnątrz, a na lakierze pojawiła się nowa rysa. Któryś z nas musiał się z nią obejść dość brutalnie.

„Przepraszam" – pomyślałem, bo wciąż nie chciałem się odzywać. Przesunąłem palcami po strunach – zmiana temperatury odrobinę je rozstroiła, choć nie tak bardzo, jak się spodziewałem. Wciąż dałoby się na niej grać, ale poświęciłem chwilę, żeby idealnie ją nastroić. Przełożyłem pasek przez głowę, z łatwością, jakbym zakładał koszulkę, i przypomniałem sobie uśmiech Grace.

A potem zacząłem grać.

Wariacje akordu G-dur, najcudowniejszego akordu znanego ludzkości, nieskończenie radosnego. Mógłbym żyć wewnątrz akordu G-dur, z Grace, jeśliby zechciała. Wszystko co we mnie dobre i proste, można by podsumować tym akordem. To był drugi akord, jakiego nauczył mnie Paul, siedząc ze mną na tej starej kanapie. Pierwszy to e-moll. „Bo – powiedział wtedy Beck, przechodząc przez salon i cytując jeden ze swoich ulubionych filmów – w życiu każdego człowieka musi spaść trochę deszczu. – To wspomnienie zakłuło mnie odrobinę. – Bo – poprawił go wtedy Paul – w każdej piosence muszą być minorowe przejścia".

Złowieszczy e-mol był łatwy do zagrania dla takiego żółtodzioba jak ja. O wiele trudniej było opanować błogi G-dur. Ale Paul sprawiał, że wesołość wydawała się łatwa i naturalna.

To był ten sam Paul, którego pamiętałem – tego, który przyszpilił mnie do śniegu, gdy byłem dzieckiem, wyrzuciłem ze swej pamięci. Tak samo pamiętałem tę Grace, która spała na górze, a nie tę w wilczym ciele, którą ledwie żywą znaleźliśmy w leju krasowym.

Spędziłem taki kawał życia, bojąc się żyć albo żyjąc wspomnieniami strachu. Wystarczy.

Moje palce coraz szybciej ślizgały się po strunach, podczas gdy szedłem korytarzem w kierunku łazienki. Światło było włączone, więc nie musiałem przerywać gry, stojąc i patrząc na wannę na drugim końcu pomieszczenia.

Mrok napierał na moje oczy, wspomnienia próbowały mnie dławić. Wciąż grałem piosenkę o teraźniejszości, żeby pokonać przeszłość. Stałem tam z wzrokiem utkwionym w pustej wannie.

Woda przestała cieknąć
uspokoiła się
zmieszana z krwią

Ciężar zawieszonej na pasku gitary trzymał mnie w miejscu. Struny wrzynające się w opuszki palców trzymały mnie w teraźniejszości. Na górze spała Grace.

Wszedłem do łazienki. Wzdrygnąłem się, gdy kątem oka dostrzegłem jakiś ruch, ale to było tylko moje odbicie w lustrze. Zamarłem i zacząłem się sobie przyglądać. Czy to była moja twarz?

woda przenikająca materiał mojej koszulki

to nie jest Sam

trzy dwa

Ułożyłem palce tak, żeby zagrać C-dur. Wypełniłem głowę wszystkim, co mogłem zrobić z tym akordem: *Zakochałem się w niej latem, w mej uroczej letniej dziewczynie.* Kurczowo trzymałem się słów, które Grace wypowiedziała wcześniej: „Zamierzasz mnie poślubić?".

Grace zrobiła już tyle, żeby mnie uratować. Teraz nadeszła pora, żebym sam siebie ocalił.

Nie przestawałem trącać strun palcami, gdy szedłem w kierunku wanny. Moja gitara śpiewała, mimo że ja nie byłem w stanie. Stanąłem przy wannie i zajrzałem do środka. Przez chwilę był to tylko zwykły przedmiot. Tylko suchy zbiornik czekający na wypełnienie.

Potem zadzwoniło mi w uszach.

Zobaczyłem twarz mojej matki.

Nie potrafiłem tego zrobić.

Ale moje palce odnalazły G-dur i zagrały tysiąc wariacji tego akordu niemal bez mojego udziału. Piosenki grały się same, podczas gdy ja błądziłem myślami gdzie indziej. Były częścią czegoś większego niż ja, niekończącym się zbiornikiem szczęścia, z którego każdy mógł czerpać.

Zawahałem się. Akordy odbijały się echem od łazienkowych kafelków. Ściany napierały na mnie, drzwi wydawały się daleko.

Wszedłem do wanny. Moje buty zaskrzypiały cicho na suchej powierzchni. Serce waliło mi jak młotem. Czułem, jakby w głowie huczał mi rój pszczół. Mieszkało w niej tysiąc minut innych niż ta, w której teraz trwałem: minuty z żyletkami, minuty, kiedy wszystko, co było mną, płynęło do odpływu, minuty z dłońmi przytrzymującymi mnie w wodzie. Ale była też Grace trzymająca moja głowę nad powierzchnią, jej głos przywołujący mnie do rzeczywistości, Grace biorąca mnie za rękę.

Jednak najważniejsza była ta minuta, w której byłem teraz. Ważniejsza niż wszystkie minione. Minuta, w której ja, Sam Roth, przyszedłem tu o własnych siłach, z muzyką w dłoniach. Silny. W końcu silny.

Rilke powiedział:

(…) Bo jest tak nieskończona
zima pośród zim wszystkich, mijających obok,
że zimujące twe serce pokona.[*]

Właśnie tak znalazł mnie Cole godzinę później. Siedziałem po turecku w pustej wannie, z gitarą na kolanach, palcami wciąż trącając akord G-dur i śpiewając piosenkę, której nie śpiewałem nigdy wcześniej. Piosenkę, która niosła ukojenie.

[*] Rainer M. Rilke, „Sonety do Orfeusza", przeł. M. Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1964, s. 209.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

SAM

Prosiłaś, bym cię obudził,
ale ja też spałem –
głęboko jak kamień…
Jednak teraz jestem
na granicy przebudzenia
widzę już blask
wschodzącego słońca

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

GRACE

Obudziłam się gwałtownie.

Pokój był pogrążony w ciemnościach, a ja miałam niemal pewność, że właśnie śniłam o tej chwili. Tyle że w moim śnie ktoś stał przy łóżku.

- Sam? – wyszeptałam, myśląc, że musiałam zasnąć zaledwie na kilka minut, a on przyszedł się położyć i przypadkiem mnie obudził.

Ale wtedy usłyszałam, jak Sam mruczy przez sen… Dopiero teraz poczułam, że to nie koce leżały za moimi plecami, lecz on. W normalnych okolicznościach jego obecność ucieszyłaby mnie i ukołysała z powrotem do snu, ale byłam tak pewna, że ktoś stoi przy łóżku… Myśl o tym, że przecież Sam leży obok, zaniepokoiła mnie.

Poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku. W miarę jak moje oczy przyzwyczajały się do ciemności, zaczęłam dostrzegać papierowe żurawie, huśtające się i wirujące w powietrzu, poruszane przez niewidzialny wiatr.

Wtedy usłyszałam ten dźwięk.

Nie do końca huk, raczej przerwany łomot. Jakby cos zaczęło spadać, ale w ostatniej chwili zostało złapane. Wstrzymałam oddech, nasłuchując – hałas dochodził gdzieś z dołu. Moja cierpliwość została nagrodzona kolejnym stłumionym łupnięciem. Salon? Podwórko?

- Sam, obudź się – wyszeptałam gorączkowo.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, i przestraszyłam, gdy zobaczyłem lśnienie jego oczu w ciemnościach. Już nie spał i leżał w milczeniu. Nasłuchiwał jak ja.

- Słyszałeś…? – rzuciłam cicho.

Pokiwał głową. Nie tyle zobaczyłam, co usłyszałam, jak jego głowa pociera o poduszkę.

- Garaż? – zasugerowałam.

Znowu skinął głową.

Kolejny stłumiony zgrzyt zdawał się potwierdzać moje przypuszczenia. Powoli wygrzebaliśmy się z łóżka – oboje byliśmy nadal w ubraniach. Sam poszedł przodem. Zaczęliśmy schodzić. Ja pierwsza zobaczyłam Cole'a wyłaniającego się z bocznego korytarza, który prowadził do pokojów na dole. Włosy sterczały mu we wszystkie strony. Wcześniej nie sądziłam, żeby poświęcał choćby sekundę na układanie włosów – z pewnością niedbałe gwiazdy rocka nie musiały pracować nad tym, by wyglądać jak niedbałe gwiazdy rocka – ale teraz stało się jasne, że musiał co rano walczyć z ich „naturalnie" artystycznym nieładem. Miał na sobie tylko spodnie od dresu. Wyglądał raczej na wkurzonego niż zaniepokojonego. Niskim głosem, bardziej sennym niż przytomnym, wymamrotał:

- Co, do diabła?

Staliśmy tak we troje, boso, i nasłuchiwaliśmy jeszcze przez kilka sekund. Nic. Sam przeczesał dłonią włosy. Nastroszyły się w zabawny wachlarz. Cole przyłożył palec do ust i wskazał przez kuchnię w kierunku drzwi wejściowych do garażu. I rzeczywiście, gdy wstrzymałam oddech, znowu usłyszałam dochodzące stamtąd odgłosy czyjejś szamotaniny.

Cole uzbroił się w miotłę stojącą obok lodówki. Ja wybrałam nóż z drewnianego bloku stojącego na blacie. Sam obdarzył nas oboje otępiałym spojrzeniem i poszedł z pustymi rękami.

Staliśmy przy drzwiach, czekając na kolejne odgłosy. Chwilę później rozległo się coś, tym razem głośniejsze niż wcześniej, jakby brzęk metalu. Cole spojrzał na mnie i uniósł brwi. Jednocześnie otworzył drzwi i sięgnął do środka, żeby włączyć światło.

A tam…

Nie było nic.

Spojrzeliśmy po sobie zdezorientowani.

- Jest tam kto?! – zawołałam w głąb garażu.
- Nie wierzę, że cały czas stał tu drugi samochód, a ty nic mi nie powiedziałeś – zwrócił się Cole z wyrzutem w głosie do Sama.

Jak większość garaży, ten również był wypełniony do granic możliwości dziwnymi i śmierdzącymi rzeczami, których nikt nie chciał trzymać w domu. Większość miejsca zajmowało zakurzone czerwone BMW kombi, stała tu też kosiarka do trawy i stół warsztatowy zastawiony małymi metalowymi żołnierzykami. Nad drzwiami wisiała stara tablica rejestracyjna z Wyoming z napisem: „BECK 89".

Znowu spojrzałam na kombi.

- Ciii. Patrzcie! – wyszeptałam.

Przycinarka do trawy opierała się krzywo o maskę samochodu. Gdy weszłam do garażu, żeby ja poprawić, zauważyłam, że maska jest lekko uchylona. Położyłam na niej dłoń.

- Czy tak już było?
- Tak, przez ostatnia dekadę – potwierdził Sam, stając przy mnie. BMW nie należało do najpiękniejszych aut, jakie widziałam w życiu, a garaż wciąż śmierdział czymś, co musiało ostatnio wyciec z któregoś samochodu. Sam wskazał na przewróconą skrzynkę z narzędziami leżącą obok tylnego błotnika wozu. – Ale tego tu nie było.
- Hej – wtrącił Cole – posłuchajcie.

Usłyszałam to, co on – dziwne szuranie pod podwoziem samochodu.

Chciałam się nachylić, ale Sam powstrzymał mnie, a następnie ukląkł, żeby sprawdzić, co się tam czai.

- Na litość boską! – zawołał. – To szop.
- Biedactwo – powiedziałam.
- To może być wściekły morderca niemowlaków – zauważył Cole z kpiną w głosie.
- Zamknij się – rzucił Sam uprzejmym tonem, wciąż zaglądając pod auto. – Zastanawiam się, jak go wydostać.

Cole wyminął mnie, wciąż dzierżąc w dłoni miotłę niczym berło.

- Mnie bardziej interesuje, jak się tu dostał.

Obszedł samochód, dotarł do bocznych drzwi od garażu, które były lekko uchylone. Zapukał w nie.

- Sherlock wpadł na pewien trop.

SAM

- Sherlock niech lepiej wykombinuje, jak wyciągnąć stamtąd tego koleżkę – zauważyłem.
- Albo koleżankę – uzupełnił Cole, a Grace zerknęła na niego z aprobatą.

Z nożem w dłoni wyglądała surowo i seksownie, jak ktoś inny, kogo się nie spodziewałem w jej wydaniu. Jej błyskotliwa wymiana zdań z Cole'em może powinna wywołać moją zazdrość, ale zamiast tego się ucieszyłem. To był dowód na to, że zaczynałem myśleć o Cole'u jako o przyjacielu. Każdy żywi nadzieję, że jego przyjaciele będą się przyjaźnić również między sobą.

Ruszyłem w stronę głównego wejścia do garażu – piach nieprzyjemnie przywierał mi do bosych stóp – i pociągnąłem drzwi, żeby je otworzyć. Podjechały pod sufit ze straszliwym zgrzytem, a moim oczom ukazał się ciemny podjazd i zaparkowany na nim volkswagen. To był upiorny i samotny krajobraz. Chłodne nocne powietrze, pachnące młodymi liśćmi i pąkami kwiatów, zaszczypało mnie w ramiona i palce u stóp. Upajająca mieszanka chłodnego wiatru i bezkresnej nocy wzywała mnie, sprawiając, że krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach. Na chwilę zagubiłem się w sile swojego pragnienia.

Zmusiłem się do powrotu do rzeczywistości. Cole dźgał już miotłą przestrzeń pod samochodem, ale Grace spoglądała w noc z miną, która – jak sądziłem – odzwierciedlała moją. Coś pomiędzy kontemplacją a tęsknotą. Zorientowała się, że na nią patrzę, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Miałem wrażenie że w i e d z i a ł a , jak się czuję. Po raz pierwszy od bardzo dawna przypomniało mi się, jak kiedyś czekałem na nią w lesie, aż się przemieni i oboje będziemy wilkami w tym samym czasie.

- No chodź tu, draniu – sapał Cole do zwierzęcia pod samochodem. – Tak dobrze mi się spało.
- Mam stanąć po drugiej stronie i ubezpieczać? – zapytała Grace, patrząc na mnie jeszcze przez sekundę, zanim się odwróciła.
- Ale nóż to lekka przesada – zauważyłem, odsuwając się od wejścia do garażu. – Tam masz jeszcze jedna szczotkę na długim kiju.

Spojrzała na nóż, po czym odłożyła go na poidełko dla ptaków – owoc kolejnej nieudanej próby upiększenia podwórka przez Becka.

- Nienawidzę szopów – wyznał Cole. – Właśnie dlatego twój pomysł z przesiedleniem wilków jest nieco problematyczny, Grace.

Tymczasem ona, uzbrojona w szczotkę, sprawnie i z ponurą miną manewrowała nią pod samochodem.

- Jakoś nie widzę związku…

Zobaczyłem nos szopa wystający spod BMW. W pośpiechu uciekł spod miotły Cole'a, minął otwarte drzwi do garażu i ukrył się za konewka po drugiej stronie auta.

- Dlaczego tam, ty głupi draniu?! – ze złością krzyknął chłopak.

Grace podeszła i delikatnie poruszyła konewką. Po chwili wahania szop uciekł z powrotem pod samochód, znowu ignorując otwarte drzwi. Moja dziewczyna, jak zawsze kierując się logiką, wyciągnęła rękę.

- Drzwi są t a m . Przecież są wielkie na całą ścianę!

Cole, odrobinę bardziej rozentuzjazmowany, niż wymagała tego sytuacja, znowu zaczął wymachiwać miotłą pod samochodem. Przerażony tym atakiem szop ponownie zwiał w okolice konewki. Zapach jego strachu był równie mocny jak smród jego futra.

- Właśnie dlatego – zauważył Cole, opierając się na miotle, przez co wyglądał jak Mojżesz w spodniach od dresu – szopy nigdy nie przejmą kontroli nad planetą.
- Właśnie dlatego – dodałem – do nas ciągle ktoś strzela.

Grace z litością spojrzała na kryjące się w kącie przestraszone zwierzę.

- Bo nie kierujemy się logiką.
- Może raczej chodzi o brak zmysłu przestrzennego – sprostowałem. – Wilki kierują się logiką. Tyle że nie ludzką. Za to nie mają wyczucia przestrzeni, czasu i granic. Las Boundary jest dla nas za mały.
- Więc przenieśmy wilki w lepsze miejsce – skwitowała Grace. – Na jakieś mniej zamieszkane tereny. Gdzieś, gdzie będzie zdecydowanie mniejsza populacja ludzi takich jak Tom Culpeper.
- Zawsze znajdzie się jakiś Tom Culpeper – powiedziałem w tym samym momencie co Cole, a ona uśmiechnęła się smutno do nas obu. – To musiałoby być dość odległe miejsce – zauważyłem. – I to nie mógłby być teren prywatny, chyba że należałby do nas, ale chyba nie jesteśmy aż tak bogaci. I nie może być zajęty przez inna sforę, bo wilki zabijałyby się nawzajem. I musiałaby tam być zwierzyna, bo inaczej i tak umrą z głodu. Poza tym, jak wyłapać ponad dwadzieścia wilków? Cole próbował i nie poszczęściło mu się nawet z jednym.

Grace przybrała swój uparty wyraz twarzy, co oznaczało, że traci poczucie humoru.

- Masz lepszy pomysł?

Wzruszyłem ramionami.

Cole podrapał się po nagiej piersi trzonkiem miotły i powiedział:

- No… wiecie, one już raz zostały przesiedlone.

Oboje z Grace spojrzeliśmy na niego z uwagą.

Cole zaczął nieśpiesznie mówić. Stopniował napięcie, zanim powiedział to, co naprawdę chcieliśmy usłyszeć.

- Beck zaczął pisać dziennik, gdy stał się wilkiem. Ale wpisy nie zaczynają się w Minnesocie.
- Okej – nie wytrzymała Grace. – Więc gdzie?

Cole wskazał miotłą na rejestrację nad drzwiami: „BECK 89".

- Wtedy właśnie na tamte tereny zaczęła wracać populacja zwykłych wilków, które – jak to nieźle wykombinował Ringo – zaczęły zabijać wilkołaki. I Beck uznał, że przesiedlenie to jedyna opcja.

Poczułem się trochę tak, jakbym został zdradzony. Nie chodziło o to, że mój opiekun okłamał mnie co do miejsce swojego pochodzenia – jestem pewien, że nigdy nie zapytałem go wprost, czy zawsze mieszkał w Minnesocie. No i w końcu ta tablica rejestracyjna zawsze była na widoku. Chodziło tylko o to, że… Wyoming?! Cole, chociaż intruz, wiedział o moim ojcu więcej niż ja. Jakaś część mnie podpowiadała mi, że to dlatego, że on – w przeciwieństwie do mnie – miał jaja, żeby zabrać się za czytanie jego dziennika. Ale inna mówiła, że ja nie powinienem musieć go czytać, żeby wiedzieć takie rzeczy.

- Opisał, jak to zrobił? – zapytałem.
- Tak jakby. – Cole spojrzał na mnie niepewnie.
- Jak to „tak jakby"?
- Wspomniał tylko, że Hannah bardzo im pomogła.
- Nigdy o niej nie słyszałem – powiedziałem dosyć ostrożnie.
- Bo nie miałeś okazji – odrzekł Cole. Znowu zrobił dziwna minę. – Beck napisał, że była młodym wilkiem, ale nie udawało jej się pozostawać w ludzkiej formie tak długo jak innym. Przestała się zamieniać w człowieka w rok po przeprowadzce tutaj. Napisał też, że jako wilk była w stanie zachowywać ludzkie myśli lepiej niż inni. Na tyle, że pamiętała twarze i wracała do miejsc, w których bywała jako człowiek.

Teraz zrozumiałem, dlaczego na mnie patrzył. Grace tez na mnie patrzyła. Odwróciłem wzrok.

- Wyciągnijmy stąd tego szopa.

Staliśmy w ciszy przez kilka chwil, trochę otumanieni z braku snu, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że słyszę jakiś ruch tuż obok. Wahałem się przez moment, próbując zidentyfikować źródło dźwięku.

- Hej – zauważyłem wreszcie.

Za pojemnikiem na śmieci kulił się drugi, większy szop. Patrzył na mnie nieufnie. Najwyraźniej ukrywanie się szło mu lepiej niż pierwszemu, bo dotąd byliśmy kompletnie nieświadomi jego obecności. Grace wyciągnęła szyję, próbując dojrzeć, na co patrzę.

Złapałem uchwyt pojemnika naśmieci, a potem bardzo powoli popchnąłem go w kierunku ściany, zmuszając w ten sposób szopa do wyjścia. Zwierzę błyskawicznie pomknęło wzdłuż ściany i wypadło przez otwarte drzwi prosto w noc. Bez zastanowienia. Prosto przez drzwi garażu.

- Dwa szopy? – zapytała Grace. – To… - przerwała, bo pierwszy szop, zainspirowany sukcesem uciekiniera, popędził za nim, tym razem nie zahaczając o konewkę.
- Pff… - sapnęła. – W końcu pojął ideę drzwi. Mam nadzieję, że nie ma trzeciego…

Ruszyłem, żeby zamknąć garaż, ale po drodze zerknąłem na Cole'a. Patrzył za szopami, ściągając brwi, a jego twarz po raz pierwszy była pozbawiona maski mającej na celu wywarcie jak najlepszego wrażenia na widzach.

Grace zaczęła coś mówić, ale potem tak jak ja przeniosła wzrok na Cole'a. Zamilkła.
Trwaliśmy w ciszy przez pełna minutę. W oddali zaczęły wyć wilki, a mnie zjeżyły się włoski na karku.

- No to mamy odpowiedź – podsumował Cole. – Właśnie to zrobiła Hannah. Tak przesiedlimy wilki. Jedno z nas będzie musiało je wyprowadzić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

GRACE

Kiedy obudziłam się następnego dnia rano, czułam się tak, jakbym była na koloniach.

Gdy miałam trzynaście lat, babcia opłaciła mi wyjazd na dwutygodniowy letni obóz „Blue Sky" dla dziewcząt. To był wspaniały wyjazd – dokładnie rozplanowane dwa tygodnie, podczas których liczył się każdy dzień. Codziennie rano rozdawano nam kolorowe ulotki z rozkładem zajęć. To było całkowite przeciwieństwo życia z moimi rodzicami, którzy wyśmiewali się z harmonogramów. Dzięki temu fantastycznemu doświadczeniu po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że są jeszcze inne drogi do szczęścia niż ta wybrana przez mamę i tatę. Problem polegał na tym, że obóz nie był moim domem. Szczoteczkę do zębów miałam brudną, bo mama wepchnęła mi ją luzem do małej kieszonki plecaka (zapomniała o kupieniu plastikowych torebek przed moim wyjazdem). Spanie na piętrowym łóżku okazało się niezbyt komfortowe. Obiady mi smakowały, ale wszystkie dania były trochę przesolone, a przerwa między lunchem a obiadem odrobinę za długa. Jedzenie nie było tak dobre jak domowe i nie mogłam po prostu pójść do kuchni i wziąć sobie do pochrupania precelków. Pobyt na obozie był fajny, ale te drobne niedogodności stanowiły pewien dysonans.

A teraz byłam w domu Becka, w sypialni Sama. To też nie był mój prawdziwy dom. Wciąż utożsamiałam słowo „dom" z poduszkami pachnącymi moim szamponem i wysłużonymi powieściami Johna Buchana[*], które kupiłam na wyprzedaży organizowanej przez bibliotekę, więc były mi podwójnie drogie. I z dźwiękiem bieżącej wody i odgłosami golenia, które co rano towarzyszyły przygotowaniom ojca do pracy. I z niskim, poważnym pomrukiem dobiegającym z radia w gabinecie. I z nieskończenie wygodna logiką mojego własnego rozkładu dnia. Czy mogłam jeszcze wrócić do tamtego domu?

Usiadłam na łóżku, ogłupiała od snu i zaskoczona, że obok mnie leży Sam. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek obudziła się przed nim. Przyglądałam mu się przez chwilę z bezpodstawnym niepokojem, dopóki nie upewniłam się, że pod wytartym T-shirtem jego pierś unosi się i opada w stałym rytmie.

Zwlokłam się z pościeli, spodziewając się, że i Sam zaraz się obudzi. Z jednej strony bardzo na to liczyłam, a z drugiej miałam nadzieję, że jednak uda mu się dłużej pospać. I rzeczywiście, dalej leżał pogrążony we śnie. Wyglądał jak szmaciana lalka, którą ktoś rzucił na łóżko.

W żyłach krążyła mi toksyczna mieszanka niewyspania i nadmiernej pobudliwości. Dotarcie na korytarz i przypomnienie sobie, gdzie jest łazienka, zajęło mi więcej czasu niż powinno. A kiedy już tam doszłam, zorientowałam się, że nie mam szczotki do włosów ani szczoteczki do zębów, a jedyną częścią garderoby, jaką udało mi się znaleźć, był T-shirt z nazwą jakiegoś zespołu, którego nie znałam. Użyłam szczoteczki do zębów sama, powtarzając sobie, że nie jest to wcale aż tak obrzydliwe, skoro się całujemy, i prawie w to uwierzyłam. Znalazłam też jego szczotkę do włosów, leżącej obok podejrzanie wyglądającej, zużytej maszynki do golenia. Użyłam tej pierwszej. Drugą zostawiłam, gdzie była.

Spojrzałam w lustro. Miałam wrażenie, jakbym żyła po jego drugiej stronie, w której czas nic nie znaczył.

– Chcę powiedzieć Rachel, że żyję.

Zabrzmiało to rozsądnie, dopóki nie zaczęłam rozważać możliwych konsekwencji tej decyzji.

Zajrzałam z powrotem do sypialni – Sam wciąż spał – i poszłam na dół. Jakaś część mnie cieszyła się tym przyjemnym uczuciem bycia samemu, które tak różniło się od osamotnienia. Przypomniałam sobie

[*] John Buchan (1875 – 1940) – szkocki pisarz i polityk, autor powieści, opowiadań i biografii.

wszystkie te sytuacje, kiedy czytałam książkę albo odrabiałam prace domową, a Sam siedział w tym samym pokoju. Byliśmy razem, ale w ciszy. Jak dwa księżyce na tej samej orbicie.

Na dole znalazłam Cole'a rozwalonego na kanapie. Spał z jednym ramieniem wyciągniętym nad głową. Przypomniałam sobie, że w piwnicy tez jest ekspres do kawy, więc na palcach przeszłam korytarzem.

Piwnica była przytulnym, ale nieco dezorientującym miejscem – pozbawiona okien i Świerzego powietrza. Światło było sztuczne, więc łatwo było tu stracić poczucie czasu. Weszłam do środka i poczułam się dziwnie. Nagle zawładnęła mną fala niezrozumiałego smutku. Ostatni raz byłam tu po naszym wypadku samochodowym, gdy Sam przemienił się w wilka. Rozmawiałam wtedy z Beckiem, myśląc, że utraciłam mojego chłopaka na zawsze. A potem okazało się, że to Beck miał odejść.

Włączyłam ekspres do kawy i usiadłam w tym samym fotelu, w którym siedziałam wtedy. Za pustym fotelem Becka ciągnęły się półki wypełnione książkami, których on nigdy już nie przeczyta. Regały pokrywały wszystkie ściany – ekspres do kawy stał na jedynym skrawku mebla niezastawionym przez książki. Zastanawiałam się, ile ich tu było. Może tysiąc, może więcej. Nawet z tego miejsca wiedziałam, że były starannie uporządkowane – literatura faktu tematycznie, wysłużone powieści – alfabetycznie.

Pomyślałam, że fajnie byłoby mieć taką biblioteczkę, gdy będę w wieku Becka. Nie tę bibliotekę, tylko jaskinię ze słów, którą zbuduję sobie sama. Ale nie miałam pojęcia, czy to kiedykolwiek będzie możliwe.

Westchnęłam, podniosłam się z fotela i zaczęłam przeglądać książki, dopóki nie znalazłam kilki o tematyce edukacyjnej. Usiadłam z nimi na podłodze. Nie byłam pewna, jak długo czytałam, kiedy usłyszałam ciche skrzypienie schodów. Podniosłam wzrok i zobaczyłam parę bosych stóp. Cole. Był zaspany i rozczochrany, a na twarzy miał odciśnięte ślady po poduszce.

- Cześć, Brisbane – przywitał mnie.
- Cześć, St. Clair – odpowiedziałam.

Cole odłączył ekspres do kawy od zasilania i postawił go na podłodze, koło mnie. Dolał mi ciepłego jeszcze napoju i sam również się poczęstował, zachowując powagę i milczenie podczas całej czynności. Potem zerknął na tytuły książek, które ściągnęłam z półek.

- „Nauczanie na odległość"? mocna rzecz z rana.

Pochyliłam głowę.

- To wszystko, czym dysponował Beck.

Cole czytał dalej.

- „Zdaj test CLEP[*]". „Uzyskiwanie stopni naukowych on-line". Jak zostać wykształconym wilkiem bez opuszczania własnej piwnicy. Martwi cię to, prawda? Mam na myśli szkołę.

Zerknęłam na niego. Nie wiedziałam, że w moim głosie było słychać niepokój. Nie myślałam, że się martwię.

- Nie… No dobra… tak. Martwi. Chciałam pójść do college'u. Chciałam skończyć liceum. Lubię się uczyć…

Gdy to powiedziałam, uświadomiłam sobie, że Cole zamiast college'u wybrał „NARKOTIKĘ". Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć mu moje podekscytowanie związane z perspektywą studiowania. Nie byłam pewna, jak opisać mu to uczucie wyczekiwania, z jakim przeglądałam materiały uniwersyteckie z opisami przedmiotów – tyle możliwości! – i jaką radość sprawiało mi otwieranie nowego zeszytu i podręcznika. Jak miałam opisać przyjemność z bycia w jakimś miejscu z grupą innych ludzi, którzy też lubią się uczyć? I radość z posiadania małego mieszkanka, w którym mogłabym się rządzić jak królowa, tak jak chcę, przez cały czas. Czując się trochę głupio, dodałam:

---

[*] CLEP (College-Level Examination Program) – system egzaminów zdawanych przez studentów w Stanach Zjednoczonych zaliczających przedmioty przewidziane w programie studiów wyższych przez ponad 2 tys. uczelni.

– To chyba brzmi żałośnie, prawda?

Ale Cole spojrzał w zamyśleniu do swojego kubka z kawą i powiedział:

– Mmm, nauka. Tez jestem jej fanem. – Wziął jedna z książek i otworzył na chybił trafił. Rozdział nosił nagłówek: „Studiowanie świata ze swego fotela", i była tam grafika przedstawiająca ludzika, który właśnie tym się zajmował. – Pamiętasz wszystko, co zaszło w szpitalu?

Zadał to pytanie w taki sposób, jakby sugerował, że na pewni nie, więc poprosiłam o szczegóły. Opisał mi tamtą noc, od momentu, gdy zaczęłam wymiotować krwią. Opowiedział mi to tym, jak z Samem zabrali mnie do szpitala, i jak wykombinował, co mogłoby mnie ocalić. A potem wspomniał o tym, że mój ojciec pobił Sama…

Pomyślałam, że musiałam go źle zrozumieć.

– Ale chyba nie uderzył go tak naprawdę? To znaczy…

– Porządnie mu przywalił – rozwiał moje wątpliwości Cole.

Pociągnęłam łyk kawy. Nie byłam pewna, co było dziwniejsze – fakt, że mój ojciec uderzył mojego chłopaka, czy świadomość, jak wielu rzeczy nie zarejestrowałam, leżąc na szpitalnym łóżku, a potem przemieniając się w wilka. Nagle te miesiące, które spędziłam jako zwierzę, wydały mi się jeszcze bardziej stracone. To były godziny, których nigdy nie odzyskam. Jakby moje życie skurczyło się o połowę. Zmusiłam się, żeby o tym nie myśleć i skupiłam na informacji o pobiciu Sama przez mojego ojca.

– Nie oddał mu, prawda?

Cole roześmiał się tylko i dolał sobie więcej kawy.

– Z tego, co mówisz, ja zawsze tak naprawdę byłam chora – zauważyłam.

– Tak właśnie. Tylko się nie przemieniałaś. Przez to substancja, którą nazwałem „St. Clair", skumulowała się w twoim ciele. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że ochrzciłem wilczą toksynę swoim nazwiskiem. To na wypadek, gdybym kiedyś miał dostać za to pokojową Nagrodę Nobla albo Pulitzera, albo cos w tym stylu.

– Więc Sam też nie jest wyleczony… - Szybko wyciągnęłam wnioski.

Odstawiłam kubek z kawą na podłogę i odsunęłam od sienie książki. Trudno mi było znieść myśl, że wszystko, przez co przeszliśmy, poszło na marne. Moje marzenie o wielkiej bibliotece i własnym czerwonym ekspresie do kawy nagle wydało mi się kompletnie nieosiągalne.

– Cóż – odpowiedział Cole. – Tego nie wiem. Ostatecznie przecież udało mu się… O, patrz, o wilku mowa… Witaj, Ringo.

Sam zszedł do piwnicy bardzo cicho i teraz stał przy schodach. Stopy miał czerwone po gorącym prysznicu. Na jego widok poczułam, że mój pesymizm znika, mimo że jego obecność niczego nie rozwiązywała.

– Właśnie rozmawialiśmy o lekarstwie – wprowadził go w temat Cole.

Sam podszedł i usiadł obok mnie po turecku. Zaproponowałam mu kawę, ale nie chciał.

– Jakieś wnioski? – zapytał.

– Spędziłem dużo czasu, zastanawiając się nad tym, jak udało ci się zmusić swój organizm do przemiany.

Sam się zdziwił:

– Ja się wcale nie zmuszałem do przemiany.

– Być może rzadko, Ringo – przyznał Cole – ale zdarzało ci się.

Poczułam ukłucie nadziei. Jeśli ktokolwiek potrafił rozgryźć, na czym polega fenomen wilków z lasu Boundary, to chyba tylko Cole. Przecież mnie ocalił, czyż nie?

– Jak wtedy, kiedy obroniłeś mnie przed wilkami – przypomniałam mu. – I w klinice, gdy chcieliśmy ci wstrzyknąć zakażoną krew… - Miałam wrażenie, jakby od tamtej nocy w klinice

matki Isabel minęły wieki. Poczułam kolejną falę napływającego smutku na to wspomnienie. – I wymyśliłeś coś? – zwróciłam się do Cole'a.

Sam z rozdrażnieniem spoglądał na niego, gdy zaczął opowiadać o adrenalinie i toksynie „St. Clair" w organizmie. Jak próbował wykorzystać nietypowe przemiany Sama jako podstawę do odnalezienia lekarstwa.

- Ale jeśli byłaby to tylko kwestia adrenaliny, każde uczucie strachu wywoływałoby przemianę, prawda? – zapytałam.
- Próbowałem używać EpiPena. – Cole wzruszył ramionami. – To czysta adrenalina. Podziałało. No… prawie.

Sam ściągnął brwi. Byłam ciekawa, czy pomyślał o tym samym, co ja. To „prawie" zabrzmiało groźnie.

Cole wyjaśnił:

- Adrenalina nie sprawia, że mój mózg reaguje we właściwy sposób. Nie wywołuje przemiany tak jak zimno albo nagromadzenie toksyny „St. Clair". Trudno to powtórzyć, kiedy nie ma się pojęcia, jak to właściwie działa. To jak odtwarzanie kolorów dinozaura na podstawie wielkości jego czaszki.
- Cóż, jestem po wrażeniem! Wykombinowałeś przynajmniej, że chodzi o dinozaura – zauważył Sam. – Najwyraźniej Beckowi i całej reszcie nie udało się nawet właściwie odgadnąć gatunku. – Wstał i wyciągnął do mnie rękę. – Chodź, zrobimy śniadanie.

Ale Cole jeszcze nie skończył.

- Och, Beck po prostu nie chciał tego zrozumieć – rzucił lekceważąco. – Tak naprawdę nie chciał tracić tego czasu, który miał jako wilk. Wiecie co? Gdyby mój ojciec był zaangażowany w to wszystko, raz, dwa porobiłby jakieś tomografie komputerowe, rezonanse magnetyczne, wykorzystał z tysiąc elektrod, dorzucił kilka fiolek niekoniecznie bezpiecznych leków oraz jeden czy dwa akumulatory. I trzy czy cztery martwe wilkołaki później miałby już gotowe lekarstwo. Drań jest świetny w tym, co robi.

Sam opuścił rękę.

- Wolałbym, żebyś nie mówił o Becku w ten sposób.
- W jaki sposób?
- Jakby on… - Nie dokończył.

Sam popatrzył na mnie, jakby końcówka zdania była ukryta w moim wyrazie twarzy. Wiedziałam, co chciał powiedzieć: „Jakby był podobny do ciebie". Na ustach Cole'a pojawił się cień surowego uśmiechu.

- To może inaczej… - zaczął nasz gwiazdor. Wskazał na fotel, w którym kiedyś siadywał Beck, przez co pomyślałam, że on tez rozmawiał z nim w tej piwnicy. Z jakiegoś powodu poczułam się dziwnie, gdy zrozumiałam, że Cole'a łączyło z opiekunem Sama coś, czego nie byliśmy świadomi. – Może powiesz mi, kim był dla ciebie Beck, a ja ci powiem, kim był dla mnie. A potem Grace będzie mogła ocenić, czyja wersja brzmi prawdopodobniej.
- Nie sądzę, żebym… - zaczęłam.
- Znałem go przez dwanaście lat – przerwał Sam. – Ty znałeś go przez dwanaście sekund. Moja wersja wygrywa.
- Czyżby? – zapytał Cole. – Czy opowiedział ci o tym, jaki był jako prawnik? Czy opowiedział ci o swoim życiu w Wyoming? Czy opowiedział ci o swojej żonie? Albo o tym, gdzie znalazł Urlika? Czy opowiedział ci, co sobie robił, kiedy Paul go dorwał?
- Powiedział mi, jak stał się wilkiem – zripostował Sam.
- Mnie też – wtrąciłam, czując, że powinnam jakoś go wesprzeć. – Powiedział mi, że został ugryziony w Kanadzie, a Paula spotkał w Minnesocie.

- A nie przyznał się wam, że był w Kanadzie, bo chciał popełnić samobójstwo, a Paul ugryzł go, żeby go przed tym powstrzymać? – zapytał Cole.
- Beck powiedział ci to, bo to właśnie potrzebowałeś usłyszeć – upierał się Sam.
- A dla ciebie wymyślił całą tę historyjkę o górskiej wędrówce i o tym, że Paul był już w Minnesocie, bo to było coś, co chciałeś usłyszeć – odrzekł Cole. – Wyjaśnij mi, jak pasuje do tego Wyoming, bo nie opowiedział o tym żadnemu z nas. Nie przyjechał z Kanady do Mercy Falls, bo odkrył, że tu już są wilki. Tak samo jak nie został ugryziony podczas górskiej wycieczki. Uprościł tę historię, żeby nie wypaść źle w twoich oczach. Uprościł ja dla mnie, bo nie sądził, żeby pewne fakty były istotne przy przekonywaniu mnie. Nie mów mi, że w niego nie zwątpiłeś, Sam, bo to niemożliwe. Ten facet zorganizował twoje ugryzienie, a potem cię adoptował. Musiałeś przecież o tym myśleć.

Było mi żal Sama. Stał wpatrzony w Cole'a. Twarz miał kompletnie pozbawiona wyrazu.

- Zastanawiałem się nad tym – powiedział.
- I co? – zapytał Cole.
- Nie wiem – przyznał Sam.
- Musisz mieć jakąś opinię na ten temat.
- Nie wiem.

Cole podniósł się i stanął tuż obok Sama. Już sam sposób, w jaki to zrobił, był onieśmielający.

- Nie chcesz go o to zapytać?

Trzeba przyznać, że Sam nie wyglądał na speszonego.

- Przecież nie ma takiej opcji.
- A gdyby była? – drążył dalej Cole. – Gdybyś mógł spotkać się z nim na piętnaście minut? Mogę go odnaleźć. Mogę go odnaleźć i zaaplikować mu coś, co wywoła przemianę. Nie na długo. Ale to wystarczy, żeby można było z nim porozmawiać. Ja też z chęcią zadam mu parę pytań.

Sam ściągnął brwi i rzucił:

- Możesz robić z własnym ciałem, co chcesz, ale nie wolno ci eksperymentować na kimś, kto nie jest w stanie dać na to przyzwolenia.

Cole wyglądał na urażonego.

- To adrenalina, a nie seks na balu maturalnym.

Sam powiedział twardo:

- Nie będę ryzykował śmierci Becka tylko po to, żeby zapytać, dlaczego nie przyznał mi się, że wcześniej mieszkał w Wyoming.

To była odpowiedź, jakiej Cole się spodziewał po Samie. Ale na jego ustach znowu zaczął się błąkać ten surowy, ledwie widoczny uśmiech.

- Jeśli złapiemy Becka i zdołamy go przemienić – oświadczył – możliwe, że uda mi się zresetować go, jak Grace. Czy zaryzykowałbyś jego życie dla czegoś takiego?

Sam nie odpowiedział.

- Zgódź się – naciskał Cole. – Powiedz mi, żebym go odnalazł, a ja to zrobię.

Pomyślałam, że to właśnie dlatego Sam i Cole nie mogą się dogadać. Bo gdy przychodziło co do czego, Cole umiał podejmować trudne decyzje z dobrych powodów, a Sam nie potrafił tego usprawiedliwić. Teraz Cole wymachiwał mu przed nosem tą kuszącą propozycją czegoś, czego Sam pragnął najbardziej na świecie, a jednocześnie czegoś, czego absolutnie nie chciał. Nie byłam pewna, jaka odpowiedź chciałam od niego usłyszeć.

Zobaczyłam, jak Sam przełyka ślinę. Zwrócił się do mnie i cicho zapytał:

- Co mam zrobić?

Nie byłam w stanie powiedzieć mu niczego, czego już by nie wiedział. Skrzyżowałam ręce na piersi. Mogłabym wymyślić tysiąc powodów za i przeciw, ale wszystkie one zaczynały się i kończyły na pragnieniu, jakie rysowało się teraz na jego twarzy.

- Musisz być w stanie żyć z samym sobą – powiedziałam mu tylko.
- On i tak umrze, Sam – zauważył Cole.

Sam odwrócił się od nas obojga, zakładając ręce za głowę. Wpatrywał się w rzędy książek Becka.

W końcu, nie patrząc na żadne z nas, rzucił:

- W porządku. Tak. Znajdź go.

Spojrzeliśmy z Cole'em po sobie.

Na górze zaczął gwizdać czajnik, który Sam musiał wcześniej nastawić. Ruszył więc po schodach, żeby go wyłączyć. Pomyślałam, że to doba wymówka, żeby wyjść z piwnicy. W żołądku poczułam grudkę niepewności na myśl o tym, że będziemy wywoływać przemianę Becka. Zbyt łatwo zapomniałam, jak wiele ryzykowaliśmy, gdy próbowaliśmy się nauczyć czegoś więcej o sobie.

- Cole – szepnęłam. – Beck jest dla niego wszystkim. To nie gra. Nie rób niczego, czego nie jesteś pewien, okej?
- Zawsze jestem pewien tego, co robię – powiedział. – Czasami nie jestem tylko pewien, czy wszystko to, co robię, będzie miało szczęśliwe zakończenie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI,

GRACE

Tamten pierwszy dzień we własnej skórze był dla mnie dziwny. Czułam się nieswojo bez moich ubrań i rutynowych zajęć, świadoma, że w moim ciele wciąż czai się nieprzewidywalny, dziki wilk.

Po części podobał mi się ta niepewność związana z byciem nowym wilkiem. Wiedziałam także, że w końcu moja przemiana będzie uzależniona od temperatury. A ja kochałam zimno. Nie chciałam się go bać.

Podejmując próbę powrotu do normalności, zasugerowałam, żebyśmy przygotowali prawdziwą kolację. Okazało się to trudniejsze, niż sądziłam. Sam i Cole zaopatrzyli dom w dziwna kombinację produktów spożywczych, z których większość dałoby się opisać jako: „nadające się do odgrzania w mikrofalówce". Niewiele tu było naturalnych składników, z których można by coś samemu przyrządzić. Ale znalazłam produkty potrzebne do zrobienia naleśników oraz jajka, które zawsze uważałam za porządny posiłek. Sam bez słowa zgłosił się do pomocy, podczas gdy Cole rozwalił się na podłodze w salonie i zaczął gapić się w sufit.

Zerknęłam na niego przez ramię.

– Co on robi? Mógłbyś mi podać łopatkę?

Sam wręczył mi żądany przedmiot.

– Myślę, że boli go mózg.

Wsunął się za mnie, żeby sięgnąć po talerze i przez chwilę jego ciało było dociśnięte do mojego. Położył mi ręce na talii, żeby mnie przytrzymać. Poczułam nagłą falę tęsknoty za nim.

– Hej! – zawołałam, gdy odwrócił się, trzymając talerze. – Odłóż je i wracaj tu do mnie.

Sam ruszył w moją stronę, ale wtedy kątem oka dostrzegłam jakiś ruch za oknem.

– Pst… co to? – zapytałam szeptem. – Stój!

Zamarł i podążył wzrokiem za moim spojrzeniem. Po ciemnym podwórku krążyło jakieś zwierzę. Trawa była zalana blaskiem padającym z dwóch kuchennych okien. Przez moment straciłam intruza z oczu, ale po chwili odnalazłam go przy grillu.

Serce zatrzepotało mi w piersi, bo to był biały wilk. Olivia była białą wilczycą, a ja nie widziałam jej od tak dawna.

Ale wtedy Sam wyszeptał:

– Shelby…

Gdy wilczyca się poruszyła, zobaczyłam, że miał rację. Nie prezentowała gibkiej gracji Olivii, a gdy uniosła łeb, był to gwałtowny ruch pełen podejrzliwości. Patrzyła na dom – te oczy zdecydowanie nie należały do mojej przyjaciółki – a potem kucnęła i nasikała.

– No pięknie – rzuciłam z przekąsem.

Sam zmarszczył brwi.

Obserwowaliśmy w milczeniu, jak Shelby przechodzi od grilla do kolejnego miejsca na podwórku i znowu oznacza terytorium. Była sama.

– Myślę, że robi się coraz gorsza – stwierdził Sam.

Shelby stała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w dom. Czułam, że patrzy na nas, chociaż musieliśmy być dla niej tylko nieruchomymi plamami, jeśli w ogóle nas dostrzegała. Mimo wszystko nawet stąd widziałam najeżoną sierść na jej grzbiecie.

– Ona jest psychicznie chora.

Oboje się wzdrygnęliśmy, słysząc głos Cole'a za nami.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

- Widuję ją, gdy zastawiam pułapki. Jest odważna i wredna jak jasna cholera.
- No, to tyle to i ja wiem – skwitowałam. Z drżeniem przypomniałam sobie tamten wieczór, kiedy rzuciła się przez szybę, żeby mnie zaatakować. A potem jej oczy w czasie burzy. – Kilka razy próbowała mnie zabić.
- Jest wystraszona – przerwał nam cicho Sam. Wciąż obserwował Shelby, a ona nie spuszczała z niego wzroku. Było to upiorne uczucie. – Jest przestraszona i samotna, i wściekła, i zazdrosna. O ciebie, o Cole'a i Olivię. Stosunki w sforze zmieniają się naprawdę szybko, a ona nie może już spaść niżej w hierarchii. Straciła wszystko.

Ostatni naleśnik zaczął się przypalać. Zdjęłam patelnię z kuchenki.

- Nie lubię, gdy kręci się w pobliżu.
- Ja nie sądzę… chyba nie musisz się obawiać – pocieszył mnie Sam. Shelby wciąż trwała w bezruchu, wpatrując się w jego postać. – Myślę, że ona mnie wini za wszystko.

Nagle Shelby wzdrygnęła się na dźwięk głosu Cole'a, który rozległ się na podwórku:

- Wynoś się stąd, pieprzona suko!

Wilczyca zniknęła w ciemnościach przy wtórze zatrzaskiwanych drzwi.

- Dzięki, Cole – powiedziałam. – To było niewiarygodnie subtelne.
- Subtelność to jedna z moich zalet – wyjaśnił.

Sam wciąż spoglądał przez okno, ściągając brwi.

- Zastanawiam się, czy ona…

Telefon leżący na wyspie kuchennej zadzwonił, przerywając jego wypowiedź. Cole odebrał, skrzywił się, a potem bez słowa oddał mi słuchawkę.

Na wyświetlaczu widniał numer Isabel.

- Halo? – rzuciłam.
- Grace…

Czekałam na jakiś komentarz dotyczący faktu, że byłam człowiekiem. Bezceremonialny i sarkastyczny. Ale ona po prostu wymówiła moje imię.

- Isabel – odrzekłam, tylko po to, żeby coś powiedzieć.

Zerknęłam na Sama, który wyglądał na równie zdezorientowanego jak ja.

- Czy Sam wciąż jest tam z tobą? – zapytała.
- Tak. Czy… chcesz z nim porozmawiać?
- Nie. Chciałam się tylko upewnić, że ty… - Isabel umilkła na chwilę. Gdzieś w tle po drugiej stronie linii usłyszałam hałas. – Grace, czy Sam już ci powiedział, że w naszym lesie znaleziono martwą dziewczynę? Zabitą przez wilki?

Spojrzałam na Sama, ale on nie słyszał pytania Isabel.

- Nie – zaprzeczyłam, czując narastający niepokój.
- Grace. Już wiedzą, kto to.

Przepełniła mnie głucha cisza.

- To była Olivia – oznajmiła Isabel.

Olivia.

Olivia.

Olivia.

Nagle wszystko wokół pojawiło się w mojej głowie z wyjątkową ostrością. Na lodówce wisiało zdjęcie mężczyzny stojącego obok kajaka i składającego palce w znak pokoju. Był też na niej brudny magnes w kształcie zęba z nazwą i numerem telefonu gabinetu dentystycznego. Blat był naznaczony kilkoma małymi rysami. Stała na nim stara szklana butelka po coli z ołówkiem w środku. I z jednym z tych długopisów, które

wyglądały jak kwiatki. Z kranu kapało co jedenaście sekund. Krople wody przesuwały się z godnie z ruchem wskazówek zegara po krawędzi wylewki, zanim nabrały wystarczająco dużo odwagi, żeby wpaść do zlewu. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że wyposażenie kuchni jest utrzymane w ciepłych barwach. Blaty, szafki, płytki i wyblakłe fotografie przyklejone na drzwiczkach – wszystko w tonacji brązów, czerwieni i pomarańczy.

- Co ty powiedziałaś?! – zawołał Sam. – Hej, co ty jej powiedziałaś?!

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego mnie o to pyta, skoro nie odezwałam się ani słowem. Ściągnęłam brwi i zobaczyłam, że teraz on trzyma przy uchu telefon. Nie pamiętałam, żebym oddawała mu słuchawkę.

„Jestem straszną przyjaciółką – pomyślałam – bo to w ogóle nie boli… Po prostu stoję tutaj, patrzę na kuchnię i myślę o tym, że gdyby była moja, wyłożyłabym podłogę wykładziną, żeby nie marzły mi stopy. Musiałam nie kochać Olivii, bo nawet nie zbiera mi się na płacz. Myślę o wykładzinie, a nie o tym, że moja przyjaciółka jest martwa".

- Grace… - Głos Sama przywołał mnie do rzeczywistości. Zobaczyłam, jak Cole oddala się z telefonem przy uchu, mówiąc coś do słuchawki. – jak mogę ci pomóc?

Pomyślałam, że to bardzo dziwne pytanie. Patrzyłam na niego przez chwilę w milczeniu.

- Nic mi nie jest – zapewniłam.
- Nieprawda – upierał się Sam.
- Prawda – odpowiedziałam. – Przecież nie płaczę. Nawet nie zbiera mi się na płacz.

Odgarnął mi włosy z uszu, jakby chciał związać je w kucyk i przytrzymał je w zaciśniętej dłoni. Potem szepnął mi do ucha:

- Ale będziesz.

Położyłam głowę na jego ramieniu, bo nagle wydała mi się ogromnie ciężka, wręcz niemożliwa do utrzymania.

- Chcę zadzwonić do ludzi i zapytać, czy dobrze się czują. Chcę zadzwonić do Rachel – oświadczyłam. – Chcę zadzwonić do Johna. Chcę zadzwonić do Olivii.

Trochę za późno dotarło do mnie to, co powiedziałam. Otworzyłam usta, jakbym mogła to w jakiś sposób cofnąć i zamienić na coś bardziej logicznego.

- Och, Grace – szepnął Sam, dotykając mojego podbródka, ale jego współczucie wydało mi się czymś obcym.

Usłyszałam, jak Cole mówi do słuchawki dziwnym głosem, którego wcześniej nigdy u niego nie słyszałam:

- Cóż, nie za dużo możemy z tym teraz zrobić, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

SAM

Tej nocy to Grace nie spała. Ja czułem się jak puste naczynie unoszące się na falach snu. Wiedziałem, że to kwestia czasu, zanim napełnię się i pójdę na dno.

W pokoju paliły się tylko choinkowe lampki przyczepione do sufitu, malutkie konstelacje gwiazd na klaustrofobicznym niebie. Chciałem wyciągnąć z kontaktu kabel od światełek zwisający przy łóżku, żeby sypialnia wreszcie zatonęła w ciemności, ale zmęczenie rozpraszało mnie, dawało znaki. Nie potrafiłem zrozumieć, jak mogę być tak wykończony, skoro poprzedniej nocy po raz pierwszy od tygodni udało mi się normalnie zasnąć. Zupełnie jakby moje ciało odzyskało apetyt na sen, gdy ja odzyskałem moja dziewczynę, i teraz wciąż było mu mało.

Grace siedziała obok mnie. Opierała się plecami o ścianę z nogami zaplątanymi w prześcieradła i gładziła dłonią moją pierś, co dodatkowo mnie usypiało.

- Hej – mruknąłem, wyciągając do niej rękę. Ledwie miałem siłę, żeby ją pogłaskać. – Chodź do mnie i śpij.

Położyła mi palce na ustach. Miała smutny wyraz twarzy, zupełnie niepasujący do niej. W tym świetle wydawało się, jakby jakaś inna dziewczyna założyła maskę Grace.

- Mam mętlik w głowie… - szepnęła.

Znałem to uczucie. Uniosłem się na łokciach, a jej palce zsunęły się z moich ust z powrotem na pierś.

- Powinnaś się położyć – powiedziałem. – To pomoże.

Grace miała smętną i niepewną minę, jak mała dziewczynka. Usiadłem i przyciągnąłem ją do siebie. Razem oparliśmy się o zagłówek, a ona położyła mi głowę na piersi w miejscu, gdzie wcześniej spoczywała jej ręka. Pachniała moim szamponem.

- Nie mogę przestać o niej myśleć – wyszeptała śmielszym głosem, gdy już nie patrzyliśmy na siebie. – I chyba powinnam wrócić do domu, choć nie chcę wracać.

Nie byłem pewien, jak na to zareagować. Ja też nie chciałem, żeby wracała, ale wiedziałem, że nie powinno jej tutaj być. Gdyby była człowiekiem, gdyby była wyleczona, powiedziałbym jej, że musimy porozmawiać z jej rodzicami. Jakoś byśmy ich przekonali, że nasz związek jest poważny, a potem jakoś zniósłbym jej nieobecność w moim łóżku, dopóki nie wprowadziłaby się do mnie oficjalnie. Nie podobałoby mi się to, ale musiałbym z tym żyć. Powiedziałem jej kiedyś, że chcę, żeby wszystko między nami było jak należy, i nadal tak uważałem.

Ale teraz sytuacja wyglądała inaczej. Teraz Grace była w Polowie wilkiem i tak długo, jak twierdziła, że nie chce wracać, a ja nie byłem pewien, jak zareagują jej rodzice, chciałem, żeby była przy mnie. Wiedziałem, że wkrótce przyjdzie dzień, w którym zapłacimy cholernie wysoką cenę za te skradzione wspólne chwile, ale mimo to uważałem, że nie robimy niczego złego. Zanurzyłem palce w jej włosach. Natrafiłem na mały kołtun, więc wycofałem dłoń i zacząłem od innej strony.

- Nie zmuszą cie do powrotu.
- W końcu będziemy musieli podjąć jakąś decyzję – westchnęła Grace. – Chciałabym już mieć osiemnaście lat. Chciałabym się wyprowadzić. Chciałabym, żebyśmy już byli po ślubie. Chciałabym nie musieć wymyślać kolejnych kłamstw.

Przynajmniej nie byłem jedynym, który uważał, że w tym momencie prawda nie wyszłaby nam na dobre.

- I tak niczego nie uda nam się rozwiązać dzisiaj – stwierdziłem z całkowitą pewnością.

Gdy to powiedziałem, zaśmiałem się w duchu sam z siebie. To był typowy argument Grace, którego sama używała tyle razy, żeby skłonić mnie do zaśnięcia.

- Wciąż na nowo rozważam to wszystko… - westchnęła ponownie Grace. – Opowiesz mi jakąś historię?

Przestałem dotykać jej włosów, bo powtarzalność tej przyjemnej czynności sprawiała, że znowu stałem się senny.

- Historię? – powtórzyłem za nią.
- Jak ta, którą opowiedziałeś mi o Becku, który uczył cię polować – wyjaśniła.

Próbowałem przypomnieć sobie jakąś anegdotę. Prostą opowieść, która nie będzie wymagała wyjaśnień. Która ją rozśmieszy. Ale teraz każda historia z udziałem Becka wydawała mi się splamiona, zabarwiona wątpliwościami. Wszystko, co o nim wiedziałem, ale czego nie doświadczyłem na żywo, wydawało mi się teraz wątpliwe.

Poszukałem w głowie wspomnienia o kimś innym w roli głównej. Zacząłem cicho opowiadać:

- To BMW kombi nie było pierwszym samochodem Urlika. Kiedy tu zamieszkałem, miał małego forda escorta. Brązowego. I strasznie brzydkiego.

Grace westchnęła, jakby to był początek prawdziwej bajki na dobranoc. Zacisnęła dłoń na moim T-shircie, co błyskawicznie mnie przebudziło. Z niejasnym poczuciem winy pomyślałem o co najmniej czterech innych, mniej altruistycznych sposobach na pocieszenie smutnej dziewczyny niż dobranocka.

Z trudem przełknąłem ślinę i skupiłem się na swojej historyjce.

- Dużo rzeczy w tym samochodzie nie działało jak trzeba. Podczas jazdy po wybojach szorował rurą wydechową po ziemi. Kiedyś, jadąc przez miasto, Urlik potrącił oposa i ciągnął go zaczepionego o podwozie przez całą drogę do domu.

Grace roześmiała się bezgłośnie, jakby wiedziała, że tego od niej oczekiwałem.

Ciągnąłem dalej:

- W środku zawsze śmierdziało tak, jakby cos się psuło. Jakby hamulce szwankowały albo paliła się guma. Albo jakby Urlik nigdy do końca zdrapał całego tego oposa z podwozia…

Nagle przypomniałem sobie wszystkie wycieczki, na które jeździliśmy tym samochodem. Pamiętałem siebie siedzącego w fotelu pasażera i czekającego, aż Urlik wróci ze sklepu z piwem albo stojącego na poboczu, podczas gdy Beck przeklinał milczący silnik i pytał sam siebie, dlaczego po prostu nie wziął własnego cholernego samochodu. To było jeszcze w czasach, gdy Urlik długo bywał człowiekiem, a jego sypialnia znajdowała się tuż obok mojej. Budziły mnie wtedy odgłosy uprawianego seksu, choć byłem całkiem pewien, że Urlik był sam. Nie opowiedziałem Grace tej części historii.

- Tym samochodem jeździłem do księgarni – kontynuowałem. – Urlik kupił BMW od faceta, który sprzedawał róże przy drodze w St. Paul, więc podarował mi escorta. Dwa miesiące po tym, jak dostałem prawo jazdy, złapałem gumę. Miałem szesnaście lat i byłe do gruntu naiwny. Czułem jednocześnie podniecenie i strach, jadąc po raz pierwszy sam z pracy do domu. Kiedy opona wydała z siebie ten niewiarygodny huk, który brzmiał jak wystrzał z pistoletu, myślałem, że umrę.
- Potrafiłeś zmieniać koło? – zapytała Grace w taki sposób, jakby ona sama umiała.
- Chyba żartujesz. Musiałem zatrzymać samochód w śniegowej brei na poboczu i użyć komórki, którą właśnie dostałem na urodziny, żeby zadzwonić do Becka po pomoc. Używałem tego telefonu po raz pierwszy i to po to, żeby wyznać, że złapałem gumę i nie potrafię sam sobie poradzić. Bardzo niemęskie zachowanie…

Grace znowu roześmiała się cicho.

- Niemęskie – powtórzyła.

– Tak, niemęskie – zapewniłem ją, szczęśliwy, że słyszę jej śmiech.

Wróciłem myślami do mojego wspomnienia. Pamiętałem, że dotarcie na miejsce zdarzenia zajęło Beckowi sporo czasu. Podrzucił go Urlik w drodze do pracy. Ignorując moją smętną minę, zamachał mi radośnie z okna BMW i krzyknął: „Nara, chłopcze!". Jego auto zniknęło w nadciągającej szarówce, tylne reflektory świeciły jak czerwone neony w śnieżnym szarym świetle.

– Tak więc przyjechał Beck – opowiadałem, uświadamiając sobie, że ostatecznie w tej opowieści pojawił się mój opiekun, chociaż tego nie chciałem. Może tak naprawdę był obecny we wszystkich moich historiach…? – „A zatem już zarżnąłeś samochód?" – skomentował. Cały był okutany w kurtki, szaliki i rękawiczki, ale mimo to trząsł się z zimna. Aż zagwizdał, kiedy zobaczył rozerwaną oponę: „Nieźle – rzucił. – Przejechałeś łosia?".

– A przejechałeś? – zapytała Grace.

– Nie – zaprzeczyłem. – Beck ponabijał się ze mnie jeszcze przez chwilę, pokazał mi, gdzie jest zapasowe koło i…

Przerwałem. Chciałem opowiedzieć historię o tym, jak Urlik w końcu sprzedał escorta. Usmażył wtedy dwa kilogramy boczku i wsadził je do bagażnika, gdy potencjalny kupiec miał przyjść obejrzeć wóz, bo przeczytał, że agenci nieruchomości piekli ciasteczka, żeby sprzedawać domy kobietom. Ale ponieważ byłem senny, jakoś zboczyłem z tematu i anegdota zakończyła się szybko znikającym uśmiechem Becka, który na ziemi za escortem pozostawił po sobie stertę szalików, swetrów i rękawic… i mnie, trzymającego bezradnie w dłoni łyżkę do opon. Wciąż pamiętałem, jak wymówił moje imię, przemieniając się.

– I co?

Zastanawiałem się, jak przerobić tę historię, żeby stała się bardziej radosna, ale nagle przypomniałem sobie coś, o czym nie myślałem od lat.

– Beck się przemienił. Ja wciąż stałem tam z tą cholerną łyżką do opon i nie byłem o wiele mądrzejszy niż przedtem. Podniosłem z ziemi kurtkę Becka i jego niezliczone koszulki, strząsając z nich śnieg, i wrzuciłem wszystko na tylne siedzenie escorta. Mocno trzasnąłem drzwiami. Potem założyłem ręce za głowę i odwróciłem się tyłem do drogi i samochodu. Bo utrata Becka jeszcze nie zaczęła boleć, za to fakt, że byłem uwięziony na poboczu drogi, załamał mnie natychmiast.

Grace wydała z sienie cichy, smutny jęk, współczując tamtemu dawnemu Samowi, chociaż jemu zajęło wtedy dużo więcej czasu, uświadomienie sobie, co tak naprawdę stracił w ciągu tych kilku minut.

– Stałem tam i patrzyłem na rzeczy leżące w bagażniku. Urlik trzymał tam maskę do hokeja, która patrzyła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Jesteś idiotą, Samie Roth". A potem usłyszałem, jak zatrzymuje się za mną samochód. Zupełnie zapomniałem o tej części historii – aż do teraz, Grace. Jak myślisz, kto się zatrzymał, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy?

Dziewczyna potarła nosem o moja koszulkę.

– No nie wiem. Kto?

– Tom Culpeper – wypaliłem.

– Nie! – Grace odsunęła się, żeby na mnie spojrzeć. – Naprawdę? – Teraz już bardziej przypominała siebie w tym przyćmionym świetle. Włosy miała potargane od wtulania się w moja pierś, a jej oczy ożywiły się. Moja dłoń, spoczywająca na jej talii, chciała wsunąć się pod jej koszulkę, pogładzić skórę wzdłuż kręgosłupa, dotknąć łopatek i sprawić żeby myślała tylko o mnie.

Ale sam nie mogłem zrobić pierwszego kroku. Nie wiedziałem, na czym stoimy. Byłem dobry w czekaniu.

– Tak – zapewniłem, zamiast ją pocałować. – Tak, to był Tom Culpeper.

Grace z powrotem przytuliła głowę do mojej piersi.

- Ale numer! – rzuciła.
- „Ty jesteś dzieciakiem Geoffreya Becka?" – zapytał na mój widok. Mimo zapadających ciemności widziałem, że jego SUV jest pokryty lodem, piaskiem i solą, czyli śrutem – tak Urlik nazywał połączenie śniegu i brudu. Przednie światła rzucały jasną smugę na mnie i mojego escorta. „Sam, zgadza się? – dodał po chwili zastanowienia. – Wygląda na to, że potrzebujesz pomocy".

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że to niesamowita ulga, usłyszeć swoje imię wypowiedziane tak normalnym głosem. I że to zatarło wspomnienie tego, jak wymówił je Beck, gdy się przemieniał.

- Pomógł mi – podsumowałem. – Wtedy wydawał się inny. To musiało być zaraz po tym, jak się tu sprowadzili.
- Czy była z nim Isabel?
- Nie pamiętam – przyznałem po chwili zastanowienia. – Naprawdę staram się nie myśleć o nim jak o kimś złym, Grace. Ze względu na Isabel. Nie wiem, jak bym go oceniał, gdyby nie chodziło o wilki.
- Gdyby nie chodziło o wilki, żadne z nas w ogóle by o nim nie myślało – zauważyła dziewczyna.
- W tej historii miał być boczek – zmieniłem trochę temat. – Miała cię rozśmieszyć.

Grace westchnęła ciężko, jakby ciężar całego świata spoczął na niej. Wiedziałem, jak się czuła.

- To nic. Zgaś światło – szepnęła, naciągając na nas kołdrę. Pachniała lekko wilkiem. Wiedziałem, że bardzo trudno jej będzie przetrwać całą noc bez przemiany. – Jestem gotowa na to, żeby dzisiejszy dzień wreszcie się skończył.

Ja czułem się mniej senny niż wcześniej, ale wyciągnąłem wtyczkę od lampek z kontaktu. Pokój pogrążył się w ciemnościach, a po chwili Grace wyszeptała, że mnie kocha. Jej głos brzmiał odrobinę smutno. Objąłem ją mocno, żałując, że miłość do mnie jest tak skomplikowaną sprawą.

Powiedziałem jej to, ale już spała. Za to ja wciąż byłem przytomny i myślałem o Tomie Culpeperze i Becku, i o tym, że prawda o nich zdawała się być pogrzebana głęboko pod pozorami. Wciąż widziałem ojca Isabel idącego ku mnie przez śnieg, z nosem czerwonym od zimna. Chciał pomóc chłopakowi, którego nie znał, zmienić mu koło w mroźny wieczór. A pomiędzy powracającymi przebłyskami tego wspomnienia wciąż widziałem wilki przewracające mnie na ziemię i zmieniające moje życie na zawsze.

I Beck to zrobił. Beck zadecydował, że mnie weźmie. Zanim moi rodzie postanowili, że mnie nie chcą, on zaplanował, że mnie sobie weźmie. Oni tylko mu to ułatwili.

Nie wiedziałem, jak mam żyć ze świadomością tego faktu, żeby nie zżerała mnie ona żywcem i nie zatruwała każdego szczęśliwego wspomnienia z okresu dorastania. Żeby nie zniszczyła wszystkiego, co było pomiędzy mną a Beckiem.

Nie rozumiałem, jak ktoś mógł być jednocześnie święty i nikczemny. Jak ta sama osoba mogła niszczyć i zbawiać. Skoro wszystko, czym byłem, zarówno to dobre, jak i złe stanowiło dzieło stworzone z niejasnych pobudek, skąd miałem wiedzieć, czy powinienem go kochać czy nienawidzić?

W środku nocy Grace obudziła się. Oczy miała szeroko otwarte, ciało jej drżało. Wymówiła moje imię, zupełnie tak, jak zrobił to Beck wtedy na poboczu drogi.

A potem, tak samo jak on, pozostawiła po sobie tylko puste ubrania i tysiąc pytań bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ISABEL

Numer Sama wyświetlił się na ekranie mojej komórki o siódmej rano następnego ranka. Normalnie o tej godzinie szykowałabym się do szkoły, ale był weekend, więc siedziałam na łóżku, nakładając niespiesznie buty do joggingu. Biegałam z próżności – dzięki temu mogłam się pochwalić zgrabnymi nogami.

Otworzyłam klapkę telefonu.

- Halo? – Nie byłam pewna, czego się spodziewać.
- Wiedziałem… - mruknął z satysfakcją Cole. – Wiedziałem, że odbierzesz, jeśli pomyślisz, że to Sam.
- Boże, mówisz poważnie?
- Śmiertelnie poważnie. Mogę wejść do środka?

Wyskoczyłam z łóżka, podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Spostrzegłam kawałek dość obrzydliwego kombi stojącego na końcu podjazdu.

- To ty siedzisz w tym wozie dla zboczeńców?
- Strasznie w nim śmierdzi – przyznał Cole. – zaprosiłbym cie na dół, żebyśmy na spokojnie porozmawiali w samochodzie, ale coś tu naprawdę cuchnie. I naprawdę nie mam pojęcia, co to może być.
- Czego chcesz, Cole?
- Twojej karty kredytowej. Muszę zamówić sieć rybacką, trochę narzędzi i środków uspokajających, absolutnie legalnych, przysięgam. I potrzebuję tego wszystkiego jak najszybciej.
- Powiedz mi, że żartujesz.
- Powiedziałem Samowi, że mogę złapać Becka. Zamierzam zbudować pułapkę, wykorzystując lej, który Grace jakże pomocnie odnalazła, wpadając do niego. Zwabię Becka jego ulubioną przekąską, którą równie pomocnie opisał w sowim dzienniku, opowiadając anegdotę o pożarze w kuchni.
- Próbujesz być zabawny? Bo brzmisz jak wariat…
- Zapach najmocniej zakorzenia się w pamięci.

Westchnęłam i położyłam się na łóżku w butach i z telefonem przy uchu.

- Co to ma wspólnego z ocaleniem was wszystkich przez śmiercią z rąk mojego ojca?

Cole milczał przez chwilę.

- Beck już raz przesiedlił wilki. Chcę go zapytać o szczegóły.
- A ta siec rybacka, narzędzia i lekarstwa pomogą ci w tym?
- Nawet jeśli nie pomogą, to dzięki nim może być miło.

Gapiłam się w górę. Dawno temu Jack rzucił plasteliną w róg, w którym pochyły sufit stykał się ze ścianą. Bezkształtna masa nadal tam była.

Westchnęłam.

- W porządku, Cole, dobrze. Spotkajmy się przy bocznym wejściu, przy tych wąskich schodach, z których już kiedyś korzystałeś. Tylko zaparkuj to paskudztwo gdzieś dalej, żeby moi rodzice go nie zobaczyli, kiedy się obudzą. I zachowuj się cicho.

- Zawsze zachowuje się cicho – powiedział Cole i telefon zamilkł w mojej dłoni w tym samym momencie, gdy drzwi do sypialni się otworzyły.

Jakoś mnie nie zaskoczyło, gdy zobaczyłam wchodzącego Cole'a. Chłopak ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Miał na sobie bojówki i prosty czarny T-shirt, a jednak wciąż wyglądał jak gwiazda. Powoli uświadamiałam sobie, że to wrażenie było wynikiem tego, jak się nosił, a nie tego, co miał na sobie. W moim pokoju wypełnionym zwiewnymi, lekkimi materiałami, błyszczącymi poduszkami i lustrami, które uśmiechały się do mnie, Cole wyglądał wyjątkowo nie na miejscu, ale wreszcie zaczęłam rozumieć, że to też wynika z tego, jaki był, a nie – gdzie akurat przebywał.

- A więc dzisiaj jesteś Barbie przełajową – rzucił.

Przypomniałam sobie, że mam na sobie spodenki i buty do biegania.

Cole podszedł do komody i rozpylił chmurkę moich perfum w powietrzu. Jego odbicie w lustrze zamachało dłonią, rozpędzając pachnącą mgiełkę.

- Dziś jestem Barbie bez poczucia humoru – rzuciłam.

Cole wziął mój różaniec z komódki, kładąc kciuk na jednym z koralików. Sposób, w jaki go trzymał, sugerował, że był to dla niego znajomy gest, choć trudno było mi wyobrazić sobie Cole'a St. Claira wchodzącego do kościoła i nie stającego natychmiast w płomieniach.

- Myślałam, że boczne drzwi są zamknięte.
- Nie do końca, jak widać.

Przymknęłam oczy. Patrzenie na niego sprawiało, że byłam… zmęczona. Czułam na sercu ten sam ciężar, co w „Il Pomodoro". Pomyślałam, że może tak naprawdę powinnam wyjechać gdzieś daleko, gdzie nikt mnie nie zna, i zacząć wszystko od początku, bez ciężaru minionych decyzji, rozmów i oczekiwań.

Łóżko westchnęło pod Cole'em, kiedy położył się obok nie na plecach. Pachniał czystością, jakby kremem do golenia, i plażą. Uświadomiłam sobie, że pewnie przed przyjściem do mnie spędził dziś więcej czasu w łazience. To sprawiło, że poczułam się pewniej.

Znowu zamknęłam oczy.

- Jak radzi sobie Grace? W związku z Olivią.
- Nie mam pojęcia. Przemieniła się w nocy, więc zamknęliśmy ją w łazience.
- Nie przyjaźniłam się z Olivią – wyznałam. Chciałam, żeby o tym wiedział. – Tak naprawdę wcale jej nie znałam.
- Ja też nie… - przerwał mi, a potem dodał zupełnie innym tonem: - Lubię Grace.

Powiedział to bardzo poważnie i przez chwilę myślałam, że chodziło mu o to, że coś do niej czuje. Czego nie potrafiłabym pojąć. Ale potem wyjaśnił:

- Lubię to, co ją łączy z Samem. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wcześniej wierzył w miłość. Uważałem, że jest to sztuczka wymyślona dawno temu przez Jamesa Bonda, żeby zaliczyć więcej lasek.

Leżeliśmy w milczeniu jeszcze przez kilka minut. Ptaki na dworze zaczynały się budzić. W domu panowała cisza. Nie było na tyle zimno, żeby włączyło się ogrzewanie.

Trudno mi było nie myśleć o Cole'u będącym tuż obok mnie, nawet jeśli nic nie mówił. Zwłaszcza, że pachniał tak dobrze i pamiętałam dokładnie, jakie to uczucie, gdy się go całuje. Pamiętałam też dokładnie ostatni raz, kiedy widziałam, jak Sam całuje Grace, i jak zachowywała się jego dłoń, gdy przytulał ją do siebie podczas tego pocałunku. Nie sądziłam, żebyśmy my z Cole'em wyglądali tak samo, gdy się całujemy.

Myślenie o tym wszystkim sprawiło, że znowu poczułam mętlik w głowie. Pragnęłam Cole'a, a jednocześnie uważałam, że związek z nim nie jest dla mnie dobry. Czułam się winna, brudna, ogarnięta podnieceniem, jakbym już się poddała.

– Cole, jestem zmęczona – westchnęłam, a gdy tylko to powiedziałam, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego, do cholery, to zrobiłam.

Nie zareagował. Po prostu leżał obok mnie, ciszej, niż sądziłam, że potrafi.

Poirytowana jego milczeniem, walczyłam ze sobą, zastanawiając się, czy powinnam go zapytać, i czy w ogóle zarejestrował moje słowa.

W końcu, w ciszy tak głębokiej, że słyszałam, jak jego usta rozchyliły się, zanim przemówił, wyszeptał:

– Czasami myślę o tym, żeby zadzwonić do domu.

Przyzwyczaiłam się już do egocentryzmu Cole'a, ale teraz poczułam, że właśnie odkryłam jeszcze większe pokłady jego samolubności.

– Myślę, że po prostu mógłbym zadzwonić do domu i powiedzieć mamie, że nie jestem martwy – oznajmił. – Myślę, że mógłbym zadzwonić do ojca i zapytać, czy chciałby pogadać o tym, jak zapalenie opon mózgowych wpływa na organizm na poziomie komórki. Albo do Jeremy'iego, mojego basisty, i powiedzieć mu, że żyję, ale nie chcę, żeby mnie szukali. Żeby powtórzył moim rodzicom, że nie umarłem, ale że nigdy nie wrócę do domu.

Cole milczał po swoim wyznaniu tak długo, że myślałam, iż już skończył. Spostrzegłam, że światło poranka w moim pastelowym pokoju staje się odrobinę jaśniejsze, podczas gdy mgła zaczynała się rozwiewać.

Jednak w końcu podjął na nowo temat.

– Ale nawet samo myślenie o tym sprawia, że czuję się zmęczony. Przypomina mi o tym uczuciu, jakie miałem, zanim odszedłem. Jakby moje płuca były z ołowiu. Jakbym nie mógł choćby pomyśleć o tym, żeby zaczęło mi na czymś zależeć. Jakbym chciał, żeby wszyscy oni byli martwi, albo żebym to ja był martwy, bo nie potrafiłem już znieść ciężaru całej tej historii między nami. To wszystko dzieje się, jeszcze zanim podniosę słuchawkę. Jestem tak zmęczony, że czasami nie mam ochoty się rano budzić. Ale zrozumiałem, że to nie przez nich tak się czuję. To moja wina. Od samego początku.

Nie odpowiedziałam. Znowu myślałam o tym objawieniu, które przeżyłam w łazience w „Il Pomodoro". O tym, jak zrozumiałam, na czym polega pragnienie, żeby po prostu ze wszystkim skończyć, raz na zawsze, żeby już niczego nie chcieć. Myślałam o tym, jak dokładnie słowa Cole'a opisywały zmęczenie, które dręczyło i mnie.

– Jestem częścią tego, czego w sobie nienawidzisz – dodał Cole.

To nie było pytanie.

Oczywiście, że był częścią tego, czego w sobie nienawidziłam.

Wszystko było częścią tego, czego w sobie nienawidziłam. Tak naprawdę to nie było nic osobistego.

Nagle usiadł na łóżku.

– Pójdę już.

Wciąż czułam żar materaca w miejscu, w którym przed chwilą leżał.

– Cole – zapytałam – myślisz, że można mnie kochać?

Jego wzrok był niewzruszony. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę go takim, jaki był w dzieciństwie, i takim, jaki będzie w starszym wieku. To był przeszywający, sekretyn wgląd w jego przeszłość i przyszłość.

– Może – rzucił. – Tylko że ty nie pozwalasz nikomu spróbować.

Zamknęłam oczy i przełknęłam ślinę.

– Nie potrafię odróżnić braku walki – wyznałam – od poddania się.

Mimo że powieki miałam mocno zaciśnięte, jedna gorąca łza spłynęła mi z kącika lewego oka. Byłam taka wściekła, że jej się to udało. Taka wściekła… Łóżko ugięło się pode mną, gdy Cole przysunął się bliżej.

Poczułam, że pochyla się nade mną. Jego oddech, ciepły i miarowy, dotknął mojego policzka. Dwa oddechy. Trzy. Cztery. Nie wiedziałam, czego chcę. Wtedy usłyszałam, że przestał oddychać, a ułamek sekundy później poczułam jego usta na moich.

To nie był taki pocałunek jak nasze wcześniejsze, wygłodniałe, rozpaczliwe, przesycone pragnieniem. Jeszcze nikt mnie tak nie pocałował. Ten pocałunek był tak miękki, że przywodził na myśl raczej wspomnienie pocałunku. Tak delikatny na moich wargach, jakby ktoś zaledwie musnął je palcami. Moje wargi rozdzieliły się i zamarły. Ten pocałunek był cichy jak szept, jak najdalszy od krzyku. Dłoń Cole'a dotknęła mojej szyi. Jego kciuk przytulił się do mojej skóry tuż przy szczęce. To nie był dotyk, który mówił: „pragnę więcej". To był dotyk, który mówił: „pragnę t e g o „.

Wokół panowała kompletna cisza. Wydawało mi się, że żadne z nas nie oddycha.

Cole powoli usiadł na łóżku, a ja otworzyłam oczy. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jak zawsze, gdy coś miało dla niego znaczenie.

- Tak bym cie pocałował, gdybym cię kochał – oświadczył mi.

Wstał i podniósł z łóżka kluczyki samochodowe, które wysunęły mu się z kieszeni. Nie patrzył na mnie, gdy wychodził, zatrzaskując za sobą drzwi.

W domu panowała taka cisza, że słyszałam jego kroki, gdy schodził po schodach. Pierwsze pięć stopni pokonał powoli, jakby z wahaniem, resztę w pośpiechu.

Przyłożyłam kciuk do szyi w miejscu, gdzie przed chwilą spoczywał kciuk Cole'a, i zamknęłam oczy. To nie był ani brak walki, ani poddanie się. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że istnieje jeszcze trzecia opcja, a nawet gdybym o tym wiedziała, nie zgadłabym, że ma to cokolwiek wspólnego z Cole'em.

Głośno wypuściłam powietrze z ust, które właśnie były całowane. A potem usiadłam i wyciągnęłam swoja kartę kredytową.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

SAM

Następnego ranka miałem nieszczególną ochotę, żeby iść do pracy – przecież zbliżał się koniec świata – ale nie potrafiłem wymyślić wystarczająco przekonującej wymówki dla Karyn. Chcąc nie chcąc, pojechałem więc do Mercy Falls. Nie byłem w stanie znieść odgłosów, jakie wydawała przemieniona w wilka Grace szamocząca się w łazience na dole, więc w pewnym sensie wyjście z domu przyniosło mi ulgę, choć miałem wyrzuty sumienia, że ja odczuwam. To, że nie będę już świadkiem paniki Grace-wilka, pozostawionej samej sobie, nie oznacza, że ona przestanie się bać, gdy ja będę w pracy.

To był piękny dzień, bez śladów deszczu po raz pierwszy od tygodnia. Niebo o wiele miesięcy za wcześnie przybrało marzycielską letnia barwę, a liście drzew lśniły tysiącem odcieni zieleni, od jaskrawych – jakby plastikowych – po niemal wpadające w czerń. Zamiast zaparkować za sklepem, jak zwykle, tym razem zatrzymałem się na Main street, ale na tyle daleko od centrum, żebym nie musiał karmić drobniakami parkometru. W Mercy Falls centrum ograniczało się do kilkunastu budynków. Zostawiłem kurtkę na miejscu pasażera, schowałem dłonie do kieszeni i ruszy Lem spacerkiem przed siebie.

Mercy Falls nie było zamożnym miasteczkiem, ale na swój sposób było to urocze miejsce, które mogło się pochwalić prosperującym centrum. Urok tej mieściny oraz bliskość przepięknego regionu Boundary Waters przyciągały turystów, a turyści przywozili ze sobą pieniądze. Mercy Falls dysponowało kilkoma kwartałami małych butików, które odpowiadały za to, żeby turyści zostawiali tutaj sporo gotówki. Były to głównie sklepiki uwielbiane przez kobiety, których mężowie podczas zakupów czekali znudzeni w samochodzie albo wałęsali się po sklepie z narzędziami na Grieves Street – pomimo to zerkałem na ich witryny, gdy je mijałem. Szedłem brzegiem chodnika, żeby złowić choć odrobinę nieśmiałego porannego słońca. Jego ciepło na skórze było cudownym uczuciem, nagrodą pocieszenia za ten straszny, choć jednocześnie wspaniały tydzień.

Minąłem właśnie sklep z ubraniami i biżuterią, gdy nagle zatrzymałem się, cofnąłem kilka kroków i ponownie stanąłem przed witryną. Na wystawie na bezgłowym manekinie wisiała biała letnia sukienka. Bardzo prosta, na cieniutkich ramiączkach, wiązana w talii. Materiał był ozdobiony maleńkimi haftowanymi dziurkami – nazywano to chyba haftem angielskim. Wyobraziłem sobie Grace w tej sukience, trójkąt nagiej skóry jej dekoltu, rąbek opadający tuż powyżej kolana. Mogłem też sobie wyobrazić jej biodra pod cienkim materiałem, który zmarszczyłby się pod moimi dłońmi, gdybym przyciągnął ją do siebie. To była beztroska sukienka. Sukienka, która mówiła o lecie, sięgającej kostek trawie i blond włosach płowiejących pod naporem zdecydowanych promieni słonecznych.

Stałem przed wystawą przez dłuższą chwilę, patrząc na sukienkę i pragnąc tego, co sobą symbolizowała. Wydawało mi się, że to głupie myśleć o czymś tak błahym, kiedy gra toczyła się o tak wysoka stawkę. Trzy razy przestąpiłem z nogi na nogę, zamierzając odjeść. I za każdym razem przed sklepową witryną zatrzymywał mnie obraz Grace – wiatr unoszący rąbek sukienki, dociskający materiał do jej płaskiego brzucha i kształtnych piersi.

Kupiłem ją. Miałem przy sobie cztery dwudziestodolarówki – a opuściłem sklep tylko z jednym banknotem z portfelu zaopatrzony w małą torebkę z sukienka na dnie. Wróciłem do samochodu, żeby zostawić w nim zakup, a potem ruszyłem z powrotem do „Krzywej półki", ze wzrokiem utkwionym w chodniku, czując ciepło i niepewność związaną z tym, że kupiłem Grace prezent, który kosztował więcej niż moja dniówka. A co, jeśli jej się nie spodoba? Może powinienem oszczędzać na pierścionek… Nawet jeśli mówiła serio i chciała za mnie wyjść, co swoją drogą uważałem za niewiarygodne, pierścionek wydawał mi się tak odległą sprawą. Nie miałem pojęcia, ile cos takiego kosztuje, ale zapewne powinienem zacząć

oszczędzać. A co, jeśli jej powiem, że mam dla niej prezent, a ona będzie oczekiwała pierścionka i się rozczaruje? Czułem się jak najdojrzalszy, a zarazem najmniej doświadczony dziewiętnastolatek na planecie. Z jednej strony dziwiło mnie, że myślałem już na serio o pierścionku, a z drugiej strony byłem na siebie zły, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Być może – znając jej praktyczne podejście do życia – Grace będzie zła, że kupiłem jej prezent, zamiast zająć się sprawą polowania…

To były wątpliwości, nad którymi głowiłem się w drodze do księgarni. Umysł miałem kompletnie oderwany od ciała. Gdy otworzyłem sklep, pomyślałem, że to odległe, samotne miejsce poza czasem.

Była sobota, więc po godzinie w księgarni pojawiła się Karyn. Weszła drzwiami od zaplecza i zamknęła się w małym pokoju, żeby wypisać zamówienia i uporządkować raporty finansowe. Moje relacje z właścicielką były bardzo przyjazne. Miło było wiedzieć, że jest w sklepie, nawet jeśli ze sobą nie rozmawialiśmy.

Nie było klientów, a ja byłem niespokojny, więc poszedłem na zaplecze. Słońce wpadało przez frontowe okna, a jego promienie były tak silne, że docierały aż na tył sklepu. Grzały moje plecy, gdy stanąłem w drzwiach pomieszczenia.

- Cześć – przywitałem się.

Karyn siedziała otoczona fakturami i katalogami książkowymi. Spojrzała na mnie z uśmiechem. Wszystko w niej było zawsze nasycone życzliwością. Należała do tych zadowolonych ze wszystkiego kobiet, które dobrze się czuły we własnej skórze i w swoim otoczeniu, niezależnie od tego, czy miały na sobie polar, czy perły. Jeśli nawet zmieniła zdanie na mój temat, kiedy zniknęła Grace, nie pokazała tego po sobie. Żartowałem, że nie mogę jej powiedzieć, jak bardzo potrzebowałem tej życzliwości.

- Wyglądasz na szczęśliwego – zauważyła.
- Naprawdę?
- A w każdym razie na szczęśliwszego niż zwykle – sprecyzowała. – Było dużo roboty?

Wzruszyłem ramionami.

- Jest spokojnie. Pozamiatałem. I usunąłem trochę odcisków małych rączek z okien.
- Dzieci… kto ich potrzebuje? – skomentowała Karyn. To było pytanie retoryczne. Zamyśliła się. – Gdyby było cieplej, mielibyśmy więcej klientów. Albo gdyby wreszcie wyszedł ten sequel Tate'a Flaugherty'ego. Wtedy tłumy waliłyby do księgarni. Może powinniśmy go dać na witrynę. Co o tym myślisz? Coś związanego z Alaską, co pasowaloby do „Chaosu w Juneau"?

Skrzywiłem się.

- Mam wrażenie, że Minnesota ma już dość Alaski.
- W sumie racja.

Pomyślałem o mojej gitarze, zorzy polarnej nad głową i piosenkach, w których opiszę kilka ostatnich dni.

- Biografie muzyków to ładny temat na witrynę – zaproponowałem.

Karyn wskazała na mnie ołówkiem.

- Masz moje błogosławieństwo. – Opuściła ołówek i postukała nim w list leżący na biurku. Ten gest nagle przypomniał mi o Grace. – Sam, wiem, że Beck jest… chory i że to może nie być dla ciebie teraz priorytet, ale czy myślałeś już o college'u?

Słysząc to pytanie, skrzyżowałem ręce na piersi. Spojrzała na nie, jakby stanowiły część mojej odpowiedzi.

- Ja… jeszcze się nad tym za bardzo nie zastanawiałem – wydukałem. Nie chciałem, żeby myślała, że to z lenistwa, więc dodałem szybko: - Czekam, żeby się przekonać, którą uczelnię wybierze Grace.

Po chwili uświadomiłem sobie, że to stwierdzenie jest fałszywe z co najmniej trzech różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, że przecież dziewczyna została oficjalnie uznana za zaginioną.

Jednak na twarzy Karyn nie widać było litości ani zdziwienia. Spojrzała tylko na mnie w zadumie, z zaciśniętymi ustami, gładząc palcami podbródek. Wtedy poczułem, jakby jakimś cudem wiedziała o nas i o tym, że Beck i ja ją zwodzimy.

„Nie pytaj".

- Zastanawiałam się nad tym, bo jeśli nie idziesz od razu na studia, to chciałam wiedzieć, czy nie miałbyś ochoty pracować tutaj na pełen etat – wypaliła.

Tego się nie spodziewałem. Zupełnie mnie zatkało.

- Wiem, co myślisz. To nie są duże pieniądze. Ale podniosłabym ci stawkę godzinową o dwa dolary.
- Nie stać cię na to.
- Sprzedajesz dla nas dużo książek. Czułabym się lepiej, wiedząc, że to ty zawsze stoisz za ladą. Każdy dzień, kiedy siedzisz na tamtym stołku, to dzień, kiedy ja nie muszę się martwić, co się tutaj dzieje.
- Ja… - Tak naprawdę byłem jej wdzięczny za tę propozycję. Nie dlatego, że potrzebowałem pieniędzy, ale dlatego, że potrzebowałem zaufania. Poczułem, że się czerwienię i miałem ochotę się uśmiechnąć.

Karyn dalej naciskała:

- Czuję się trochę winna, że próbuję cię powstrzymać przed pójściem do college'u przez następny rok, ale jeśli i tak czekasz…

Usłyszałem dzwoneczek u drzwi. Jedno z nas musiało wyjść do klienta. Ucieszyłem się. Nie dlatego, żeby rozmowa była krępująca czy nieprzyjemna – wręcz przeciwnie. Potrzebowałem chwili, żeby przetrawić propozycję, spojrzeć na nią z dystansu, żebym był pewien swoich słów i wyrazu twarzy, gdy będę odpowiadał. Wydawało mi się, że wychodzę na niewdzięcznika, gdy zapytałem:

- Czy mogę się nad tym zastanowić?
- Zdziwiłoby mnie, gdybyś tego nie zrobił. – Karyn uśmiechnęła się. – Jesteś odrobinę przewidywalny, Sam.

Odwzajemniłem uśmiech i ruszyłem z powrotem na moje miejsce za ladą. Właśnie dlatego wyglądałem na zadowolonego, kiedy zobaczył mnie policjant.

Nagle pozytywny nastrój prysł. Ale uśmiech został na mojej twarzy o sekundę za długo – usta wciąż miałem rozciągnięte w emocji, która już przeminęła. Funkcjonariusz mógł tu być z wielu powodów. Mógł przyjść do Karyn albo wpaść na chwilę, żeby zadać mi jakieś szybkie pytanie. Ale przeczuwałem, że było inaczej.

To był William Koenig. Młody, skromny i w dodatku znajomy. Chciałem myśleć, że dzięki naszym poprzednim spotkaniom będzie mi przychylny, ale jego mina powiedziała mi wszystko. Celowo przybrał obojętny wyraz twarzy osoby, która niejeden raz żałowała swojej wcześniejszej życzliwości wobec kogoś.

- Trudno cię odnaleźć, Sam – zauważył Koenig, gdy powoli podszedłem do niego.

Moje dłonie zwisające po bokach wydawały mi się bezużyteczne.

- Naprawdę? – zapytałem. Przyjąłem obronny ton, choć on rzucił swoja uwagę lekko. Nie zależało mi na tym, by łatwo mnie było znaleźć. Nie lubiłem też, gdy ktoś mnie szukał.
- Powiedziałem przełożonym, że tu najłatwiej na ciebie trafić – ciągnął dalej funkcjonariusz.
- W sumie to prawda. – Pokiwałem głową.

Czułem, że powinienem go zapytać: „W czym mogę panu pomóc?”, ale tak naprawdę nie miałem ochoty wiedzieć. Chciałem w spokoju przetrawić to, co przytrafiło mi się w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Właściwie to musimy ci zadać kilka pytań… - zaczął Koenig.

Drzwi za plecami mężczyzny otworzyły się z cichym „dzyń” i do środka weszła kobieta. Miała gigantyczna fioletową torbę, na którą nie potrafiłem przestać patrzeć.

- Gdzie macie poradniki? – zapytała. Zdawała się obojętna wobec faktu, że stoi tu policjant. Może w normalnym świecie ludzie cały czas gawędzili niezobowiązująco z mundurowymi. Trudno mi było to sobie jednak wyobrazić.

Gdyby nie było tu Koeniga, stwierdziłbym na głos, każda kiedykolwiek napisana książka jest w pewnym sensie poradnikiem i zapytałbym ją, czego dokładnie szuka. A ona opuściłby księgarnię z czterema albo pięcioma książkami zamiast jednej. Byłem w tym naprawdę dobry. Ale funkcjonariusz wciąż patrzył na mnie z uwagą, więc rzuciłem tylko:

- Tam. Za panią.
- Na posterunku – kontynuował Koenig. – W spokoju i bez świadków.

Bez świadków.

Niedobrze.

- Sam? – ponaglił mnie policjant.

Uświadomiłem sobie, że wciąż obserwuję fioletową torbę kobiety snującej się po sklepie. Zadzwoniła jej komórka i teraz nawijała przez telefon.

- Okej – zgodziłem się. – Rozumiem, że muszę, tak?
- Nic nie musisz. Ale bez nakazu sądowego czeka cie mniej nieprzyjemności – wyjaśnił Koenig.

Skinąłem głową. Słowa. Powinienem coś powiedzieć. Ale co takiego? Pomyślałem o Karyn na zapleczu, która uważała, że wszystko jest okej, bo ja siedzę za kasą.

- Muszę poinformować swoją szefową, że wychodzę. To potrwa chwilę.
- Oczywiście.

Ale poszedł za mną, gdy ruszyłem na tył sklepu.

- Karyn – zacząłem, opierając się za framugę. Starałem się, by mój głos brzmiał jak najbardziej swobodnie, ale nie udało mi się. Przyszło mi do głowy, że normalnie nie zwracałem się do niej po imieniu i poczułem się źle, czując to słowo w ustach. – Przepraszam. Muszę na trochę wyjść. Eee… funkcjonariusz Koenig chce mnie zabrać na przesłuchanie.

Przez chwilę wyraz jej twarzy pozostawał bez zmian, a potem rysy jej stwardniały.

- C o chce zrobić?! Jest tutaj teraz?

Odsunęła krzesło od biurka, a ja wycofałem się z zaplecza, żeby mogła stanąć w drzwiach i sama zobaczyć czekającego na mnie Koeniga, który wpatrywał się właśnie w jednego z papierowych żurawi podwieszonego przeze mnie na balustradzie antresoli.

- Co się tutaj dzieje? – zapytała swoim nieznoszącym sprzeciwu, rzeczowym tonem, którego używała w rozmowach z trudnymi klientami.

W takich sytuacjach jej głos był całkowicie pozbawiony emocji. Oboje nazywaliśmy go „biznesowym głosem Karyn”. Zamieniał ją w kompletnie inną osobę.

- Proszę pani – powiedział funkcjonariusz przepraszająco (to była naturalna rekcja każdego na ten profesjonalny ton) – jeden z naszych śledczych ma parę pytań do sama. Poprosił, żebym go przywiózł, żeby mogli pogadać bez świadków i w spokoju.
- Pogadać… - powtórzyła Karyn. – Czy to będzie tego rodzaju pogawędka, którą lepiej byłoby odbyć w obecności adwokata?

- To już zależy całkowicie od Sama. Ale w tym momencie nie jest o nic oskarżony.

W tym momencie.

Oboje to usłyszeliśmy. „W tym momencie" to był eufemizm dla „jeszcze nie". Karyn spojrzała na mnie.

- Sam, chcesz, żebym zadzwoniła do Geoffreya?

Wiedziałem, że wyraz mojej twarzy nie zdradził, bo sama odpowiedziała sobie na pytanie:

- Nie można się z nim skontaktować, prawda?
- Dam sobie radę – zapewniłem.
- Mam wrażenie, że to się ociera o nękanie – zwróciła się Karyn do Koeniga. – Mój pracownik jest łatwym celem, bo nie jest taki jak wszyscy. Gdyby Geoffrey Beck był w mieście, czy prowadzilibyśmy tę rozmowę?
- Z całym szacunkiem, proszę pani – teraz odciął się Koenig – gdyby Geoffrey Beck był w mieście, to prawdopodobnie jego chcielibyśmy przesłuchać.

Karyn zamilkła z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Policjant wskazał w kierunku wyjścia. Zobaczyłem czekający na nas radiowóz zaparkowany przed sklepem.

Byłem jej ogromnie wdzięczny za to, że stanęła w mojej obronie.

- Sam, zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Albo jeśli nie będziesz się czuł komfortowo. Czy chciałbyś, żebym teraz z Toba pojechała? – zapytała.
- Dam sobie radę - powtórzyłem.
- Nic mu nie będzie – pocieszył Koenig. – Nikt nie będzie przypierał go do muru.
- Przepraszam, że muszę wyjść – zwróciłem się do Karyn. W soboty rano zazwyczaj przychodziła tylko na parę godzin, a potem zostawiała sklep w rękach tego, kto akurat pracował. Dziś zepsułem jej cały dzień.
- Och, Sam. Nie zrobiłeś nic złego – pocieszyła mnie, po czym podeszła i mocno mnie uściskała. Pachniała hiacyntami. Jej profesjonalizm zniknął, gdy zwróciła się do Koeniga oskarżającym tonem: - Mam nadzieję, że naprawdę uważacie, że warto jest robić to całe widowisko.

Policjant poprowadził mnie w kierunku drzwi. Byłem absolutnie świadomy tego, że kobieta z fioletową torbą obserwuje mnie, wciąż z komórką przy uchu. Oboje usłyszeliśmy, jak rozmówczyni po drugiej stronie linii pyta: „Aresztują go?".

- Sam – zwrócił się do mnie Koenig. – Po prostu mów prawdę, okej?

Nie miał pojęcia, o co prosi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

COLE

Po opuszczeniu domu Culpeperów po prostu ruszyłem przed siebie. Miałem stare BMW Urlika i trochę pieniędzy i nie było nikogo, kto mógłby mi powiedzieć, żebym nie jechał.

W radio leciała piosenka zespołu, który grał kiedyś przed nami jako *support*. Na żywo okazali się tak porąbani, że czułem się przy nich jak grzeczny chłopiec, co było niezwykłe w tamtym okresie mojego życia. W sumie powinienem był im podziękować za to, że na ich tle wypadliśmy tak dobrze. Ich wokalista miał na imię Mark, Mike, Mack albo Abel, czy jakoś tak. Po występie podszedł do mnie, zalany w trupa, i powiedział, że byłem jego największą inspiracją. Potrafiłem dostrzec między nami pewne podobieństwo.

Teraz, milion lat później, słuchałem, jak didżej opisuje ich singiel jako jedyny hit zespołu. Jechałem dalej. Wciąż miałem telefon Sama w kieszeni. Zadzwonił tylko raz, ale nie przejąłem się tym. Miałem wrażenie, że zostawiłem Isabel wiadomość, która nie wymagała oddzwaniania. Wystarczyło, że to powiedziałem.

Szyby samochodu były opuszczone. Trzymałem rękę na zewnątrz, a wiatr szarpał moja dłoń, która była wilgotna od napierającej mgły. Po obu stronach dwupasmowej drogi rozciągał się typowy dla Minnesoty krajobraz: skarłowaciałe sosny, przypadkowo rozrzucone skały, płaskie domki, jeziora niespodziewanie przebłyskujące zza drzew. Pomyślałem, że mieszkańcy Mercy Falls chyba świadomie postanowili budować tak brzydkie domy, żeby zrównoważyć całe to naturalne piękno. Żeby miejsce nie eksplodowało od nadmiaru malowniczości.

Wciąż myślałem o tym, co powiedziałem Isabel. Że zastanawiam się nad nawiązaniem kontaktu z rodziną. To była niemal prawda. Myśl o telefonie do rodziców wydawała mi się jednak niemożliwa i niesmaczna. Na diagramie Venna* część wspólna naszych zbiorów byłaby pusta.

Może rzeczywiście lepszym pomysłem był kontakt z Jeremym. Moim basistą-joginem. Zastanawiałem się, co porabiał beze mnie i Victora. Miałem nadzieję, że wykorzystał swoja kasę na wyjazd do Indii czy coś w tym stylu. Chciałem zadzwonić akurat do niego, bo on i Victor do tej pory znali mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Tak naprawdę o to chodziło w „NARKOTICE": zespół był projektem mającym na celu poznanie Cole'a St. Claira. Jeremy i Victor poświęcili wiele lat życia na opisywanie tego szczególnego bólu bycia mną setkom tysięcy słuchaczy.

Robili to tak często, że mogli to robić beze mnie. Pamiętałem wywiad, w którym poradzili sobie tak dobrze, że praktycznie nie musiałem zawracać sobie głowy odpowiadaniem na kolejne pytania. Wywiad przeprowadzany był w naszym pokoju hotelowym. Z samego rana, bo potem musieliśmy złapać samolot. Victor miał kaca i był rozdrażniony. Jeremy zajadał się batonikami śniadaniowymi przy małym stoliku ze szklanym blatem. Ja wyszedłem na wąski balkon z widokiem na nic i położyłem się na betonie. Koncentrowałem się na robieniu brzuszków, ze stopami zatkniętymi pod dolną obręcz balustrady. Dziennikarz usiadł po turecku na jednym z niezasłanych łóżek. Był młody, spięty i miał na imię Jan.

- Więc kto zajmuje się pisaniem piosenek? – zapytał. – Czy może robicie to zespołowo?
- Och, tak, piszemy zespołowo – potwierdził Jeremy powoli. Przybrał południowy akcent mniej więcej w tym samym czasie, co przyjął buddyzm. – Cole pisze teksty, a potem ja przynoszę mu kawę, a potem Cole pisze muzykę, a Victor przynosi mu precelki.
- Więc to głównie ty piszesz teksty, Cole? – Jan podniósł głos, żebym go słyszał. – Skąd bierzesz tematy?

---

* Diagram Venna – schemat służący do określania zależności pomiędzy zbiorami; ma postać figur geometrycznych na płaszczyźnie.

Z mojego punktu obserwacyjnego na balkonie mogłem obserwować dwie rzeczy: ceglane boki budynków po drugiej stronie ulicy oraz kwadrat wypranego z koloru nieba. Wszystkie miasta wyglądały tak samo, gdy leżało się na plecach.

Jeremy odłamał kawałek swojego batonika śniadaniowego. Wszyscy usłyszeliśmy spadające na stół okruszki. Z drugiego łóżka, wciąż brzmiąc tak, jakby miał PMS*, Victor oznajmił:

- On nie odpowie na to pytanie.

W głosie Jana brzmiała autentyczna konsternacja, jakby po raz pierwszy ktoś mu odmówił.

- Dlaczego?
- Po prostu nie odpowie. On nienawidzi tego pytania – wyjaśnił Victor. Był boso i trzaskał stawami palców u stóp. – To trochę głupie pytanie, człowieku. Z życia, prawda? Z tego czerpiemy inspirację.

Jan nagryzmolił coś w notesie. Był leworęczny i pisanie w jego wykonaniu wyglądało niezręcznie, jakby był lalka Kenem ze źle przymocowanymi częściami. Miałem nadzieję, że notuje: „Nigdy więcej nie zadawaj tego pytania".

- Okej. Hm. Wasza epka* „Jedno. Albo Drugie" właśnie debiutuje na liście przebojów magazynu „Billboard". Co myślicie o tym niewiarygodnym sukcesie?
- Kupię mojej matce BMW – oświadczył Victor. – Albo nie, kupię jej Bawarię. Tam produkują BMW, prawda?
- Sukces to pojęcie arbitralne – skwitował Jeremy.
- Następna będzie lepsza – rzuciłem. Nie powiedziałem tego wcześniej na głos, ale teraz to zrobiłem, więc to była prawda.

Jan znowu cos nabazgrał, a potem przeczytał kolejne pytanie ze swoich notatek.

- Eee, to oznacza, że pozbawiliście miejsca w topowej dziesiątce album zespołu „Human Parts Ministry", który królował na niej przez czterdzieści tygodni. Przepraszam, czterdzieści jeden. Obiecuję, że w ostatecznej wersji wywiadu nie będzie przejęzyczeń. Joey z „Human Parts Ministry" powiedział, że jego zdaniem „Looking Up Or Down" tak długo utrzymywało się na liście, bo wiele osób identyfikowało się z tekstami z tego albumu. Czy myślicie, że słuchacze identyfikują się ze słowami z „Jedno. Albo Drugie"?

„Jedno. Albo Drugie" to był minialbum, którego utwory opowiadały o Cole'u na scenie i o Cole'u krążącym nocami po hotelowych korytarzach. O świadomości, że jestem otoczony przez dorosłych, którzy żyją tak, jak ja nigdy nie mógłbym żyć. O prześladującym mnie uczuciu, że powinienem coś zrobić. O tym, że nie umiałem sobie znaleźć zajęcia, które miałoby dla mnie jakieś znaczenie. Jakaś część mnie była niczym mucha tłukąca o szybę raz za razem. To był album o bezsensie starzenia się. O fragmencie utworu po raz pierwszy dobrze zagranym na pianinie. O czasie, kiedy zabrałem Angie na randkę, a ona miała na sobie zapinany sweter, w którym wyglądała jak własna matka. O ulicach, które kończyły się ślepymi zaułkami i karierach, które kończyły się za biurkiem. O świadomości, że tak po prostu wygląda życie, a ja do niego nie pasuję.

- Nie – powiedziałem. – Myślę, że tu chodzi wyłącznie o muzykę.

Jeremy skończył swój batonik. Victor strzelił palcami. Ja obserwowałem ludzi wielkości zarazków przelatujących mi nad głową w samolocie wielkości mrówki.

- Czytałem, że byłeś chórzystą, Cole – zagadnął Jan, zaglądając do notatek. – Czy wciąż jesteś praktykującym katolikiem? A ty, Victor? Jeremy, wiem, że ty nie.

---

* PMS (*premenstrual syndrome*) – zespół napięcia przedmiesiączkowego.

* Epka (EP, *Extended Play*) – potoczna nazwa minialbumu, płyty dłuższej niż singiel, ale zbyt krótkiej, by mogła być nazwana albumem długogrającym.

- Wierzę w Boga – zadeklarował Victor, jednak nie zabrzmiało to przekonująco.
- A ty, Cole? – zachęcił mnie Jan.

Obserwowałem puste niebo, czekając na kolejny samolot. Miałem do wyboru to albo ślepe ściany budynków. „Jedno. Albo Drugie".

- Oto, co wiem o Cole'u – zaczął Jeremy. Zamilkł na chwilę, przez co zabrzmiało to tak, jakby stał na ambonie. – Religią Cole'a jest stawianie czoła niemożliwemu. On nie wierzy w n i e m o ż l i w e . On nie wierzy w n i e . Religią Cole'a jest czekanie na kogoś, kto powie mu, że czegoś nie da się zrobić, tak żeby on mógł to zrobić. Cokolwiek. I nie ma znaczenia, co to będzie, tak długo, jak nie da się tego zrobić. Oto mit o stworzeniu świata według Cole'a: na początku był ocean i pustka, a Bóg zmienił ocean w świat, a pustkę zmienił w Cole'a.

Victor roześmiał się.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że jesteś buddystą – zauważył Jan.
- Na pół etatu – odpowiedział Jeremy.

Stawianie czoła niemożliwemu.

Teraz sosny wyciągały się tak wysoko po obu stronach drogi, że miałem wrażenie, jakbym jechał tunelem do wnętrza świata. Mercy Falls znajdowało się już wiele kilometrów za mną.

Znowu miałem szesnaście lat i droga rozwijała się przede mną niczym obietnica nieskończonych możliwości. Czułem się czysty, rozgrzeszony. Mogłem jechać w nieskończoność. Dokądkolwiek. Mogłem być kimkolwiek. Poczułem, że las Boundary mnie przyzywa i po raz pierwszy uznałem, że bycie Cole'em St. Clairem już nie wydaje mi się przekleństwem. Miałem cel i to było to n i e m o ż l i w e : odnaleźć lekarstwo.

Byłem tak blisko.

Droga umykała pod samochodem, ręce zmarzły mi od wiatru. Po raz pierwszy id dawna poczułem się silny. Lasy zabrały tę pustkę, która była mną, a o której sądziłem, że nic jej nigdy nie zapełni, nie zaspokoi. Lasy sprawiły, że utraciłem wszystko. Nawet rzeczy, o których wcześniej myślałem, że nie chciałbym ich zatrzymać.

Ale ostatecznie byłem Cole'em St. Clairem, uszytym z nowej skóry. Świat leżał u moich stóp, a dzień rozciągał się na kilometry przede mną.

Wyjąłem komórkę Sama z kieszeni i wystukałem numer Jeremy'ego.

- Jeremy – rzuciłem do słuchawki.
- Cole St. Clair – odpowiedział powoli i z lekkością, jakby nie był zaskoczony.

Po mojej stronie linii na chwile zapadła cisza. A ponieważ mnie znał, nie musiał czekać, aż to powiem.

- Nie wracasz do domu, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

SAM

Przesłuchiwali mnie w kuchni.

Posterunek policji w Mercy Falls był mały i najwyraźniej nieprzystosowany do prowadzenia śledztwa. Koenig przeszedł ze mną obok pokoju depozytorów – przerwali rozmowę w pół zdania, żeby na mnie popatrzeć – oraz dwóch salek, w których policjanci siedzieli przy komputerach, aż dotarliśmy do malutkiego pomieszczenia ze zlewem, lodówką i dwoma automatami z napojami i przekąskami. Była pora lunchu i w środku śmierdziało podgrzewanym meksykańskim jedzeniem i wymiocinami. Było strasznie gorąco.

Koenig wskazał mi lekkie drewniane krzesło. Zebrał ze stołu kilka serwetek, talerz z niedojedzonym cytrynowym batonikiem oraz puszkę po napoju, wrzucił to wszystko do śmietnika i stanął przed wejściem do kuchni, plecami do mnie. Widziałem tylko tył jego głowy, z włosami na karku przyciętymi z niesamowitą precyzją, jak od linijki. Na ich krawędzi widniała blizna od poparzenia, która znikała pod kołnierzykiem koszuli. Przyszło mi do Glowy, że za tą blizną kryje się jakaś historia – może nie tak dramatyczna jak historia blizn na moich nadgarstkach, ale jakaś na pewno. Świadomość, że wewnętrzne i zewnętrzne blizny kryją jakąś opowieść o nim, nagle mnie wyczerpała. Jakby przytłoczył mnie ciężar tych nieopowiedzianych przeszłości.

Koenig mówił cichym głosem do kogoś w korytarzu. Wyłapywałem tylko urywki konwersacji.

- Samuel Roth… nie… nakaz… ciało? … co znajdzie.

Natychmiast poczułem mdłości i uderzenie gorąca. Żołądek przewrócił mi się do góry nogami i nagle odniosłem wrażenie, że pomimo ciepła, a raczej z powodu ciepła przemienię się tutaj, w tym małym pomieszczeniu, i nie będzie już ucieczki.

Oparłem głowę na ramionach. Stół śmierdział starym jedzeniem, ale zimny blat chłodził moja skórę. Żołądek mi się skręcał i szarpał i po raz pierwszy od miesięcy poczułem się niepewnie we własnym ciele.

„Proszę, nie przemieniaj się. Proszę, nie…".

Powtarzałem to w myślach przy każdym oddechu.

- Samuel Roth?

Podniosłem głowę. W drzwiach stał policjant o podpuchniętych oczach. Śmierdział tytoniem. Miałem wrażenie, że wszystko w tym pokoju zostało zaprojektowane jako swojego rodzaju atak na moje wilcze zmysły.

- Nazywam się funkcjonariusz Heifort. Nie masz nic przeciwko temu, żeby funkcjonariusz Koenig był obecny podczas naszej rozmowy?

Nie ufałem brzmieniu swojego głosu, więc tylko pokręciłem głową, wciąż dociskając ramiona do blatu. Czułem dziwną pustkę w piersi.

Heifort odsunął krzesło naprzeciwko mnie – dość daleko, żeby zrobić miejsce dla swojego brzucha – usiadł i położył na stole notes oraz teczkę. Koenig pojawił się w drzwiach za nim i stanął z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Budził respekt, oficjalny i postawny, ale jego znajoma obecność i tak miała na mnie uspokajający wpływ. Brzuchacz wyglądał na zbyt zadowolonego z perspektywy przesłuchiwania mnie.

- Zadamy ci kilka pytań, a ty odpowiesz na nie najlepiej, jak potrafisz, w porządku? – W jego głosie pobrzmiewała jowialność, która nie znajdowała odbicia w oczach.

Skinąłem głową.

- Gdzie podziewa się ostatnio twój ojciec, Sam? Nie widzieliśmy Geoffreya Becka od bardzo dawna – zaczął Heifort.

- Zachorował – wyjaśniłem. Łatwiej było używać kłamstwa, którym już się wcześniej posługiwałem.
- Przykro mi to słyszeć – powiedział Heifort. – Co mu dolega?
- Rak. – Wlepiłem wzrok w stół i wymamrotałem: - Leczy się w klinice w Minneapolis.

Brzuchacz to zanotował. Wolałbym, żeby tego nie robił.

- Znasz adres tej kliniki? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami. Starałem się nasycić ten gest smutkiem.

- Później mogę to ustalić – zaoferował się Koenig.

Heifort to też zapisał.

- W jakiej sprawie jestem przesłuchiwany? – zażądałem wyjaśnień.

Podejrzewałem, że w rzeczywistości nie chodziło o Becka, tylko o Grace, i jakaś część mnie nie mogła się pogodzić z myślą, że być może zostanę aresztowany w związku ze zniknięciem kogoś, kogo trzymałem w ramionach minionej nocy.

- Cóż, skoro pytasz – przeszedł do konkretów Heifort i wysunął teczkę spod notatnika. Wyjął z niej zdjęcie i położył je przede mną.

To było zbliżenie stopy. Dziewczęcej stopy, wąskiej i długiej. Stopa i widoczny na zdjęciu kawałek nagiej nogi leżały pośród liści. Między palcami widać było krew.

Wstrzymałem oddech.

Brzuchacz położył kolejną fotografię na poprzedniej.

Skrzywiłem się o odwróciłem wzrok z ulgą, ale przede wszystkim przerażeniem.

- Czy to ci coś mówi?

To było zdjęcie nagiej dziewczyny, bladej jak śnieg, szczupłej jak szept, leżącej pośród liści. Twarz i szyję miała zmasakrowaną. I znałem ją. Ostatnim razem, gdy widziałem tę dziewczynę, miała opaleniznę i uśmiech, i puls. „Och, Olivia. Tak mi przykro".

- Dlaczego mi to pokazujecie? – zapytałem. Nie mogłem patrzeć na to zdjęcie. Olivia nie zasłużyła na to, żeby zabiły ja wilki. Nikt nie zasługiwał na taką śmierć.
- Mieliśmy nadzieję, że ty nam to powiesz – zasugerował Heifort, wykładając na blacie przede mną kolejne fotografie przedstawiające różne ujęcia martwej dziewczyny. Chciałem, żeby przestał. Musiał przestać. – W takim stanie została znaleziona kilka metrów od granicy posiadłości Geoffreya Becka. Naga. Po tym jak zniknęła kilka miesięcy wcześniej.

Nagie ramię umazane krwią. Skóra pobrudzona ziemią. Wnętrze dłoni skierowane ku niebu. Zamknąłem oczy, ale wciąż widziałem te obrazy pod powiekami. Czułem, jak zakorzeniają się we mnie, zaczynają we mnie żyć, by potem nawiedzać mnie we śnie jako koszmary.

- Ja nikogo nie zabiłem – powiedziałem. Zabrzmiało to fałszywie. Jakbym mówił w obcym języku i tak pomieszał odmianę wyrazów, że złożone do kupy zdanie nie miało żadnego sensu.
- Och, to była robota wilków – zgodził się brzuchacz. – To one ją zabiły. Ale nie sądzę, żeby to przez nie znalazła się nago w lesie.

Otworzyłem oczy, ale nie patrzyłem na zdjęcia. Na ścianie wisiała tablica korkowa z przyczepioną karteczką, z prośbą, żeby pracownicy czyścili po sobie mikrofalówkę, jeśli eksploduje w niej czyjś lunch.

- Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. Nie wiedziałem, gdzie ona przebywa. To nie ja. – Ale ciążyła mi świadomość, że jednak wiedziałem, kto jest sprawcą. – Dlaczego miałbym zrobić cos takiego? – dodałem.
- Szczerze mówiąc, synu, nie mam zielonego pojęcia – przyznał Heifort. Nie byłem pewien, dlaczego nazwał mnie „synem", skoro ton reszty wypowiedzi przeczył takim serdecznościom. – Zrobił to jakiś chory skurwysyn i trudni mi wczuć się jego tok myślenia. Ale wiem jedno: dwie

młode dziewczyny, które cie znały, zniknęły w minionym roku. Byłeś ostatnia osobą, która widziała jedną z nich. Twój przybrany ojciec nie daje znaku życia od miesięcy i najwyraźniej tylko ty jeden wiesz, gdzie przebywa. Niedaleko twojego domu znajdujemy ciało nagiej i niemal zagłodzonej dziewczyny. I myślę sobie, że za cos takiego może być odpowiedzialny tylko ostro popaprany skurwiel. A właśnie przede mną siedzi koleś, nad którym znęcali się rodzice. I podobno nieźle przeorali mu psychikę. Chciałbyś to jakoś skomentować?

Wszystko to powiedział powoli i spokojnie. Koenig przyglądał się grafice przedstawiającej statek, którego zapewne nigdy nie widziano w pobliżu Minnesoty.

Kiedy Heifort zaczął mówić, poczułem gniew, który narastał z każdym jego słowem. Po tym wszystkim, co przeszedłem, nie miałem zamiaru dać się sprowadzić do jednozdaniowej definicji. Podniosłem wzrok na Heiforta i utkwiłem w nim spojrzenie. Zobaczyłem napięcie w jego oczach. Kolor moich tęczówek zawsze wprowadzał ludzi w zakłopotanie. Nagle poczułem całkowity spokój i gdzieś we własnym głosie usłyszałem echo głosu Becka.

- Czy to jest pytanie, funkcjonariuszu Heifort? Sądziłem, że chce się pan dowiedzieć, jakie mam alibi, albo usłyszeć, jakie są relacje pomiędzy mną a moim ojcem, albo usłyszeć, że zrobiłbym wszystko dla Grace. Ale wygląda na to, że najwyraźniej chce pan tylko, żebym bronił swojego zdrowia psychicznego. Nie potrafię stwierdzić, o co mnie pan podejrzewa. Oskarża mnie pan o porwanie dziewczyn? Czy o zabicie ojca? Czy po prostu uważa pan, że jestem popaprany?
- Zaraz, zaraz – przerwał mi Heifort. – O nic pana nie oskarżyłem, panie Roth. Niech pan opanuje ten nastoletni gniew, bo przecież nikt pana o nic nie oskarża.

Nie miałem wyrzutów sumienia, że okłamałem go wcześniej, skoro on zamierzał okłamywać mnie teraz. Oskarżał mnie jak cholera.

- Co pan chce, żebym powiedział? – Popchnąłem zdjęcia Olivii w jego stronę. – To straszne. Ale nie mam z tym nic wspólnego.

Heifort zostawił zdjęcia tam, gdzie były. Obrócił się na swoim krześle, żeby spojrzeć znacząco na Koeniga, ale wyraz twarzy tamtego się nie zmienił. Potem odwrócił się z powrotem do mnie. Jego krzesło jęczało i skrzypiało. Potarł ręką jedno podpuchnięte oko.

- Chcę wiedzieć, gdzie są Geoffrey Beck oraz Grace Brisbane, Samuelu. Pracuję wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. A wiesz, co jest wspólnym mianownikiem łączącym wszystkie te sprawy? Ty.

Nic nie powiedziałem. Nie byłem żadnym wspólnym mianownikiem.

- Więc będziesz współpracować i powiesz mi coś na temat tego wszystkiego czy zamierzasz zmusić mnie, żebym przestał być miły? – zapytał brzuchacz.
- Nie mam panu nic do powiedzenia – uciąłem.

Heifort przyglądał mi się długo, jakby czekał, aż moja mina cos mu zdradzi. – Myślę, że twój tatuś nie oddał ci przysługi, szkoląc cie w tych prawniczych gadkach – odezwał się w końcu. – Nie powiesz nic więcej?

Miałem mnóstwo rzeczy do powiedzenia, ale nie jemu. Gdyby to Koenig mnie przesłuchiwał, powiedziałbym mu, że nie chciałem, żeby Grace zaginęła. Że pragnąłem, żeby Beck wrócił. Że Beck nie był moim przybranym ojcem, tylko po prostu ojcem. Że nie wiedziałem, co się dziej z Olivią. Że chcę, żeby zostawili mnie w spokoju. To wszystko. Żeby mnie po prostu zostawili w spokoju, tak bym mógł to jakoś przetrawić.

- Nie – powtórzyłem.

Heifort tylko patrzył na mnie, marszcząc brwi. Nie potrafiłem stwierdzić, czy mi uwierzył, czy nie. Po chwili stwierdził:

- No to na razie chyba byłoby na tyle. William, zajmij się nim, dobrze?

Koenig skinął głową, podczas gdy Heifort odepchnął się od stołu. Kiedy zniknął w korytarzu, zaczęło mi się łatwiej oddychać.

– Odwiozę cie do księgarni – zwrócił się do mnie Koenig, oszczędnym gestem każąc mi wstać.

Zrobiłem to, z jakiegoś powodu zaskoczony, że stoję twardo na ziemi, mimo że nogi miałem jak z galarety.

Szedłem korytarzem za funkcjonariuszem, ale ten zatrzymał się nagle, gdy zadzwoniła mu komórka. Wyciągnął ją z etui przy paski i spojrzał na wyświetlacz.

– Poczekaj – poprosił mnie – musze odebrać. William Koenig, słucham. Tak, proszę pana. Zaraz. Co dokładnie się wydarzyło?

Włożyłem ręce do kieszeni. W głowie czułem pustkę: oszołomiony od przesłuchania, braku jedzenia, widoku martwej Olivii. Słyszałem donośny głos Heiforta dochodzący przez otwarte drzwi do dyspozytorni. Pracownicy śmiali się z czegoś, co opowiadał. Wydało mi się dziwne, że potrafił tak po prostu się przełączyć – najpierw unosił się srogim gniewem nad śmiercią młodej dziewczyny, a zaraz potem sypał kawałami.

Koenig próbował przekonać kogoś przez telefon, że jeśli żona pozostająca z rozmówcą w separacji wzięła jego samochód, to nie była to kradzież, bo auto wciąż stanowi wspólna własność.

– Hej, Tom – usłyszałem.

W całym Mercy Falls było prawdopodobnie mnóstwo Tomów, ale ja od razu wiedziałem, o którego chodzi. Przeszły mnie ciarki.

Pokój dyspozytorów miał okna wychodzące na korytarz prostopadły do tego, w którym stałem. Zobaczyłem przez nie Toma Culpepera. Idąc, pobrzękiwał kluczykami leżącymi w kieszeni kurtki – jednej z tych w tak zwanym wiejskim stylu, opisywanych jako surowe, klasyczne i kosztujące czterysta dolarów. Nosili je zazwyczaj ludzie, którzy spędzali więcej czasu w land roverach niż w obejściu gospodarstwa. Jego twarz miała szary odcień, tak jakby nie sypiał za dobrze, ale głos wciąż miał gładki i opanowany. To był głos prawnika.

Zastanawiałem się, co jest gorsze: ryzyko spotkania z Culpeperem, czy ponowne stawienie czoła smrodowi wymiocin królującemu w kuchni. Rozważałem odwrót.

– Tom, cześć! – zawołał Heifort. – Poczekaj, wpuszczę cię. – Wypadł z dyspozytorni, do miejsca, gdzie czekał Culpeper, i otworzył mu drzwi. Poklepał mężczyznę po ramieniu. Nie zdziwiło mnie to, że się znali. – Przyszedłeś popracować czy tylko szukasz kłopotów?

– Tylko wpadłem dowiedzieć się o ten raport koronera – uśmiechnął się Culpeper. – Co powiedział dzieciak Geoffreya Becka?

Heifort odchylił się odrobinę, żeby Tom dojrzał mnie stojącego w korytarzu.

– O wilku mowa – skomentował Culpeper.

Byłoby uprzejmie się przywitać. Nie odezwałem się.

– Hej, jak się miewa twój stary? – zagadnął mnie mężczyzna z ewidentną ironią. Było jasne, że go to nie obchodzi. Nie był też tego rodzaju osobą, która normalnie użyłaby określenia „twój stary". – Jestem zaskoczony, że nie ma go tu z tobą – dodał.

– Byłby, gdyby mógł – odpowiedziałem sztywno.

– A mówiąc o poradach prawbych, to rozmawiałem ostatnio z Lewisem Brisbane'em – zmienił temat wyraźnie zadowolony z siebie Culpeper. – Brisbane'owie wiedzą, że w razie potrzeby mogą na mnie liczyć.

Nawet nie chciałem myśleć o tym, jakie komplikacje wyniknęłyby z tego, że Tom Culpeper wystąpiłby w roli prawnika i powiernika rodziców Grace. W każdym razie wizja serdecznej relacji między mną a nimi w przyszłości wydawała się niewiarygodnie odległa. Właściwie to wizja jakiejkolwiek mojej szczęśliwej przyszłości wydawała się w tej chwili niewiarygodnie odległa.

- Ty naprawdę jesteś kompletnie porąbany, prawda? – skwitował Culpeper z zadumą, a ja zdałem sobie sprawę, że milczę już zbyt długo, nieświadomy tego, co działo się z wyrazem mojej twarzy, kiedy zagubiłem się w niepokojących myślach. Potrząsnął głową, nie tyle z okrucieństwem, co ze zdziwieniem wywołanym osobliwością mojego oderwania od rzeczywistości. – Dam ci mądrą radę: zdecyduj się na linię obrony oparta o orzeczenie o niepoczytalności. Niech Bóg błogosławi Amerykę. Beck zawsze lubił tę sztuczkę.

Heifort, trzeba mu to przyznać, próbował powstrzymać uśmiech.

Koenig zatrzasnął klapkę telefonu i zmrużył oczy.

- Panowie – oświadczył – zabieram pana Rotha z powrotem do pracy, chyba że jest jeszcze do czegoś potrzebny.

Heifort pokręcił głową, powoli i dostojnie.

Culpeper odwrócił się do mnie z rękami w kieszeniach. W jego głosie nie było gniewu. I nie musiało go tam być – w końcu to on rozdawał karty.

- Kiedy następnym razem zobaczysz ojca, możesz mu powiedzieć, że za czternaście dni wszystkie jego wilki będą już martwe. To powinno zostać załatwione już dawno temu. Nie mam pojęcia, w co się bawiliście, ale to koniec.

Tom Culpeper patrzył za mną, ale w jego oczach nie było pragnienia zemsty. To była po prostu świeża rana, otwierana zbyt często, by mogła się kiedykolwiek zagoić. Jak mogłem go osądzać? Przecież nie znał prawdy. Nie mógł jej znać. Sądził, że to tylko zwierzęta, a my jesteśmy bezmyślnymi sąsiadami o niewłaściwych priorytetach.

Ale zrozumiałem również jedno. Jego nienawiść do wilków się nie skończy, dopóki sfora nie będzie martwa.

Koenig złapał mnie za łokieć i spojrzał przez ramię na Toma.

- Myślę, że myli pan syna z ojcem, panie Culpeper.
- Może – zgodził się mężczyzna. – Jednak wie pan co mówią o jabłkach i jabłoniach.

Problem z tym przysłowiem polegał na tym, że było bliskie prawdy.

- Pora na nas – uciął Koenig.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

GRACE

Sam się spóźniał.

Starałam się nie martwić.

Mimo to czułam się niespokojna i bezużyteczna, przesiadując samotnie w domu Becka. Kiedy byłam wilkiem, przynajmniej nie odczuwałam tak dotkliwie braku wyznaczonego celu w życiu. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, że znaczną część mojego dnia poświęcałam na odrabianie prac domowych, gotowanie, planowanie szalonych eskapad z Rachel, spotkania z Olivią, wizyty w bibliotece czy naprawianie obluzowanej deski na tarasie, bo tata nigdy nie mógł się do tego zabrać. Czytanie stanowiło dla mnie nagrodę za wykonane obowiązki. Teraz nie miałam nic do roboty i nie potrafiłam spokojnie, bez wyrzutów sumienia, oddać się lekturze, mimo że piwnica Becka była pełna książek.

Wcześniej myślałam tylko o tym, żeby ukończyć liceum z wystarczająco dobrymi ocenami, żebym nie musiała się martwić o to, do jakiego college'u się dostanę. A potem, gdy poznałam Sama, do listy priorytetów dodałam jeszcze utrzymywanie go w ludzkiej formie.

Te problemy nie były już aktualne.

Miałam tak dużo czasu wolnego od zajęć, że nie umiałam już myśleć o nim jak o „czasie wolnym" od czegoś. Czułam się tak jak na wakacjach lub feriach. Mama powiedziała m kiedyś, że nie umiem Radzic sobie z okresami przestoju i że w takich momentach powinno mi się podawać środki uspokajające. Gdy to mówiła, uznałam, że trochę przesadza, ale teraz pomyślała, że mogła mieć rację.

Uprałam sześć sztuk ubrań – czyli wszystkie, jakimi dysponowałam, zmyłam górę naczyń nagromadzonych w zlewie, po czym zadzwoniłam do Isabel, jedynej osoby, do której mogłam zadzwonić. Czułam, że jeśli z kimś szybko nie porozmawiam, zacznę rozpaczać z powodu Olivii, a to nie przyniosłoby nikomu nic dobrego.

- Wyjaśnij mi, dlaczego skontaktowanie się z Rachel i wyjaśnienie jej, że żyję, jest złym pomysłem – rzuciłam do słuchawki, gdy tylko dziewczyna odebrała telefon.
- Bo jej odbije, a potem się załamie, a potem zrobi scenę, aż w końcu rodzice ja przycisną, a ona nie będzie potrafiła ich okłamać, a wtedy wszyscy się dowiedzą – wyrecytowała Isabel. – Następne pytanie poproszę.
- Rachel potrafi być rozsądna.
- Właśnie się dowiedziała, że wilki zagryzły jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Nie będzie rozsądna.

Na to nie zareagowałam. Traktowałam śmierć Olivii jako wydarzenie czysto abstrakcyjne – tylko to utrzymywało mnie przy zdrowych zmysłach. Nie byłam w stanie myśleć o tym, jak zapewne wyglądała jej śmierć, że musiała być powolna, że na nią nie zasłużyła. Automatycznie przypomniałam sobie, co czułam ja sama, gdy leżałam na śniegu rozszarpywana przez wilki i wyobrażałam sobie, co by było, gdyby nie było tam mojego wilka, który mnie uratował. Nie mogłam uwierzyć, że Isabel powiedziała coś takiego. Miałam ochotę się rozłączyć. Powstrzymała mnie przed tym jedynie świadomość, że jeśli odłożę słuchawkę, zostanę sama z obrazem śmierci Olivii kłębiącym się w mojej głowie.

- Przynajmniej ja tak miałam z Jackiem – uzupełniła Isabel. – „Rozsądne" nie było określeniem, którego użyłabym do opisania mojego zachowania w tamtym okresie.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Grace, nie bierz tego tak do siebie – kontynuowała. – Stwierdzam tylko fakty. Im szybciej się z nimi pogodzisz, tym szybciej się poczujesz lepiej. A teraz przestań o tym myśleć. Dlaczego chcesz się skontaktować z Rachel?

Mrugałam, aż łzy przestały przesłaniać mi widok. Cieszyłam się, że w pobliżu nie ma Cole'a. On uważał mnie za ostoję spokoju i zdrowego rozsądku i nie chciałam dawać mu dowodów na to, że jest inaczej. Tylko Sam mógł być świadkiem mojej rozpaczy.

- Bo jest moją przyjaciółką i nie chcę, żeby myślała, że ja też nie żyję – wyjaśniłam. – I dlatego, że lubię z nią rozmawiać. Nie jest taka głupia, jak ci się wydaje.
- Jakie to sentymentalne – zauważyła Isabel, ale wiedziałam, że nie chciała być wredna. – Poprosiłaś mnie, żebym ci powiedziała, dlaczego to zły pomysł, i zrobiłam to. Nie przekonasz mnie do zmiany zdania.

Westchnęłam bardziej nieszczęśliwie, niż zamierzałam.

- W porządku – rzuciła Isabel gniewnie, niemal jakbym na nią nakrzyczała. – Porozmawiaj z nią. I nie wiń mnie, jeśli się okaże, że nie będzie w stanie poradzić sobie z prawdą. – Roześmiała się z czegoś, co było zrozumiałe tylko dla niej samej, po czym ciągnęła dalej: - Ale nie wspominałabym jej o wilkach. Tylko tyle, że żyjesz. Zakładając, że w ogóle mnie posłuchasz.
- Zawsze cię słucham… Chyba że akurat tego nie robię.
- Oto stara dobra Grace. Od razu mi lepiej. Już zaczęłam myśleć, że kompletnie się rozkleiłaś.

Wtedy przyszło mi do głowy jeszcze jedno.

- Mogłabyś coś dla mnie zrobić? – zapytałam.
- A mam jakiś wybór?
- Cóż, nie wiem, jak inaczej się tego dowiedzieć. Nie wiem nawet, czy ty możesz się tego dowiedzieć dla mnie bez wzbudzania podejrzeń. Ale jeśli komuś może się to udać, to tylko tobie.
- Tak, tak, nie szczędź mi komplementów, Grace. Każdy działa na twoją korzyść.
- Przy okazji, masz naprawdę ładne włosy – zareagowałam błyskawicznie, a ona zaśmiała się tym swoim twardym śmiechem. – Chciałabym wiedzieć, czy wciąż mogę ukończyć liceum, jeśli zaliczę szkołę letnią.
- Czy to nie wymagałoby od ciebie bycia c z ł o w i e k i e m ? Choć w sumie niektóre osobniki z naszego rocznika tez nie spełniają tego warunku…
- Pracuję nad tym – zapewniłam. – Nie przemieniam się już tak często. Myślę, że mogłoby mi się udać. Oczywiście, kiedy już oficjalnie powrócę do świata żywych.
- Wiesz, czego potrzebujesz? – oświadczyła Isabel. – Dobrego prawnika.

Już o tym myślałam. Nie wiedziałam, co prawo stanowe mówi o ucieczkach z domu, ale byłam pewna, że mnie to dotyczy. Wydawało mi się niewiarygodnie niesprawiedliwe, że mogę mieć plamę w papierach z takiego powodu, ale musiałam jakoś sobie z tym poradzić.

- Znam taką jedną dziewczynę, której ojciec jest prawnikiem – rzuciłam.

Teraz Isabel naprawdę się roześmiała.

- Dowiem się – obiecała. – Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która martwi się o ukończenie liceum, a tymczasem powinna rozważać problem swojej cyklicznej przemiany w zwierzę. To naprawdę odświeżające, wiedzieć, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Kujonka. Pupilka nauczycieli. Wierna szkole jak pies. O… pies… to zabawne, biorąc pod uwagę, że teraz dosłownie porastasz sierścią.
- Miło mi, że dostarczam ci rozrywki – skwitowałam, udając urażoną.

Isabel znowu się roześmiała.

– Mnie również.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

SAM

Tym razem Koenig wskazał mi w aucie miejsce obok siebie, z przodu. Radiowóz nagrzał się na słońcu i policjant próbował walczyć z upałem, podkręcając klimatyzację na Maksa. Po chwili w samochodzie zrobiło się tak zimno, że zawilgotniała mi twarz. Wilk, który wciąż tkwił we mnie, nie obudził się jednak. Wnętrze auta pachniało sosnowym odświeżaczem do powietrza.

Funkcjonariusz wyłączył radio, w którym leciały rockowe kawałki z lat siedemdziesiątych. Siedziałem i myślałem o tym, jak Culpeper zamierza wybić mi rodzinę.

Jedynym dźwiękiem rozlegającym się w samochodzie było sporadyczne trzeszczenie policyjnego radia, które Koenig miał przyczepione do ramienia. Zaburczało mi w brzuchu. Policjant pochylił się w stronę schowka i otworzył go. W środku leżała paczka krakersów i dwa batoniki.

- Dzięki – powiedziałem, biorąc krakersy. Nie zaproponował mi ich w taki sposób, żebym poczuł się skrępowany koniecznością okazania mu wdzięczności.
- Wiem, że Heifort nie ma racji. – Koenig nie patrzył na mnie. – Wiem, co stanowi wspólny mianownik, i ty nim nie jesteś.

Uświadomiłem sobie, że nie skręcił w kierunku księgarni. Oddalaliśmy się od Mercy Falls.

- A zatem, co nim jest? – zapytałem.

W powietrzu zawisło oczekiwanie. Mógł powiedzieć: „Beck" albo „las Boundary", albo cokolwiek innego. Ale nie sądziłem, żeby miał zamiar to zrobić.

- Wilki – oświadczył policjant.

Wstrzymałem oddech. Głos dyspozytorki zatrzeszczał niewyraźnie przez radio:

- Jednostka siedemnaście?

Koenig nacisnął przycisk na radiu.

- Jestem w drodze z przesłuchiwanym. Zamelduję się, kiedy będę wolny.
- Przyjęłam – odpowiedziała kobieta.

Funkcjonariusz odczekał chwilę, a potem odezwał się, wciąż na mnie nie patrząc.

- A teraz powiedz mi prawdę, Sam. Nie mamy czasu na gierki. Powiedz mi prawdę, tylko nie to, co zeznałeś Heifortowi. Gdzie jest Geoffrey Beck?

Samochód z warkotem sunął po drodze. Byliśmy już daleko od Mercy Falls. Drzewa przemykały za oknem, a ja przypomniałem sobie dzień, kiedy jechałem po Grace czekającą na mnie przy sklepie wędkarskim. Miałem wrażenie, że to wydarzyło się milion lat temu.

Nie było mowy, żebym mógł mu zaufać. Nie było mowy, żeby był gotów usłyszeć prawdę, a nawet jeśli był, to złamałbym naszą zasadę numer jeden: nie mówić nikomu o wilkołakach. A już zwłaszcza nie policjantowi, który brał udział w przesłuchaniu, podczas którego oskarżono mnie o porwanie i morderstwo.

- Nie wiem – wymamrotałem ledwie słyszalnie.

Koenig zacisnął usta i pokręcił głową.

- Byłem obecny przy pierwszym polowaniu, Sam. Nie było legalne i żałuję tego. W całym mieście wrzało z powodu śmierci Jacka Culpepera. Byłem tam, kiedy pędzili wilki przez las w stronę jeziora. Tamtego wieczoru zobaczyłem jednego z tych wilków i nigdy przenigdy tego nie zapomnę. Teraz zamierzają wykurzyć je z lasów i wystrzelać je wszystkie z powietrza. Sam, ja widziałem dokumenty, które to zatwierdziły. Więc zapytam cie jeszcze raz, a ty powiesz mi prawdę, bo jestem waszą jedyną nadzieją – twoją i wilków. Powiedz mi wprost, Sam. Gdzie jest Geoffrey Beck?

Zamknąłem oczy.

Zobaczyłem zwłoki Olivii. I twarz Toma Culpepera.

- W lesie Boundary.

Koenig powoli wypuścił powietrze przez zęby.

- Grace Brisbane też, prawda? – zapytał.

Nie otworzyłem oczu.

- I ty… - ciągnął dalej Koenig. – Ty też tam byłeś. Powiedz mi, że nie zwariowałem. Powiedz mi, że nie mam racji. Powiedz mi, że kiedy zobaczyłem tamtej nocy wilka o oczach Geoffreya Becka, pomyliłem się.

Teraz uniosłem powieki. Musiałem zobaczyć wyraz jego twarzy. Patrzył prosto przed siebie ze ściągniętymi brwiami. Niepewność sprawiła, że wydawał się młodszy, a jego mundur mniej groźny.

- Nie myli się pan – wyszeptałem.
- I nie ma żadnego raka?

Potrząsnąłem głową. Koenig nie spojrzał na mnie, ale skinął jakby do siebie.

- Nie ma żadnych śladów po Grace Brisbane nie dlatego, że zniknęła, tylko dlatego, że jest… - Koenig przerwał. Nie potrafił tego wymówić.

Uświadomiłem sobie, jak wiele zależy od tej chwili. Od tego, czy dokończy to zdanie. Czy przyjmie prawdę tak jak Isabel, czy też ją odrzuci albo wypaczy, żeby dopasować do swojej wiary albo światopoglądu, jak to zrobili moi rodzice.

Wciąż na niego patrzyłem.

- … wilkiem – dokończył, nie odrywając wzroku od drogi. – Nie możemy znaleźć jej ani Becka, bo są wilkami.
- Tak.

Koenig pokręcił głową.

- Mój ojciec opowiadał nam historie o wilkach. O tym, że miał w college'u przyjaciela, który był wilkołakiem. A my się z niego śmialiśmy. Nigdy nie było wiadomo, czy opowiada bajkę, czy akurat mówi prawdę.
- To jest prawda.

Serce mi waliło. Pomiędzy nami zawisł sekret wilków. Nagle, w świetle podejrzeń Koeniga, przypomniałem sobie wszystkie rozmowy, które kiedykolwiek z nim przeprowadziłem. Zastanawiałem się, czy to jakoś zmieni sposób, w jaki go postrzegałem, ale nie zmieniło.

- W takim razie dlaczego… nie mogę uwierzyć, że pytam o cos takiego, ale dlaczego pozostają w wilczej formie skoro sfora ma zostać wybita?
- To mimowolne. Zależne od temperatury. Wilk zimą, człowiek latem. Mniej czasu w ludzkiej formie każdego roku, aż w końcu stajemy się wilkami na zawsze. Kiedy się przemieniamy, nie zachowujemy swoich ludzkich myśli. – Ściągnąłem brwi. Te wyjaśnienia traciły na aktualności z każdym dniem spędzonym z Cole'em. To było dziwnie dezorientujące uczucie, polegać na czymś tak długo, a potem dowiedzieć się, że to nie jest prawda. Jakby nagle okazało się, że grawitacja przestaje działać w poniedziałki. – To dalece uproszczone. Ale taka jest ogólna zasada. – Poczułem się dziwnie, używając sformułowania „dalece uproszczone". Przyszło mi to do głowy chyba dlatego, że Koenig zawsze przemawiał tak formalnie.
- A więc Grace…
- Ukrywa się, bo przy takiej pogodzie wciąż jest niestabilna. Co miałaby powiedzieć rodzicom?

Koenig coś rozważał.

- Człowiek rodzi się wilkołakiem? – zapytał wreszcie.

- Nie. Staje się nim dzięki starej dobrej technice z filmów. Przez ugryzienie.
- A Olivia?
- Ugryziona w zeszłym roku.

Koenig parsknął cicho.

- To po prostu niewiarygodne. Wiedziałem. Wciąż znajdywałem tropy, które mnie do tego prowadziły, ale nie mogłem w to uwierzyć. A kiedy Grace Brisbane zniknęła ze szpitala, pozostawiając po sobie tylko zakrwawioną koszulę… Mówili, że umiera. Nie było mowy, żeby dała radę uciec o własnych siłach.
- Musiała się przemienić – przyznałem cicho.
- Wszyscy w wydziale cię obwiniali. Szukali sposobu na to, żeby się z tobą rozprawić. A już Tom Culpeper najbardziej. Dotąd nimi manipulował, aż Heifort i reszta zaczęli jeść mu z ręki.

W głosie funkcjonariusza zabrzmiała gorycz i to sprawiło, że spojrzałem na niego w zupełnie inny sposób. Wyobraziłem sobie Koeniga nie poprzez pryzmat jego munduru, ale w domu, wyjmującego piwo z lodówki, głaszczącego psa, oglądającego telewizję. Zobaczyłem prawdziwą osobę, odrębną od policyjnej tożsamości, jaką zawsze przypisywałem temu człowiekowi.

- Chętnie by cię za to powiesili – dorzucił.
- No to świetnie – skomentowałem. – Bo jedyne, co mogę zrobić, to powiedzieć im, że nic nie zrobiłem. Dopóki Grace nie będzie wystarczająco stabilna, żeby oficjalnie wrócić. A Olivia…
- Dlaczego ją zabiły? – zapytał Koenig.

Pomyślałem o Shelby, o jej oczach obserwujących mnie przez okno, o desperacji i gniewie, które w nich ujrzałem.

- Nie sądzę, żeby to były „one”. Jest jedna wilczyca winna wszystkich naszych problemów. Zaatakowała już wcześniej Grace. Zaatakowała tez Jacka Culpepera. Inne nie zabiłyby dziewczyny. Nie wtedy, gdy jest ciepło. Istnieje wiele sposobów na zdobycie jedzenia. – Powoli odsunąłem od siebie obraz zmasakrowanego ciała Olivii.

Jechaliśmy w milczeniu przez minutę lub dwie.

- Więc sytuacja wygląda tak – podsumował Koenig, a mnie ujęło to, że brzmiał jak policjant niezależnie od tego, co mówił. – Wydano zezwolenie na eliminację sfory. Czternaście dni to niezbyt dużo czasu. Zgodnie z twoimi słowami niektóre z wilków nie zdążą się przemienić do tego momentu, a inne już w ogóle się nie przemieniają. Czyli dojdzie do masowego morderstwa.

Wreszcie… ulżyło mi, ale jednocześnie poczułem przerażenie, gdy ktoś odważył się wypowiedzieć na głos prawdę o planach Culpepera.

- I nie ma zbyt wielu opcji. Można by ujawnić, kim są wilki, ale…
- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – wtrąciłem.
- … miałem zamiar powiedzieć, że nie sądzę, żeby to było wykonalne. Poinformowanie mieszkańców Mercy Falls o tym, że w okolicy krąży sfora wilków przenoszących zakaźną nieuleczalną chorobę tuż po tym, jak odkryliśmy, że zabiły dziewczynę…
- Nie skończyłoby się to dobrze – dopowiedziałem.
- Inna opcja to spróbować zmotywować więcej grup zajmujących się prawami zwierząt, żeby ocaliły sforę. W Idaho się nie udało i myślę, że mamy na to zdecydowanie za mało czasu, jednak…
- Chcieliśmy je przesiedlić – przerwałem mu.
- Kontynuuj – poprosił Koenig.

Próbowałem sklecić składną wypowiedź. Funkcjonariusz wyrażał się tak precyzyjnie, że poczułem się zobowiązany do konstruowania równie logicznych zdań.

- Gdzieś dalej od ludzi – wyjaśniłem. – Ale z drugiej strony… to również może się okazać ryzykowne, o ile nie dowiemy się, jacy ludzie mieszkają na tych nowych terenach. I nie wiem, jak sfora będzie się zachowywać w nowym miejscu, pozbawiona granic. Nie wiem, czy powinienem sprzedać dom Becka, żeby kupić ziemię czy coś. Nie mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nabyć jakieś większe terytorium. Wilki potrzebują miejsca. Zawsze jest ryzyko, że znów wpadną w kłopoty.

Koenig bębnił palcami po kierownicy, mrużąc oczy. Przez dłuższy czas obaj milczeliśmy. Byłem z tego zadowolony. Potrzebowałem czasu, żeby rozważyć konsekwencje mojego wyznania. A to nie było łatwe.

- Mam coś. To oczywiste rozwiązanie – podjął w końcu temat funkcjonariusz. – Jest pewna posiadłość, kilka godzin drogi w głąb regionu Boundary Waters. Należała do mojego ojca. Niedawno ją odziedziczyłem.
- Ja… nie… - zacząłem.
- To półwysep – przerwał mi policjant. – Całkiem spory. Kiedyś był tam kurort, ale wszystko zostało zamknięte wskutek rodzinnej polityki. Ziemia jest ogrodzona. Nie jest to mocny płot, po prostu drut rozpięty między drzewami, ale można by go wzmocnić.

Zerknął na mnie w tej samej chwili, gdy ja popatrzyłem na niego i wiedziałem, że obaj myślimy o tym samym: To mogło być t o .

- Nie sądzę, by półwysep, nawet duży, wystarczył, żeby zapewnić sforze wyżywienie. Musielibyśmy dokarmiać wilki – zauważyłem.
- Więc będziecie je karmić. – Wzruszył ramionami.
- A co z biwakowiczami? – zapytałem.
- W tym miejscu ma szansę dalej się rozwijać przemysł górniczy. Wprawdzie kopalnia została zamknięta w 1967 roku, ale nadal należy do starego właściciela. Kurort upadł nie bez przyczyny.

Przygryzłem wargę. Trudno mi było uwierzyć, że jest dla nas nadzieja.

- Musielibyśmy je tam jakoś przewieźć.
- I to potajemnie – doradził Koenig. – Tom Culpeper nie uzna relokacji za dobrą alternatywę dla ich wybicia.
- I szybko – dodałem.

Pomyślałem o tym, że Cole od dłuższego czasu bez powodzenia próbuje wyłapać wilki i zacząłem się zastanawiać, ile czasu zajęłoby schwytanie ponad dwudziestu okazów. Jak przewieźlibyśmy je wszystkie na północ, skoro taka podróż potrwałaby zapewne kilka godzin?

- Może to nie jest dobry pomysł – odparł Koenig po chwili milczenia – ale możesz uważać go za jedną z opcji.

Jedna z opcji… To oznaczało, że być może właśnie na to się zdecydujemy. Nie byłem pewien, czy to rozwiązanie było wykonalne, jednak co innego nam pozostało?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

GRACE

Ciągnący się nieznośnie dzień wreszcie dobiegł końca, kiedy Sam wrócił do domu z pizzą i niepewnym uśmiechem na ustach. Podczas posiłku przekazał mi wszystkie szczegóły rozmowy z Koenigiem. Siedzieliśmy po turecku na podłodze w jego pokoju. Pudełko z pizzą leżało między nami. W pomieszczeniu paliły się tylko lampki choinkowe na suficie i lampa na biurku, której światło rozlewało się po ścianach i zamieniało pokój w ciepłą jaskinię. Z odtwarzacza CD koło łóżka płynęła cicha muzyka. Jakiś głęboki chrapliwy głos śpiewał do wtóru pianina.

Sam opisał wszystko, co się wydarzyło, przesuwając palcami po podłodze, jakby podświadomie usuwał z drogi każdą streszczoną informację, zanim przekaże mi następną. Nasza sytuacja była naprawdę skomplikowana i czułam się w niej kompletnie zagubiona, ale mimo to myślałam o tym, jak bardzo lubię patrzeć na mojego chłopaka w tym przyćmionym żółtym świetle. Co prawda nie wyglądał już tak młodo i niewinnie jak wtedy, kiedy go poznałam, ale rysy jego twarzy, jego szybkie gesty, sposób, w jaki przygryzł dolną wargę, gdy zastanawiał się, co powiedzieć… Hm… wciąż byłam w tym wszystkim zakochana.

Sam zapytał mnie, co sądzę.

- O czym?
- O tym wszystkim. Co powinniśmy zrobić?

To było zdumiewające, jak głęboko wierzył w moją umiejętność logicznego myślenia i rozwiązywania problemów. Próbowałam uporządkować w głowie natłok informacji: Koenig odgadł sekret wilków, a pomysł z przesiedleniem zaczął nabierać realnych kształtów. Decyzja, żeby zaufać komuś, kogo prawie nie znaliśmy, była przerażająca. Skąd mogliśmy wiedzieć, czy policjant dochowa tajemnicy?

- Żeby na to odpowiedzieć, muszę zjeść jeszcze jeden kawałek pizzy – oświadczyłam. – Cole nie chciał się do nas przyłączyć?
- Poinformował mnie, że pości – powiedział Sam. – Chyba nie chcę wiedzieć dlaczego. Ale nie wyglądał na nieszczęśliwego.

Oderwałam sobie brzeżek od kawałka pizzy, a Sam wziął resztę. Westchnęłam. Myśl o opuszczeniu lasu Boundary była przygnębiająca.

- Sądzę, że to nie musiałoby być na stałe. Chodzi mi o pobyt wilków na półwyspie. Może później, jak cała ta sprawa z polowaniem przycichnie, wpadniemy na lepszy pomysł. – Próbowałam dodać mu otuchy.
- Najpierw musimy wydostać je z lasu. – Sam zamknął pudełko i teraz zaczął wodzić palcami po logo pizzerii.
- Czy Koenig powiedział, że wyciągnie cię z kłopotów? – zapytałam. – To znaczy w związku z moim zaginięciem… Ostatecznie wie, że mnie nie porwałeś i nie zabiłeś. Czy ma jakiś sposób na to, żeby dali ci spokój?
- Nie wiem. Nie mówił nic na ten temat.
- Nie sądzisz, że to dość istotne? – Próbowałam stłumić frustrację, która na pewno pobrzmiewała w moim głosie; nie byłam przecież zła na Sama.
- Chyba tak… Ale wilkom zostały tylko dwa tygodnie. Później będę się martwić o oczyszczenie swojego imienia. Nie sądzę, żeby glinom udało się znaleźć jakiekolwiek dowody mojej winy – stwierdził Sam, ale nie patrzył na mnie.
- Myślałam, że policja już cię nie podejrzewa – zauważyłam. – Skoro Koenig wie.

- Właśnie. To K o e n i g wie. Nikt inny. On nie może tak po prostu im powiedzieć, że jestem niewinny.
- Sam!

Wzruszył ramionami, unikając mojego wzroku.

- W tej chwili nie mogę nic zrobić w związku z tym.

Myśl o tym, że Sam był przesłuchiwany na posterunku, strasznie mnie bolała. Myśl, że moi rodzice uważali, że byłby zdolny mnie skrzywdzić, była nawet gorsza. A już możliwość, że mógłby zostać oskarżony o morderstwo, była nie do pomyślenia.

Wtedy wpadłam na pewien pomysł.

- Muszę powiedzieć moim rodzicom – oznajmiłam. Pomyślałam o mojej wcześniejszej rozmowie z Isabel. – Albo Rachel. Muszę dać znać komukolwiek, że żyję. Nie ma martwej Grace, nie ma zagadki morderstwa.
- Aha, a twoi rodzice będą na pewno bardzo wyrozumiali… - rzucił Sam niepewnym głosem.
- Nie wiem, jacy będą! Ale po prostu nie pozwolę ci… nie pozwolę, żeby wsadzili cię do więzienia! – Zmięłam serwetkę i z gniewem rzuciłam ją na pudełko po pizzy. O mały włos uniknęliśmy rozdzielenia. Nie było mowy, żeby po tym wszystkim do naszej rozłąki przyczynił się system prawny. A on siedział przede mną z poczuciem winy wymalowanym na twarzy, jakby uwierzył, że ponosi winę za moją rzekomą śmierć. – Niezależnie od tego, jak straszni są moi rodzice, to jest gorsze.
- Ufasz im? – Spojrzał na mnie.
- Sam, przecież mnie nie zabiją! – wybuchłam. Urwałam i zakryłam usta dłonią, oddychając szybko.

Wyraz twarzy Sama był kamienny. Serwetka, którą ostrożnie darł na kawałki, zamarła w jego dłoniach.

- Przepraszam – jęknęłam. – Przepraszam.

Na samo wspomnienie jego miny i twardego wilczego spojrzenia poczułam łzy napływające do oczu.

Usłyszałam trzeszczenie podłogi, gdy wstał. Oderwałam dłonie od twarzy.

- Proszę, nie odchodź – wyszeptałam. – Przepraszam.
- Kupiłem ci prezent – wyjaśnił Sam. – Zostawiłem go w samochodzie. Zaraz wrócę. – Musnął palcami moje włosy, a potem wyszedł po cichu.

Kiedy wrócił i podarował mi sukienkę, wiąż czułam się okropnie po tym, co mu powiedziałam. Sam uklęknął przede mną jakby ze skruchą, uważnie obserwując moja twarz, gdy ostrożnie wyciągałam prezent z torebki.

Z jakiegoś powodu w pierwszej chwili pomyślałam, że to będzie skąpa bielizna i poczułam ulgę, a jednocześnie rozczarowanie, gdy zobaczyłam, że to śliczna letnia sukienka. Ostatnio miałam problemy z kontrolowaniem emocji.

Pogładziłam materiał dłonią, przyglądając się cienkim ramiączkom. To była sukienka na gorące beztroskie lato, które wydało mi się nagle bardzo odległym marzeniem. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Sam przygryza wargę ze zdenerwowania, obserwując moją reakcję.

- Jesteś najmilszym chłopakiem pod słońcem – powiedziałam. Czułam się strasznie. Pomyślałam, że nie zasługuję na tyle dobroci z jego strony. – Nie musiałeś mi niczego kupować. Ale lubię wiedzieć, że myślisz o mnie, kiedy mnie nie ma. – Przyłożyłam rękę do jego policzka. Obrócił głowę i pocałował wnętrze mojej dłoni. Dotyk jego warg sprawił, że coś się we mnie skręciło.

Odrobinę niższym głosem zapytałam: - Mam przymierzyć sukienkę od razu?

Spędziłam w łazience kilka dobrych minut, zanim rozgryzłam, jak się ją zakłada, chociaż wyglądała na bardzo prostą. Nie byłam przyzwyczajona do noszenia sukienek i poczułam się tak, jakbym nie miała nic na sobie. Wspięłam się na krawędź brodzika prysznica, żeby przejrzeć się w lustrze. Próbowałam sobie wyobrazić, co sprawiło, że Sam spojrzał na wystawę i pomyślał, że mi kupi właśnie tę sukienkę. Czy to dlatego, że uznał, że mi się spodoba? Może uważał, że jest sexy. A może chciał mi coś kupić, a to była pierwsza rzecz, jaką zobaczył? Może zapytał sprzedawczynię, co spodobałoby się jego dziewczynie, a może znalazł tę sukienkę sam i wyobraził sobie moje ciało w niej. Czy to było ważne, dlaczego postanowił, że mi ją kupi?

Gdy przejrzałam się lustrze, pomyślałam, że wyglądam jak dziewczyna z college'u, pewna siebie, ładna. Świadoma tego, jak podkreślać swoje atuty. Wygładziłam przód sukienki – jej rąbek łaskotał i pieścił moje nogi. Widziałam w odbiciu delikatne zaokrąglenie wokół moich piersi. Nagle poczułam, że muszę jak najprędzej wrócić do pokoju, żeby Sam mógł mnie zobaczyć. Chciałam, żeby jak najszybciej na mnie spojrzał i mnie dotknął.

Ale kiedy wślizgnęłam się z powrotem do jego sypialni, nagle poczułam się skrępowana. Sam siedział na podłodze, słuchając muzyki. Opierał się o łóżko, miał zamknięte oczy i błądził gdzieś daleko myślami. Uniósł powieki, kiedy zamknęłam za sobą drzwi. Skrzywiłam się troszkę, wykręcając dłonie za plecami.

- I co o tym myślisz? – zapytałam.
- Och – westchnął i zerwał się z ziemi.
- Tylko nie mogłam jej sama sobie zawiązać z tyłu – wyjaśniłam.

Sam nabrał powietrza w płuca i podszedł do mnie. Czułam, jak wali mi serce, choć nie potrafiłam zrozumieć dlaczego. Wziął w palce troczki przyszyte po bokach sukienki, ale zamiast ją zawiązać, pozwolił im opaść swobodnie. Przycisnął dłonie do moich bioder. Czułam ciepło jego rąk przez cienki materiał sukienki, jakby pomiędzy opuszkami jego palców a moją skórą nie było niczego. Wtulił twarz w moją szyję. Słyszałam, jak oddycha z trudem, jakby się przed czymś powstrzymywał.

- Więc podoba ci się? – wyszeptałam.

I nagle zaczęliśmy się całować.

Miałam wrażenie, jakby minęły wieki od czasu, gdy po raz ostatni całowaliśmy się tak namiętnie. Przez sekundę myślałam tylko o tym, że właśnie zjadłam pizzę i nie umyłam zębów, ale zaraz uświadomiłam sobie, że przecież Sam też.

Jego dłonie na moich biodrach, mnące materiał.

Nie musiał odpowiadać na moje pytanie – nawet jego palce były napięte z pragnienia. Już sam żar jego dłoni wystarczył, żebym poczuła gwałtowny dreszcz podniecenia. Wszystko we mnie napięło się tak mocno, że aż bolało. Z ust wyrwało mi się ciche westchnienie.

- Mogę przestać – powiedział – jeśli nie jesteś gotowa.
- Nie – wyszeptałam. – Nie przestawaj.

Uklękliśmy na łóżku i znów zaczęliśmy się całować. Sam dotykał mnie, delikatnie jak nigdy wcześniej. Zupełnie jakby nie mógł sobie przypomnieć kształtu mojego ciała i odkrywał je teraz na nowo. Dotknął palcami moich łopatek skrytych pod materiałem sukienki, a potem przesunął dłońmi po ramionach. Musnął krawędź dekoltu, pieszcząc kontur moich piersi.

Zamknęłam oczy. Na świecie było wiele problemów, które wymagały naszej uwagi, ale w tej chwili potrafiłam myśleć tylko o dłoniach Sama wsuwających się pod nową sukienkę i gładzących moje uda. Materiał spowijał mnie niczym letnia mgiełka.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, dociskając ręce do grzbietów dłoni Sama, nasze splecione ciała rzucały wokół setki cieni. Nie umiałabym rozróżnić, które z nich należą do mnie, a które do niego.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

COLE

Nowa mikstura była jak trucizna.

Wyszedłem z domu po północy. Noc była czarna jak smoła, ale i tak nasłuchiwałem, żeby mieć pewność, że jestem sam. Żołądek skręcał mi się z głodu – było to uczucie jednocześnie bolesne i produktywne. Niepodważalny dowód na to, że pracowałem. Post sprawił, że stałem się rozdygotany i czujny. To był okrutny rodzaj upojenia. Położyłem notes ze szczegółami eksperymentów na schodach, żeby Sam domyślił się, gdzie się podziałem, gdybym nie powrócił. Las mnie wzywał. Drzewa nie spały, nawet jeśli wszystko wokół pogrążone było we śnie.

Oparłem igłę o nadgarstek i zamknąłem oczy.

Moje serce wyrywało się z piersi niczym spłoszony królik.

Płyn w strzykawce był bezbarwny jak ślina i rzadki. W moich żyłach zmienił się w żyletki i piach, i ogień, i rtęć. Był jak nóż przecinający każdy krąg w moim kręgosłupie. Miałem dokładnie dwadzieścia trzy sekundy, żeby zastanowić się nad tym, że być może tym razem naprawdę się zabiłem, i jedenaście więcej, by pomyśleć z nadzieją, że jednak nie. A potem jeszcze trzy na żal, że nie zostałem w łóżku. Na koniec zostały mi dwie sekundy, w sam raz na przekleństwo. „Jasna cholera!".

Wyskoczyłem z ludzkiego ciała. Skóra rozpadła się tak szybko, że fizycznie poczułem, jak oddziera się od moich kości. Moje serce eksplodowało. Gwiazdy zawirowały wściekle nad moją głową. Próbowałem przytrzymać się schodów, ściany, ziemi, czegokolwiek, co stałoby w miejscu, bez ruchu. Notes spadł ze schodów, moje ciało runęło za nim…

A potem pobiegłem.

Znalazłem ją! Mieszankę, której chciałem użyć, żeby wydostać Becka z jego wilczej formy.

Podczas biegu mój organizm leczył się – stawu łączyły się ze sobą, skóra zrastała wzdłuż kręgosłupa, komórki odbudowywały z każdym skokiem. Jak niewiarygodna maszyna. Wilcze ciało, w które byłem obecnie przyodziany, utrzymywało mnie przy życiu, nawet jeśli kradło moje ludzkie myśli.

„Jesteś Cole St. Clair".

Jedno z nas będzie musiało zachować swoje wspomnienia, jeśli mamy zamiar przesiedlić sforę. A przynajmniej zapamiętać wystarczająco dużo, żeby zgromadzić wilki i zaprowadzić je w wyznaczone miejsce. Musi być jakiś sposób, żeby przekonać wilczy mózg do skupienia się na tym prostym zadaniu.

„Cole St. Clair".

Próbowałem uchwycić się tej myśli. Trzymać się jej. Co mi przyjdzie ze zdolności do przemiany i zawładnięcia wilczym ciałem chociaż na kilka chwil, skoro nie będę mógł Cieszyc się swoim triumfem?

„Cole…".

Słyszałem wszystko, co lasy miały do powiedzenia. Wiatr krzyczał mi w uszach, gdy zagłębiałem się w gęstwinę. Moje łapy pewnie pokonywały powalone gałęzie i sterczące krzaki jeżyn, a pazury drapały o wystające kamienie. Pokonałem spadek terenu i przeskoczyłem przez spory rów.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że nie jestem sam. Sześć inny wilków biegało razem ze mną. Rozpoznawałem w ciemności ich harmonijne kształty. Zapachy zdradzały ich tożsamość bardziej precyzyjnie niż imiona. Moja sfora. Otoczony przez inne wilki, byłem bezpieczny, pewny siebie, niepokonany. Czyjeś kły kłapnęły wesoło przy moim uchu i wymieniliśmy się obrazami. Dotarliśmy do wąwozu. Miękka ziemia, a pod nią ciąg króliczych nor. Niebo – czarne i nieskończone.

Twarz Sama Rotha.

Zawahałem się.

Obrazy przypływały i odpływały, trudniejsze do złowienia, bo zostałem w tyle. Skoncentrowałem się, żeby zachować w myślach ideę imienia i twarzy.

„Sam Roth".

Zwolniłem do chodu. Kiedy jeden z wilków zawrócił, by mnie ponaglić, kłapnąłem na niego zębami, żeby zdał sobie sprawę z tego, iż nie mam ochoty na zabawę. Inny wilk polizał mój pysk, potwierdzając dominację, którą już zdobyłem. Po chwili kłapnąłem także w jego stronę, żeby mieć chwile spokoju. Zawróciłem tam, skąd przyszedłem, z nosem przy ziemi, nadstawiając uszu. Szukałem czegoś, co nie do końca potrafiłem zrozumieć.

„Sam Roth".

Powoli i ostrożnie pokonywałem ciemny las. Starałem się wyjaśnić ten przekazany mi w myślach obraz ludzkiej twarzy.

Nagle poczułem, że jeży mi się sierść na grzbiecie, a mój kręgosłup przeszył ból, szybki i niewytłumaczalny. Potem poczułem uderzenie.

Biała wilczyca zanurzyła kły w moim karku, a ja zatoczyłem się, próbując utrzymać równowagę pod jej ciężarem. Zaatakowała mnie z zaskoczenia i nie trzymała za mocno, więc strząsnąłem ją z siebie, warcząc. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Wilczyca nadstawiała uszu, śledząc moje ruchy, bo ciemność ukrywała przed nią mój kształt. Za to jej białe futro odznaczało się wyraźnie w mroku. Jej postawa emanowała agresją. Nie wyczuwałem jej strachu, ale przecież górowałem nad nią wielkością i siłą. Powinna się w porę wycofać, a jeśli nie, walka nie potrwa długo.

Nie doceniłem jej.

Kiedy zaatakowała po raz drugi, owinęła łapy wokół moich ramion niczym imadło i chwyciła mnie zębami pod żuchwą. Trzymała coraz pewniej i sięgała do tchawicy. Pozwoliłem, by przewróciła mnie na grzbiet, tak żebym mógł kopnąć ją w brzuch tylnymi łapami. Puściła mnie tylko na sekundę. Była szybka, skuteczna, nie bała się. Chwyciła mnie za ucho i poczułem eksplodujący żar, zanim zastąpiła go wilgoć krwi. Kiedy się wykręciłem, rozerwała mi skórę zębami. Rzuciliśmy się na siebie, pierś w pierś. Sięgnąłem jej gardła, chwytając w zęby skórę i futro. Wymknęła mi się zwinnie, jakby była stworzona z wody.

Złapała mnie za pysk. Poczułem jej kły szorujące po kości. Poprawiła uchwyt i teraz liczyło się tylko jedno.

Moje oko.

Rzuciłem się do tyłu, rozpaczliwie próbując ja obezwładnić, zanim zniszczy mi twarz i wyłupi oko. Nie miałem dumy. Skomliłem i kładłem uszy po sobie, próbując okazać poddaństwo, ale nie zwracała na to uwagi. Spomiędzy jej zaciśniętych szczęk wyrwał się warkot, który przeniknął wibracjami moją czaszkę. Moje oko eksplodowałoby od niego, gdyby nagle nie ucichła.

Jej kły przesunęły się bliżej mojego oczodołu. Mięśnie mi drżały. Były przygotowane na ból.

Nagle wilczyca zaskomliła i wypuściła mnie. Wycofałem się, potrząsając głową. Krew zalewała bok mojej głowy, ucho wciąż krzyczało z bólu. Zobaczyłem, jak biała wilczyca kuli się poddańczo przed dużym szarym wilkiem. Czarny stał tuz za nim, z uszami podniesionymi w gniewie. Sfora powróciła.

Szary wilk zwrócił się ku mnie. Zobaczyłem, jak uszy białej wilczycy natychmiast unoszą się, porzucając poddańczą formułę. Gdy się do niej nie zwracał, wszystko w niej jeżyło się z buntu. Jej ciało mówiło: „Poddaję się, ale tylko póki patrzysz". Wilczyca utkwiła we mnie wzrok. To była groźba – teraz to rozumiałem. Miałem zająć miejsce w hierarchii sfory niżej od niej albo znowu będę musiał z nią walczyć. I może wtedy sfory nie będzie w pobliżu, by ją powstrzymać.

Nie byłem gotów na to, żeby się wycofać.

Odwzajemniłem spojrzenie.

Szary wilk zrobił kilka kroków w moja stronę, przesyłając mi obrazy mojej zmasakrowanej głowy. Ostrożnie obwąchał moje ucho. Miał się na baczności, bo pachniałem coraz mniej wilkiem, a coraz bardziej człowiekiem. Moje dziwne ciało pracowało ciężko, by uleczyć rany i przenieść mnie do innej formy. Nie było wystarczająco zimno, żebym mógł pozostać w wilczej skórze.

Biała wilczyca mierzyła mnie wzrokiem.

Czułem, że nie zostało mi dużo czasu. Mój mózg znowu zaczął się rozciągać.

Szary wilk warknął, a ja szarpnąłem się, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że kieruje swój gniew pod adresem wilczycy. Odsunął się ode mnie, wciąż warcząc. Czarny wilk też warczał. Biała wilczyca zaczęła się cofać. Jeden krok, potem drugi. Zostawili mnie.

Przeszły mnie ciarki. Przemieniałem się. Szary wilk – Beck – kłapnął zębami na wilczycę, odpychając ją ode mnie. Ratowali mnie.

Biała wilczyca po raz ostatni spojrzała mi w oczy… Do następnego razu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ISABEL

Spędziłam weekend, czekając, aż Grace zadzwoni i zaprosi mnie do siebie. Kiedy w końcu zdałam sobie sprawę, że ona pewnie czeka, Az tradycyjnie sama się wproszę, był już poniedziałek. Tego samego dnia nadeszła przysyłka z niebezpiecznymi zabawkami Cole'a. Uznałam, że mogę dostarczyć paczkę osobiście i przy okazji spotkać się z Grace. To nie będzie wyglądało tak, jakbym jechała tam specjalnie po to, żeby zobaczyć tego nieznośnego chłopaka. Wiedziałam przecież, co było dla mnie dobre. Nawet jeśli mi się to nie podobało.

Kiedy Cole otworzył mi drzwi, był bez koszulki. Jego ciało było lekko spocone. Wyglądał, jakby kopał doły w ziemi gołymi rękami. Miał tez siniak pod lewym okiem. Uśmiechał się od ucha do ucha. Wyglądał imponująco, mimo że był ubrany tylko w spodnie od dresu i miał potargane włosy. Tak, ten facet dysponował niezaprzeczalnie filmowym wdziękiem, nawet gdy występował na nieciekawej scenie.

- Dzień dobry – przywitał się i wyjrzał na zewnątrz. – Nie zdawałem sobie sprawy, że w Minnesocie może być tak ładnie.

Na dworze było pięknie. To był jeden z tych idealnych wiosennych dni, które zaskakiwały swoim blaskiem pomiędzy tygodniami lodowatej aury a środkiem upalnego lata. Trawnik pachniał bukszpanem zasadzonym niedawno przed domem.

- Jest już popołudnie – zauważyłam. – Twoje rzeczy są w samochodzie. Nie powiedziałeś, jakiego rodzaju środków uspokajających potrzebujesz, więc zamówiłam najmocniejsze, jakie udało mi się znaleźć.

Cole potarł pierś brudną ręką i wyciągnął szyję, jakby mógł zobaczyć to, co przywiozłam, ze swego miejsca.

- Ale ty mnie dobrze znasz… Wejdź, właśnie pichcę świeży gar narkotyków. Miałem cholerna noc.

Muzyka ryczała z salonu. Trudno było uwierzyć, że Grace przebywa w tym samym domu.

- Nie wiem, czy wejdę – oznajmiłam.

Cole zaśmiał się nonszalancko, bagatelizując moje słowa, i poszedł boso do SUV-a.

- Przednie czy tylne siedzenie?
- Tylne.

To nie było duże pudło. Sama mogłam je przenieść, ale chciałam zobaczyć nagie ramiona Cole'a owinięte wokół pakunku.

- Wejdź do mojej pracowni, maleńka – zaprosił mnie.

Ruszyłam za nim do środka. Było tu chłodniej niż na zewnątrz i śmierdziało spalenizną. Muzyka grała tak głośno, że czułam jej wibracje pod podeszwami butów. Musiałam niemal krzyczeć, żeby było mnie słychać.

- Gdzie są Sam i Grace?
- Ringo pojechał gdzieś samochodem kilka godzin temu. Musiał zabrać ze sobą Grace. Nie wiem dokąd.
- Nie zapytałeś?
- Nie jesteśmy małżeństwem – oznajmił Cole, po czym dodał skromnym tonem: - Jeszcze nie.

Ręce miał zajęte trzymaniem pudła, więc po prostu kopnął drzwi, zatrzaskując je za sobą, i rzucił:

- Kuchnia.

Przy chaotycznym wtórze muzyki ruszyłam posłusznie do pomieszczenia, w którym zapach spalenizny był najmocniejszy. Wyglądało jak pobojowisko. Na blacie stało mnóstwo szklanek, markerów, strzykawek i książek, a także rozerwana i przewrócona na bok paczka cukru. Wszystkie szafki pokryte były zdjęciami członków sfory z Mercy Falls w ludzkich postaciach.

Starałam się niczego nie dotykać.

- Co się przypaliło?
- Mój mózg – wyjaśnił Cole. Użył ostatniego wolnego kawałka blatu, tuż obok mikrofalówki, żeby postawić na nim pudło. – Przepraszam za bałagan. Na obiad polecamy amitryptylinę.
- Czy Sam wie, że zamieniłeś jego kuchnię w laboratorium do produkcji narkotyków?
- Taa. Pomysł zatwierdzony przez Sama Rotha. Chcesz kawy, zanim pójdziemy zainstalować pułapkę?

Cukier zachrzęścił mi pod obcasami.

- Nie mówiłam, że pomogę ci w zastawianiu sideł.

Cole zbadał wnętrze kubka, zanim postawił go przede mną i napełnił kawą.

- Czytam pomiędzy wierszami. Cukru? Mleka?
- Jesteś naćpany…? I czemu nigdy nie masz na sobie koszulki?
- Sypiam nago – powiedział Cole. Dodał mi do kawy zarówno cukru, jak i mleka. – W ciągu dnia w miarę upływu czasu nakładam na siebie więcej ubrań. Powinnaś była przyjść godzinę temu.

Zmiażdżyłam go wzrokiem.

- Poza tym nie jestem naćpany – oświadczył. – Czuję się urażony, że mnie o to pytasz.

Nie wyglądał jednak na urażonego.

Wzięłam łyk kawy. Nie była zła.

- Nad czym tak naprawdę pracujesz?
- Nad czymś, co nie zabije Becka – wyjaśnił. Jego postawa w stosunku do substancji chemicznych w pomieszczeniu była jednocześnie lekceważąca i zaborcza. – Wiesz, co byłoby naprawdę wspaniałe? Gdybyś pomogła mi się dostać do szkolnego laboratorium dziś wieczorem.
- Masz na myśli włamanie?
- Mam na myśli, że potrzebuje mikroskopu. Nie poczynić zbyt wielu naukowych odkryć w laboratorium zbudowanym z klocków lego i plasteliny. Potrzebuje prawdziwego sprzętu.

Przyjrzałam mu się. Trudno było się oprzeć tej wersji Cole'a – elektryzującej i pewnej siebie. Spojrzałam na niego gniewnie.

- Nie pomogę ci się włamać do szkoły – oznajmiłam.

Chłopak wyciągnął rękę w moja stronę.

- Dobra. Ale w takim razie oddaj mi moją kawę.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak głośno musiałam mówić, żeby przekrzyczeć muzykę, dopóki nie nastąpiła przerwa. Wreszcie mogłam ściszyć głos.

- Teraz jest moja – zaprotestowałam, powtarzając dokładnie to, co Cole powiedział ostatnio do mnie w księgarni. – No i mogę ci pomóc dostać się do kliniki mojej mamy.
- Jesteś *mensch*[*] - oświadczył.
- Nie mam pojęcia, co to znaczy – odpowiedziałam.
- Ja też nie. Ale Sam użył ostatnio tego słowa. Spodobało mi się jego brzmienie.

[*] *Mensch* (jidysz) – osoba uczciwa i honorowa.

To wspaniale podsumowywało logikę działania Cole'a. Usłyszał coś, czego do końca nie rozumiał, spodobało mu się i po prostu to sobie przywłaszczył.

Zaczęłam grzebać w swojej torebce.

– Przyniosłam ci cos jeszcze.

Podałam mu malutki model mustanga, czarny i lśniący.

Cole wziął go ode mnie i położył we wnętrzu dłoni. Zamarł w bezruchu. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wcześniej cały czas się poruszał. Po chwili powiedział:

– Założę się, że ma lepszy przebieg niż mój prawdziwy.

Przejechał samochodzikiem po krawędzi blatu, naśladując miękki, wznoszący się dźwięk silnika. Na końcu blatu poszybował nim do góry.

– Ale nie pozwolę ci prowadzić.

– Czerń to nie mój kolor – oznajmiłam.

Nagle Cole wyciągnął rękę i złapał mnie w pasie. Otworzyłam szerzej oczy.

– Wyglądasz świetnie we wszystkim, Isabel Culpeper. Idealna dziesiątka.

Zaczął tańczyć. A ja niespodziewanie dołączyłam do niego. Ta wersja Cole'a była nawet bardziej przekonująca niż poprzednia. Liczył się tylko jego uśmiech, jego ręce obejmujące moja talię, jego ciało tak blisko mojego. Uwielbiałam tańczyć, ale zawsze byłam wtedy świadoma tego, co robię, świadoma tego, jak zachowuje się moje ciało. Teraz, gdy Cole tańczył ze mną, wszystko poza muzyka stało się niewidzialne. Ja sama byłam niewidzialna. Moje biodra były huczącą linia basu. Moje dłonie zamieniły się w zawodzenie syntezatora. Moje ciało było pulsującym ostrym bitem. Moje myśli stanowiły przebłyski pomiędzy bitami.

Bit:

moja ręka dociśnięta do brzucha Cole'a

bit:

zderzenie naszych bioder

bit:

jego śmiech

bit:

byliśmy jednością.

Nawet świadomość, że Cole świetnie tańczy, bo muzyka to jego życie, nie umniejszała cudowności tej chwili. Poza tym nie próbował być świetny beze mnie – każdy jego ruch istniał po to, żebyśmy ruszali się razem. Nie było w tym miejsc na jego wybujałe ego. Była tylko muzyka i nasze ciała.

Kiedy utwór dobiegł końca, Cole odsunął się ode mnie, dysząc, z półuśmiechem na twarzy.

Chciałam wciąż tańczyć, Az zabraknie mi sił. Chciałam, by nasze ciała były tak blisko siebie, że nic nie mogłoby ich rozdzielić.

– Jesteś jak nałóg – powiedziałam mu.

– Powinnaś być tego świadoma.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

SAM

Ponieważ Grace czuła się już pewniej we własnej skórze, spędziliśmy dzień na świeżym powietrzu. Ukryła się we wnętrzu samochodu, kiedy ja pobiegłem do sklepu, żeby kupić jej kilka par skarpetek i nowe T-shirty, a potem czekała na mnie, gdy udałem się do spożywczaka po produkty z listy, którą sporządziła.

W tej prozaicznej, rutynowej czynności było coś przyjemnego. Radość z zakupów psuła mi tylko świadomość, że Grace, oficjalnie uznana za zaginioną, tkwi w moim samochodzie, a ja jestem uzależniony od lasu Boundary i wciąż uwikłany w sprawy sfory. Ponadto oboje jesteśmy więźniami w domu Becka, czekającymi na złagodzenie wyroków.

Zawieźliśmy jedzenie do domu, a ja złożyłem z listy Grace papierowego żurawia i podwiesiłem go pod sufitem w mojej sypialni razem z innymi. W prądzie powietrznym płynącym z wywietrznika kierował się ku oknu, jakby chciał przez nie uciec, ale miał na tyle krótki sznurek, że kiedy potrąciłem go ramieniem, tylko splątał się z sąsiednim papierowym ptakiem.

- Chcę się spotkać z Rachel – uparła się Grace.
- Okej – odparłem. Już trzymałem kluczyki w dłoni.

Podjechaliśmy do szkoły przed końcem lekcji, więc przez chwilę siedzieliśmy razem w milczeniu, czekając, aż zadzwoni dzwonek. Gdy do naszych uszu dotarł jego znajomy dźwięk, Grace skuliła się na tylnym siedzeniu, żeby nikt jej nie zauważył.

Było coś dziwnego i strasznego w siedzeniu przed szkołą i obserwowaniu, jak uczniowie najstarszych klas wysypują się z budynku i idą na postój autobusów. Szli dwójkami i trójkami. Wszystko wokół nas miało jaskrawe barwy: torby na ramię, koszulki z nazwami zespołów, młode liście drzew przy parkingu.

Szyby w oknach miałem podniesione, więc nie słyszałem rozmów. Uczniowie wyglądali tak, jakby komunikowali się wyłącznie językiem ciała. W powietrzu było tyle boksujących dłoni, zderzających się ramion, głów odrzuconych do tyłu przy wybuchu śmiechu… Ci ludzie nie potrzebowaliby słów, gdyby tylko zechcieli zamilknąć na tak długo, żeby nauczyć się porozumiewać całkiem bez nich.

Spojrzałem na zegarek. Czekaliśmy dopiero kilka minut, ale wydało mi się, że upłynęło więcej czasu. Był piękny dzień, bliższy latu niż wiośnie, jeden z tych, w których bezchmurne błękitne niebo zdaje się być bardzo wysoko, kompletnie poza zasięgiem człowieka.

Licealiści wciąż wychodzili ze szkoły, ale nie widzieliśmy nikogo znajomego. Minęły wieki, od kiedy po raz ostatni czekałem na koniec lekcji Grace. Wtedy to ja musiałem uważać na pogodę.

Czułem się o tyle starszy od tych uczniów. To był ostatni rocznik, więc teoretycznie część z nich mogła być w moim wieku, ale nie mogłem sobie tego wyobrazić. Nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie, idącego pośród nich, z plecakiem przerzuconym przez ramię, czekającego na autobus lub wracającego do swojego samochodu. Czułem się tak, jakbym nigdy nie był młody. Czy istniał jakiś alternatywny wszechświat, w którym Sam Roth nie został zaatakowany przez wilki, nie utracił rodziców, nie opuścił Duluth? Jak wyglądałby ten Sam, idący do szkoły, budzący się w święta, całujący matkę w policzek w dniu ukończenia liceum? Czy ten Sam bez blizn miałby gitarę, dziewczynę, dobre życie?

Czułem się jak podglądacz. Miałem ochotę odjechać.

Ale wtedy ją zobaczyliśmy. Rachel była ubrana w prostą brązową sukienkę, a na nogach miała rajstopy w fioletowe paski. Szła z ponurą miną w stronę odległego końca parkingu. Opuściłem szybę. Nie było sposobu, żeby zrobić to tak, by nie przypominało strony z kryminału o morderstwie: „Chłopak krzyknął do niej z wnętrza swojego samochodu. Podeszła. Wiedziała, że był podejrzany przez policję, ale zawsze wydawał się miłym facetem…”.

– Rachel! – zawołałem.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Minęło dużo czasu, zanim zdecydowała się przybrać bardziej przyjazną minę. Zatrzymała się około trzech metrów od auta, niemal na baczność, dłońmi kurczowo ściskała szelki plecaka.

– Cześć – powiedziała ostrożnie.

– Mogę z tobą chwilkę pogadać?

Rachel zerknęła w kierunku szkoły, a potem na mnie.

– Pewnie – rzuciła, ale nie podeszła bliżej.

Dystans, jaki utrzymywała, zabolał mnie. Oznaczało to również, że wszystko, co chciałem jej powiedzieć, musiałbym wykrzykiwać na parkingu.

– Czy mogłabyś podejść, ee… bliżej? – zapytałem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, ale nie podeszła.

Zostawiłem włączony silnik i wysiadłem, zatrzaskując za sobą drzwi.

Rachel nawet nie drgnęła, gdy do niej podszedłem, tylko lekko ściągnęła brwi.

– Jak się masz? – zapytałem łagodnie.

Spojrzała na mnie, mocno przygryzając dolną wargę. Wyglądała na tak niewiarygodnie smutną, że od razu uznałem decyzje Grace o spotkaniu z nią za właściwą.

– Tak mi przykro z powodu Olivii – rzuciłem.

– Mnie też – odpowiedziała dzielnie. – John jest w fatalnym stanie.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że John był bratem Olivii.

– Rachel, jestem tu w związku z Grace.

– Co z nią? – zapytała powściągliwie.

Żałowałem, że mi nie ufa, ale chyba nie miała powodu, żeby myśleć o mnie dobrze.

Skrzywiłem się i spojrzałem na uczniów wskakujących do autobusów. Wyglądało to jak reklama szkoły: idealnie błękitne niebo, jaskrawozielone liście, kłujące w oczy żółte autobusy szkolne. Rachel tylko uzupełniała ten obraz – te fioletowe paski na rajstopach wyglądały jak zamówione z katalogu. Była przyjaciółką Grace. Grace wierzyła, że Rachel będzie potrafiła dochować tajemnicy. Naszej tajemnicy. Nawet jeśli ufałem opiniom mojej dziewczyny, niewiarygodnie trudno było mi wyznać prawdę jej przyjaciółce.

– Najpierw muszę wiedzieć, czy potrafisz dochować tajemnicy, Rachel.

– Mówią o tobie paskudne rzeczy, Sam – zauważyła.

– Tak, słyszałem – westchnąłem. – Mam nadzieję, że wiesz, że nie skrzywdziłbym Grace, ale… nie musisz mi ufać, Rach. Chcę po prostu wiedzieć, czy gdyby coś było naprawdę ważne, potrafiłabyś zachować to dla siebie. Bądź ze mną szczera.

Wiedziałem, że chce mi zaufać.

– Potrafię dotrzymać tajemnicy – zapewniła.

Zagryzłem wargę i na chwile przymknąłem powieki.

– Nie uważam, że ją zabiłeś – oświadczyła rzeczowo, jakby stwierdzała, że nie sądzi, iż dziś wieczorem będzie padać, bo na niebie nie ma chmur. – Jeśli to pomoże…

Otworzyłem oczy. Pomogło.

– Okej. Chodzi o to, że… może zabrzmi to wariacko… Grace żyje, wciąż jest w Mercy Falls, i nic jej nie jest.

– Trzymasz ja związaną w piwnicy? – skrzywiła się.

Najgorsze było to, że w pewnym sensie miała rację.

- Bardzo zabawne, Rachel. Nie trzymam jej tam wbrew jej woli. Ona się ukrywa i jeszcze nie chce wyjść. To dość ciężka sytuacja do…
- O mój Boże, zrobiłeś jej dziecko! – wykrzyknęła – Wiedziałam! Wiedziałam!
- Rachel… - próbowałem ją uspokoić. – Rachel!

Ale ona ciągnęła dalej:

- Tyle o tym mówiłyśmy i co? Nie zrobiła pożytku ze swojego mózgu! Tylko…
- Rach – przerwałem jej tyradę. – Ona nie jest w ciąży.

Dziewczyna zmierzyła mnie wzrokiem. Pomyślałem, że chyba oboje jesteśmy już zmęczeni tą rozmową.

- Okej. W takim razie, co się dzieje?
- Cóż, trochę trudno będzie ci w to uwierzyć. Tak naprawdę nie wiem, jak to powiedzieć. Może będzie lepiej, jeśli usłyszysz to od niej samej.
- Sam… - zaczęła cedzić słowa Rachel - … wszyscy mieliśmy w szkole wychowanie seksualne.
- Hej, to nic z tych rzeczy – wtrąciłem pośpiesznie. – Grace chciała, żeby ci powiedzieć: „Piotruś z Plentiful Pecs". Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale podobno to jakieś wasze hasło.

Zobaczyłem, że dziewczyna trawi znaczenie tych słów i rozważa, czy przypadkiem nie wydobyłem ich z Grace za pomocą jakichś nikczemnych środków.

- A czemu nie powie mi tego sama? – spytała czujnie.
- Bo nie chcesz podejść do samochodu! – wyjaśniłem, tracąc powoli cierpliwość. – Ona nie może wysiąść. Przecież oficjalnie została uznana za zaginioną, pamiętasz? Gdybyś podeszła do auta, kiedy cię wołałem, pokiwałaby ci z tylnego siedzenia. – Wciąż się wahała, a ja potarłem twarz dłońmi w odruchu bezradności. – Posłuchaj, Rachel, po prostu podejdź i zobacz sama. Ja zostanę tutaj. Nie zaatakuję cię butelką po piwie i nie wsadzę do bagażnika. Czy możemy się tak umówić?
- Może. Jeśli staniesz odpowiednio daleko – oznajmiła. – Przykro mi, Sam, ale ja oglądam telewizję. Wiem, jak takie rzeczy się odbywają.

Docisnąłem palec do nasady nosa, żeby się uspokoić.

- Słuchaj, zadzwoń na moja komórkę. Została w wozie. Grace jest w środku. Odbierze i będziesz mogła sama z nią porozmawiać. Nie musisz się zbliżać do auta.

Rachel wyciągnęła komórkę z bocznej kieszeni plecaka i wybrała numer.

- Dzwoni – poinformowała mnie.

Wskazałem na volkswagena. Przez zamknięte drzwi auta słychać było przytłumiony dźwięk telefonu.

- Nikt nie odbiera – poskarżyła się.

Gdy tylko to powiedziała, szyba zjechała i w oknie pojawiła się Grace.

- Na litość boską – powiedziała głośnym szeptem – ludzie zaczną coś podejrzewać, jak będziecie tak tu stać. Zamierzacie wsiąść czy nie?

Rachel zrobiła oczy wielkie jak spodki.

- Teraz mi wierzysz? – spytałem.
- Powiesz mi, dlaczego ona się ukrywa? – odpowiedziała pytaniem.

Wskazałem na Grace.

- Myślę, że lepiej będzie, jak usłyszysz to od niej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

GRACE

Myślałam, że już sam mój widok wystarczy, żeby przekonać Rachel o niewinności Sama, ale ona wciąż się wahała. Zajęło mi kilka minut, zanim namówiłam ją, żeby wsiadła do samochodu, nawet po tym, jak mnie zobaczyła.

- To, że jest tu Grace, nie oznacza, że nie mam wątpliwości – oświadczyła Rachel, zaglądając przez otwarte tylne drzwi do wnętrza auta z powątpiewaniem na twarzy. – Równie dobrze mogłeś ją nakarmić grzybkami halucynkami i trzymać w piwnicy, i może chcesz zrobić to samo ze mną.

Sam zerknął w kierunku budynku szkoły. Jego złotożółte oczy zwęziły się w ciepłym słońcu. Prawdopodobnie myślał o tym samym co ja. Prawie nikt w całym Mercy Falls mu nie ufał, więc jeśli ktokolwiek zauważy go stojącego na tyłach parkingu z dziewczyną sprawiającą wrażenie zaniepokojonej, sprawy mogą przybrać niezbyt miły obrót.

- Nie wiem, jak odeprzeć takie zarzuty – stwierdził.
- Rachel, nie jestem odurzona narkotykami – powiedziałam. – Po prostu wsiądź do samochodu!

Dziewczyna ściągnęła brwi, patrząc na mnie.

- Nie, dopóki nie powiesz mi, dlaczego chcesz się dalej ukrywać.
- To długa historia.

Rachel skrzyżowała ramiona na piersi.

- Opowiedz w skrócie.
- To naprawdę, naprawdę powinno zostać wytłumaczone na spokojnie.

Dziewczyna ani drgnęła.

- Mów – zażądała.

Westchnęłam.

- Tylko się nie przestrasz. Rachel, ja po prostu co chwilę przemieniam się w wilka.

Poczekała, aż dodam coś do swojej wypowiedzi, żeby ta opowieść miała dla niej więcej sensu. Ale nie istniał żaden sposób, który mógłby jej ułatwić przyswojenie prawdy. Nie, kiedy musiałam zdawać relację „w skrócie".

- Dlaczego miałabym się przestraszyć? – zapytała retorycznie dziewczyna. – Tylko dlatego, że ci odbiło i mówisz jakieś bzdury? Oczywiście, że zamieniasz się w wilka. A ja zamieniam się w zebrę. Patrz na te paseczki, to pozostałości po przemianie.
- Rachel – przemówił Sam łagodnie – przysięgam, że to nabierze więcej sensu, gdy zostanie właściwie wyjaśnione. Jeśli dasz Grace szansę, żeby gdzieś na osobności opowiedziała ci o tym, to wciąż będzie ci się wydawało dziwne, ale nie niemożliwe.

Rachel spojrzała na niego w osłupieniu, a potem przeniosła wzrok z powrotem na mnie.

- Sorry, Grace. Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł, pozwolić mu zawieźć mnie do jego kryjówki. – Jej palec wskazał oskarżycielsko Sama, który popatrzył na niego, jakby mógł Stanowic broń. – Chyba że ja poprowadzę auto.
- Poprowadzisz… do mojego domu? – zapytał chłopak ostrożnie.

Dziewczyna pokiwała głową.

Sam wyglądał na odrobinę zdenerwowanego, jednak trzeba przyznać, że głos mu się nie zmienił.

- Co za różnica, czy ja nas tam zawiozę czy ty?

- Nie wiem! – rzuciła Rachel. – Ale będę się z tym lepiej czuła. – Wyciągnęła rękę po kluczyki. – W filmach nikt nie wiezie sam siebie na miejsce śmierci.

Mój chłopak spojrzał na mnie z miną mówiącą: „Grace, pomocy!".

- Rachel – zaczęłam stanowczo. – Czy ty przynajmniej wiesz, jak się obsługuje ręczną skrzynię biegów?
- Nie – zaprzeczyła. – Ale szybko się uczę.

Zmierzyłam ja spojrzeniem.

- Rachel…
- Grace, musisz zdawać sobie sprawę z tego, że to dość dziwne. No, sama przyznaj. Ty znikasz ze szpitala, Olivia… sama wiesz… a Sam nagle pojawia się z tobą i cóż… przerażające grzybki halucynki zaczynają być całkiem logicznym wytłumaczeniem, zwłaszcza gdy zaczynasz mówić o wilkach. Za chwilę pojawi się tu Isabel Culpeper i powie, że wszyscy zostaną porwani przez kosmitów, a przyznam, że tego już bym nie zniosła w moim obecnym stanie emocjonalnym. Myślę, że…

Westchnęłam.

- Rachel…
- No dooobra – mruknęła.

Rzuciła swój plecak na tylne siedzenie i wsiadła do samochodu. Wyjechaliśmy z parkingu, a ja przesiadłam się na miejsce obok Sama.

Gdy zmierzaliśmy do domu Becka – Sam na miejscu kierowcy, ja obok niego, a Rachel na tylnym siedzeniu – nagle poczułam niewytłumaczalną i gorączkową tęsknotę za domem i utraconym życiem.

Nie potrafiłam stwierdzić, za czym tak rozpaczliwie tęskniłam – na pewno nie za rodzicami, którzy nie spędzali ze mną wystarczająco dużo czasu, żeby można było poczuć z nimi więź – aż uświadomiłam sobie, że to uczucie zostało wywołane przez słodki truskawkowy zapach szamponu Rachel. Za tym właśnie tęskniłam. Za popołudniami i wieczorami z moją przyjaciółka w jej pokoju albo w kuchni moich rodziców, albo z Olivią podczas jednej z jej wypraw fotograficznych. Nie tęskniłam za d o m e m , bo musiałabym najpierw mieć prawdziwy dom, żeby za nim tęsknić. Tęskniłam za ludźmi. Za życiem.

Odwróciłam się i wyciągnęłam dłoń do Rachel.

Nic nie powiedziała, tylko wzięła mnie za rękę i mocno uścisnęła.

Siedziałyśmy tak przez resztę drogi, ja na wpół wykręcona, a ona pochylająca się ku mnie, z dłońmi opartymi o zagłówek mojego siedzenia. Sam też nic nie mówił, poza momentem, gdy przeprosił nas, bo za szybko zmienił biegi i samochód odrobinę się zatrząsł.

Później, kiedy już dotarliśmy do domu, opowiedziałam Rachel wszystko, całą historię, od momentu, gdy wilki ściągnęły mnie z huśtawki, aż do dnia, gdy prawie umarłam w kałuży własnej krwi. I o wszystkim pomiędzy. Nigdy nie widziałam Sama tak zdenerwowanego, ale ja byłam spokojna. Kiedy wzięłyśmy się za ręce w samochodzie, już wiedziałam, że w tym dziwnym nowym życiu ona będzie jedną z tych osób, które przy mnie zostaną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

ISABEL

Byłam przeciwniczką popełniania przestępstw, jeśli można było w zamian popełnić jedynie wykroczenie. Skorzystanie ze szkolnego laboratorium oznaczałoby kradzież z włamaniem. Użycie jednego z zapasowych kluczy do kliniki mojej matki kwalifikowało się zaledwie jako nielegalne wtargnięcie. To była kwestia zdrowego rozsądku. Zaparkowałam SUV-a na parkingu sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy, żeby nikt przejeżdżający obok kliniki nie zauważył niczego podejrzanego. Byłabym znakomitą przestępczynią. Może jeszcze będę. Byłam przecież młoda, a możliwe, że moje studia medyczne nie wypalą.

- Nie zniszcz niczego – poinstruowałam Cole'a, zapraszając go do środka, z całą świadomością, że w jego przypadku jest to apel daremny.

Maszerował korytarzem, przyglądając się plakatom na ścianach. Klinika była dla mojej matki projektem na pół etatu. Poza tym pracowała tez w lokalnym szpitalu. Kiedy otworzyła tę oto placówkę, ściany udekorowała dziełami sztuki, na które nie miała miejsca w domu, i tymi, które jej się znudziły. Chciała, żeby klinika wyglądała przytulnie. Po śmierci Jacka pozbyła się z domu wielu eksponatów, a kiedy ta faza żałobna minęła, zabrała te dzieła ze ścian przychodni, żeby z powrotem zapełnić nimi dom. Teraz na ścianach wisiały tylko plansze i plakaty stanowiące przejaw czegoś, co lubiłam nazywać „późnym okresem farmaceutycznym w sztuce".

- Do końca i na prawo – pokierowałam Cole'a. – Nie tam. To jest łazienka.

Gdy zamykałam za sobą drzwi, na dworze było już ciemno, ale to nie miało znaczenia, bo po włączeniu brzęczących fluoroscencyjnych świetlówek wszystkie pory dnia i nocy w klinice wyglądały tak samo. Zawsze powtarzałam mamie, że jeśli naprawdę chce, żeby w placówce było przytulnie, powinna zastąpić oświetlenie rodem z supermarketu normalnymi żarówkami.

Cole zdążył już zniknąć w małym laboratorium. Powoli ruszyłam za nim. Potrzebowałam odpoczynku. Olałam lekcje, żeby zawieźć chłopakowi przesyłkę, ale bynajmniej nie pospałam dzięki temu dłużej – już od rana byłam zwarta i gotowa. Potem pomogłam mu zastawić niewiarygodnie poważnie wyglądającą pułapkę na Becka, uważając, żeby nie wpaść do leja, z którego podobno razem z Samem wyciągnęli Grace. Poczekałam do zamknięcia kliniki, po czym powiedziałam rodzicom, że jadę na spotkanie samorządu uczniowskiego. No i wylądowałam tutaj. Przez cały dzień nic nie jedliśmy i zaczynałam się czuć jak męczennica za sprawę wilkołaków. Zatrzymałam się w recepcji i otworzyłam małą lodówkę pod blatem. Złapałam dwa soki i wzięłam je ze sobą. W końcu lepszy sok niż nic.

W laboratorium Cole siedział już na obrotowym krześle i pochylał się nad stojącym na blacie mikroskopem. Jedną rękę trzymał wysoko, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. Po sekundzie zdałam sobie sprawę, że naciął sobie skórę na palcu i w ten sposób tamuje krwawienie.

- Chcesz jakiś plaster czy wolisz udawać Statuę Wolności? – zapytałam, po czym postawiłam obok niego butelkę z sokiem, a po zastanowieniu odkręciłam korek.

Zamachał zakrwawionym palcem w podziękowaniu.

- Nie mogłem znaleźć plastrów – wyjaśnił. – A właściwie to nie szukałem. Czy to metanol? Och, popatrz, tak.

Znalazłam dla niego opatrunek i przyciągnęłam sobie drugie krzesło. Nie trwało to długo. Laboratorium było wielkości garderoby. Wszędzie stały pudełka z wacikami, tamponami i szpatułkami lekarskimi oraz buteleczki ze spirytusem i wodą utlenioną. Maszyna do analizy moczu, mikroskop, wirówka do probówek krwi. Nie zostało zbyt wiele miejsca dla dwóch pracowników i ich krzeseł.

Chłopak rozmazał odrobinę swojej krwi na szkiełku i oglądał ją teraz pod mikroskopem.

- Czego szukasz? – zapytałam go.

Nie odpowiedział. Brwi miał ściągnięte i był głęboko zamyślony. Najprawdopodobniej wcale mnie nie słyszał. Podobało mi się, jak wyglądał. Nie grał, był po prostu całym sobą, Cole'em. Nie opierał się, gdy wzięłam jego dłoń i otarłam krew.

- Na litość boską – zauważyłam – czego ty użyłeś do zrobienia tego nacięcia? Noża do masła? – Przykleiłam mu plaster i puściłam jego rękę. Natychmiast użył jej, żeby ustawić ostrość w mikroskopie.

Milczenie zdawało się trwać wieki, ale prawdopodobnie upłynęła zaledwie minuta. Nagle Cole odsunął się od mikroskopu, nie patrząc na mnie. Zaśmiał się krótko, z niedowierzaniem.

- Chryste – powiedział tylko i znowu się zaśmiał tym urywanym śmiechem.

Zaczęło mnie to irytować.

- Co takiego?
- Po prostu… spójrz. – Odepchnął się od stołu i przyciągnął w to miejsce moje krzesło na kółkach. – No i co widzisz?

Pomyślałam, że pewnie nie zobaczę nic, biorąc pod uwagę, że nie wiedziałam, na co mam patrzeć. Ale postanowiłam zrobić mu tę przyjemność. Przyłożyłam oko do okularu i zerknęłam. Cole miał rację… natychmiast zobaczyłam to samo, co on. Mnóstwo czerwonych krwinek, bezbarwnych i normalnych. Oraz dwie czerwone kropki. Odsunęłam się od blatu.

- Co to jest? – zapytałam.
- To wilkołak – oświadczył chłopak, kręcąc się na obrotowym krześle. – Wiedziałem. Wiedziałem.
- Co wiedziałeś?
- Że albo mam malarię, albo tak właśnie wyglądają wilki. Trwają sobie w moich krwinkach. Wiedziałem, że to funkcjonuje jak malaria. Wiedziałem. Chryste!

Wstał, bo nie mógł już usiedzieć w jednym miejscu.

- Wspaniale, genialny chłopcze. Ale co to oznacza dla wilków? Możesz to wyleczyć jak malarię?

Cole patrzył na wykres na ścianie przedstawiający w jaskrawych kolorach, których nie używano od lat sześćdziesiątych, stadia rozwoju płodu. Machnął na mnie ręką.

- Malaria jest nieuleczalna.
- Co ty gadasz? – zaprotestowałam. – Przecież leczy się ludzi chorych na malarię.
- Nie – poprawił mnie chłopak. – Po prostu powstrzymuje się chorobę, żeby nie zabijała.
- Więc mówisz, że nie ma lekarstwa – podsumowałam. – Ale jest sposób, żeby powstrzymać rozwój choroby… Już powstrzymałeś śmierć Grace. Nie rozumiem więc, co to za rewelacje.
- Sam. Sam jest rewelacją. To tylko potwierdziło moje podejrzenia. Potrzebuję więcej czasu. Potrzebuję papieru – rzucił Cole, odwracając się w moją stronę. – Potrzebuję… - Przerwał, powoli się uspokajając.

Czułam się nieco zawiedziona. Spodziewałam się objawienia, a nadal niewiele z tego wszystkiego rozumiałam. A włamanie do kliniki po zmroku przypomniało mi o tym, jak z Grace przyprowadziłyśmy tutaj Jacka. I naszą porażkę, i moja stratę. Generalnie miałam ochotę po prostu zwinąć się w kłębek na swoim łóżku.

- Jedzenie. Sen – zasugerowałam. – Oto, czego ja potrzebuję. I wynieść się stąd w cholerę.

Cole ściągnął brwi, patrząc na mnie, jakbym powiedziała, że potrzebuję kaczki i zajęć jogi.

Wstałam i spojrzałam mu w twarz.

- W przeciwieństwie do wilkołaków ja muszę chodzić do szkoły.
- Dlaczego jesteś wkurzona?

- Nie jestem wkurzona – zaoponowałam. – Jestem zmęczona. Chyba po prostu chcę już stąd iść. – Chociaż myśl o powrocie do domu nie była zachęcająca.
- Jesteś wkurzona – powtórzył. – Już prawie to mam, Isabel. Prawie to rozgryzłem. Myślę, że… jestem naprawdę blisko rozwiązania. Muszę pogadać z Samem. Jeśli uda mi się go skłonić, żeby ze mną porozmawiał…

I nagle zmienił się w zwykłego, zmęczonego, przystojnego faceta. Nie był już gwiazdą rocka z dziesiątkami tysięcy fanów, którzy zastanawiali się, gdzie jest, ani geniuszem z mózgiem tak wielkim, że buntował się przeciwko używaniu go i próbował w zamian wymyślić sposoby, żeby zrobić sobie krzywdę.

Gdy zobaczyłam go w taki stanie, poczułam, jakbym czegoś od niego potrzebowała. Albo właśnie jego. A to prawdopodobnie oznaczało, że on też potrzebował czegoś ode mnie. Albo po prostu mnie. To objawienie było jak patrzenie na tamte kropki na szkiełku, które znaczyły coś dla niego, ale niekoniecznie dla mnie.

Nagle usłyszałam znajomy dźwięk: odległy trzask otwieranego zamka. W budynku był ktoś jeszcze.

- Cholera, cholera, cholera – wysyczałam. Miałam dwie sekundy na obmyślenie planu. – Bierz swoje rzeczy i właź pod blat! – Cole złapał szkiełko z próbką swojej krwi, sok i papierek po plastrze, a ja upewniłam się, że schował się pod stołem, zanim wyłączyłam światło w laboratorium i wepchnęłam się pod blat za nim.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się powoli, a potem ciężko zamknęły. Usłyszałam poirytowane westchnienie mojej matki, wystarczająco głośne i dramatyczne, żeby dotarło aż do laboratorium. Miałam nadzieję, że jej irytacja była wywołana jedynie faktem, że ktoś zostawił włączone światło w korytarzu.

W ciemnościach widziałam tylko lśniące oczy Cole'a, w których odbijało się światło z przejścia. Pod blatem nie było zbyt dużo miejsca, więc kuliliśmy się kolano przy kolanie, stopa na stopie. Trudno było stwierdzić, czyj oddech należy do kogo. Oboje byliśmy absolutnie cicho, nasłuchiwaliśmy, co robi moja matka. Usłyszałam jej obcasy stukające w jednym z pierwszych pomieszczeń, w okolicach recepcji. Spędziła tam kilka chwil. Cole poprawił stopę, tak żeby mój but nie napierał na jego kostkę. Coś trzasnęło mu w ramieniu, gdy się poruszył. Oparł jedną rękę o ścianę za mną. Moja ręka przez pomyłkę wylądowała między jego nogami, więc ją cofnęłam.

Czekaliśmy.

Moja matka powiedziała bardzo wyraźnie: „Cholera". Przeszła korytarzem i zajrzała do jednego z gabinetów lekarskich. Znowu dotarł do nas szelest papierów. We wnęce pod blatem było ciemno jak w nocy, zbyt ciemno, żeby moje oczy przyzwyczaiły się do mroku, i wydawało mi się, jakbyśmy mieli więcej nóg niż potrzeba. Moja matka upuściła jakieś dokumenty. Usłyszałam, jak spadają na podłogę. Ale tym razem nie zaklęła.

Cole pocałował mnie. Powinnam mu powiedzieć, żeby przestał, żeby siedział cicho, ale tak bardzo tego pragnęłam. Nie ruszyłam się, tylko pozwoliłam, żeby całował mnie bez końca. To był taki pocałunek, po którym dojście do siebie zajmuje dużo czasu. Można by zebrać wszystkie nasze pocałunki, począwszy od tego pierwszego, gdy się poznaliśmy, i położyć je na płytkach pod mikroskopem. Wiedziałam, co byłoby w nich widać. W pierwszym nawet ekspert nie dostrzegłby nic szczególnego, przy następnym pojawiłyby się pewne łatwo ulegające zniszczeniu cząsteczki, a potem byłoby ich coraz więcej i więcej, aż można by je dostrzec nawet gołym okiem. Byłyby dowodem na to, że prawdopodobnie nigdy się z siebie nie wyleczymy, ale być może uda się nam powstrzymać tę chorobę przed zniszczeniem nas.

Usłyszałam kroki matki, na sekundę zanim zapaliło się światło w laboratorium. A potem ciężkie westchnienie.

- Isabel, dlaczego?

Cole odsunął się ode mnie, więc wyglądaliśmy jak dwa oposy kryjące się za śmietnikiem. Zobaczyłam, jak matka lustruje nas szybko, sprawdzając najważniejsze szczegóły: mieliśmy na sobie ubrania, nic nie zostało zniszczone, niczego sobie nie wstrzykiwaliśmy. Spojrzała na Cole'a, który obdarzył ją leniwym uśmiechem.

- Ty… ty jesteś z… - zaczęła, przyglądając mu się ze zmrużonymi oczami. Czekałam aż powie: „z zespołu NARKOTIKA", chociaż nie wyobrażałam sobie, że mogłaby być fanką takiej muzyki. Ale w zamian dokończyła: - Tym chłopcem ze schodów. Z domu. Tym nagim. Isabel, kiedy powiedziałam, że nie chcę, abyś robiła takie rzeczy w domu, nie miałam na myśli, żebyś przeniosła się z nimi do kliniki. Czemu siedzicie pod tym blatem? Och, nie chcę nawet wiedzieć. Po prostu nie chcę.

Tak naprawdę nie miałam jej nic do powiedzenia.

Moja matka potarła brew dłonią, w której trzymała ciasno zadrukowany formularz.

- Boże, gdzie jest twój samochód?
- Po drugiej stronie ulicy – oznajmiłam.
- No tak. – Potrząsnęła głową. – Nie powiem twojemu ojcu, że cie tu widziałam, Isabel. Tylko, proszę, nie… - nie sprecyzowała, czego mam nie robić. Zamiast tego wyrzuciła moją na wpół wypitą butelkę soku do śmietnika przy drzwiach i znowu wyłączyła światło.

Słyszałam jej kroki oddalające się korytarzem, a potem rozległ się szczęk zamka.

W ciemnościach Cole był niewidzialny, jednak wciąż czułam jego obecność obok. Czasami nie trzeba czegoś widzieć, żeby wiedzieć, że istnieje.

Poczułam łaskotanie na skórze. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że on jedzie modelem mustanga w górę po moim ramieniu. Śmiał się pod nosem, stłumionym i zaraźliwym śmiechem, jakby wciąż istniał powód, żeby być cicho. Obrócił samochodzik i ruszył w dół, w kierunku mojej dłoni. Kółeczka ślizgały się odrobinę na skórze. A Cole wciąż się śmiał.

Pomyślałam, że to było najprawdziwsze zachowanie, jakie kiedykolwiek widziałam u Cole'a St. Claira.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

SAM

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przyzwyczaiłem się do braku rutyny, dopóki Grace znowu jej nie wprowadziła do mojego życia. Kiedy wróciła do domu, a Cole skupił się na badaniach, nasza codzienność przybrała pozory normalności. Znowu zacząłem prowadzić dzienny tryb życia. Kuchnia ponownie stała się miejscem do spożywania posiłków, a buteleczki z preparatami i stosy notatek Cole'a powoli zostały zastąpione przez pudełka z płatkami i kubki po kawie.

Grace przemieniała się mniej więcej raz na trzy dni, a nawet wtedy pozostawała w skórze wilka tylko przez kilka godzin, które spędzała w łazience. Potem wracała roztrzęsiona do łóżka. Znów normalnie przesypiałem noce, więc dni stawały się krótsze. Chodziłem do pracy i sprzedawałem książki klientom szepczącym o mnie za moimi plecami, a potem wracałem do domu, czując się jak skazaniec, któremu odroczono egzekucję. Cole spędzał dnie, próbując chwytać wilki i każdego wieczoru zasypiał w innym pokoju. Rankami przyłapywałem Grace na karmieniu pary szopów z garażu starą granolą[*], a wieczorami widziałem, jak ze smutkiem przegląda strony internetowe różnych college'ów i gawędzi z Rachel. Wszyscy goniliśmy za czymś ulotnym i niemożliwym.

Polowanie na wilki było omawiane w wiadomościach niemal każdego wieczoru.

Ale ja byłem szczęśliwy… No, może nie do końca, ale jednak byłem bliski tego stanu. Wiedziałem, że to tak naprawdę nie jest moje życie. To życie było pożyczone. Żyłem nim tymczasowo, dopóki nie uporządkuję własnego. Data polowania wydawała się odległa i nieprawdopodobna, ale też nie dało się o niej zapomnieć. To, że nie potrafiłem wymyślić niczego konstruktywnego, nie oznaczało, że nie musiałem nic robić.

W środę zadzwoniłem do Koeniga i zapytałem, czy mógłby mi powiedzieć, jak dojechać na półwysep, żebym mógł zbadać potencjał jego terenu. Tak to właśnie ująłem: „zbadać potencjał". Ten człowiek zawsze wywierał na mnie szczególny wpływ.

- Myślę – powiedział Koenig, z naciskiem na słowo „myślę", co oznaczało, że naprawdę to „wiedział" – że będzie lepiej, jeśli ja cię tam zabiorę. Nie chciałbym, żebyś trafił na zły półwysep. Mam czas w sobotę.

Dopiero gdy zakończyliśmy rozmowę, uświadomiłem sobie, że zażartował z tym „złym półwyspem". Miałem wyrzuty sumienia, że się nie zaśmiałem.

W czwartek zadzwonił do mnie ktoś z gazety z pytaniem, czy mam coś nowego do powiedzenia w sprawie zaginięcia Grace Brisbane.

Nic. Właśnie tyle miałem do powiedzenia. A właściwie chciałem powiedzieć to, co powiedziałem mojej gitarze poprzedniego wieczoru:

nie możesz utracić dziewczyny,
która odeszła przed laty,
przestań szukać,
przestań szukać

Ale piosenka nie była jeszcze gotowa, więc po prostu rozłączyłem się bez słowa.

W piątek Grace oznajmiła mi, że jedzie z nami.

---

[*] Granola – pieczona mieszanka płatków zbożowych, orzechów i suszonych owoców z dodatkiem cukru lub miodu.

- Chcę, żeby Koenig mnie zobaczył – powiedziała. Siedziała na moim łóżku, dobierając w pary uprane skarpetki, podczas gdy ja wypróbowywałem różne sposoby składanie ręczników. – Jeśli będzie wiedział, że żyję, nie może dalej prowadzić sprawy dotyczącej zaginięcia.

Niepewność tkwiła w moim żołądku jak niestrawna grudka pokarmu. Możliwości zasiane przez tę sytuację zdawały się rosnąć gwałtownie i zaciekle.

- On powie, że musisz wrócić do rodziców.
- To pójdziemy się z nimi spotkać. – Wzruszyła ramionami. Rzuciła dziurawą skarpetkę w nogi łóżka. – Najpierw półwysep, potem oni.
- Grace? – zacząłem, ale nie byłem pewien, o co chcę ja zapytać.
- Nigdy nie ma ich w domu – powiedziała beztrosko. – Jeśli ich zastanę, to znaczy, że tak miało być. Sam, nie patrz na mnie w ten sposób. Jestem zmęczona tym… stanem zawieszenia. Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać, i zastanawiać się, czy wydarzy się coś złego. Nie pozwolę, żeby ludzie podejrzewali cię o… o cokolwiek cię podejrzewają. Że mnie porwałeś. Uwięziłeś. Zabiłeś. Cokolwiek. Nie potrafię ostatnio rozwiązać zbyt wielu problemów, ale wiem, że dam radę uporać się przynajmniej z tym. Nie mogę znieść świadomości, że rodzice myślą o tobie w ten sposób.
- Ale oni…

Grace zrobiła ogromną kulkę ze skarpetek bez pary. Zastanawiałem się, czy bezwiednie chodziłem w niedopasowanych skarpetkach przez cały ten czas.

- Za kilka miesięcy skończę osiemnaście lat, Sam, a wtedy nie będą mieli już nic do powiedzenia. Mogą wybrać działanie na siłę i utracić mnie na zawsze w dzień po moich urodzinach, albo mogą zachować się rozsądnie, tak żebyśmy któregoś dnia znów zechcieli z nimi normalnie rozmawiać. Może… Czy to prawda, że mój ojciec cie uderzył? Cole powiedział, że tak było.

Wyczytała odpowiedź z mojej twarzy.

- Taa… - Pokręciła głową i westchnęła. – I właśnie dlatego nie będę miała skrupułów, żeby przeprowadzić z nimi tę rozmowę.
- Nienawidzę konfrontacji – wymamrotałem.

Prawdopodobnie była to najbardziej niepotrzebna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałem.

- Nie rozumiem – zmieniła temat Grace, rozprostowując nogi – jak facet, który, zdawałoby się, nigdy nie nosi skarpetek, ma ich tyle nie do pary.

Oboje spojrzeliśmy na moje stopy. Dziewczyna wyciągnęła dłoń, jakby mogła dosięgnąć moich palców z miejsca, w którym siedziała. Złapałem ją za rękę i pocałowałem wnętrze jej dłoni. Pachniała masłem i mąką, i domem.

- Okej – zgodziłem się. – Zrobimy, jak chcesz. Najpierw Koenig, potem twoi rodzice.
- Lepiej mieć plan – powiedziała Grace.

Nie wiedziałem, czy to prawda. Ale zabrzmiało to prawdziwie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

ISABEL

Nie zapomniałam o prośbie Grace dotyczącej zebrania informacji na temat letniej szkoły, ale trochę czasu zajęło mi wykombinowanie, jak się do tego zabrać. Nie mogłam udawać, że chodzi o mnie, a im bardziej szczegółowe pytania bym zadawała, tym większe podejrzenia bym wzbudziła. Ostatecznie wpadłam na rozwiązanie tego problemu zupełnie przez przypadek. Opróżniając plecak, znalazłam stara notkę od pani McKay, mojej ulubionej nauczycielki z zeszłego roku. Notatka sama w sobie nie była istotna, ale pochodziła z czasów, które moja matka określała mianem „problematycznego okresu" w moim życiu i pani McKay informowała mnie w niej, że z przyjemnością mi pomoże, jeśli jej pozwolę. Dzięki temu przypomniałam sobie, że jest świetna w odpowiadaniu na pytania innych, a jednocześnie nie zadaje własnych.

Niestety, wiedzieli o tym wszyscy, więc po ostatniej lekcji zawsze ustawiała się do niej kolejka. Nie miała swojego gabinetu – więc po prostu przesiadywała w sali od angielskiego. Dla osób postronnych mogło to wyglądać tak, jakby tłumy uczniów czekały przed klasą w rozpaczy, żeby się czegoś nauczyć.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Hayley Olsen opuściła klasę, a do środka weszła kolejna dziewczyna. Przesunęłam się o krok do przodu i oparłam o ścianę. Miałam nadzieję, że Grace wie, ile dla niej robię. Mogłabym siedzieć już w domu i zajmować się „nic-nie-robieniem". Marzeniami. Jakość moich marzeń ostatnio gwałtownie się poprawiła.

Usłyszałam za sobą kroki oraz odgłos plecaka rzuconego na ziemię. Zerknęłam przez ramię.

Rachel.

Rachel była karykaturą nastolatki. Było coś niewiarygodnie świadomego w sposobie, w jaki się prezentowała. Te wszystkie paski, dziwaczne sukienki, warkoczyki i węzełki, w które splatała włosy. Wszystko w niej mówiło: dziwaczna, śmieszna, głupiutka, naiwna. Poza jedną rzeczą. Istniało pojęcie „niewinności" oraz „udawanej niewinności". Nie miałam nic przeciwko żadnemu z nich, ale lubiłam wiedzieć, z którą cechą mam do czynienia. Rachel cholernie dobrze wiedziała, jak chce, żeby postrzegali ją inni, i to właśnie im dawała. Nie była idiotką.

Zauważyła, że na nią patrzę, ale udała, że mnie nie widzi. Jednak ja już zdążyłam nabrać podejrzeń.

– Co za miłe spotkanie – rzuciłam.

Dziewczyna skrzywiła się.

– Tak, miłe – powtórzyła.

Pochyliłam się ku niej i zniżyłam głos:

– Nie jesteś tu przypadkiem po to, żeby porozmawiać o Grace, prawda?

Szerzej otworzyła oczy.

– Już jestem umówiona ze szklonym psychologiem, ale to nie twoja sprawa.

Była dobra.

– Jasne. Jestem pewna, że psycholog ci się przyda… Rozumiem, że nie zamierzasz wyznać pani McKay niczego o Grace ani o wilkach? – zapytałam. – Bo to byłoby tak niewiarygodnie głupie, że aż szkoda gadać.

Twarz Rachel nagle się rozjaśniła.

– Ty w i e s z .

Tylko na nią spojrzałam.

– A więc to prawda. – Dziewczyna potarła ramię dłonią, wpatrując się w podłogę.

– Widziałam na własne oczy – zapewniłam ją.

Rachel westchnęła.

- Kto jeszcze wie?
- Nikt. I tak ma zostać. Czy to jasne?

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Uczennica przede mną weszła do środka. Ja byłam następna.

- Słuchaj, po prostu nie przygotowałam się do angielskiego! – Rachel prychnęła z irytacją. – Dlatego tutaj jestem. To nie ma nic wspólnego z Grace. Czekaj, czy to oznacza, że t y jesteś tu w związku z nią?!

Nie byłam pewna, jak doszła do tego wniosku, ale to nie zmieniało faktu, że miała rację. Przez pół sekundy miałam ochotę powiedzieć jej, że Grace poprosiła mnie, żebym dowiedziała się czegoś na temat letniej szkoły. Głównie dlatego, że chciałam podkreślić, że Grace zaufała mi, a nie jej. Taka już byłam płytka. Ostatecznie uznałam, że tego nie zrobię.

- Po prostu muszę się dowiedzieć czegoś na temat ocen końcowych – skłamałam.

Stałyśmy w krępującym milczeniu osób, które mają wspólnego przyjaciela, a poza tym niewiele więcej je łączy. Uczniowie mijali nas, śmiejąc się i wydając dziwne odgłosy, bo byli to chłopcy, a licealiści płci męskiej na ogół zajmowali się właśnie tym. Szkoła śmierdziała jak burritos. W myślach udoskonalałam swoją metodę wypytania pani McKay.

Rachel, opierając się o ścianę i patrząc na szafki po drugiej stronie korytarza, powiedziała nagle:

- To sprawia, że świat wydaje się większy, prawda?

Naiwność tego pytanie mnie poirytowała.

- To tylko kolejny sposób na to, żeby umrzeć – podsumowałam.

Dziewczyna zerknęła na mój profil.

- Ty naprawdę lubisz być wredna, co? To jest dobre, dopóki jesteś młoda i atrakcyjna. Ale potem skończysz jako nauczycielka historii.

Spojrzałam na nią i zmrużyłam oczy.

- Mogłabym powiedzieć to samo o kimś dziwacznym – zauważyłam.

Rachel uśmiechnęła się od ucha do ucha, najbardziej niewinnym uśmiechem, jaki do tej pory u niej widziałam.

- Więc masz na myśli to, że ty wiesz, że tak naprawdę jestem gorącą laską?

No dobra, dziewczyna była w porządku. Nie odwzajemniłam uśmiechu, żeby nie dać jej satysfakcji, ale poczułam, że moje oczy mnie zdradziły. Drzwi otworzyły się. Spojrzałyśmy po sobie. Jeśli chodzi o sojuszników, Grace mogła trafić znacznie gorzej.

Gdy weszłam do środka, pomyślałam, że Rachel właściwie miała rację. Świat zdawał się coraz większy z każdym dniem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

COLE

Kolejny dzień, kolejna noc.

Byliśmy z Samem w sklepie na stacji benzynowej kilka kilometrów od domu. Niebo nad nami było czarne jak smoła. Mercy Falls leżało jeszcze kawałek dalej. Ten sklepik ratował ludzi w chwilach typu: „o-cholera-zapomniełam-kupić-mleko". I dokładnie z tego powodu teraz tu byliśmy. A w każdym razie dlatego Sam tutaj był. Brakowało nam mleka, a poza tym zdążyłem zauważyć, że Sam nawet nie zaśnie, jeśli ktoś mu nie każe.

Ja nie miałem zamiaru mu matkować – zazwyczaj to było zadanie Grace – ale Isabel zadzwoniła dziś z informacjami na temat modelu helikoptera, który zostanie wykorzystany podczas polowania, i wszyscy mieliśmy nerwy napięte jak postronki. Grace i Sam zagłębili się w jakiejś niemej sprzeczce, jakimś cudem komunikując się ze sobą tylko za pomocą spojrzeń i najwyraźniej dziewczyna wygrała, bo zaczęła piec bułeczki, a chłopak, dąsając się, wylądował na kanapie ze swoją gitarą. Do bułeczek potrzebne było mleko. Jeśli kiedykolwiek będą mieli dzieci, w samoobronie wytworzy się u nich nietolerancja na gluten.

Pobliski sklep spożywczy zamykali o siódmej, więc Sam był zmuszony udać się na stacje benzynową. Pojechałem z nim, bo czułem, że jeśli spędzę jeszcze sekundę w domu Becka, z pewnością coś rozwalę. Z każdym dniem coraz bardziej rozgryzałem sekrety wilków, ale polowanie było tuż-tuż. Za kilka dni moje eksperymenty będą równie użyteczne, co badania na temat ptaka dodo.

Wszystko to przywiodło nas tutaj o jedenastej wieczorem. W sklepie wskazałem na stojak z prezerwatywami, ale Sam obrzucił mnie spojrzeniem całkowicie pozbawionym poczucie humoru. Najwyraźniej używał ich za rzadko albo za często, żeby mój dowcip go rozbawił.

Odłączyłem się od niego i ruszyłem przed siebie sklepowymi alejkami. Przepełniała mnie nerwowa energia. To małe obskurne wnętrze sprawiało wrażenie prawdziwego świata. Wiele miesięcy po tym, jak zabiłem „NARKOTIKĘ", znikając wraz z Victorem, stałem i uśmiechałem się do kamer przemysłowych. A gdzieś tam ktoś mógł odwzajemniać mój uśmiech. Z głośników zawieszonych obok znaku wskazującego drogę do toalet – „TYLKO DLA KLIENTÓW" – płynęła cicho muzyka. Szyby w oknach były zabarwione zielonoczarną nocą, która żyła jedynie na zewnątrz stacji benzynowej. Wszyscy poza nami spali, a ja jeszcze nigdy nie czułem się bardziej przebudzony. Przejrzałem batoniki, których nazwy były lepsze od ich smaku, oraz tabloidy, z przyzwyczajenia szukając wzmianek na swój temat. Zerknąłem na stojak z lekami na przeziębienie o zawyżonych cenach, które nie wpływały ujemnie na zdolność zasypiania ani prowadzenia pojazdów, i uświadomiłem sobie, że w tym sklepie nie ma niczego, czego bym potrzebował. W kieszeni wyczułem ciężar małego czarnego mustanga, którego podarowała mi Isabel. Wyjąłem go i przejechałem po półce do miejsca, gdzie Sam stał przed lodówką z mlekiem, trzymając ręce w kieszeni. Patrzył na kartony i krzywił się, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

- Dwuprocentowe to niezły kompromis pomiędzy odtłuszczonym a pełnotłustym, jeśli masz problem z podjęciem decyzji – rzuciłem.

Chciałem, żeby Sam zapytał mnie o mustanga, o to, co, do cholery, z nim wyprawiam. Myślałem o Isabel, o fiolkach na drzwiach lodówki, o pierwszej przemianie w wilka, o czarnym niebie napierającym na szyby.

- Czas nas goni – powiedział Sam. – Pamiętasz…?

Elektroniczny dzwonek w drzwiach sygnalizujący nowego klienta przerwał tok jego myśli i uniemożliwił mi ewentualna odpowiedź. Nie odwróciłem się, żeby spojrzeć na wchodzącego, ale instynkt

sprawił, że poczułem mrowienie skóry na karku. Sam też nie odwrócił głowy, ale uświadomiłem sobie, że wyraz jego twarzy się zmienił. Zaostrzył. To na to podświadomie zareagowałem.

W mojej głowie rozbłysły wspomnienia. Wilki w lasach, nadstawiające uszu i odwracające głowy, zaalarmowane. Ostre powietrze w nozdrzach. Zapach jelenia niesiony wiatrem. Czas na polowanie. Nieme porozumienie.

Usłyszałem szmer głosów przy ladzie, gdy nowy klient i sprzedawca wymienili powitania. Sam położył dłoń na uchwycie lodówki, ale jej nie otworzył.

- Może jednak lepiej było nie potrzebować mleka – rzucił nerwowo.

SAM

To był John Marx, starszy brat Olivii.

Rozmawianie z nim nigdy nie było dla mnie łatwe – ledwie się znaliśmy, a każdemu naszemu spotkaniu towarzyszyło napięcie. A teraz na dodatek jego siostra nie żyła, a Grace oficjalnie uznano za zaginioną. Żałowałem, że tu przyjechaliśmy. Ale nie miałem wyjścia – musiałem się zachowywać jak gdyby nigdy nic. John właściwie nie stał w kolejce. Gapił się tylko na stojak z gumami do żucia. Podszedłem do lady, trzymając mleko w dłoni, i stanąłem za nim. Czuć było od niego alkohol, co było przygnębiające, bo wcześniej wydawał się taki młody i niewinny.

- Cześć – przywitałem się ledwie słyszalnie, żeby tylko nie wyjść na źle wychowanego.

John po męsku skinął głową, krótko i surowo.

- Co słychać – odparł, ale to nie było pytanie.
- Dwa dolary pięćdziesiąt – powiedział do mnie sprzedawca, drobnej budowy mężczyzna, który cały czas wlepiał wzrok w ladę.

Odliczyłem pieniądze. Nie patrzyłem na Johna. Modliłem się, żeby nie rozpoznał Cole'a. w rogu sklepu zauważyłem niewielką kamerę przemysłową czujnie obserwującą nas wszystkich.

- Wiedziałeś, że to jest Sam Roth? – zapytał John.

Przez chwilę panowała cisza, zanim sprzedawca zorientował się, że chłopak zwraca się do niego.

Spojrzał w moje przeklęte żółte oczy, a potem opuścił wzrok z powrotem na rachunki rozłożone i na ladzie i odpowiedział uprzejmie.

- Nie, nie wiedziałem.

A przecież wiedział, kim jestem. Wszyscy wiedzieli. Poczułem do niego sympatię.

- Dzięki – powiedziałem mu, odbierając swoja resztę, wdzięczny za coś więcej niż tylko za monety.

Cole odepchnął się od blatu.

- Nic nie powiesz? – zaczepił mnie John.

Usłyszałem cierpienie w jego głosie. Serce mi waliło, gdy odwróciłem się w jego stronę.

- Przykro mi z powodu Olivii.
- Powiedz mi, dlaczego musiała umrzeć – zażądał chłopak. Chwiejąc się, zrobił krok w moim kierunku. Poczułem jego oddech cuchnący alkoholem – mocnym, czystym i wypitym niedawno, sądząc po zapachu. – Powiedz mi, dlaczego tam była.
- John, nie wiem… - Wyciągnąłem dłoń, chcąc go powstrzymać.

Chłopak odepchnął moją rękę i ten gest sprawił, że Cole poruszył się niespokojnie.

- Nie kłam. Wiem, że to ty. Wiem to.

Ułatwił mi sytuację. Nie potrafiłem kłamać, ale w tym wypadku nie musiałem.

- To nie byłem ja. Nie mam z tym nic wspólnego.
- To odpowiedni moment, żeby przenieść waszą rozmowę na zewnątrz – rzucił sprzedawca.

Cole otworzył drzwi. Do środka wtargnęło rześkie nocne powietrze.

John złapał mnie za rękaw.

- Gdzie jest Grace? Dlaczego ze wszystkich ludzi na świecie wybrałeś akurat moja siostrę? Dlaczego Grace? Dlaczego właśnie one, ty popaprany…

Zobaczyłem to w jego twarzy albo usłyszałem w głosie, albo poczułem w dłoni zaciśniętej na mojej kurtce – w każdym razie zorientowałem się, co zamierza zrobić, i kiedy zamachnął się na mnie, uniosłem ramie i zablokowałem cios.

Nie mogłem zrobić nic więcej. Nie zamierzałem się z nim bić. Nie z takiego powodu. Niekiedy przełykał tak dużo smutku, że jego słowa zlewały się w bełkot.

- Okej, na zewnątrz, już! – zawołał sprzedawca. – Przenieście się na dwór! Żegnam! Miłego wieczoru!
- John – powiedziałem. Moje ramię pulsowało w miejscu, w którym wylądowała jego ręka. Adrenalina krążyła mi w żyłach, napędzana niepokojem chłopaka, napięciem Cole'a i moja własną gotowością do walki. – Przykro mi. Ale to nie pomoże.
- Pewnie, że nie – zripostował John i znowu próbował mnie zaatakować.

Cole nagle znalazł się pomiędzy nami.

- Pora na nas – oświadczył stanowczo. Nie był wyższy od żadnego z nas, a jednak nad nami górował. Popatrzył na mnie, oceniając reakcję. – Nie róbmy scen w sklepie.

John, przytrzymywany przez Cole'a na wyciągnięcie ręki, wpatrywał się we mnie intensywnie.

- Polubiłem cię, kiedy cię poznałem – wyznał. – Potrafisz w to uwierzyć?

Poczułem mdłości.

- Chodźmy – rzuciłem do Cole'a, a do sprzedawcy powiedziałem: - Jeszcze raz dzięki.

Cole ostrożnie odwrócił się plecami do Johna.

Drzwi już się za nami zamykały, gdy jeszcze dotarł do nas jego głos.

- Wszyscy wiedzą, co zrobiłeś, Samie Roth.

Nocne powietrze pachniało benzyną i dymem. Gdzieś niedaleko ktoś musiał rozpalić ognisko. Miałem wrażenie, że czuję wilka płonącego mi w trzewiach.

- Ludzie po prostu uwielbiają cię bić – zauważył Cole, wciąż nabuzowany energią.

Mój nastrój wpływał na usposobienie tego chłopaka i vice versa. Obaj byliśmy wilkami. Czułem się ożywiony i lekki. Volkswagen stał niedaleko, na skraju parkingu. Po stronie kierowcy zobaczyłem długą, bladą rysę po kluczykach. Przynajmniej wiedziałem już, że natknęliśmy się na Johna nie przez przypadek. Fluoroscencyjne światła sklepu odbijały się w lakierze. Żaden z nas nie wsiadł do środka.

- To musisz być ty – oznajmił nagle Cole. Otworzył drzwi od strony pasażera i stanął na progu auta, opierając się o dach i pochylając w moim kierunku. – To ty musisz poprowadzić wilki. Ja próbowałem, ale nie potrafię zachować ludzkich myśli po przemianie.

Spojrzałem na niego. Palce mnie mrowiły. Zapomniałem zabrać mleko ze sklepu. Wciąż myślałem o atakującym mnie Johnie, o interwencji Cole'a, o nocy żyjącej wewnątrz mnie. Nie potrafiłem zdecydować: „Nie, nie mogę tego zrobić". Jeszcze przez chwilę wszystko wydawało mi się możliwe.

Ochłonąłem i wtedy powiedziałem:

- Nie chcę tam wracać. Nie mogę tego zrobić.

Cole parsknął:

- Prędzej czy później i tak się przemienisz, Ringo. Nie jesteś całkowicie wyleczony. Równie dobrze możesz w międzyczasie zbawić świat.

Miałem ochotę powiedzieć: „Proszę, nie każ mi tego robić", ale jakie znaczenie miałoby to dla Cole'a, który sam odwalił najgorszą część roboty?

- Założyłeś, że będą mnie słuchać – rzuciłem.

Zdjął dłonie z dachu volkswagena. Ślady jego palców zniknęły z lakieru samochodu sekundę później.

- Wszyscy cie słuchamy, Sam. – Zeskoczył na asfalt. – Ty po prostu nie zawsze do nas mówisz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

GRACE

W sobotę Koenig przyjechał do domu Becka, żeby zabrać nas na półwysep.

Przez okna salonu obserwowaliśmy, jak zatrzymuje się na podjeździe. To było ekscytujące i paradoksalne, że zapraszamy go do domu po tym, jak tak długo próbowaliśmy unikać policji. Zupełnie jak Mowgli, który zaprosiłby Shere Khana na herbatę i ciasteczka. Koenig pojawił się pod domem Becka w samo południe, ubrany w świeżo odprasowaną rdzawoczerwoną koszulkę polo i dżinsy, chyba też wyprasowane. Przyjechał szarą furgonetką chevy, którą pewnie też wyprasował, bo wyglądał na zupełnie nową.

Zapukał do drzwi – było to oszczędne „puk, puk, puk, puk", które nie wiadomo czemu przypomniało mi śmiech Isabel – a kiedy Sam otworzył, zobaczyliśmy Koeniga stojącego na progu z dłońmi splecionymi w koszyczek, jakby czekał na randkę.

- Proszę wejść – powiedział Sam.

Funkcjonariusz wszedł do środka, nie zmieniwszy ułożenia dłoni. Wydawało mi się, że ostatnim razem widziałam go w innym życiu, gdy stał w takiej samej pozie przed nasza klasą, podczas gdy banda licealistów nękała go pytaniami na temat wilków. Olivia pochyliła się wtedy ku mnie i wyszeptała, że jest słodki. Teraz Koenig stał tu przede mną, a ona była martwa.

Olivia nie żyła.

Zaczynałam rozumieć to puste spojrzenie Sama, kiedy ktoś wspominał o jego rodzicach. Nie czułam zupełnie nic, kiedy myślałam: „Olivia nie żyje". Byłam znieczulona jak poznaczone bliznami nadgarstki Sama. Uświadomiłam sobie, że Koenig mnie zauważył.

- Cześć – przywitałam się.

Wziął głęboki oddech, jakby przygotowywał się do nurkowania. Wiele bym dała, żeby wiedzieć, o czym myśli.

- Cóż, a więc dobrze… - skomentował. – Oto jesteś.
- Tak – odpowiedziałam. – Oto jestem.

Z kuchni za moimi plecami wyszedł Cole, a policjant z zaskoczeniem ściągnął brwi. Chłopak uśmiechnął się do niego pewnym siebie uśmiechem. Po wyrazie twarzy Koeniga widać było, że go rozpoznał.

- Mogłem się spodziewać… - rzucił funkcjonariusz. Skrzyżował ramiona na piersi i zwrócił się do Sama. Niezależnie od tego, jaką pozycję przybierał, sprawiał wrażenie, że trudno byłoby go pokonać. – Czy pod twoim dachem żyją jeszcze jakieś inne zaginione osoby? Elvis? Jimmy Hoffa? Amelia Earhart? Wolałbym o tym wiedzieć, zanim przejdziemy dalej.
- To by było na tyle, o ile mi wiadomo – oświadczył Sam. – Grace chciałaby się z nami zabrać, jeśli to nie będzie problem.

Koenig zastanawiał się przez chwilę.

- A ty jedziesz z nami? – zapytał Cole'a. – Bo jeśli tak, to będę musiał zrobić miejsce w wozie. Poza tym czeka nas długa droga. Jeśli macie słabe pęcherze, na waszym miejscu przed wyjściem skorzystałbym z łazienki. – I to by było na tyle. Po ustaleniu podstawowych faktów – ja byłam wilkiem na pół etatu, a Cole zaginioną gwiazdą rocka – Koenig od razu przeszedł do rzeczy.
- Ja nie jadę – odpowiedział Cole. – Czeka mnie męska robota.

Sam rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Prawdopodobnie miało ono coś wspólnego z tym, że kuchnia znowu wyglądała jak kuchnia i Sam chciał, żeby tak pozostało.

Cole zachowywał się enigmatycznie. Kiedy nie pozował na ekstrawagancką gwiazdę, stawał się nadzwyczaj tajemniczy.

- Zabierz ze sobą telefon – przestrzegł Sama. – Na wypadek, gdybym chciał cie złapać.

Sam potarł palcami usta i podbródek, jakby sprawdzał, czy dobrze się ogolił.

- Nie spal domu – mruknął.
- Dobrze, mamusiu – obiecał Cole.
- Och, jedźmy już – zarządziłam.

To była dziwna wyprawa. Praktycznie w ogóle nie znaliśmy Koeniga, a on wiedział o nas tylko to, czego nie wiedział nikt inny. To utrudniało komunikację.

Funkcjonariusz był uprzejmy w bardzo bezosobowy sposób i nie byliśmy jeszcze pewni, czy jesteśmy mu za to wdzięczni. Trudno było być jednocześnie wdzięcznym i rozmownym.

Rozsiedliśmy się wszyscy troje na przedniej kanapie: Koenig, Sam i ja. Furgonetka pachniała odrobinę Dr Pepperem*. Policjant przekraczał dozwoloną prędkość o ponad dziesięć kilometrów na godzinę. Droga prowadziła na północny-wschód i wkrótce zostawiliśmy cywilizację daleko za sobą. Niebo nad nami było przyjazne, bezchmurne i błękitne. Wszystkie barwy wydawały się dodatkowo nasycone. Jeśli zima kiedykolwiek tu zakwitała, to miejsce już o niej nie pamiętało.

W którymś momencie Koenig przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Nie do końca przypominał mi tego policjanta, którego zapamiętałam. Młody facet wiozący nas na pustkowie w cywilnej furgonetce, ubrany w rdzawoczerwona koszulkę. Nie spodziewałam się, że na tym etapie będę musiał zaufać komuś takiemu. Sam ćwiczył gitarowe akordy na moim udzie.

„Pozory mogą mylić" – pomyślałam.

Wciąż milczeliśmy. Po jakimś czasie Sam zaczął mówić o pogodzie. Powiedział, że jest całkiem ładnie, ale Koenig zauważył, że w Minnesocie z pogodą nigdy nic nie wiadomo. Może zaskoczyć. Potem zapytał Sama, na jakie studia się wybiera, a chłopak wspomniał, że Karyn zaproponowała mu pełny etat w księgarni, więc rozważa tę opcję. Policjant stwierdził, że to żaden wstyd. Pomyślałam o zajęciach uniwersyteckich, o specjalizacjach i sukcesie, którego wyznacznikiem był kawałek papieru, i nagle zapragnęłam, żeby zmienili temat.

- Skąd się wziął u was St. Clair? – A jednak Koenig nie wytrzymał – musiał spytać.
- Cole? Beck go znalazł – wyjaśnił Sam. – To był przypadek charytatywny.
- Dla St. Claira czy dla Becka?
- Ostatnio sam się nad tym zastanawiam – odpowiedział mój chłopak.

Wymienili z Koenigiem znaczące spojrzenia. Z zaskoczeniem zauważyłam, że policjant traktuje go jak równego sobie, a w każdym razie jak dorosłego. Spędzałam z Samem tyle czasu na osobności, że reakcje innych ludzi na niego i na nas razem zawsze wydawały mi się zdumiewające. Trudno było sobie wyobrazić, że jeden gość może wywoływać tak wiele różnych uczuć. Zupełnie jakby po świecie chodziło czterdzieści wersji Sama. Zaczęłam się zastanawiać, czy istniało też czterdzieści różnych wersji Grace.

Wszyscy podskoczyliśmy, kiedy w moim plecaku – do którego zapakowałam ubranie na zmianę na wypadek, gdybym się przemieniła, i powieść, gdybym musiała wyglądać na zajętą – zadzwonił telefon Sama. Poprosił, żebym odebrała.

Zamarłam, kiedy nie rozpoznałam numeru na wyświetlaczu. Pokazałam go Samowi. Komórka nadal dzwoniła. Sam potrząsnął głową skonfundowany.

---

* Dr Pepper – amerykański bezalkoholowy napój gazowany w kolorze karmelu o smaku marcepana.

- Mam odebrać? – zapytałam, trzymając rozedrgany aparat w dłoni.
- Nowy Jork – powiedział Koenig, zerkając na komórkę. Przeniósł wzrok z powrotem na drogę. – To kierunkowy z Nowego Jorku.

Ta informacja nic Samowi nie powiedziała. Wzruszył ramionami.

Otworzyłam klapkę telefonu i przyłożyłam go do ucha.

- Halo?

Męski głos po drugiej stronie brzmiał lekko.

- Och… no tak. Halo. Czy mógłbym rozmawiać z Cole'em?

Sam zamrugał, patrząc na mnie i zrozumiałam, że też usłyszał to pytanie.

- To chyba pomyłka – powiedziałam.

Mój mózg natychmiast przetrawił, co to oznaczało. Cole użył telefonu Sama, żeby gdzieś zadzwonić. Do domu? Czy zrobiłby cos takiego?

Rozmówca dalej ciągnął niewzruszonym głosem, leniwym i śliskim jak topiąca się kostka masła.

- Nie, to raczej nie jest pomyłka. Ale rozumiem. Mówi Jeremy. Byliśmy razem w zespole.
- Z tą osobą, której nie znam? – upewniłam się.
- Tak – potwierdził Jeremy. – Chciałbym, żebyś przekazała coś Cole'owi St. Clairowi. Powiedz mu, że daję mu najlepszy prezent na świecie i wymagało to sporego wysiłku z mojej strony, więc będę wdzięczny, jeśli po rozdarciu opakowania nie wyrzuci zawartości.
- Słucham uważnie.
- Za osiemnaście minut prezent zostanie wyemitowany w audycji radiowej Vilkasa. Rodzice Cole'a też będą słuchać – zadbałem o to. Rozumiesz?
- Vilkas? Na jakiej to stacji? – zapytałam. – Nie żebym wiedziała, kim jest Cole, ale…
- Wiem o kogo chodzi – wtrącił Koenig, nie odrywając wzroku od drogi. – Rick Vilkas.
- To właśnie to – potwierdził Jeremy, który usłyszał słowa policjanta. – Ktoś tam ma znakomity gust muzyczny. Jesteś pewna, że Cole'a nie ma w pobliżu?
- Naprawdę go tu nie ma – zapewniłam.
- Powiedz mi coś. Kiedy ostatni raz widziałem naszego nieustraszonego bohatera Cole' St. Claira, nie był w najlepszym stanie. Właściwie to mógłbym powiedzieć, że był w najgorszym z możliwych stanów. Chcę tylko wiedzieć, czy jest szczęśliwy.

Zastanowiłam się, co wiem na temat Cole'a. zastanowiłam się nad tym, co to oznaczało, że miał przyjaciela, któremu tak bardzo na nim zależało. Chłopak nie zawsze musiał być zepsuty do szpiku kości, skoro ktoś z jego minionego życia dbał o niego tak bardzo. A może był tak wspaniały, kiedyś, że miał wiernego przyjaciela, który nadal mu towarzyszy. To jakoś zmieniło sposób, w jaki myślałam o Cole'u.

- Zmierza w tym kierunku – szepnęłam.
- A Victor? – drążył Jeremy.

Na to nie zareagowałam. Mój rozmówca też nic nie powiedział. Koenig włączył radio, ściszył dźwięk i zaczął szukać odpowiedniej stacji.

- Oni obaj umarli dawno temu – odezwał się w końcu Jeremy. – Widziałem to na własne oczy. Ach, czy kiedykolwiek obserwowałaś umierającego przyjaciela? Cóż… człowiek naprawdę może znieść śmierć wokół siebie. „Zmierza w tym kierunku". – Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że chłopak powtarza moją wcześniejszą odpowiedź. – To mi wystarczy. Powiedz mu, żeby posłuchał Vilkasa, jeśli możesz. Cole odmienił moje życie. Nie zapomnę o tym.
- Nie powiedziałam, że wiem, gdzie jest – zauważyłam.
- Wiem – skwitował Jeremy. – Tego też nie zapomnę.

Telefon zamilkł. Napotkałam wzrok Sama. Niemal letnie słońce świeciło mu w twarz tak jasno, że jego oczy stało się szokująco, niemal upiornie żółte. Zastanowiłam się, czy jego rodzice próbowaliby zabić brązowookiego albo niebieskookiego chłopca. Syna, który nie miałby wilczych oczu.

- Zadzwoń do Cole'a – poprosił Sam.

Wybrałam domowy numer Becka. Telefon dzwonił i dzwonił, i miałam już zrezygnować, gdy coś kliknęło w słuchawce i sekundę później usłyszałam:

- *Da?*
- Cole – powiedziałam – włącz radio.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

COLE

Kiedy to wszystko zaczynałem – a mówiąc „wszystko”, mam na myśli życie – samobójstwo wydawało mi się żartem. „Jeśli muszę jechać z tobą w tym samochodzie, podetnę sobie żyły nożem do masła”. Było to równie realne co jednorożec. Nie, jeszcze mniej realne. Było to równie realne co eksplozje wokół kojota z kreskówki. Każdego dnia setki tysięcy ludzi grożą, że się zabiją; rozśmieszają tym setki tysięcy innych ludzi, bo takie deklaracje, podobnie jak kreskówki, są zabawne i bez znaczenia. Znikają, jeszcze zanim zdąży się włączyć telewizor.

Potem samobójstwo traktowałem jak chorobę. Coś, co łapią inni ludzie, jeśli żyją w wystarczająco brudnym miejscu, żeby się zarazić. „To nie była przyjemna konwersacja przy stole, Cole”. I podobnie jak grypa, zabijało tylko najsłabszych. Jeśli byłeś podatny, nie mówiłeś o tym, żeby nie zniechęcać do siebie ludzi.

Dopiero w liceum samobójstwo stało się dla mnie możliwością. Nie taką jak: „Możliwe, że ściągnę sobie ten album, bo gitara brzmi tam tak genialnie, że aż chce mi się tańczyć”, ale taką, jak wtedy, gdy ktoś mówi, że w przyszłości zmotanie strażakiem albo astronautą, albo zaprzysiężonym rewidentem księgowym, który pracuje do późna weekend w weekend, podczas gdy jego żona bzyka się z kierowcą ciężarówki DHL-u. to zaczęło brzmieć prawdopodobnie, na zasadzie: „Może kiedy dorosnę, będę martwy”.

Moje życie było jak tort, który wyglądał dobrze na półce w cukierni, ale smakował jak solone trociny, kiedy próbowało się go zjeść.

Wyglądałem dobrze, kiedy śpiewałem. Koniec.

Potrzeba było „NARKOTIKI”, żeby samobójstwo stało się dla mnie celem. Nagrodą za świadczone usługi. W momencie, kiedy ludzie w Rosji, Japonii i Iowa wiedzieli już, jak wymawiać nazwę „NARKOTIKA”, wszystko miało dla mnie znaczenie i nic go nie miało, a ja byłem zmęczony próbami pojęcia, jak to możliwe, że oba te stwierdzenia są jednocześnie prawdziwe. Byłem wysypką, którą rozdrapywałem aż do krwi. Próbowałem robić to, co niemożliwe, tylko po to, żeby ostatecznie przekonać się, że to „niemożliwe” żyje we mnie. Samobójstwo stało się data ważności, dniem, po którym nie będę już musiał dłużej się starać.

Sądziłem, że przyjechałem do Minnesoty właśnie po to, żeby umrzeć.

O drugiej piętnaście po południu w audycji Ricka Vilkasa właśnie skończyła się pierwsza przerwa na reklamy. Vilkas był muzycznym bogiem, który ściągnął nas do studia, żebyśmy zagrali na żywo w jego programie, a potem poprosił mnie, żebym podpisał plakat dla jego żony, o której mówił, że chce się kochać tylko przy naszej piosence „Sinking Ship (Going Down)”. Więc napisałem: „Rozkołysz ten statek” pod swoim zdjęciem i dodałem autograf. Vilkas był jak powiernik, najlepszy kumpel do piwa, który przekazuje sekrety niskim głosem, szturchając cię łokciem w bok.

Teraz jego głos płynący przez głośniki w salonie Becka brzmiał intymnie:

- Wszyscy, którzy słuchają tego programu, wiedzą… do licha, wszyscy, którzy słuchają radia, wiedzą, że Cole St. Clair, lider „NARKOTIKI” i cholernie dobry autor piosenek, zaginął jakieś, ile… dziesięć miesięcy…? prawie rok temu. Gdzieś tam. Och, wiem, wiem… mój producent przewraca oczami. Mów, co chcesz, Buddy, może i był totalnym popaprańcem, ale ten gość wiedział, jak skomponować piosenkę.

I oto usłyszałem swoje nazwisko w radio. Byłem pewien, że pojawiło się tam mnóstwo razy w minionym roku, ale byłem tego świadkiem po raz pierwszy od zniknięcia. Czekałem, aż coś poczuję – ukłucie żalu, poczucie winy, cierpienie – ale nie. „NARKOTIKA” była niczym eks-dziewczyna, której zdjęcie nie wywoływało już żadnych emocji.

Vilkas kontynuował:

- Cóż, wygląda na to, że mamy pewne nowe informacje i możemy przekazać je jako pierwsi. Cole St. Clair nie umarł, moi drodzy. Nie jest też przetrzymywany przez gang fanek ani przez moja żonę. Otrzymaliśmy oficjalne oświadczenie od jego agenta, zgodnie z którym Cole St. Clair miał powikłania zdrowotne związane z nadużywaniem narkotyków – wyobrażacie sobie, że lider zespołu o nazwie „NARKOTIKA" mógłby mieć problem z nadużywanie nielegalnych substancji…? I że razem z kolegą z zespołu udał się na prywatne leczenie i odwyk poza krajem. Podobno wrócił już do Stanów, ale prosi, żeby zostawić go w spokoju, dopóki nie zastanowi się, co zrobić dalej ze swoim życiem. No i proszę, ludziska. Cole St. Clair. Żyje. Nie, nie, nie dziękujcie mi teraz. Podziękujecie mi później. Miejmy nadzieję, że znowu się zejdą i wyruszą w trasę. Uszczęśliwią tym moją żonę. Nie śpiesz się, Cole, jeśli nas słuchasz. Rock poczeka.

Vilkas puścił jedna z naszych piosenek. Wyłączyłem radio i potarłem usta dłonią. Nogi mi zdrętwiały od kucania przed wieżą.

Sześć miesięcy temu nie byłoby niczego gorszego na tym świecie. Wtedy pragnąłem tylko tego, żeby ludzie myśleli, iż zaginąłem lub jestem martwy. Bardziej pragnąłem chyba tylko śmierci.

Isabel siedząca na kanapie za mną powiedziała:

- A więc oficjalnie się odrodziłeś.

Z powrotem włączyłem radio, żeby złapać końcówkę piosenki. Spojrzałem na wnętrze dłoni leżącej na moim kolanie i poczułem, jakby spoczywał na nim cały świat. Poczułem się tak, jakbym wyszedł z więzienia. Po raz pierwszy w życiu poczułem ukojenie.

- Tak – przyznałem jej rację. – Na to wygląda.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

SAM

Gdy tylko zobaczyłem wybrany obszar na półwyspie, wiedziałem, że to strzał w dziesiątkę.

Na teren wchodziło się przez bramę z grubo ciosanych belek, z wypalonym w drewnie napisem „KNIFE LAKE LODGE". Po obu stronach ciągnęło się ogrodzenie przypominające palisadę. Koenig zaklął cicho, próbując sobie przypomnieć kombinacje zamka przy bramie, a gdy ją wreszcie otworzył, zwrócił naszą uwagę na następujący za palisadą drut obwiązany wokół rosnących co metr wiecznie zielonych drzew. Był uprzejmy i rzeczowy jak agent nieruchomości pokazujący potencjalnym klientom kosztowny kawałek ziemi.

- Jak to wygląda nad brzegiem? – zapytałem.

Grace zabiła komara. Było ich tu mnóstwo pomimo chłodu. Cieszyłem się, że przyjechaliśmy tak wcześnie, bo już o tej porze wydawało się, że powietrze miało zęby.

Koenig pociągnął za drut, który mocno trzymał się sosny o poszarpanej korze.

- Półwysep wcina się kilkadziesiąt metrów w głąb jeziora. Wspominałem już o tym? Chcielibyście to zobaczyć na własne oczy?

Nie byłem pewien, czy chcę. Właściwie to nie wiedziałem, czego szukam. Drozd nad moja głową nawoływał nieprzerwanie, niczym wprawiona w ruch zardzewiała huśtawka. Kawałek dalej usłyszałem drugiego ptaka, którego śpiew rozbrzmiewał wielokrotnie powtórzoną literą „r". Z innej strony lasu dobiegł mnie lament kolejnego. Tak zagęszczone, nakładające się na siebie warstwy ptasich treli można było usłyszeć tylko na terenach nieskażonych aktywnością człowieka. Stojąc w tym starym lesie iglastym, wyczułem stado jeleni, skradające się bobry i małe gryzonie pod kamienista glebą. Już dawno nie czułem się tak bardzo wilkiem. W moich żyłach zaczęło krążyć nerwowe podniecenie.

- Ja bym chciała – oznajmiła Grace. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko.
- Po to tu jesteśmy – powiedział Koenig i swoim zwykłym pewnym krokiem wszedł pomiędzy drzewa. – Nie zapomnijcie sprawdzić, czy nie macie kleszczy, gdy już skończymy.

Poszedłem za nimi, zadowolony, że Grace troszczy się o ważniejsze kwestie, podczas gdy ja mogę wędrować przez las i wyobrażać sobie, jak wyglądałoby życie przesiedlonej tu sfory. Te knieje były gęste i trudne do pokonania, ziemię porastały paprocie zasłaniające kamienie i doły. Płot wystarczał, by utrzymać z dala duże zwierzęta, więc w przeciwieństwie do lasu Boundary nie było tutaj naturalnych ścieżek wydeptanych w poszyciu. Wilkom nie będzie tu grozić konkurencja. Żadnych niebezpieczeństw. Koenig miał rację. Jeśli musimy je przesiedlić, nie znajdziemy lepszego miejsca.

Grace wróciła po mnie i mocno chwyciła mnie za łokieć. Narobiła przy tym tyle hałasu, że dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, ja bardzo zostałem w tyle.

- Sam – powiedziała bez tchu, jakby myślała o tym samym co ja. – Widziałeś domek?
- Patrzyłem na paprocie – przyznałem.

Złapała mnie za ramie i roześmiała się czystym, wesołym śmiechem, jakiego nie słyszałem od bardzo dawna.

- Paprocie… - powtórzyła i uścisnęła moją rękę. – Wariacie, chodź tutaj.

Trzymanie się za ręce wydawało się dziwne i nierealne, kiedy robiliśmy to w obecności Koeniga. Może dlatego, że to była pierwsza rzecz, na jaką zwrócił uwagę, kiedy doszliśmy na polanę, na której stał wspomniany domek. Policjant założył na głowę baseballówkę, która miała go ochronić przed końskimi muchami. Jakimś cudem z tym nowym elementem garderoby wyglądał jeszcze bardziej formalnie. Stał

przed wejściem do wyblakłej chaty, która wydała mi się ogromna. Mnóstwo okien i z grubsza ociosanych belek. Tak musieli sobie wyobrażać Minnesotę turyści.

– To jest ten „domek”? – spytałem zdziwiony.

Koenig odgarnął kamyki i śmieci z betonowego podestu przed budynkiem.

– Tak. Kiedyś był znacznie ładniejszy.

Spodziewałem się… nie, nawet się nie spodziewałem, zaledwie miałem n a d z i e j ę , że znajdzie się tu jakiś maleńki pawilon, pozostałość po dawnym ośrodku wypoczynkowym, w którym członkowie sfory mogliby znaleźć schronienie, gdy staną się ludźmi. Kiedy Koenig użył słów „dawny kurort” nie sądziłem, że miał na myśli luksusowe warunki. Założyłem, że to tylko lekko upiększona opowieść o nieudanym rodzinnym biznesie. Ten dom musiał być imponujący, kiedy go zbudowano.

Grace odłączyła się ode mnie, żeby lepiej się wszystkiemu przyjrzeć. Zajrzała przez zakurzone okno, przykładając dłonie do szyby. Winorośl pnąca się po ścianie domu musnęła czubek jej głowy, gdy stała po kostki w chwastach, które wyrastały z pęknięć w betonowym podeście i podmurówce. W porównaniu z otoczeniem wyglądała bardzo schludnie: czyste dżinsy, jedna z moich kurtek, blond włosy rozsypane na ramionach.

– Wygląda całkiem przyjemnie – skomentowała, czym jak zawsze mnie ujęła.

Najwyraźniej swoją oceną ujęła również Koeniga. Gdy policjant zorientował się, że w jej głosie nie czai się sarkazm, z zapałem pokiwał głową.

– Też tak myślę. Ale nie ma tu już prądu. Można by podłączyć zasilanie, ale wtedy inkasenci przyjeżdżaliby raz w miesiącu, żeby odczytywać stan liczników.

Grace, z twarzą wciąż przyciśniętą do szyby, rzuciła:

– Och, to brzmi jak początek horroru. Tam jest wielki kominek, prawda? Dałoby się tu mieszkać bez prądu, gdybyśmy byli wystarczająco sprytni.

Stanąłem obok niej i też zajrzałem do środka. Zobaczyłem duży mroczny salon zdominowany przez ogromne palenisko. Wszystko wokół było szare i sprawiało wrażenie porzuconego: bezbarwne dywany pokryte gruba warstwą kurzu, martwa roślinka w doniczce, nadgryzione zębem czasu poroże jakiegoś zwierzęcia, trudnego do zidentyfikowania ze starości. To było niczym porzucone hotelowe lobby, fotka z Titanica spoczywającego na dnie oceanu. Pomyślałem, że mniejszy dom byłby łatwiejszy do zagospodarowania.

– Czy mogę się rozejrzeć po reszcie terenu? – zapytałem, odsuwając się od okna.

Delikatnym ruchem odciągnąłem Grace od bluszczu – był trujący.

– Nie krępuj się – powiedział Koenig. Ale po chwili milczenia zagadnął mnie: - Sam?

W jego głosie zabrzmiała nutka ostrożności i pomyślałem, że nie spodoba mi się to, co za chwilę usłyszę.

– Tak, sir? – zapytałem. To „sir” wymknęło mi się bezwiednie. Może przez to, w jaki sposób wymówił moje imię?

– Geoffrey Beck jest twoim legalnym przybranym ojcem, zgadza się?

– Tak – potwierdziłem. Serce aż szarpnęło mi się w piersi na to pytanie, nie dlatego, że moja odpowiedź była kłamstwem, tylko dlatego, że nie rozumiałem, dlaczego policjant mnie o to pyta. Może zmienił zdanie co do pomagania nam. Starałem się, żeby mój głos zabrzmiał nonszalancko: - Czemu to pana interesuje?

– Zastanawiam się, czy to, co ci zrobił, było przestępstwem – oznajmił Koenig.

Mimo że staliśmy pośrodku pustkowia w sercu Minnesoty, natychmiast zrozumiałem, co miał na myśli. Chodziło mu o mnie, przyszpilonego do ziemi przez zwierzęta, leżącego w zaspie śniegu przed domem, czującego na twarzy gorący wilczy oddech.

Teraz serce naprawdę waliło mi młotem. Może policjant nigdy nie zamierzał nam pomóc. Może cała ta wyprawa i wszystkie rozmowy były tylko po to, żeby zebrać dowody obciążające Becka? Skąd mogłem wiedzieć, o co mu chodzi? Poczułem, że się rumienię. Może byłem naiwny, myśląc, że ten gliniarz pomoże mi tak chętnie i bezinteresownie?

Wytrzymałem wzrok Koeniga, chociaż puls mi przyspieszył.

- Nie mógł wiedzieć, że moi rodzice będą próbowali mnie zabić.
- Ach… ale to sprawia, że jego czyn staje się jeszcze wstrętniejszy. Przynajmniej ja tak uważam – zripostował funkcjonariusz tak szybko, że chyba musiał spodziewać się tego argumentu. – Gdyby nie próbowali cię zabić i nie usunęliby się z drogi, co wtedy by zrobił? Porwał cię? Czy walczyłby o ciebie, gdyby mu tego nie ułatwili?

Grace przerwała jego rozważania:

- Nie można oskarżać kogoś o coś, co mógłby zrobić.

Zerknąłem na nią. Zastanawiałem się, czy myśli o tym samym.

Koenig ciągnął dalej:

- Ale kazał tym dwóm wilkom zaatakować Sama z zamiarem zrobienia mu krzywdy.
- Nie krzywdy – wymamrotałem, jednak odwróciłem wzrok.
- Uważam to, co ci zrobił, za krzywdę – powiedział poważnie policjant. – Grace, czy zbliżyłabyś się do czyjegoś dziecka, żeby je ugryźć?

W odpowiedzi tylko się skrzywiła.

- A ty, Sam? Nie? To, że większość ludzi nie wie, co tak naprawdę zrobił ci Geoffrey Beck, nie oznacza, że to nie była napaść.

Z jednej strony wiedziałem, że ma rację, ale z drugiej strony mowa była o Becku, którego znałem, o Becku, który sprawił, że byłem tym, kim byłem. Jeśli Grace uważała, że jestem dobrym i hojnym człowiekiem, to tylko dlatego, że nauczyłem się tego od mojego opiekuna. Gdyby był potworem, z pewnością ja też stałbym się potworem na jego obraz i podobieństwo. Przez wszystkie te lata znałem fakty związane z moim przyłączeniem się do sfory. Powoli jadący samochód, wilki, śmierć Sama Rotha, syna rodziców z klasy średniej zamieszkałych w Duluth, z których jedno pracowało na poczcie, a drugie w biurze, wykonując pracę, która dla siedmiolatka wyglądała jak „nic-nie-robienie". Gdy patrzyłem wstecz, uświadamiałem sobie, że atak wilków na mnie nie był przypadkowy. Jako dorosła osoba wiedziałem, że stał a tym Beck. Że on to z a p l a n o w a ł - to było tak trafnie dobrane słowo, że trudno je było zastąpić innym, o łagodniejszym znaczeniu.

- Czy zrobił ci coś jeszcze, Sam? – zapytał Koenig.

Przez długą chwile nie miałem pojęcia, co miał na myśli. Ale potem poderwałem głowę i wykrzyknąłem:

- Nie!

Policjant spoglądał na mnie z wyrzutem. Nienawidziłem go w tamtym momencie za to, że odbierał mi moje wspomnienia Becka, ale jeszcze bardziej nienawidziłem Becka za to, że tak łatwo można było mi go odebrać.

- Proszę przestać – powiedziałem. – Po prostu proszę przestać. Dobrze?

Grace wtrąciła łagodnie:

- Beck jest teraz wilkiem. Myślę, że bardzo trudno byłoby panu postawić go w stan oskarżenia, a nawet gdyby to się udało, to on już odsiaduje wyrok.
- Przepraszam. – Koenig uniósł ręce w geście poddania, jakbym celował do niego z pistoletu. – Umysł gliniarza. Masz rację. Ja po prostu… nieważne. Bardzo trudno jest przestać o tym myśleć, kiedy się już zacznie. O twojej historii. O historii sfory. Chcesz wejść do domu? Ja i tak

muszę na moment zajrzeć do środka, żeby się upewnić, że nie ma tam niczego, po co mógłby chcieć wrócić jakiś członek mojej rodziny.

- Najpierw wolałbym się przejść po okolicy – powiedziałem. Czułem ulgę, że Koenig jednak okazał się tym, za kogo go braliśmy. Cały ten plan wydawał się taki niepewny… - Jeśli mogę.

Policjant skinął głową, wciąż z wyrazem skruchy na twarzy. Złapał za klamkę. Drzwi ustąpiły bez protestu. Funkcjonariusz nie patrzył w naszą stronę, wchodząc do środka.

Kiedy zniknął w głębi, ruszyłem na tyły domu, a Grace wyskubała kleszcza z nogawki spodni, zmiażdżyła go paznokciem i podążyła za mną. Nie wiedziałem, gdzie konkretnie chcę pójść – dalej przed siebie, głębiej w dzicz czy może do jeziora. Ścieżka z desek zaprowadziła nas jakieś trzydzieści metrów od domu i z powrotem w głąb lasu, zanim ustąpiła miejsca paprociom i cierniom. Nasłuchiwałem ptaków i dźwięków naszych stóp. Popołudniowe słońce malowało wszystko wokół odcieniami złota i zieleni. W obliczu otaczającej mnie natury czułem się niewielki i nieistotny.

- Sam, to może się udać - zaczęła Grace.

Nie patrzyłem na nią. Myślałem o kilometrach dzielących to miejsce od domu Becka, który już zdawał się być smutnym wspomnieniem.

- Ten „domek” jest straszny.
- Można go wysprzątać – nie poddawała się dziewczyna. – To może się udać.
- Wiem – powiedziałem. – Wiem, że może.

Natknęliśmy się na skalne rumowisko, złożone z ogromnych sterczących skał oraz głazów płaskich jak otoczaki i większych od mojego samochodu. Grace zatrzymała się tylko na chwilę, po czym podjęła wspinaczkę. Wgramoliłem się za nią i razem stanęliśmy na wzniesieniu. Wciąż nie byliśmy wystarczająco wysoko, żeby zobaczyć czubki drzew. Poczułem szum w uszach i miałem wrażenie, że ziemia lekko się porusza, co zawsze jest dowodem na to, że jest się odrobinę bliżej nieba niż wcześniej. Nie widziałem tak wysokich sosen w Mercy Falls. Jedno z drzew wyrastało ze szczytu skalnego rumowiska i Grace z namysłem przesunęła palcami po jego pniu.

- Jesteś taka piękna…

Zamilkła, a jej dłoń spoczęła na korze, gdy zadarła głowę, żeby zobaczyć czubek sosny. Było coś uroczego w kształcie jej rozchylonych w zdumieniu warg oraz w linii pleców i nóg. Jakby na szczycie tej góry kamieni pośrodku pustkowia czuła się jak w domu.

- Sprawiasz, że kochanie cię jest bardzo łatwe – szepnąłem tkliwie.

Grace oderwała się od drzewa i zwróciła ku mnie. Poruszyła głową na boki, jakbym zadał jej zagadkę, którą musiała rozwiązać.

- Dlaczego jesteś taki smutny?

Włożyłem ręce do kieszeni i spojrzałem na ziemie u naszych stóp, ozdobioną tuzinem rozmaitych odcieni zieleni. Jako wilk nie odróżniłbym ani jednego.

- To jest odpowiednie miejsce. Ale to będę musiał być ja, Grace. Tego chce Cole. Nie możemy wyłapać wszystkich wilków i mamy za mało ludzi, żeby je przewieźć. Jedyna szansa, jaką mamy, to je poprowadzić i musi to zrobić wilk z ludzkim wyczuciem kierunku. Chciałem, żeby Cole to zrobił. To byłoby fair. Na logikę to powinien być on. Lubił być wilkiem. Gdyby na świecie była sprawiedliwość, to on by je poprowadził. Ale nie. Bo jako wilk nie potrafi zatrzymać ludzkich myśli. Chciał, ale mu się nie udało.

Grace oddychała powoli i ostrożnie. Milczała chwilę.

- Przecież ty już nawet się nie przemieniasz – zauważyła w końcu.

Znałem rozwiązanie tego problemu.

- Cole może to wywołać.

Wyciągnęła jedną z moich rąk z kieszeni i ujęła moje skurczone palce w swoja dłoń. Kciukiem wyczułem jej puls, lekki i miarowy.

- Zacząłem brać to za pewnik – powiedziałem, przesuwając palcami po jej skórze. – Zacząłem myśleć, że nigdy więcej nie będę tego robił. Zacząłem lubić osobę, którą jestem.

Miałem ochotę jej powiedzieć, jak bardzo nie chcę się znowu przemieniać, jak bardzo nawet nie chcę myśleć o przemianie. Jak wreszcie zacząłem myśleć o sobie w czasie teraźniejszym, o możliwościach i przyszłości, zamiast życia zakonserwowanego. Ale nie ufałem własnemu głosowi. Wyznanie moich pragnień i lęków nie sprawiłoby, że moja misja stałaby się łatwiejsza. Więc milczałem.

- Och, Sam – westchnęła. Objęła mnie za szyję i pozwoliła, żebym wtulił w nią twarz. Błądziła palcami po moich włosach. Usłyszałem, jak ciężko przełyka ślinę… - Kiedy wreszcie my…

Ale nie dokończyła. Tylko przycisnęła mnie do siebie mocno. Pocałowałem ją w obojczyk. Jej włosy łaskotały mnie w twarz. Znowu westchnęła.

Dlaczego to wszystko przypominało pożegnanie?

W otaczającym nas lesie było głośno: ptaki śpiewały, woda chlupotała, wiatr szeptał wśród liści. To był oddech lasu. Był taki, zanim przyjechaliśmy, i nie zmieni się, gdy odjedziemy. Ten świat składał się z wielu ściegów prywatnych niewypowiedzianych smutków, a nasze były tylko jeszcze jednym szlaczkiem w całej robótce.

- Sam… - Koenig stał u podnóża rumowiska. Grace i ja odsunęliśmy się od siebie. W ustach poczułem jej włos. Usunąłem go. – Twój telefon dzwoni i odrzuca połączenie, zanim można nagrać wiadomość. Jest tu zbyt kiepski zasięg, żeby ktoś się przebił. To był twój domowy numer.

Cole…

- Powinniśmy wracać – zarządziła Grace. Ruszyła w dół z tą samą pewnością siebie, z jaką się tu wspięła. Stanęła obok Koeniga i przez chwilę razem przyglądali się skałom i otaczającym je drzewom, dopóki do nich nie dołączyłem.

Funkcjonariusz skinieniem głowy wskazał na otaczające nas lasy.

- I co myślicie?

Spojrzałem na Grace, więc Koenig zrobił to samo. Ona tylko pokiwała głową.

- Ty też? – zapytał mnie policjant.

Uśmiechnąłem się smutno.

- Tak myślałem. – Policjant się ucieszył się. – To dobre miejsce, żeby się zgubić.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

COLE

W ciągu zaledwie godziny zadzwoniłem na komórkę Sama tyle razy, co do Isabel w ciągu dwóch miesięcy. Efekt był ten sam. Nic. Mogłem odebrać to osobiście, ale chciałem myśleć, że czegoś się już w życiu nauczyłem. Cierpliwość była cnotą.

Ale nigdy nie należała do moich mocnych punktów.

Znów zadzwoniłem do Sama. Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił, Az zaczęło mi się wydawać, że każdy kolejny sygnał jest dłuższy.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Włączyłem muzykę, niestety, nawet piosenki brzmiały dla mnie tak, jakby odtwarzały się w zwolnionym tempie. Irytował mnie każdy refren. Miałem wrażenie, jakbym słuchał go już milion razy wcześniej.

Znów zadzwoniłem do Sama.

Nic z tego.

Potruchtałem schodami z piwnicy do kuchni. Pozmywałem po sobie, a w duchu szczodrobliwości i po to, żeby się czymś zająć, dodatkowo użyłem mokrego papierowego ręcznika, żeby przetrzeć kuchenny blat. Zebrałem małą piramidkę z rozsypanych drobinek kawy i okruchach po tostach.

Kolejny telefon do Sama. Więcej sygnałów.

Pobiegłem z powrotem do piwnicy, a potem wróciłem do swojej sypialni. Przetrząsnąłem wszystkie notatki związane z eksperymentami, jakie zgromadziłem w ciągu ostatnich kilku miesięcy, choć tak naprawdę niczego nie potrzebowałem. Chciałem tylko zająć czymś ręce. Moje stopy poruszały się niezależnie od tego, czy stałem, czy siedziałem, więc równie dobrze mogłem stać.

Znowu wybrałem jego numer.

„Dryń, dryń, dryń, dryń. Dryń, dryń. Dryń, dryń".

Złapałem spodnie od dresu i T-shirt, zaniosłem je do piwnicy i położyłem na fotelu. Zastanawiałem się, czy nie powinienem przynieść jeszcze koszulki z długim rękawem albo swetra. Nie. T-shirt wystarczy. Czy nie? Może jednak sweter. W końcu wyciągnąłem z szuflady bluzę od dresu.

Zadzwoniłem do Sama.

Nic. N i c . Gdzie on do licha był?!

Zanotowałem parę myśli w dzienniku Becka, który teraz należał do mnie. Zszedłem z powrotem do piwnicy. Sprawdziłem termostat. Podkręciłem go na maksa. Przyniosłem też grzejniki z garażu. Znalazłem gniazdka w ścianach piwnicy i tam je podłączyłem. Teraz było tu gorąco jak w piecu. Ale nie wystarczająco gorąco. W tych czterech ścianach musiało królować lato.

Znów wybrałem numer.

Dwa sygnały, trzy…

- Cole, co się dzieje?

To był Sam. Jego głos brzmiał niewyraźnie przez zakłócenia, ale to naprawdę był on.

- Sam! – rzuciłem z rozdrażnieniem w głosie, bo miałem do tego prawo. Spojrzałem na ciało wilka leżące u moich stóp. Działanie środków uspokajających zaczynało słabnąć. – Złapałem Becka!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

SAM

Dopóki nie usłyszałem, że Cole złapał Becka, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że dziś wypada „Chiński Dzień".

Bardzo długo wierzyłem, że „Chiński Dzień" to prawdziwe święto. Każdego roku w maju tego samego dnia Urlik, Paul albo ktoś inny, kto akurat miał czas, zabierał mnie i Shelby na cały dzień świętowania – baloniki, wizyty w muzeach, jazdy testowe ekskluzywnymi samochodami, których nie zamierzaliśmy kupić, a na koniec epicki posiłek w „Fortune Garden" w Duluth. Jadłem tam tylko sajgonki i ciasteczka z wróżbą, ale mimo wszystko była to moja ulubiona restauracja, bo kojarzyła mi się z dniem zabawy. Zawsze kończyliśmy z tuzinem pudełek na wynos, które potem tygodniami stały w lodówce. Wracaliśmy do domu długo po zapadnięciu zmroku, zatrzymywaliśmy się na podjeździe, a mnie trzeba było niemal zanosić na górę do łóżka, taki byłem zmęczony.

Beck nigdy z nami nie jeździł. Paul co roku miał dla niego inną wymówkę: „Musi pracować i chce mieć cały dom dla siebie" albo „Późno położył się spać", albo „Nie obchodzi «Chińskiego Dnia»". Nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem. Zwykle działo się mnóstwo innych rzeczy, które przykuwały moja uwagę. Prawda była taka, że byłem mały i egocentryczny, jak to dzieci, nie zastanawiałem się nad tym, co robią moi opiekunowie, kiedy nie przebywam z nimi. Łatwo mi było wyobrazić sobie Becka choćby ciężko pracującego w domowym gabinecie.

Przez lata obchodziliśmy „Chiński Dzień" jak gdyby nigdy nic. Wstawaliśmy o świcie i wyruszaliśmy z domu. Kiedy trochę dorosłem, zacząłem dostrzegać więcej szczegółów, których wcześniej nie zauważałem. Gdy wychodziliśmy, Urlik albo Paul zawsze wyłączali telefon i zamykali frontowe drzwi, jakby nikogo nie było w środku.

Gdy miałem trzynaście albo czternaście lat, nie zasypiałem już tak od razu po powrocie, choć zazwyczaj udawałem, że jestem senny, żeby móc zaszyć się w swoim pokoju z nową książką. Wykradałem się wtedy z sypialni tylko na siku, zanim w końcu naprawdę gasiłem światło. Ale któregoś roku, gdy wyszedłem z pokoju, usłyszałem hałas, który mnie zaniepokoił. Wciąż nie pamiętam, co w tym dźwięku sprawiło, że zatrzymałem się w korytarzu. Może po prostu brzmiał obco, nie na miejscu.

Po cichu minąłem łazienkę i zbliżyłem się do uchylonych drzwi sypialni Becka. Zawahałem się, nasłuchując i zerkając za siebie, żeby upewnić się, że n ikt mnie nie widzi. Zrobiłem jeszcze krok i zajrzałem do środka.

Mała lampka na stoliku nocnym słabo oświetlała pokój. Na podłodze stał talerz z wciąż nietkniętą kanapką i brązowiejącymi cząstkami jabłka, a obok kubek kawy z obrzydliwym kręgiem na obrzeżach, gdzie mleko oddzieliło się od reszty napoju. Przy łóżku, na podłodze, tyłem do wejścia, siedział Beck. W jego postawie było cos szokującego, coś, czego nigdy nie zapomniałem. Kolana miał przyciągnięte do piersi jak mały chłopiec, a dłonie splecione za głową, którą z kolei przyciągał do piersi, jakby chronił się przed nadchodzącym ciosem.

Nie rozumiałem, co się dzieje. I wtedy znowu usłyszałem ten cichy dźwięk, a potem zobaczyłem, jak trzęsą mu się ramiona. Nie, nie ramiona, lecz całe ciało. Usłyszałem urywany, tłumiony szloch kogoś, kto płacze już wielu godzin i oszczędza siły na kolejne.

Byłem zdumiony, że Beck kryje w sobie takie cierpienie. Nigdy o tym nie wiedziałem, nigdy bym tego nie zgadł. Później odkryłem, że to nie był jedyny sekret mojego opiekuna. Choć może był to ten najlepszy skrywany.

Zostawiłem Becka na górze z jego bólem i zszedłem na parter, żeby odnaleźć Urlika, który siedział przed telewizorem w salonie i apatycznie skakał po kanałach.

– Co mu jest? – zapytałem po prostu.

I tak dowiedziałem się o żonie Becka i o tym, że zmarła właśnie tego dnia, w maju, dziewięć lat wcześniej. Tuz zanim zostałem ugryziony. Wtedy nie połączyłem ze sobą poszczególnych faktów, a nwet jeśli, to nie było dla mnie ważne. Nie liczyło się.

Dopiero teraz nabrało znaczenia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

SAM

Ledwie zdążyliśmy wjechać na podjazd, gdy znowu zadzwoniła moja komórka. Koenig nawet nie zawracał sobie głowy parkowaniem. Zahamował, zerknął na zegarek, a potem w lusterko wsteczne.

- Wejdzie pan do środka? – zaprosiła go Grace, zaglądając do wnętrza samochodu.

Nie pomyślałem o tym, że mógłby chcieć wejść.

- Nie, dzięki – odpowiedział funkcjonariusz. – Cokolwiek się tam dzieje… Po prostu wolałbym o niczym oficjalnie nie wiedzieć. I jakby ktoś pytał, nie widzieliśmy się dzisiaj. Porozmawiasz później z rodzicami, prawda?

Grace pokiwała głową.

- Tak. Dzięki. Za wszystko.
- Tak, dziękujemy – potwierdziłem, choć takie wyrażenie wdzięczności nie wydawało mi się wystarczające.

Telefon wciąż dzwonił. Cole. Chciałem cos dodać, ale… Beck. W domu był Beck.

- Zadzwońcie do mnie później, kiedy podejmiecie ostateczną decyzję – poprosił policjant. – Sam… odbierz wreszcie ten telefon.

Grace zatrzasnęła drzwi auta i na pożegnanie dwa razy klepnęła w bok furgonetki.

- Już jestem – powiedziałem do telefonu.
- Zajęło ci to mnóstwo czasu – skwitował Cole. – Szedłeś na piechotę?
- Co? – zapytałem. Jaskrawe popołudniowe słońce przeświecało przez szczyty sosen. Musiałem zamrugać i odwrócić wzrok. Odniosłem wrażenie, że źle go zrozumiałem. – Jestem na podjeździe.

Cole milczał przez chwilę, po czym rzucił:

- I dobrze. Pośpiesz się, do cholery! Jeśli cię ugryzie, to będzie twoja wina!
- Czy ja chcę wiedzieć, co się tam dzieje? – zapytałem Cole'a.
- Możliwe, że źle wymierzyłem dawkę środków uspokajających. Okazuje się, że nie wszystko, co znajdziesz w Internecie, jest prawdą. Najwyraźniej wilki potrzebują więcej leku niż neurotyczne owczarki niemieckie.
- Jezu… - skomentowałem. – Więc Beck biega samopas po domu?

Głos Cole'a zabrzmiał odrobinę oschle:

- Chciałbym podkreślić, że już odwaliłem za ciebie najtrudniejszą część zadania. Wydostałem go z lasu. Więc ty możesz go wydostać ze swojej sypialni.

Nie rozłączając się, popędziliśmy do drzwi frontowych. W popołudniowym świetle okna zamieniły się w lustra pełne słońca. Kiedyś byłaby to pora obiadowa. Wszedłbym do domu pachnącego odgrzewanymi w mikrofalówce resztkami jedzenia, myśląc o czekającej na pracy domowej z algebry, przy dźwiękach zespołu „Iron Butterfly" ryczącego z głośników. Zobaczyłbym Urlika udającego, że gra na perkusji. Beck stwierdziłby: „Ktoś kiedyś powiedział, że Europejczycy mają świetny gust. Kimkolwiek był ten koleś, naprawdę się pomylił". Dom wydałby mi się po brzegi wypełniony ludźmi, więc uciekłbym do swojego pokoju w poszukiwaniu ciszy.

Teraz tęskniłem za tego rodzaju chaosem.

Beck. Beck był tutaj.

Cole syknął na mnie wściekły:

- Jesteś już w środku?! Boże błogosław Amerykę i wszystkich jej synów. Czemu trwało to tak długo?

Drzwi frontowe były zamknięte.

- Masz, pogadaj z Grace – uciąłem.
- Mamusia nie udzieli mi lepszej odpowiedzi niż tatuś – rzucił Cole.

Podałem jej telefon.

- Porozmawiaj z nim. Ja muszę wyciągnąć klucze. – Pogrzebałem w kieszeni, a potem otworzyłem drzwi.
- Cześć. Wchodzimy – mruknęła i rozłączyła się.

Zamrugałem, próbując przyzwyczaić oczy do panującego w domu półmroku. Czerwień zachodzącego słońca zalewała blaskiem meble w salonie. Nigdzie nie było śladu ani Cola'a, ani wilka. Becka nie było na górze, mimo ironicznej uwagi Cole'a na temat wyciągnięcia zwierzaka z mojej sypialni.

Telefon znowu zadzwonił.

- Jeezu – jęknęła Grace i podała mi komórkę.

Przyłożyłem ją do ucha.

- Piwnica – poinstruował chłopak. – Podążajcie za zapachem przypalonego mięsa.
- Okej – odparłem.

Drzwi do piwnicy były otwarte, a ze środka bił żar. Już na schodach było czuć wilkiem: był to zapach niepokoju, wilgotnego leśnego runa i kiełkujących wiosennych roślin. Gdy zszedłem na dół, do wypełnionego przyćmionym światłem pomieszczenia, żołądek skręcił mi się z nerwów. Cole stał przy schodach z ramionami skrzyżowanymi na piersi i kolejno wyłamywał sobie palce u rąk. W głębi zobaczyłem grzejniki, źródło duszącego upału.

- No, wreszcie – westchnął. – Piętnaście minut temu był znacznie bardziej przymulony. Czemu tak długo was nie było? Pojechaliście do Kanady, czy co? Musieliście wynaleźć silnik spalinowy przed powrotem?
- To była kilkugodzinna jazda – wyjaśniłem.

Spojrzałem na wilka. Leżał w poskręcanej pozycji, której nie przyjęłoby żadne w pełni przytomne zwierzę. Częściowo na boku, a częściowo na piersi. Kołysał głową, oczy miał na wpół przymknięte, uszy oklapłe.

Mój puls był płytki i szybki, niczym trzepot skrzydeł ćmy spalającej się w świetle żarówki.

- Mogliście jechać szybciej – zasugerował Cole. – Gliniarzom przecież nie wlepiają mandatów.
- Po co te grzejniki? – zapytałem. – Przecież to nie skłoni go do przemiany.
- Nie, ale może dzięki temu utrzyma się dłużej w ludzkiej formie – wyjaśnił Cole. – O ile wcześniej nie zostaniemy wszyscy zmasakrowani, a istnieje taka możliwość, jeśli będziemy dłużej zwlekać.
- Ciii – uciszyła nas Grace. – Robimy to czy nie, Sam?

Spojrzała na mnie, nie na Cole'a. To do mnie należała decyzja.

Kucnąłem przy niej, obok wilka. Gdy wyczuł moja obecność, stawy mu drgnęły i nagle zaczął reagować. Nadstawił uszu i przewrócił oczami, żeby na mnie spojrzeć.

Oczy Becka. Beck. Beck… Poczułem ból w sercu. Czekałem, aż mnie rozpozna, ale tak się nie stało. Tylko na mnie patrzył, a potem zaczął przebierać łapami, próbując zapanować nad otumanionym przez leki ciałem.

Nagle pomysł, żeby wstrzyknąć mu mieszankę epinefryny i Bóg jeden wie czego jeszcze, wydał mi się absurdalny. Ten wilk tkwił w swojej formie tak pewnie, że nigdy nie dałoby się wyciągnąć z niego Becka. Z

ludzkiego wcielenia zostały tylko oczy, za którymi nikt się już nie ukrywał. W mojej głowie pojawiły się słowa. Chciałem uciec myślami od tej chwili, a one mogły mi w tym pomóc:

Pustym domom nie potrzeba okien,
przecież nikt nie zagląda do środka.
Po cóż miałyby mieć jakieś okna,
skoro nikt przez nie nie wygląda.

A jednak myśl, że mógłbym znowu go zobaczyć, tylko zobaczyć, w ludzkiej formie, była tak bardzo kusząca… Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego pragnąłem. Jak bardzo tego potrzebowałem.

Cole kucnął obok nas ze strzykawką w dłoni.

– Sam? – mruknął, ale tak naprawdę patrzył na Grace. A ona zerkała na mnie.

Pomyślałem o tej chwili, kiedy oczy wilka napotkały mój wzrok. Jego spojrzenie pozbawione było jakiejkolwiek świadomości. Nie mieliśmy pojęcia, co próbujemy zrobić. Nie wiedzieliśmy, jaki efekt wywołają u niego narkotyki. Cole już raz źle ustalił dawkę benadrylu. A co, jeśli zawartość jego strzykawki zabije Becka? Czy będę mógł żyć z ta świadomością? Wiedziałem, jakiego wyboru dokonałbym – a właściwie dokonałem – w tej samej sytuacji. Mając do wyboru śmierć albo szansę na stanie się człowiekiem, podjąłem ryzyko. Ale ja miałem ten wybór. Mogłem powiedzieć „tak" lub „nie".

– Czekaj! – zawołałem.

Wilk zaczął stawać na nogi. Powoli podwinął górną wargę, odsłaniając kły w ostrzeżeniu.

I wtedy przypomniałem sobie coś innego. Ja wepchnięty w śnieżna zaspę, moje życie zamienione na życie wilka, trzask samochodowych drzwi, Beck planujący moje ugryzienie, odbierający mi wszystko. Nigdy nie miałem wyboru. Tamtego dnia, który mógł być po prostu kolejnym zwyczajnym dniem mojego życia, zostałem postawiony przed faktem. Beck podjął tę decyzję za mnie. Gdybym tym razem podjął decyzję za niego, to byłoby fair. Tamtego dnia nie było „tak" ani „nie". Teraz też nie było na to miejsca.

Chciałem, żeby się udało. Chciałem, żeby wrócił do swojego ciała, żebym mógł zażądać odpowiedzi na te wszystkie pytania, których mu nigdy nie zadałem. Chciałem zmusić go do przybrania ludzkiej postaci, żeby mógł po raz ostatni zobaczyć moja twarz i wyjaśnić mi, dlaczego to zrobił. Dlaczego ze wszystkich ludzi na tej planecie wybrał właśnie mnie? Dlaczego mnie? Dlaczego w ogóle kogoś? Dlaczego?! A jednocześnie paradoksalnie chciałem go znowu zobaczyć, żeby mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęsknię.

Chciałem tego.

Ale nie wiedziałem, czy on by tego chciał.

Spojrzałem na Cole'a:

– Nie. Nie, zmieniłem zdanie. Nie mogę tego zrobić. Nie jestem taka osobą.

Jego intensywne zielone oczy napotkały mój wzrok.

– Ale ja jestem – rzucił.

I szybko niczym wąż wbił igłę w udo wilka.

COLE

– Cole… - wybuchła Grace. – Jak mogłeś?! Nie mogę uwierzyć…

W tym momencie wilk drgnął i zatoczył się do tyłu. Dziewczyna zamilkła. Zwierzę miotało się w konwulsjach. Spazmy szarpały jego ciałem w rytm gwałtownie wzrastającego tętna. Nie dało się stwierdzić, czy jesteśmy świadkami jego śmierci czy odrodzenia. Kolejny dreszcz przetoczył się wzdłuż pleców

zwierzęcia, które poderwało łeb do góry w gwałtownym i nienaturalnym ruchu. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów wydostał się przeciągły, narastający skowyt.

To działało.

Pysk wilka rozwarł się w milczącej agonii.

Sam odwrócił głowę.

To działało.

W tej samej chwili pragnąłem tylko jednego – żeby mój ojciec stał obok i patrzył na to. Żebym mógł mu powiedzieć: „Patrz. Za każdy twój test, którego nie potrafiłem rozwiązać. Patrz. Dokonałem niemożliwego".

Ciałem wilka wstrząsnął kolejny spazm. Nagle Beck wydostał się ze swojej zwierzęcej skóry i w ludzkim ciele padł na wytarty dywan koło schodów. Leżał na boku, orząc palcami podłogę. Twarde jak postronki mięśnie napinały mu się na wystających kościach. Bezbarwne blizny znaczyły jego plecy, jakby zamiast skóry miał skorupę. Zafascynowało mnie to. to nie był człowiek, lecz rzeźba zwierzęcia w kształcie człowieka, wytrzymałego i stworzonego do polowania.

Sam stał z rękoma zwieszonymi po bokach ciała. Grace miażdżyła mnie rozwścieczonym spojrzeniem.

Ale ja patrzyłem tylko na Becka.

Na Becka.

Wyciągnąłem go z tego wilka.

Przesunąłem palcami po ścianie, aż znalazłem przełącznik przy schodach. Gdy żółte światło zalało piwnicę, padając na regały z książkami ciągnące się wzdłuż ścian, Beck drgnął i zasłonił oczy ramieniem. Jego skóra wciąż jeszcze trzęsła się i falowała, jakby nie była pewna, czy chce pozostać w obecnej formie. Przy tych wszystkich szumiących w piwnicy grzejnikach można się było udusić. Żar napierał tak mocno na moja własną skórę, że nie mogłem sobie teraz wyobrazić bycia kimkolwiek innym. Jeśli to piekło nie utrzyma Becka w ludzkiej postaci, to już nic nie zdoła.

Sam w milczeniu wspiął się po schodach, żeby zamknąć drzwi od piwnicy i wyeliminować przeciągi.

- Naprawdę masz szczęście, że to się nie skończyło źle – szepnęła Grace tak, żebym tylko ja to usłyszał.

Uniosłem brew, patrząc na nią, a potem przeniosłem wzrok z powrotem na Becka.

- Hej – zwróciłem się do niego – jak już się otrząśniesz, mam dla ciebie ubranie. Podziękujesz mi później.

Beck jęknął cicho, wydychając powietrze i zmieniając pozycję. Był to jęk, jaki ludzie wydają czasem bezwiednie, gdy coś naprawdę ich boli. Mężczyzna usiadł na ziemi w sposób, który wydawał się bardziej wilczy niż ludzki, i w końcu popatrzył na mnie.

Minęło wiele miesięcy od czasu, kiedy leżałem uwięziony w ciele, które sam doprowadziłem do ruiny.

„Jest jeszcze inna droga wyjścia z tego wszystkiego – powiedział wtedy Beck. – Mogę cię wydostać z tego świata. Mogę sprawić, że znikniesz. Mogę cię naprawić".

Miałem wrażenie, jakby minęło wiele lat od momentu, kiedy wstrzyknął mi wilczą toksynę. A teraz był tutaj. Cholernie dobry przykład na obecność karmy w przyrodzie: facet, który zmienił mnie w wilkołaka, był wilkiem, którego ja zmieniłem w człowieka.

Jednak po jego oczach wyraźnie było widać, że ludzkie myśli jeszcze mu nie wróciły. Skulił się w dziwnej, zwierzęcej pozycji – coś pomiędzy siadem a klękiem i obserwował mnie nieufnie. Ręce mu się trzęsły.

- Daj znać, kiedy mnie rozpoznasz – poprosiłem go.

Sięgnąłem po spodnie i bluzę od dresu, które wcześniej zostawiłem na fotelu, zwinąłem je w kulkę i rzuciłem w kierunku Becka. Wylądowały na ziemi przed nim, ale nie zwrócił na nie uwagi. Zerknął najpierw

na mnie, potem na półki za mną, a w końcu na sufit. Widziałem, jak zmienia się wyraz jego oczu, jak powoli pojawia się w nich świadomość. Jak wreszcie zaczyna rozumieć, że jest Beckiem-mężczyzną, a nie Beckiem-wilkiem.

W końcu z drżeniem naciągnął spodnie od dresu i odwrócił się do mnie. Bluzę zostawił na podłodze.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał cicho.

Uciekł wzrokiem, jakby nie spodziewał się, że znam odpowiedź; obserwował szeroko rozcapierzone palce własnych rąk. Przyjrzał im się uważnie z obu stron, najpierw grzbietom, potem wnętrzom dłoni. To był tak intymny gest, że aż zerknąłem w inną stronę. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się pogrzeb Victora.

– Cole… - wydusił ochrypłym głosem, po czym odchrząknął i spróbował znowu: - Jak to zrobiłeś?
– Adrenalina. – To była najprostsza odpowiedź. – I paru jej kumpli.
– Skąd wiedziałeś, że to zadziała? – zapytał, ale potem, zanim zdążyłem się odezwać, sam sobie odpowiedział: - Nie wiedziałeś. To był eksperyment.

Milczałem.

– Czy wiedziałeś, że ja to ja?

Nie było sensu kłamać.

Pokiwałem głową.

Beck podniósł wzrok.

– To dobrze, że wiedziałeś. Są w tym lesie wilki, które na zawsze powinny pozostać wilkami. – Nagle uświadomił sobie, że naprzeciwko mnie stoi Grace. – Grace – zaczął. – Sam… czy to podziałało? Czy on…
– Tak, udało się – szepnęła dziewczyna cicho, ciasno krzyżując ramiona na piersi. – Jest człowiekiem. Nie przemienił się od tamtego czasu.

Beck przymknął oczy i odchylił głowę. Opuścił ramiona. Zobaczyłem, jak przełyka ślinę. To była ulga w najczystszej postaci i ciężko było na to patrzeć.

– Czy jest tutaj?

Grace spojrzała na mnie.

Usłyszałem głos Sama dochodzący ze schodów.

Jeszcze nigdy nie brzmiał w ten sposób.

– Jestem tu.

SAM

Beck.

Nie mogłem zebrać myśli. Spadły po schodach i rozsypały się po podłodze.

On jest dłonią na moim ramieniu
opony samochodu syczące na wilgotnym chodniku
jego głos to narracja mojego dzieciństwa
zapach lasu docierający do podmiejskiej uliczki, gdzie mieszkałem
przejąłem jego charakter pisma
wilki
woła przez pół domu: „Sam, odrób pracę domową!”
napierający na mnie śnieg
„Poczekaj – powiedział. – Nie bój się. Wciąż jesteś Samem”.
rozdzierana skóra

moje nowe biurko pomieści wszystkie moje książki
Ja
moje spocone dłonie na kierownicy jego auta
nigdy
niekończące się wieczory przy grillu, wszystkie takie same
tego
„Jesteś najlepszym z nas, Sam”.
nie chciałem

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

GRACE

Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że Sam musi skonfrontować się z ojcem, żeby wyjaśnić wszystkie te sprzeczne emocje, które nim targają. Potem pomyślałam, że Cole musi omówić z Beckiem swoje eksperymenty naukowe, ale po chwili zrozumiałam, że chyba tylko ja pamiętam, z jakiego powodu tak naprawdę bezwzględnie musimy się z nim rozmówić.

- Beck – zaczęłam, czując się trochę dziwnie, że to ja przejmuje inicjatywę, ale żaden z chłopaków ewidentnie nie zamierzał tego zrobić, więc nie pozostało mi nic innego. – Przykro mi, że musimy ci zadawać pytania, gdy jesteś w takim stanie…

Było jasne, że cierpi. Cole zamienił go w człowieka, ale on z trudem utrzymywał się w ludzkiej formie. W powietrzu wciąż unosił się wilczy zapach i energia. Gdybym zamknęła oczy i użyła zmysłów, skupiając się na postaci Becka, wątpię, czy wyobraziłabym go sobie jako człowieka.

- Nie krępujcie się – zachęcił nas, przenosząc wzrok na Cole'a, a później na Sama, a w końcu znów na mnie.
- Tomowi Culpeperowi udało się zorganizować legalny odstrzał wilków z powietrza. Za tydzień. – Czekałam, aż ta informacja do niego dotrze, żeby zobaczyć, czy muszę tłumaczyć dalej.
- Cholera – mruknął Beck cicho.
- Myślimy o przeniesieniu sfory – ciągnęłam spokojnie. – Musimy wiedzieć, jak to zrobić.
- Mój dziennik… - Z niewiadomej przyczyny Beck na chwilę docisnął dłoń do ramienia i przytrzymał je, a potem puścił. Pomyślałam, że trudniej jest patrzeć na kogoś, kto cierpi, niż przechodzić przez to samemu.
- Czytałem go – wtrącił Cole. Podszedł bliżej. Zdawał się mniej zmartwiony stanem Becka niż ja. Może był przyzwyczajony do oglądania bólu innych ludzi. – Napisałeś, że Hannah je poprowadziła. Jak? Jak zdołała utrzymać cel wędrówki w głowie?

Beck zerknął na Sama, który wciąż stał w milczeniu na schodach, a potem odpowiedział:

- Hannah była jak Sam. Potrafiła zachowywać niektóre z ludzkich myśli, kiedy była wilkiem. Robiła to lepiej niż reszta z nas. Nie tak dobrze jak Sam, ale lepiej niż ja. Ona i Derrick stanowili zgrany duet. Derrick był dobry w wysyłaniu obrazów. Ona i Paul zgromadzili wilki. Derrick pozostał w ludzkiej formie. Wciąż utrzymywał w głowie obraz miejsca, do którego zmierzaliśmy i przekazywał go jej. Ona prowadziła wilki. On prowadził ją.
- Czy Sam mógłby to zrobić? – zapytał Cole.

Nie chciałam patrzeć na Sama. Wiedziałam, że Cole już uwierzył, iż jest to możliwe.

Beck ściągnął brwi, patrząc na mnie.

- Jeśli którekolwiek z was jest w stanie wysyłać mu obrazy, podczas gdy jesteście ludźmi…

Zerknęłam na Sama, ale jego twarz nie zdradzała żadnych myśli. Nie wiedziałam, czy te krótkie, niekontrolowane obrazy, jakie sobie wysyłaliśmy, się liczyły – jak wtedy, gdy pokazywał mi złoty las, kiedy jeszcze byłam mała, i kiedy ja wysyłałam mu obrazy nas razem wtedy w klinice, gdy chciałam wstrzyknąć mu zakażoną zapaleniem opon mózgowych krew. Te obrazy były intymne. Znajdowaliśmy się blisko siebie. To nie było to samo, co rzucanie obrazów z okna samochodu w trakcie ucieczki z lasu. Utrata Sama i jego powrót do wilczej formy dla zrealizowania planu tak niepewnego jak ten… nie mogłam znieść myśli o tym. Walczyliśmy tak zaciekle, żeby pozostał w tym ciele. Tak bardzo nienawidził tracić siebie.

- Moja kolej – oznajmił Beck. – Moja kolej na zadawanie pytań. Ale najpierw żądanie. Kiedy się przemienię, wypuśćcie mnie z powrotem do lasu. Cokolwiek przydarzy się sforze, chcę, żeby przydarzyło się i mnie. Jeśli wilki przeżyją, ja przeżyję. Jeśli umrą, ja umrę. Czy to jasne?

Spodziewałam się, że Sam zaprotestuje, ale nic nie powiedział. Zupełnie nic. Nie wiedziałam, czy podejść do niego? W wyrazie jego twarzy było cos odległego i przerażającego.

- Umowa stoi – zadeklarował Cole.

Beck wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Pierwsze pytanie. Powiedz mi o lekarstwie. Pytasz o to, jak Sam może poprowadzić wilki. A przecież jest człowiekiem. Więc lekarstwo nie zadziałało?
- Zadziałało – wyjaśnił Cole. – Zapalenie opon mózgowych wciąż jeszcze walczy z wilkiem. Jeśli się nie mylę, Sam będzie się przemieniał od czasu do czasu. Naprawdę rzadko. Ale w końcu przestanie. Zapanuje równowaga.
- Drugie pytanie – ciągnął dalej Beck. Skrzywił się. Ból odmalował się w zmarszczkach na jego czole. Po chwili twarz mu się wygładziła. – Dlaczego Grace stała się wilkiem? – Kiedy zobaczył moje zaskoczenie, z cierpkim uśmiechem wskazał na swój nos. Ucieszyło mnie, że pamiętał moje imię i troszczył się o mnie. Trudno było go nie lubić, nawet wiedząc o tym, co zrobił Samowi. To, że kiedyś mógł go skrzywdzić, wydawało się nie do pomyślenia, kiedy się z nim rozmawiało. Skoro ja byłam tak rozdarta w jego ocenie, choć spotkałam go tylko kilka razy, mogłam sobie wyobrazić, jak czuł się Sam.
- W skrócie: bo kiedyś została ugryziona, a nic w przyrodzie nie ginie – streścił moją sytuację Cole.
- Okej, w takim razie trzecie pytanie – powiedział ojciec Sama. – Czy możesz ją wyleczyć?
- Lekarstwo zabiło Jacka – odezwał się wreszcie Sam, choć nie było go przy tym. Nie widział, jak Jack umiera, jak jego palce stają się niebieskie, a serce przestaje bić.
- Bo przeszedł przez zapalenie opon mózgowych jako człowiek. To walka, której ludzki organizm praktycznie nie może wygrać. Ty chorowałeś jako wilk – wyjaśnił Cole lekceważącym tonem.

Skąd możemy wiedzieć, że masz rację? – Sam skupił teraz uwagę wyłącznie na Cole'u. Chłopak wskazał na Becka.

- Bo jeszcze się nie pomyliłem.

A przecież bywał już w błędzie. Dopiero na koniec okazywało się, że ma rację. Miałam wrażenie, że to istotna różnica.

- Czwarte pytanie – wtrącił Beck. – Przenosicie…?
- Na półwysep, na północ stąd – dokończył Cole. – Ziemia należy teraz do gliniarza. Dowiedział się o wilkach i chce nam pomóc. Z dobroci serca.

Beck miał niepewną minę.

- Wiem, co myślisz – przyznał chłopak. – Ale już postanowiłem, że mu uwierzę. Potęga współczucia jest wielka. Dobry uczynek w moim imieniu jest lepszy.

Zaskoczona spojrzałam na Cole'a, a on odwzajemnił moje spojrzenie, zaciskając usta. Później będziemy musieli z nim o tym porozmawiać.

- Ostatnie pytanie – powiedział Beck.

Coś w jego głosie przypomniało mi o naszej pierwszej rozmowie, telefonicznej, kiedy Jack wziął mnie na zakładniczkę. Było to coś tak pełnego współczucia, tak dobrego, że niemal mnie to złamało, choć innego nie potrafiło wtedy wywołać moich łez. A teraz wszystko w jego twarzy zdawało się wzmacniać to wrażenie: szczery zarys kwadratowej szczęki, bruzdy przy ustach, oczy, które wyglądały, jakby wolały się uśmiechać, zatroskana linia brwi.

Mężczyzna potarł dłonią krótkie, kasztanowe włosy, a potem podniósł wzrok na Sama.

- Czy zamierzasz w ogóle się do mnie odezwać? – zapytał z bezbrzeżnym smutkiem w głosie.

SAM

Beck siedział przede mną, bliski ponownej przemiany, a mnie brakowało słów…

- Zastanawiam się, co ja mogę ci powiedzieć – wyznał Beck, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Mam może z dziesięć minut na wychowanie syna, o którym sądziłem, że nie dożyje osiemnastego roku życia. Co mam powiedzieć, Sam? Co mam ci powiedzieć?

Trzymałem się poręczy tak kurczowo, że aż pobielały mi knykcie. To ja tu byłem od zadawania pytań, nie Beck. On miał odpowiadać. Czego ode mnie oczekiwał? Nie mogłem zrobić kroku, żeby nie nastąpić na ślady, które on pozostawił…

Kucnął przy jednym z grzejników, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Może po tym wszystkim nie ma już nic do powiedzenia… Ach, ja… - Potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę. Jego stopy były blade i pokryte bliznami. W jakiś sposób przypominały stopy dziecka.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Wszyscy mnie obserwowali, jakby następny ruch należał do mnie. Ale jego pytanie było moim. Co można powiedzieć w dziesięć minut? Było tysiąc rzeczy, które t r z e b a było powiedzieć. Że nie wiem, jak pomóc Grace-wilkowi. Że Olivia nie żyje. Że policja mnie obserwuje. Że Cole trzyma nas los w fiolkach w lodówce. Że nie wiem, co mamy robić, jak możemy się uratować. Jak mam być Samem teraz, kiedy zima oznacza dla mnie to samo, co lato?

- Czy to ty prowadziłeś? – Kiedy w końcu przemówiłem, mój głos był szorstki i niski.
- Tak… - szepnął Beck. – Tak, chciałbyś to wiedzieć, prawda?

Włożyłem ręce do kieszeni. Miałem ochotę wyjąć je i skrzyżować na piersi, ale nie chciałem zdradzać swojego zdenerwowania. Grace wyglądała, jakby miała ochotę do mnie podejść, mimo że stała w bezruchu, jakby jej stopy nie podjęły jeszcze ostatecznej decyzji.

Chciałem, żeby była przy mnie. A jednocześnie nie chciałem, by usłyszała jego odpowiedź. Byłem stworzony z niemożliwych opcji.

Beck znowu przełknął ślinę. Kiedy na mnie spojrzał, jego twarz przypominała białą flagę. Poddanie się prawdzie. Poddanie się pod sąd.

- To Urlik prowadził – przyznał.

Odwróciłem się od niego. Chciałem wyjąć jedno z pudeł w mojej głowie i sam się do niego schować, ale to mój opiekun przedstawił mi całą tę teorię z pudełkami. Więc musiałem myśleć o tym, jak leżałem na śniegu, wpatrując się w niebo, a nade mną stał wilk. I był to Beck.

Nie mogłem o tym myśleć.

Nie mogłem przestać o tym myśleć.

Przymknąłem powieki, a to wciąż tam było.

Poczułem czyjeś dotknięcie i otworzyłem oczy. To była Grace. Przyglądała się uważnie mojej twarzy i trzymała mnie za łokieć, jakbym był zrobiony ze szkła.

- Urlik prowadził – powtórzył Beck głośniej. – Paul i ja byliśmy wilkami. Ja… ja nie ufałem Urlikowi, że pozostanie skupiony. A Paul nie chciał tego zrobić. Zmusiłem go. Wiem, że nie musisz mi wybaczyć. Ja sobie nie wybaczyłem. Niezależnie od tego, jak wiele dobrego zrobiłem później, to, co zrobiłem tobie, zawsze będzie złe… - Przerwał i wziął długi, drżący wdech.

Takiego Becka nie znałem.

Grace wyszeptała mi do ucha:

– Przynajmniej na niego popatrz, Sam. Nie wiesz, kiedy znowu go zobaczysz.

Więc popatrzyłem na niego, bo ona o to poprosiła.

– Kiedy zrozumiałem, że już nie masz przed sobą kolejnego roku, ja… - Beck nie dokończył. Potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować myśli, odgonić te niepotrzebne. – Nigdy nie przypuszczałem, że lasy zabiorą cię przede mną. A jednak znowu musiałem to zrobić… znaleźć kogoś, kto się nami zaopiekuje. Ale posłuchaj mnie, Sam. Tym razem próbowałem to zrobić tak, jak należy.

Wciąż czekał na moja reakcję. A ja stałem jak sparaliżowany, oddzielony od tego wszystkiego. Byłem gdzieś indziej. Gdybym się postarał, mógłbym teraz odnaleźć zestaw słów, które zamieniłbym w tekst piosenki. Coś, co zabrałoby mnie z tego momentu i przeniosło w inne miejsce.

Beck to wiedział. Znał mnie jak nikt inny. Nawet lepiej od Grace.

– Nie… Sam… - poprosił. – Nie odchodź. Słuchaj, muszę ci to powiedzieć. Miałem jedenaście lat wspomnień do odtworzenia, Sam, jedenaście lat patrzenia na twoją twarz za każdym razem, gdy uświadamiałeś sobie, że zaraz się przemienisz. Jedenaście lat twoich pytań, czy w tym roku naprawdę też musisz to robić. Jedenaście lat…

Przerwał i zasłonił usta dłonią. Drżącymi palcami dotykał szczęki. Było go o tyle m n i e j niż ostatnio. To nie był letni Beck. To był Beck umierającego roku. W jego ciele nie było już siły – wszystko tkwiło w oczach.

Nagle głos Cole'a przeciął powietrze:

– Sam, wiesz, że próbowałem się zabić, kiedy mnie znalazł. I szło mi coraz lepiej. – Patrzył mi w oczy, bez mrugnięcia. Wyzwanie. – Byłbym już martwy, gdyby nie on. Nie zmuszał mnie. Victora też nie. Obaj to wybraliśmy. To nie było tak jak z tobą.

Wiedziałem, że to prawda. Wiedziałem, że prawdopodobnie zawsze będzie dwóch Cole'ów: ten, który uciszał tłum jednym uśmiechem i ten, który szeptał piosenki o odnalezieniu swoich Alp. I wiedziałem, że poprzez ściągnięcie Cole'a ze sceny Beck w jakiś sposób odkopał tego drugiego, spokojniejszego chłopaka, i dał mu szansę na nowe życie.

I mnie również. Beck ugryzł mnie, ale to moi rodzice, a nie on, mnie zniszczyli. Przyszedłem do niego jak zmięta kartka papieru, a on powoli ją wygładził. Odbudował nie tylko Cole'a.

Było tyle różnych wersji Becka. Był jak niezliczone wersje jednej piosenki. I wszystkie były oryginalne i wszystkie były prawdziwe, i wszystkie były właściwe. To niemożliwe. Czy miałem kochać je wszystkie?

– Okej – powiedział mężczyzna mocniejszym głosem. – Okej. Skoro mam tylko dziesięć minut, Sam, oto, co chcę ci powiedzieć. Nie jesteś najlepszym z nas. Jesteś kimś więcej. Jesteś lepszy niż my wszyscy. Skoro mam tylko dziesięć minut, powiem ci, żebyś żył. Powiem ci… proszę, weź swoja gitarę i śpiewaj swoje piosenki tak wielu ludziom, jak tylko możesz. Proszę, złóż jeszcze tysiąc tych swoich cholernych papierowych żurawi. Proszę, pocałuj tę dziewczynę milion razy.

Nagle Beck przerwał i ukrył głowę między kolanami. Przycisnął dłonie do tyłu głowy. Zobaczyłem, jak napinają mu się mięśnie. Nie podnosząc głowy, wyszeptał:

– I proszę, zapomnij o mnie. Żałuję, że nie byłem lepszy. Proszę, zapomnij o mnie.

Zwinął dłonie w pięści, aż pobielały mu knykcie.

Tyle sposobów, by powiedzieć „żegnaj".

– Nie chcę – powiedziałem.

Beck uniósł głowę. Widziałem, jak żyła pulsuje mu na szyi, szybko i mocno.

Grace puściła mnie i zrozumiałem, że chce, abym do niego podszedł. Miała rację. Rzuciłem się w dół, pokonując po dwa stopnie na raz. Beck bez powodzenia próbował wstać w tym samym czasie, gdy ja przykląkłem przy nim. Niemal stykaliśmy się czołami. Trząsł się gwałtownie.

Tyle razy wcześniej to on klękał przy mnie, gdy ja drżałem na podłodze.

Poczułem się równie niestabilny jak on. Zupełnie jakbym rozwinął wszystkie papierowe żurawie i znalazł w nich wspomnienia kogoś innego. W którymś momencie zawinąłem nadzieje w jednego z tych ptaków. Całe życie myślałem, że moja historia brzmi tak: „Pewnego razu był sobie chłopiec, który musiał zaryzykować wszystkim, żeby zachować to, co kochał". Ale w rzeczywistości było tak: „Pewnego razu był sobie chłopiec, a jego lęki zżerały go żywcem".

Miałem dość strachu. Zbuntowałem się przeciw niemu tamtej nocy, którą spędziłem z gitarą w wannie. Pokonam go ostatecznie, gdy znowu zniknę w ciele wilka. Nie będę się bał.

- Cholera – wyszeptał Beck.

Żar wypuszczał go ze swych objęć. Znowu siedzieliśmy czoło w czoło, ojciec i syn, Beck i Sam, tak jak zawsze. Był diabłem i aniołem.

- Powiedz mi, że chcesz, żebyśmy cię wyleczyli – poprosiłem.
- Tak – powiedział cicho i wiedziałem, że mówi to ze względu na mnie, tylko na mnie. – Róbcie, co trzeba. – Zerknął na Cole'a. – Cole, ty…

W tym momencie jego skóra rozdarła się gwałtownie. Odskoczyłem, żeby odepchnąć z drogi grzejniki, zanim padł w drgawkach na podłogę.

Cole podszedł i wbił drugą igłę w jego ramię.

I w tamtym ułamku sekundy, gdy Beck uniósł głowę, a jego oczy pozostały niezmienione, zobaczyłem moją własną twarz.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

COLE

epinefryna / pseudoefedryna – mieszanka 7
metoda: eksperyment zakończony powodzeniem
(efekty uboczne: brak)
(uwaga: czynniki środowiskowe wciąż wymuszają powrót do wilczej formy)

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

SAM

Gdy Beck z powrotem przemienił się w wilka, poczułem się brudny. Jakbym był współwinny przestępstwa. Wspomnienie poprzedniego życia, kiedy musiałem kryć się przed zimą i kiedy miałem rodzinę, dotkliwie bolało. Mój umysł bronił się przed tym, odpychając ode mnie absolutnie wszystkie myśli. Najwyraźniej nie tylko ja miałem ten problem: Cole oznajmił, że wybiera się na przejażdżkę, i wsiadł do BMW Urlika. Po tym, jak się ulotnił, zabrałem się za pieczenie chleba, jakby od tego zależało moje życie. Kazałem Grace pilnować piekarnika i poszedłem pod prysznic. Żeby wyszorować się ze wspomnień. Żeby przypomnieć sobie, że póki co mam ręce i ludzką skórę, i twarz.

Nie jestem pewien, jak długo tam byłem, gdy zorientowałem się, że drzwi od łazienki otwierają się i zamykają.

- To jest naprawdę dobre – powiedziała Grace. Usłyszałem skrzypienie opuszczonej deski klozetowej, na której próbowała się usadowić. – Dobra robota, Sam.

Nie widziałem jej, ale poczułem zapach chleba. Świadomość, że stoję pod prysznicem zupełnie nagi, podczas gdy ona jest w tym samym pomieszczeniu, sprawiła, że poczułem zawstydzenie. Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się to bardziej intymne niż seks. Czułem się z tysiąc razy bardziej nagi, nawet za zasłonką.

Spojrzałem na trzymana w dłoni kostkę mydła. Zacząłem namydlać brzuch, plecy, nogi…

- Dzięki – odparłem.

Grace milczała. Nie widziałem jej, więc i ona nie widziała mnie.

- Jesteś już czyściutki?! – zawołała znienacka.
- Kurczę, Grace! – Wzdrygnąłem się przestraszony, a ona się roześmiała.

Na chwilę znowu zamilkliśmy. Szorowałem przestrzenie pomiędzy palcami stóp i rąk. Jeden paznokieć był zniszczony od grania na gitarze. Przyjrzałem mu się, żeby sprawdzić, czy powinienem coś z tym zrobić, ale trudno było postawić diagnozę w pomarańczowym świetle ledwo sączącym się przez prysznicową zasłonkę.

- Rachel obiecała, że pojedzie ze mną jutro na spotkanie z moimi rodzicami – poinformowała mnie Grace. – Jutro wieczorem. Dopiero wtedy będzie miała czas.
- Denerwujesz się?

Ja się denerwowałem, a przecież nawet nie miałem być obecny przy konfrontacji. Grace tak zadecydowała.

- Nie wiem. To po prostu musi się wydarzyć. Oczyszczę cię z podejrzeń. Poza tym muszę też oficjalnie zostać uznana za żywą, żeby pójść na pogrzeb Olivii. Rachel powiedziała, że poddali jej ciało kremacji… - Przerwała. Przez długą chwilę słychać było tylko szum wody lejącej się na mnie i na kafelki. W końcu oznajmiła: - Ten chleb jest przepyszny.

Zrozumiałem. Zmiana tematu.

- Urlik nauczył mnie, jak go robić.
- Cóż za utalentowany facet. Mówił z niemieckim akcentem i piekł chleb. – Grace dźgnęła palcem w zasłonkę, trafiając mnie prosto w biodro. Próbowałem się ratować unikiem. – Wiesz, że za pięć lat też będziemy to robić?

Byłem umyty od stóp do głów. Jeśli nie dosięgnę ręcznika zza zasłonki albo nie przekonam Grace, żeby mi go podała, będę uwięziony pod prysznicem. Nie sądziłem, żeby ona chciała ułatwić mi zadanie.

- Piec chleb z niemieckim akcentem? – rzuciłem.

- Dokładnie to miałam na myśli – wycedziła.

Usłyszałem w jej głosie żartobliwy ton. Ucieszyło mnie to. brak powagi był wskazany w tym momencie.

- Podasz mi ręcznik?
- Sam będziesz musiał go sobie wziąć.
- Jędza – wymamrotałem.

Zabrakło ciepłej wody. Stałem pod prysznicem i patrzyłem na nierówne fugi pomiędzy płytkami. Opuszki palców mi się pomarszczyły, a włosy na nogach pozlepiały w mokre strzałki skierowane w stronę stóp.

- Sam? – zapytała Grace. – Czy myślisz, że Cole ma racje co do lekarstwa? Że zapalenie opon mózgowych pomaga, kiedy zwalcza się je jako wilk? Myślisz, że powinnam tego spróbować?

To było za trudne pytanie, żebym mógł na nie odpowiedzieć po wieczorze spędzonym z Beckiem. Tak, chciałem, żeby wyzdrowiała. Jednak żądałem też dowodów na to, że ten sposób zadziała. Potrzebowałem pewności, że nie podzieli losu Jacka. Ja zaryzykowałem wszystkim, jednak nie chciałem, żeby ona zrobiła to samo. Ale jak inaczej mogłaby wieść normalne życie?

- Nie wiem. Potrzebuje więcej informacji – zabrzmiało to formalnie, jak coś, co powiedziałbym do Koeniga, jak stwierdzenie: „Gromadzę dane”.
- To znaczy… i tak nie musimy się o to martwić aż do zimy – ciągnęła dalej. – Po prostu zastanawiam się, czy ty czujesz się wyleczony.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć. Nie czułem się wyleczony. Raczej „prawie wyleczony” – tak jak określił to Cole. Jak weteran wojenny wciąż czujący utraconą kończynę. Nadal czułem, że wilk, którym byłem, żyje w moich komórkach, drzemie niespokojne, czekając, aż skusi go pogoda, przypływ adrenaliny albo igła wbita w moją żyłę. Nie wiedziałem, czy tak jest naprawdę, czy tylko to sobie wmawiam. Nie wiedziałem, czy któregoś dnia w końcu poczuję się pewnie w swojej ludzkiej skórze.

- W y g l ą d a s z na wyleczonego – zauważyła Grace.

Nagle zobaczyłem jej twarz wyglądającą zza zasłonki. Szczerzyła zęby w uśmiechu. Wrzasnąłem zaskoczony. Sięgnęła dłonią wystarczająco daleko, żeby Zakręcic kran.

- Obawiam się – powiedziała, do końca odsuwając zasłonkę i podając mi ręcznik – że takie rzeczy będziesz musiał znosić na starość, jeśli chcesz być ze mną.

Stałem tam, ociekając wodą i czułem się kompletnie idiotycznie w obecności Grace, która wciąż śmiała się ze swojego psikusa. Nie miałem wyjścia, musiałem pokonać skrępowanie. Zamiast wziąć od niej ręcznik, złapałem ja pod brodę i pocałowałem. Woda ściekała mi z włosów na policzki i na nasze usta. Jej koszulka też zaczynała być mokra, ale najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Perspektywa życia wypełnionego takimi chwilami wydała mi się bardzo kusząca.

- Lepiej, żeby to była obietnica – powiedziałem szarmancko, a Grace weszła w skarpetkach pod prysznic i objęła mnie.
- Masz to jak w banku.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

ISABEL

Usłyszałam ciche pukanie do drzwi przedsionka. Przestępując nad butami, łopatą i torbą karmy dla ptaków, podeszłam do wyjścia i otworzyłam.

W czarnym prostokącie drzwi stał Cole St. Clair z rękami w kieszeniach.

– Zaproś mnie do środka – powiedział.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

GRACE

Gdy w niedzielny wieczór dotarłyśmy do domu moich rodziców, na dworze było już całkiem ciemno. Rachel nie miała prawa jazdy z uwagi na jej osobliwe nawyki podczas prowadzenia samochodu, których nie akceptowała stanowa policja Minnesoty, więc najpierw musiałam po nią podjechać. W ramach powitania pokazała mi wyszywaną koralikami torebkę z uśmiechniętą żółtą buźką. Jej białe zęby błysnęły radośnie w mroku.

Gdy dotarłyśmy do celu, wszystko wydawało mi się odrealnione. Pomyślałam, że to z powodu zmierzchu, bo w ciemnościach rozjaśnianych tylko lampą na ganku okolica wyglądała zupełnie jak tamtej nocy, kiedy uciekłam z domu.

Zaciągnęłam hamulec ręczny, parkując obok samochodu, który kupiłam za pieniądze z ubezpieczenia za poprzedni. Nagle przypomniałam sobie wieczór, kiedy jeleń zmiażdżył przednią szybę mojego bronco, a ja myślałam, że tracę Sama na zawsze. Miałam wrażenie, że od tamtego czasu upłynęło z milion nocy, a jednocześnie tylko kilka godzin. Dzisiejszego wieczoru myślałam o początkach i pożegnaniach.

Stojąca obok mnie Rachel otworzyła torebkę i pewnym ruchem wyjęła z niej truskawkowy błyszczyk niczym wojenny oręż. Z zaciekłą determinacja nałożyła na usta dwie warstwy owocowej zbroi, po czym wrzuciła broń z powrotem do środka i wściekle zasunęła suwak.

Pomaszerowałyśmy ku drzwiom wejściowym, szykując się do walki. Dźwięk naszych butów na betonowym chodniku brzmiał jak okrzyk bojowy. Nie miałam kluczy, więc musiałam zapukać.

Teraz, kiedy już się tu znalazłam, naprawdę nie miałam ochoty przez to przechodzić.

Rachel spojrzała na mnie.

- Jesteś dla mnie jak najlepsza starsza siostra – wyznała. – Co nie ma sensu, bo przecież jesteśmy w tym samym wieku.
- Czasami gadasz głupstwa – zauważyłam, choć tak naprawdę zrobiło mi się miło.

Zaśmiałyśmy się obie, ale śmiechem tak niepewnym, że prawie niesłyszalnym.

Rachel lekko osuszyła usta rękawem. W żółtym blasku lampy wiszącej na ganku, wokół której kłębiły się ćmy, zobaczyłam na jej rękawie ślady świadczące o tym, że robiła to już kiedyś – kolekcję różowych pocałunków.

Zastanawiałam się, co mam powiedzieć. Zastanawiałam się, które z nich otworzy drzwi. Było koło dziewiątej. Może nikogo nie ma w domu. Może…

Otworzył ojciec. Zanim zdążył zareagować na mój widok, usłyszeliśmy dobiegający z salonu krzyk mamy:

- Tylko uważaj, żeby kotka nie uciekła!

Tata spojrzał na Rachel, a potem na mnie. W międzyczasie brązowy pręgowany kot wielkości królika przemknął obok nas i wypadł na trawnik. To było idiotyczne uczucie, ale poczułam się zdradzona, widząc to zwierzę. Ich jedyna córka znika, a oni kupują sobie kota, żeby ją zastąpić?!

I właśnie to była pierwsza rzecz, jaką powiedziałam:

- Macie kota?

Ojciec był na tyle zaskoczony moją obecnością, że odpowiedział szczerze:

- Twoja matka czuła się samotna.
- Cóż, opieka nad kotami nie wymaga zbyt wiele zachodu – zauważyłam.

Nie była to zbyt uprzejma odpowiedź, ale on też nie przywitał mnie ciepło. Spodziewałam się, że na jego twarzy dojrzę choćby najmniejsze ślady cierpienia związane z moja nieobecnością, a nic się nie

zmieniło. Mój ojciec sprzedawał luksusowe działki i wciąż wyglądał jak typowy agent nieruchomości. Miał zadbaną fryzurę w stylu lat 80. i uśmiech, którym zachęcał klientów do wpłacania pokaźnych zaliczek. Nie wiem, czego oczekiwałam… Przekrwionych i podkrążonych oczu? Twarzy postarzałej o dziesięć lat? Miał przybrać na wadze albo gwałtownie schudnąć?

W każdym razie spodziewałam się zobaczyć w jego postaci dowód na to, że czas, który minął od mojego zaginięcia, nie był dla niego prosty. Tylko tego chciałam. Solidnego dowodu bólu. Czegokolwiek, co dowiodłoby, że podjęłam złą decyzję, chcąc doprowadzić do dzisiejszej konfrontacji. Ale nie dostrzegłam niczego. Tak naprawdę miałam ochotę odejść. Zobaczył mnie. Już wie, że żyję. Zrobiłam, co musiałam.

Ale wtedy w korytarzu pojawiła się matka.

- Kto przyszedł? Grace? – Jej głos załamał się na tej jednej sylabie, więc pomyślałam, że jednak wejdę.

Zanim zdążyłam zdecydować, czy jestem gotowa na uścisk, już mnie przytulała, ciasno oplatając ręce wokół mojej szyi i dociskając moją twarz do swojego swetra na piersi. Usłyszałam, jak powtarza: „Boże, dziękuję, Grace… dziękuję". Wydawało mi się, że się śmieje albo płacze, ale kiedy się odsunęłam, na jej twarzy nie zauważyłam ani łez, ani uśmiechu. Jej dolna warga drżała. Objęłam się ramionami, żeby uspokoić nerwy.

Nie sądziłam, że powrót będzie taki trudny.

Ostatecznie usiadłam z rodzicami przy stole. Siedzieli naprzeciwko mnie. Z tym stołem wiązało się wiele wspomnień. Zazwyczaj przesiadywałam przy nim sama, ale i tak były to miłe wspomnienia. Trochę nostalgiczne. W kuchni dziwnie pachniało, jakby zbyt dużą ilością jedzenia na wynos, jadanego, przechowywanego, wyrzucanego. Zapach był zupełnie inny, gdy mieszkańcy naprawdę używali kuchni do gotowania. Ta nieznajoma woń sprawiła, że moja wizyta w domu była niczym dziwny sen. To miejsce było mi jednocześnie obce i znajome.

Już myślałam, że Rachel porzuciła mnie dla kota, ale po kilku chwilach wróciła, trzymając pod lewą pacha pręgowane zwierzę. Bez słowa położyła je na kanapie i stanęła za mną. Wyglądała, jakby wolała być gdziekolwiek indziej na świecie. Była naprawdę dzielna. Aż zrobiło mi się ciepło na sercu na ten widok. Każdy powinien mieć takiego przyjaciela.

- To szokujące, Grace – oświadczył mój ojciec. – Czy ty wiesz, ile przez ciebie przeszliśmy?

Moja matka zaczęła płakać.

W tym momencie zmieniłam zdanie. Już nie chciałam widzieć dowodów ich udręki. Nie chciałam patrzeć na łzy swojej matki. Spędziłam tyle czasu, mając nadzieję, że za mną tęsknią, żałując, że nie kochają mnie wystarczająco mocno, by moja nieobecność ich zabolała. Jednak teraz, kiedy zobaczyłam twarz matki, współczucie i wyrzuty sumienia dławiły mnie w gardle. Chciałam już mieć za sobą tę rozmowę i wrócić do Sama. To było zbyt trudne.

- Nie chciałam sprawiać wam… - zaczęłam.
- Myśleliśmy, że umarłaś – przerwał mi ojciec. – A ty przez cały czas byłaś z nim! Pozwalając nam wierzyć, że…
- Nie – zaprotestowałam. – Nie byłam z nim przez cały ten czas!
- Po prostu cieszymy się, że jesteś cała i zdrowa – wtrąciła mama.

Ale ojciec jeszcze nie skończył:

- Mogłaś do nas zadzwonić. Mogłaś po prostu zadzwonić, żebyśmy wiedzieli, że żyjesz. Przecież to by nam wystarczyło.

Uwierzyłam mu. Tak naprawdę nie potrzebował m n i e . Potrzebował tylko dowodu, że żyję.

- Ostatnim razem, gdy chciałam z tobą rozmawiać, powiedziałeś mi, że nie mogę widywać się z Samem, póki nie skończę osiemnastu lat i w ogóle nie chciałeś mnie słuchać…

- Zadzwonię na policję, żeby im powiedzieć, że tu jesteś – przerwał mi tata po raz piętnasty, podrywając się z miejsca.
- Tato! – warknęłam. – Po pierwsze, policja już wie. Po drugie, znowu to robisz. W ogóle mnie nie słuchasz.
- Ja nic nie robię – zaoponował. Spojrzał na stojącą za mną dziewczynę. – Po co przyprowadziłaś Rachel?

Moja przyjaciółka drgnęła na dźwięk swojego imienia.

- Mam pełnić funkcje rozjemcy – wyjaśniła.

Ojciec uniósł dłonie ku niebu, jakby się poddawał – tak jak robią ludzie, którzy wcale nie zamierzają się poddać – a potem oparł się mocno o stół, jakbyśmy urządzali seans spirytystyczny i stolik właśnie się poruszył.

- Nie potrzebujemy rozjemcy – powiedziała mama. – Nie dojdzie do żadnych nieprzyjemności.
- A właśnie że dojdzie – odrzekł tata. – Nasza córka uciekła z domu. To jest przestępstwo. Prawdziwe przestępstwo w świetle prawa stanu Minnesota. Nie zamierzam udawać, że to się nie wydarzyło. Nie zamierzam udawać, że nie uciekła, żeby żyć ze swoim chłopakiem.

Nie jestem pewna, który fragment jego wypowiedzi sprawił, że nagle zobaczyłam wszystko z idealna jasnością. Tata zachowywał się jak klasyczny rodzic, działający na autopilocie i naśladujący całkowicie konserwatywne i zaobserwowane pewnie w telewizji zachowania.

Patrzyłam na nich: mama tuląca swoje nowe zwierzątko, które przywędrowało z kanapy i wskoczyło jej na kolana i tata mierzący mnie wzrokiem, jakbym była kimś obcym. Tak, byli dorośli. Ale ja też. Rachel powiedziała, że jestem dla niej jak starsza siostra. Moi rodzice wychowali mnie tak, żebym stała się dorosła najszybciej, jak to możliwe, a teraz mieli mi za złe, że zachowuję się dojrzale.

Też oparłam się mocno o stół, naśladując postawę ojca. A potem powiedziałam to, co miałam ochotę powiedzieć już dawno.

- I przypominam ci, że prawie umarłam w twoim aucie, tato. – Brzuch rozbolał mnie od wzburzenia.
- Och, daj spokój – machnął ręką.
- Nie, nie dam spokoju. To o czymś świadczy. Zapomniałeś, że wieziesz dziecko w samochodzie. A przedtem zostałam ściągnięta z huśtawki przez wilki, podczas gdy mam siedziała na górze i malowała. I tak, mój chłopak nocował u mnie, ale zanim to odkryliście, minęło wiele tygodni. Czy wy w ogóle zauważaliście, że ja tu sypiam? Daliście mi smycz długą na pięćdziesiąt kilometrów. Myśleliście, że z niej nie skorzystam?

Rach znów posmarowała nerwowo usta błyszczykiem.

- Okej – wtrąciła mama. Kotka łaziła jej wokół szyi. Ściągnęła ją z siebie i podała Rachel. Pomyślałam, że to prawdopodobnie niezgodne z zasadami bezstronności, ale ze zwierzęciem na rękach dziewczyna wyglądała na znacznie szczęśliwszą. – Okej. Więc na czym stoimy? Nie zamierzam dłużej się z tobą kłócić. Boże, Lewis! Już nie chcę się z nią kłócić. Myślałam, że ona nie żyje!

Tata przymknął się, zaciskając usta w cienka linijkę.

Westchnęłam głęboko i uspokoiłam oddech. To musiało zabrzmieć stanowczo…

- Wyprowadzam się.
- Nie ma mowy – zareagował ojciec natychmiast.
- I właśnie dlatego się wyprowadzam – zripostowałam. – Nie możecie nagle zacząć mi mówić, co mam robić. Nie możecie czekać w ukryciu, aż zdecyduję się na własną rodzinę, życie i szczęście, i nagle powiedzieć mi: „Nie, Grace, tego nie wolno ci robić, więc wracaj do bycia

samotną, nieszczęśliwą, piątkową uczennicą". To nie fair. Byłoby inaczej, gdybyście zawsze byli przy mnie, jak rodzice Rachel albo Sama.

- Ci, którzy próbowali go zabić? – parsknął ojciec.
- Nie! Chodzi mi o Becka – wyjaśniłam. Pomyślałam o wczorajszym popołudniu: Beck i Sam, czoło przy czole, ta milcząca więź, tak silna, że była widoczna nawet dla postronnych. Pomyślałam o gestach Sama, o tym, jak zakładał ręce za głowę, o tym, że przejął te wszystkie ruchy od swojego opiekuna. Zastanowiłam się, czy we mnie jest cokolwiek z moich rodziców, czy może jednak to, kim byłam, pochodziło w całości z książek, filmów i od nauczycieli. – Sam zrobiłby wszystko, o co Beck by go porosił, bo Beck zawsze przy nim był. A wiecie, kto zawsze był przy mnie? Ja sama. Jednoosobowa rodzina.
- Jeśli myślisz, że uda ci się mnie przekonać – przerwał mi ojciec – to się mylisz. A prawo jest po mojej stronie, więc nawet nie zaczynaj. Masz siedemnaście lat. Nie możesz sama podejmować żadnych decyzji.

Rachel wydała z siebie jęk, który wzięłam za reakcje na oświadczenie mojego ojca, ale okazało się, że to tylko kotka ugryzła ja w rękę.

Tak naprawdę nie spodziewałam się, że tata da się łatwo przekonać. Widziałam wyraźnie, że upierał się przy swoim zdaniu dla zasady i nie zamierza odpuścić. Żołądek znowu mi się ścisnął, poczułam nerwowe mdłości. Zniżyłam głos, oznajmiając:

- Oto, jak wygląda sytuacja. Zamierzam zaliczyć letnią szkołę, żeby normalnie ukończyć liceum, a potem pójść na studia. Jeśli pozwolicie mi się wyprowadzić teraz, nadal będę z wami rozmawiać po tym, jak skończę osiemnaście lat. Możecie też zadzwonić po gliny i zmusić mnie, żebym tu została. A ja będę grzecznie sypiać w swoim łóżku i przestrzegać wszystkich waszych nowych zasad, ale kiedy tylko wybije północ w dniu moich urodzin, opuszczę ten dom i nigdy tu nie wrócę. Nie myślcie, że żartuję. Spójrzcie na moją twarz. Uwierzcie, że jestem śmiertelnie poważna. I nie mów mi o prawie, tato! Uderzyłeś Sama. Powiedz mi, co na to kodeks karny?

Mój żołądek przypominał miejsce katastrofy. Musiałam się hamować, żeby nie powiedzieć nic więcej. To i tak byłoby jak rzucanie grochem o ścianę.

Przy stole zapadła kompletna cisza. Mój ojciec odwrócił twarz i wyjrzał przez okno na taras na tyłach domu, chociaż nie było tam widać niczego poza ciemnością. Rachel głaskała kotkę z taką determinacją, że zwierzę mruczało na całe pomieszczenie. Palce mojej matki spoczywały na krawędzi stołu.

- Zasugeruję kompromis – odezwała się w końcu.

Tata rzucił mamie miażdżące spojrzenie, ale nie zwróciła na to uwagi.

Poczułam na piersi ciężar rozczarowania. Nie potrafiłam sobie wyobrazić kompromisu, który mógłby być dla mnie akceptowalny.

- Słucham – zgodziłam się bezbarwnym głosem.

W tym momencie tata nie wytrzymał:

- Amy! Kompromis?! Chyba nie mówisz poważnie. Nie potrzebujemy czegoś takiego.
- Twoje metody jakoś się nie sprawdziły – warknęła mama.

Ojciec zmiażdżył ją ponownie spojrzeniem pełnym gniewu i rozczarowania.

- Nie mogę uwierzyć, że chcesz jej to darować – powiedział sucho.
- To nie jest tylko kwestia „darowania". Rozmawiałam z Samem, Lewis. Myliłeś się co do niego. Więc teraz moja pora na mówienie. Oto, co proponuję – zwróciła się do mnie. – Zostaniesz tutaj, dopóki nie skończysz osiemnastu lat, ale i tak będziemy cię traktować jak dorosłą osobę. Możesz się widywać z Samem i nie będzie żadnej godziny policyjnej, o ile… - przerwała, na

bieżąco wymyślając kolejne warunki – zaliczysz szkołę letnią i podtrzymasz decyzję o pójściu na studia. Sam nie może zostawać na noc, ale może siedzieć tu całymi dniami, jeśli o mnie chodzi, a my postaramy się lepiej go poznać.

Spojrzała na tatę. Usta mu zadrgały, ale tylko wzruszył ramionami. Oboje popatrzyli na mnie.

– Och… i nadal będziesz z nami rozmawiać, po tym jak skończysz osiemnaście lat. To też część umowy – dodała mama.

Oparłam łokcie na stole i ukryłam twarz w dłoniach. Nie chciałam rezygnować z nocy spędzanych z Samem, ale to był uczciwy kompromis, zwłaszcza że wydawało mi się, iż nie uda się osiągnąć żadnego. Ale co, jeśli się zmienię? Nie mogę się wprowadzić z powrotem, dopóki się nie upewnię, że jestem stabilna. To nastąpi wkrótce. Może już? Nie wiedziałam. Wtedy będzie za późno na użycie lekarstwa Cole'a.

– Skąd mam wiedzieć, że znowu nie będziecie próbowali zmienić zasad? – zapytałam, grając na zwłokę. – Na przykład kwestia sama nie podlega negocjacjom. Zostanę z nim. Na zawsze. Lepiej, jeśli powiem to tu i teraz. On jest tym jedynym.

Ojciec znowu przewrócił oczami, jednak nic nie powiedział. Ku mojemu zdumieniu mama skinęła głową.

– Okej. Powiedziałam, że spróbujemy. I nie będziemy ci zabraniać widywania się z nim.

– I żadnego więcej bicia – dołożyła swoje Rachel.

Rzuciłam jej znaczące spojrzenie. Pomyślałam, że trochę oszukiwała, czekając, aż emocje opadną, żeby zacząć pełnić swoje obowiązki rozjemcy.

– Tak – zgodziła się mama. – Grace, zgadzasz się?

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Z miejsca, w którym siedziałam, widziałam kuchnie i kącik jadalny. Czułam się dziwnie. Myślałam, że to będzie moja ostatnia wizyta w tym domu. Że skończy się wielką kłótnią, a ja spalę za sobą mosty i więcej nie zobaczę rodziców. Myśl o powrocie do tego domu i do mojego starego życia, jednocześnie niosła ulgę i była wycieńczająca. Pomyślałam o strachu Sama przed ponowną przemiana po tym, jak myślał, że już nigdy nie będzie musiał tego robić i dopiero teraz całkowicie zrozumiałam jego lęki.

– Ja… muszę o tym pomyśleć – powiedziałam. – Chcę się przespać z tym tematem.

– A możesz się z nim przespać tutaj? – zapytała mama.

Rachel potrząsnęła głową.

– Nie, bo i tak musi mnie odwieźć do domu. Decyzja rozjemcy.

Wstałam, żeby nie było wątpliwości, że nie ma takiej opcji, żebym została. Nie rozumiałam, dlaczego żołądek wciąż pali mnie z nerwów, chociaż najgorsze miałam już za sobą.

– Zastanowię się nad tym i wrócę może nawet jutro, żeby o tym porozmawiać.

Mama tez wstała, tak szybko, że kotka wzdrygnęła się i syknęła w ramionach Rachel. Był to cichy dźwięk przypominający kichnięcie. Mama obeszła stół i znowu mnie przytuliła, tak mocno, że uświadomiłam sobie, iż nie pamiętam, kiedy ostatnio robiła to z takim zaangażowaniem. Nie byłam pewna, czy odwzajemnić uścisk, teraz, gdy była taka możliwość. Zrobiłam to zdawkowo.

– Ale wrócisz? – szepnęła mi do ucha.

– Tak – powiedziałam i naprawdę tak myślałam.

Tata wstał, objął mnie ramieniem i przytulił lekko, jakby nie był pewien, jak się to robi.

– Oddaję kotkę – rzuciła Rachel, przekazując zwierzę mojej matce.

– Dziękuję, że ją przyprowadziłaś – powiedziała mama, a ja nie potrafiłam stwierdzić, czy mówi o kocie czy o mnie.

Rachel wzruszyła ramionami i objęła mnie ramieniem.

– Robię, co do mnie należy.

Wyciągnęła mnie z domu i zaprowadziła do samochodu. Moi rodzice stali w drzwiach i patrzyli na auto. Wyglądali na dziwnie osamotnionych, kiedy wycofałam je z podjazdu i ruszyłam w drogę. Czułam się rozemocjonowana i chora.

Przez minutę w samochodzie panowała cisza.

Potem Rachel wypaliła:

- Nie mogę uwierzyć, że zastąpili cię kotem!

Wybuchłam śmiechem i poczułam, jak skóra na plecach wibruje mi lekko.

- No nie? Dziękuję, że ze mną przyjechałaś. Naprawdę. Zachowali się rozsądnie dzięki temu, że tam byłaś.
- Zachowali się rozsądnie, bo myśleli, że nie żyjesz. Czy ty… dobrze się czujesz, Grace?

Nie trafiłam w dźwignię i samochód wydał stłumione westchnięcie, zanim w końcu udało mi się zmienić bieg. Obsługiwanie manualnej skrzyni biegów nigdy nie szło mi najlepiej, a nagle wydało mi się, że to zbyt duży wysiłek, by się na nim skupić. Żołądek znowu skręcił mi się z bólu i w tym samym momencie, gdy dreszcz przeszedł mi po ramionach, uświadomiłam sobie, że to, co zrzucałam na nerwy, to cos znacznie gorszego.

- Och, nie! – zawołałam, czując jak ogarnia mnie fala mdłości. – Muszę się zatrzymać. Przepraszam, ja…

Nocna droga była całkowicie opuszczona. Gwałtownie sprowadziłam auto na pas awaryjny, otworzyłam drzwi, wybiegłam i natychmiast zwymiotowałam. W mroku Rachel była biała jak ściana. Nie zauważyłam, kiedy wysiadła. Nerwowo uderzała pięścią o pięść.

- Co mam robić? Nie potrafię obsługowa ręcznej skrzyni biegów!

Już zaczynałam się trząść, mocno, mimowolnie. Od dreszczy aż szczękałam zębami.

- Rach, tak mi przykro. Musisz… - przerwałam i skuliłam się, opierając o bok auta. Och, Boże, nienawidziłam tego momentu. Moje kości pękały. Nie, nie, nie.
- Muszę co? Grace, przerażasz mnie. Och, nie. Och, nie! – Nagle dotarło do niej, co się ze mną dzieje.
- Zadzwoń do Sama – zdołałam wydusić. – Powiedz mu, że się przemieniłam i żeby po ciebie przyjechał. Cole może… och… Cole może poprowadzić drugi wóz… och… Rachel… odejdź… poczekaj w samochodzie. Nie…

Już nie mogłam dłużej utrzymać się na nogach. Mięśnie rozluźniły się, przygotowując się do metamorfozy. Nagle przeraziłam się, co ona sobie pomyśli na widok mojej przemiany. Musi poczekać w samochodzie. Nie może na to patrzeć… To zniszczy wszystko między nami. Czułam, jakby moja skóra należała do kogoś innego. Pomyślałam, że już muszę strasznie wyglądać.

Ale Rachel objęła mnie mocno i przycisnęła swój policzek do mojego. Cuchnęłam wilkiem i musiałam wyglądać jak potwór, ale ona przytulała mnie wystarczająco mocno, żebym czuła to pomimo bólu. Była tak dzielna, że aż pociekły mi łzy.

- Czy to boli? – wyszeptała, wypuszczając mnie z objęć.

Gwałtownie potrząsnęłam głową.

- Po prostu cię kocham i to sprawia, że… to sprawia…
- Zamieniasz się w wilka – skwitowała Rachel. – Wiem, wiem. Mam taki dziwny wpływ na ludzi. – Otarła nos grzbietem dłoni.

Próbowałam powiedzieć cos jeszcze, niestety, straciłam grunt pod nogami. Gwiazdy świeciły jasno nad moją głową i przypomniałam sobie inne noce.

Ja i Sam pod gwiazdami, obserwujący zorzę polarną. W sekundę później w mojej głowie różowe światła *aurory borealis* zamieniły się w światła deski rozdzielczej, połyskującej w każdym okruchu roztrzaskanej przedniej szyby bronco, za którą siedzieliśmy z Samem, żegnając się ze sobą.

A potem byłam już tylko ja, roztrzaskana na kawałki jak szkło i przemieniona w coś nowego.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

SAM

To było przygnębiające – stracić całą noc z Grace w taki sposób – ni stąd, ni zowąd. Po odwiezieniu Rachel chciałem odnaleźć swoją wilczycę, ale Cole przekonał mnie, że to bez sensu. Ona do mnie nie przyjdzie, za to, skoro przemieniła się blisko domu rodziców, będzie wiedziała, gdzie jest. Nie sądziłem, że bez niej uda mi się zasnąć, ale po tym, jak nasz gwiazdor wyperswadował mi poszukiwania, położyłem się na łóżku, wpatrzony w żurawie i choinkowe lampki i po prostu udawałem, że czekam, Az Grace wróci do łóżka z łazienki.

To był długi dzień. Kiedy już nie mogłem poradzić sobie z galopada myśli o wszystkich tych rzeczach, które się dziś przytrafiły, zmorzył mnie sen.

Śniłem o tym, że chodzę po domu, od pomieszczenia do pomieszczenia. Wszystkie pokoje były puste, ale to była pełna treści i oddechów pustka, jakbym w każdym momencie mógł się odwrócić i zobaczyć kogoś za plecami. Dom wydawał się zamieszkany – nie niedawno, a obecnie – jakby jego mieszkańcy wyszli na chwilę na dwór, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda i zaraz mieli wrócić. Zwłaszcza sypialnie nosiły ślady życia – na każdym łóżku leżała walizka albo plecak wypełnione ubraniami, a obok nich stały buty, czekając na odejście. Na łóżku Urlika leżał jego laptop i elektryczna maszynka go golenia. Na łóżku Paula – sterta kostek do gitary i kilka wypalonych na DVD filmów, o których nigdy nie słyszałem. Nawet w pokoju z piętrowymi łóżkami leżały bagaże. Słuchawki Dereka spoczywały na jego aparacie fotograficznym, a szkicownik Melissy czekał cierpliwie obok jej butów. Łóżko mojego opiekuna było puste.

W swoim śnie szedłem od pokoju d pokoju, po kolei gasząc światła. Pożegnałem się z pokojem Becka, w którym prawie nigdy nie przebywał. Pożegnałem się z pokojem Urlika, gdzie razem oglądaliśmy horrory na jego laptopie. Mój pokój pominąłem i zszedłem na parter. Pożegnałem się z salonem, gdzie kiedyś siedziałem z Grace na sofie, niemal jako wilk, i gdzie Isabel pomogła mi powstrzymać atak padaczki Cole'a. Pożegnałem się z żółtym pokojem, w którym mieszkał Cole i umarł Jack. Zgasiłem światło w łazience, której unikałem przez ponad dekadę. Pożegnałem kuchnie pełną naszych fotografii na szafkach, z tysiącem uśmiechów, z których każdy był szczery. I ruszyłem do piwnicy. A tutaj, w bibliotece, otoczone przez książki, leżały rzeczy Becka, których brakowało w sypialni: jego walizka i buty spoczywały na pufie obok fotela do czytania. Obok nich leżał krawat i jakaś płyta CD ze splątanymi gałęziami na okładce. Tytuł był nabazgrany na jedynej białej przestrzeni: „Na granicy przebudzenia…".

Beck był wszędzie wokół mnie, żył we wszystkich tych książkach, które przeczytał. Zamieszkiwał każdą stronę. Był każdym bohaterem, każdym przestępcą, każdą ofiarą i każdym napastnikiem. On był początkiem i końcem wszystkiego.

Die letzte all türen
Doch nie hat man
An alle schon geklopt

Ostatnie ze wszystkich drzwi
Lecz jeszcze nigdy
nikt nie pukał do wszystkich[*]

[*] Rainer Kunze, *Samobójstwo* [w:] *Nokturn i inne wiersze z lat 1959-1981*, wybór i przekład Ryszard Krynicki, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1987, s. 15.

to było ostatnie pożegnanie. Zgasiłem światło.

Zostało mi jeszcze jedno miejsce. Powoli wszedłem z powrotem na górę, na parter, a potem na piętro i ruszyłem korytarzem do swojego pokoju. Papierowe żurawie drżały na swoich sznurkach, jakby przeczuwając trzęsienie ziemi. Widziałem każde ukryte w nich wspomnienie, obrazy wyświetlały się na ich skrzydłach jak na ekranie telewizora. Wszystkie żurawie śpiewały radosne piosenki, które ja też kiedyś śpiewałem. Ptaki były piękne, przestraszone i próbowały wyrwać się na wolność.

– Złe wieści, Ringo – usłyszałem złowróżbny głos Cole'a. – Wszyscy umrzemy.

Obudził mnie dzwonek telefonu.

Na ten dźwięk adrenalina przeszyła moje na wpół śpiące ciało. Pierwsza przytomna myśl, jaka przyszła mi do głowy, zabrzmiała niewytłumaczalnie: „Och, nie, nie tutaj". Po sekundzie zorientowałem się, że to tylko telefon. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak pomyślałem.

Podniosłem słuchawkę.

– Sam? – rzucił Koenig. – Powinienem zadzwonić wcześniej, ale mam nocna zmianę i… nieważne. – Policjant nabrał głośno powietrze w płuca. – Polowanie zostało przyśpieszone.

– Co takiego?!

Pomyślałem, że może wciąż śpię, ale żurawie wisiały całkiem nieruchomo nade mną.

Koenig powiedział trochę głośniej:

– Odbędzie się dziś. O świcie. Piąta czterdzieści siedem. Helikopter nagle się zwolnił i przesunęli całą akcję. Pora wstawać.

Nie musiał mi tego mówić. Czułem się tak, jakbym już nigdy nie miał zasnąć.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

ISABEL

Drzemałam zaledwie, kiedy zadzwonił telefon.

Było dobrze po północy. Próbowałam usnąć głównie w odruchu obronnym. Wraz ze zbliżającą się datą polowania i przeprowadzki do Kalifornii napięcie w domu Culpeperów wyraźnie rosło. Moi rodzice rozkoszowali się właśnie jednym z ich tradycyjnych „krzykatonów", za którymi tak tęskniłam przez ostatnie kilka tygodni. Wyglądało na to, że moja matka wygrywa – w każdym razie w ciągu ostatnich dwudziestu minut udało jej się wywrzeszczeć więcej argumentów niż mojemu ojcu – ale zapowiadało się jeszcze kilka dodatkowych rund.

Zamknęłam drzwi sypialni i włożyłam słuchawki do uszu, zagłuszając kłótnię rodziców agresywną muzyką. Mój pokój był różowo-białym kokonem. Patrzyłam na swoje rzeczy i czułam, że to mógłby być jeden ze zwykłych dni, od kiedy się tu sprowadziliśmy. Może nawet mogłabym zejść na parter i nawrzeszczeć na Jacka za to, że nie wypuścił psa na spacer, gdy mnie nie było. Albo zadzwonić do przyjaciół z Kalifornii, którzy nadal by mnie pamiętali, powiedzieć im, że wracam, i zaplanować wyprawę po kampusach college'ów blisko ich domów. To, że pokój wyglądał jak zawsze i nocami płatał mi takie figle, było równocześnie przyjemne i przerażające.

W każdym razie już prawie tęskniłam za tym wszystkim, kiedy zadzwoniła moja komórka.

Dom Becka.

Wyciągnęłam z ucha jedną słuchawkę i odebrałam.

– Cześć – rzuciłam.

– Zgadnij, co twój cholerny ojciec zrobił tym razem? – zapytał Cole dziwnym głosem, jakby brakowało mu tchu.

Nie miałam ochoty odpowiadać. Spodziewałam się, że nasza następna rozmowa rozpocznie się inaczej.

– Wydymał nas – podsumował, nie czekając na moja odpowiedź. – Na masce zagranicznej bryki. Polowanie odbędzie się dziś, o świcie. Przyśpieszyli je.

Jakby na zawołanie odezwał się telefon stacjonarny na moim stoliku nocnym. Nie tknęłam go, ale na wyświetlaczy zobaczyłam, kto dzwoni: Landy, Marshall. To oznaczało, że w tym samym czasie będziemy z ojcem przeprowadzać prawie identyczna rozmowę, tylko z innymi ludźmi.

Kłótnia na dole przycichła. Próbowałam przyswoić to, co usłyszałam.

– Co zamierzacie zrobić? – zapytałam.

– Cóż, najpierw przywołam Sama do porządku – wyjaśnił. – Grace się dziś przemieniła i jest w lesie, więc mu trochę odbija.

Teraz dopiero poczułam się w pełni rozbudzona. Wyciągnęłam drugą słuchawkę i usiadam na łóżku.

– Grace tam jest? To niedopuszczalne.

To było bardziej niż niedopuszczalne. Grace kontra Wielmożny Pan Thomas Culpeper to nie była walka, której chciałam być świadkiem, skoro już znałam wynik.

– Wiem, księżniczko – podsumował Cole zwięźle. – W związku z czym mam taka sugestię, abyś poszła teraz do swojego ojca i powiedziała mu, żeby złapał za telefon i to powstrzymał.

Wynik tej walki tez znałam.

– To się nie uda – wyjaśniłam. – On już nad tym nie panuje.

– Nie. Obchodzi mnie. To – wycedził Cole powoli i cierpliwie jakbym była dzieckiem. – Znajdź tego drania i powstrzymaj go. Wiem, że potrafisz.

Ton jego głosu sprawił, że coś mnie zakłuło.

– Okej, po pierwsze nie mów mi, co mam robić. A po drugie…? Osiągnę tylko tyle, że pójdę tam, wkurzę go jeszcze bardziej i może, jeśli naprawdę będę miała szczęście, ojciec zacznie się zastanawiać, dlaczego nagle tak bardzo zaczął mnie obchodzić los wilków. A to otworzy puszkę Pandory, z czego konsekwencjami będę musiała się bujać przez resztę roku. A poza tym on wie, że już nad tym nie panuje. Może więc lepiej zajmij się wykonaniem swojej części planu?

– Mojej części planu? Moja część zadziałałaby tylko wtedy, gdyby Grace była tutaj. Bez niej ma jedynie emocjonalnie niestabilnego wilka i volkswagena.

W porównaniu z wcześniejszą kłótnią w domu panowała śmiertelna cisza. Próbowałam sobie wyobrazić, jak schodzę do salonu i rozmawiam z ojcem o polowaniu. To było zbyt absurdalne, żeby nawet o tym myśleć.

– Nie zrobię tego, Cole.

– Jesteś mi to winna. Przynajmniej spróbuj.

– Winna? – Roześmiałam się okrutnie. Przez chwilę przeglądałam w myślach wszystkie nasze spotkania, próbując stwierdzić, czy w jego słowach jest choćby ziarnko prawdy. Jeśli już, to on był mi coś winien. Przecież zawdzięczał mi naprawdę dużo. – Dlaczego miałabym ci być coś winna?

– Bo twój skurwysyński ojciec zabił Victora i rzucił mi jego ciało pod nogi – wyjaśnił Cole wypranym z emocji głosem.

Poczułam, że się rumienię.

– Ja nie jestem moim ojcem. Gówno jestem ci winna, Cole'u St. Clair. Jeszcze chwile temu rozważałam rozmowę z ojcem, ale teraz… pieprz się!

– Och, jak miło. Jaka dojrzałość w radzeniu sobie z problemami. Znaleźć jakiś drobny szczegół, obrócić kota ogonem i sprawić, żeby stał się problemem kogoś innego. Naprawdę jesteś córeczka tatusia, Ptysiu.

Zabolało, więc go wyśmiałam:

– I kto to mówi? Jedyna rzecz, która mnie w tym wszystkim zdumiewa to to, że najwyraźniej jeszcze jesteś trzeźwy. Ale jeśli twój plan nie wypali, to zawsze będziesz mógł się zabić, prawda?

Rozłączył się.

Tętno mi przyśpieszyło, skóra mnie piekła i nagle poczułam zawroty głowy. Oparłam się o zagłówek łóżka i przyłożyłam dłonie do ust. Mój pokój wyglądał dokładnie tak samo jak wcześniej, przed rozmową z Cole'em.

Rzuciłam telefon o ścianę. Gdy już szybował w powietrzu, uświadomiłam sobie, że ojciec mnie zabije, jeśli go zniszczę. Ale aparat zderzył się z murem i zsunął na podłogę bez szwanku. Wyglądał dokładnie tak samo jak wcześniej.

Nic się nie zmieniło. Nic.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

SAM

Cole wpadł do kuchni jak wypełniona gwoździami bomba. Dochodziła pierwsza w nocy. Za cztery i pół godziny wilki zaczną umierać.

– Nic z tego, Ringo. Culpeper nie może tego odwołać. – W jego oczach widać było chaos, którego nie słyszałem w głosie.

Nie sądziłem, żeby to się udało, ale głupio byłoby nie spróbować.

– Czy Isabel przyjedzie? – Ku mojemu zaskoczeniu mój głos brzmiał normalnie, jakby to było nagranie, które odtwarzałem, bo prawdziwy ja nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Nie – oznajmił po prostu Cole. To lewie było słowo, raczej część wydechu. Chłopak otworzył lodówkę tak gwałtownie, że produkty stojące na drzwiczkach zagrzechotały. Zimne powietrze wypełzło ze środka i owinęło się wokół moich kostek. – Więc wszystko zależy od nas. Twój przyjaciel Koenig będzie?

Byłoby dobrze. Ktoś praktyczny, mający za sobą prawo i zdecydowanie mniej zaangażowany emocjonalnie niż ja, to byłoby wspaniałe towarzystwo.

– Dowiedział się tego, bo pracuje. Jego zmiana kończy się o szóstej rano.

– Idealne wyczucie czasu. – Cole złapał garść fiolek i strzykawek i rzucił je na wyspę kuchenną przede mną. Chaotycznie potoczyły się po blacie, wirując i tworząc przypadkowy krąg. – Tu mamy nasze opcje.

W uszach mi zadzwoniło.

– Mamy więcej niż jedną?

– Dokładnie – trzy – wyjaśnił Cole. Wskazał je kolejno: - Ta zamieni w wilka ciebie. Ta zamieni w wilka mnie. Po tej obaj dostaniemy ataku padaczki.

Ale tak naprawdę to nie były trzy opcje. Była tylko jedna. Zawsze była tylko jedna.

– Muszę tam iść i ją wyprowadzić.

– A co z resztą?

– Ona najpierw. – To była najstraszliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem powiedzieć. Ale wszystko inne byłoby kłamstwem. Grace była jedyną osobą, którą pamiętałem jako wilk, kiedy wszystko inne znikało. Wiedziałem, że tylko myśli o niej będę się w stanie utrzymać. Ocalę innych, jeśli dam radę, ale ona ma pierwszeństwo.

Nie sądziłem, żeby moje argumenty były przekonujące, jednak Cole skinął głową. To skinięcie sprawiło, że wszystko stało się realne i teraz, gdy był to już ustalony plan, poczułem mdłości tak gwałtowne, że aż zaszumiało mi w uszach i zamazał mi się wzrok. Musiałem przemienić się w wilka. Nie w jakiejś odległej przyszłości, ale natychmiast.

– Okej, powtórzmy to sobie. A więc plan jest taki: ja jadę nad jezioro – zaczął Cole, niczym generał, wsuwając do kieszeni bojówek napełnioną strzykawkę, która mogłaby zmienić w wilka jego samego. Wskazywał palcem w powietrzu jakąś wyobrażoną mapę, żeby zademonstrować, gdzie jedziemy. – Na parking koło jeziora Two Islands. Tam na ciebie poczekam. Na ciebie. Grace. Kogokolwiek ze sobą przyprowadzisz. Naprawdę będziemy musieli przebyć ten otwarty teren dobrze przed świtem. Inaczej nie będziemy mieli osłony i wystrzelają nas jak kaczki. Jesteś gotowy?

Musiał to powtórzyć. Pomyślałem o siedzeniu w wannie z gitarą i śpiewaniu piosenki „Na granicy przebudzenia". Pomyślałem o tym, jak Cole powiedział mi, że wszyscy mnie słuchają, ale ja nie zawsze do nich mówię. Pomyślałem o wszystkim, co sprawiało, że byłem sobą, i o tym, jak bardzo się boje to utracić.

Nie utracę tego.

– Jestem gotowy.

Nie było więcej czasu.

Na zewnątrz rozebrałem się i stałem tak nago przez chwilę. Cole postukał w strzykawkę, aż bąbelki w wypełniającym ja płynie się uniosły. Na dworze było zaskakująco jasno. Księżycowi brakowało niemal tygodnia do pełni, ale niskie chmury i mgła rozpraszały jego światło. To sprawiło, że las za domem wyglądał na upiorny i bezkresny.

– Powiedz mi, o czym myślisz – zażądał Cole.

Wziął mnie za ramię i zdecydowanym ruchem obrócił moją dłoń wnętrzem do góry. Moje wypukłe blizny zalśniły brzydko w blasku księżyca.

Myślałem o dłoni Grace w ojej dłoni, o Becku trzęsącym się w piwnicy, o grzebaniu Victora, o stawaniu się człowiekiem. Myślałem o tym, że może Grace też mnie szuka. Skupiłem się na myślach, które chciałem zabrać ze sobą.

– Jestem Sam Roth. Muszę znaleźć Grace. Muszę znaleźć wilki. Zaprowadzić je do jeziora.

Cole skinął głową i mruknął:

– Lepiej, żeby ci się udało. Okej, to musi trafić w żyłę. Stój nieruchomo. Powtórz swoja mantrę jeszcze raz. Czekaj, powiedz mi, gdzie masz kluczyki do auta.

– W kieszeni. – Serce waliło mi z nerwów i strachu, i nadziei.

Cole spojrzał na mnie z politowaniem.

– A tak, nie mam już na sobie spodni – stwierdziłem bezsensownie.

– Nie, nie masz. Okej. A teraz się nie ruszaj.

– Cole. Jeśli ja nie… - zacząłem.

Usłyszał to w moim głosie.

– Nie. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Znalazł żyłę w zgięciu mojego łokcia. Zamknąłem oczy. Wsunął igłę pod skórę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

SAM

Na jeden ułamek sekundy, jeden ułamek oddechu ból odebrał mi myśli. Czułem się tak, jakby topiły mi się żyły. Moje ciało zmieniało swą mapę, obierało nowy kurs, planowało nowe kości, jednocześnie mieląc moje na pył. Nie było ani jednej części mnie, którą mógłbym zachować.

Zapomniałem, jak wielkie męczarnie towarzyszą temu procesowi. To było bezlitosne. Po raz pierwszy przemieniłem się, gdy miałem siedem lat. Moja matka zobaczyła mnie w tym stanie jako pierwsza. Nie mogłem sobie przypomnieć jej imienia.

Pękł mi kręgosłup.

Cole rzucił strzykawkę na schodki.

Lasy śpiewały w języku, który znałem tylko jako wilk.

Ostatnim razem, kiedy przez to przechodziłem, widziałem przed sobą twarz Grace. Ostatnim razem, gdy przez to przechodziłem, to było pożegnanie.

Nigdy więcej. Nigdy więcej pożegnań.

„Jestem Sam Roth. Muszę znaleźć Grace”.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

ISABEL

Po tym, jak Cole się rozłączył, potrzebowałam pięciu minut, żeby dojść do wniosku, że jego słowa nie były tak okrutne, jak sądziłam. Zajęło mi dziesięć minut, zanim uznałam, że powinnam natychmiast do niego oddzwonić. Po piętnastu wiedziałam już, że nie odbiera telefonu. Po dwudziestu zrozumiałam, że nie powinnam drwić z jego skłonności samobójczych. Dwadzieścia pięć minut później uświadomiłam sobie, że to mogła być ostatnia rzecz, jaką miałam szansę mu powiedzieć.

Dlaczego to zrobiłam? Może Rachel miała rację, wypominając mi wredność. Żałowałam, że nie wiem, jak się zmienić.

Dopiero po pół godzinie od rozmowy z Cole'em zdałam sobie sprawę, że już nigdy nie będę mogła spojrzeć sobie w oczy, jeśli nie spróbuję czegoś zrobić w związku z polowaniem.

Po raz ostatni wybrałam domowy numer Becka, a potem numer Sama – nic z tego – po czym ruszyłam na dół. W myślach powtarzałam, co powiem ojcu. Najpierw argumenty, potem błagania, a na koniec uzasadnienie dla moich obaw, które nie będzie miało nic wspólnego z Samem i Beckiem, bo wiedziałam, że to by do niczego nie doprowadziło, jeśli chodzi o mojego ojca. I tak nic z tego nie wyjdzie.

Ale przynajmniej będę mogła powiedzieć Cole'owi, że próbowałam. I może nie będzie mi po tym tak strasznie na duszy.

Nienawidziłam tego. Nienawidziłam tego, że czuję się tak źle z powodu kogoś innego. Zabłąkana łza zapiekła mnie pod powieką.

Dom był pogrążony w ciemnościach. Gdy schodziłam po schodach, po kolei zapalałam światła. Nie było nikogo w kuchni ani w salonie. W bibliotece znalazłam moja matkę, rozpartą na skórzanej sofie z kieliszkiem białego wina w dłoni. Oglądała reality show, którego akcja działa się w szpitalu. Jako że sama była lekarką, w normalnych okolicznościach rozbawiłoby mnie to, ale w tej chwili potrafiłam myśleć tylko o ostatniej rzeczy, którą powiedziałam Cole'owi.

– Mamo – zaczęłam, próbując brzmieć beztrosko. – Gdzie jest tata?

– Hm? – coś w tym jej „hm" sprawiło, że wyostrzyła mi się uwaga.

Świat się jeszcze nie kończył. Moja mama wciąż mówiła „hm", kiedy zadawałam jej pytanie.

– Mój ojciec. Stworzenie, które spółkowało z tobą, żeby mnie spłodzić. Gdzie jest?

– Wolałabym, żebyś nie mówiła takich rzeczy – oświadczyła moja matka. – Pojechał, żeby załapać się na pokład helikoptera.

– Helikoptera – powtórzyłam głucho.

Moja matka ledwie oderwała wzrok od ekranu. W moim tonie nie wyczuła niczego, co mogłoby ja zaalarmować.

– Marshall załatwił mu miejscówkę. Powiedział, że ojciec jest tak dobrym strzelcem, że aż żal, żeby się marnował. Boże, będę zadowolona, kiedy to wszystko się już skończy.

– Tata będzie na pokładzie helikoptera, z którego przeprowadzą odstrzał wilków? – powiedziałam powoli.

Czułam się jak idiotka. Oczywiście, że mój ojciec będzie chciał się znaleźć na linii frontu ze strzelbą na słonie. Oczywiście, że Marshall mu to umożliwi.

– Wylatują o jakiejś niemożliwej godzinie – dodała mama. – Więc już wyjechał, żeby jeszcze zdążyć spotkać się z Marshallem na kawę. W końcu mam telewizor tylko dla siebie.

Spóźniłam się. Poświęciłam za dużo czasu na debatowanie sama ze sobą, a teraz było już za późno.

Nie mogłam nic zrobić.

„Jesteś mi to winna. Przynajmniej spróbuj” – powiedział Cole.

Nadal nie uważałam, że jestem mu cos winna. Ale dbając o to, żeby matka nie zauważyła, w jakim jestem stanie, wyszłam z biblioteki. Wzięłam białą kurtkę, kluczyki od samochodu i komórkę i wymknęłam się tylnym wyjściem. Nie tak dawno temu Cole stał tu jako wilk, mierząc mnie spojrzeniem swoich zielonych oczu. Powiedziałam mu wtedy, że mój brat nie żyje. I że nie jestem zbyt miłą osobą. A on mnie tylko obserwował, w całkowitym bezruchu, uwięziony w tym ciele, które dla siebie wybrał.

Wszystko się zmieniło.

Kiedy wyjeżdżałam, docisnęłam gaz do dechy tak mocno, że aż koła zabuksowały na żwirze.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

SAM

„Jestem Sam Roth. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki. Zaprowadzić je do jeziora. Jestem Sam Roth. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki. Zaprowadzić je do jeziora".

Pędem wbiegłem do lasu. Moje łapy uderzały o skały, skokami pokonywałem odcinek za odcinkiem. Każdy nerw wewnątrz mnie płonął. Utrzymywałem ludzkie myśli jak naręcze papierowych żurawi. Wystarczająco mocno, by ich nie zgubić. Na tyle łagodnie, żeby ich nie zgnieść.

„Jestem Sam Roth. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki. Zaprowadzić je do jeziora. Jestem Sam Roth. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki. Zaprowadzić je do jeziora".

W lesie słychać było tysiąc dźwięków. Czuć było dziesięć tysięcy zapachów. Milion wskazówek pozostawionych przez niezliczone formy życia. Ale potrzebowałem tylko jednej.

Grace opierała się o mnie, wdychając zapach sklepu ze słodyczami. Każdy kolor, którego teraz nie widziałem, był odmalowany na ścianach i etykietkach wokół nas.

„Jestem Sam. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki. Zaprowadzić je do jeziora".

Noc była jasna w blasku księżyca. Światło rozpraszały nisko zawieszone chmury i poszarpane pasma mgły. Widziałem wszystko wyraźnie. Ale to nie zmysł wzroku mi pomagał. Od czasu do czasu zwalniałem i nasłuchiwałem. Wyła dla mnie. Byłem tego pewien.

Wilki zawodziły. Stałem przy jej oknie i wyglądałem na zewnątrz. dawno temu byliśmy sobie obcy, a jednocześnie znaliśmy siebie jak ścieżkę, którą chadza się każdego dnia. „Nie śpij na podłodze" – powiedziała.

„Jestem Sam. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki. Zaprowadzić je".

Na jej wołanie zaczęli odpowiadać inni członkowie sfory. Łatwo było odróżnić ich głosy. Trudniej było pamiętać, d l a c z e g o musiałem to zrobić.

Jej oczy, brązowe i ludzkie w wilczej głowie.

„Jestem Sam. Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki".

Zachwiałem się, gdy moje łapy poślizgnęły się na mokrej glinie. Usłyszałem, jak w pobliżu coś wpadło do wody.

Jakiś głos z tyłu głowy syknął na mnie. Dźwięk kojarzył się z niebezpieczeństwem. Zwolniłem ostrożnie i wtedy zobaczyłem ogromny dół wypełniony wodą, w której można by się utopić. Dreptałem wokół niego, nasłuchując. W lasach zapadła cisza. Mój umysł zataczał się i potykał, pragnąc czegoś… Odrzuciłem głowę do tyłu i zawyłem. Był to długi, drżący skowyt, który ukoił wewnętrzną tęsknotę. Kilka chwil później usłyszałem jej głos i podjąłem wędrówkę.

„Muszę znaleźć Grace. Znaleźć wilki". Stado ptaków uciekło przede mną. Wzbiły się w powietrze, gdy moje nadejście wypłoszyło je z kryjówki, jasne punkty na tle czarnego nieba. Wielość ich form, identyczne rozciągnięcie skrzydeł, sposób, w jaki zawisły nade mną, trzepocząc na wietrze, podczas gdy daleko za nimi świeciły gwiazdy, przypomniały mi o czymś.

Walczyłem, żeby uchwycić tę myśl, ale cały czas mi się wymykała. Utrata jej wydawała mi się druzgocąca, choć nie wiedziałem, co tracę.

„Muszę znaleźć Grace".

Tego nie utracę. Tego nie utracę.

„… znaleźć Grace".

Są myśli, których nie można mi odebrać. Są myśli, których utraty po prostu bym nie zniósł.

„Grace…".

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

COLE

Druga trzydzieści cztery w nocy.

Byłem sam.

Parking ciągnął się wzdłuż jeziora, spokojna woda odbijała idealny lustrzany obraz niedoskonałego księżyca. Gdzieś po drugiej stronie jeziora znajdowała się posiadłość Culpeperów.

Nie zamierzałem o tym myśleć.

Druga trzydzieści pięć.

Byłem sam.

Istniała możliwość, że Sam się nie pojawi.

ISABEL

Była trzecia dwadzieścia jeden nad ranem, a dom Becka był pusty. Przy tylnych drzwiach znalazłam stos ubrań i porzuconą strzykawkę. W środku, na wyspie kuchennej, leżała komórka Sama – nic dziwnego, że nikt nie odbierał moich telefonów. Zniknęli. Zrobili to, co powiedziałam. Postanowili zrealizować plan Cole'a. Bez mojej pomocy. Przeszłam się po pokojach na dole. Moje botki stukały na drewnianej podłodze tak głośno, że gdyby ktoś tu był, na pewno by mnie usłyszał.

Na końcu korytarza znalazłam pokój, w którym umarł Jack. Włączyłam światło i nachalny odcień żółci, który tak dobrze pamiętałam, prawie mnie oślepił. Zrozumiałam, że teraz mieszka tu Cole. Para spodni od dresu leżała na podłodze. Szklanki, miski, długopisy i papiery pokrywały każdą dostępną powierzchnię. Łóżko było niezasłane, a na wymiętej narzucie leżała oprawiona w skórę książka przypominająca terminarz lub dziennik.

Położyłam się na plecach na łóżku – pachniało tak, jak Cole tamtego dnia, kiedy przyszedł do mnie taki czysty i zadbany. Pomyślałam o tym, że Jack umarł dokładnie tutaj. Z trudem przywołałam to wspomnienie. Nie było ono wystarczająco mocne, żeby przynieść ze sobą emocje. To sprawiło, że jednocześnie poczułam ulgę i smutek – traciłam go.

Po chwili sięgnęłam po dziennik z długopisem w środku. Świadomość, że Cole mógł zapisywać swoje myśli, była dla mnie dziwna. Nie sądziłam, że naprawdę może przeżywać chwile szczerości, nawet na papierze.

Otworzyłam dziennik i przerzuciłam zapiski. Nie było tu niczego, czego bym się spodziewała, a jednocześnie wszystko. Szczere, ale wyzbyte emocji notatki. Beznamiętna chronologia ostatniego miesiąca życia Cole'a.

„Atak padaczki. Dreszcze. Umiarkowany sukces. Niekontrolowane trzęsienie rąk, ok. dwóch godzin. Przemiana na 27 min. Nasilone wymioty; spróbować postu?".

Szukałam czegoś, co nie było tu zapisane. Nie czegoś, czego potrzebowałam, ale czegoś, czego chciałam. Przekartkowałam dziennik, sprawdzając, czy jego wpisy staną się bardziej obszerne, ale nic z tego. Jednak na ostatniej stronie znalazłam to, czego szukałam: „Spotkanie na parkingu koło jeziora Two Islands, potem trasą nr 169 na północ w kierunku Knife Lake".

Znalezienie miejsca, o które chodziło, nad jeziorem Two Islands, zajmie mi trochę czasu. Akwen był ogromny. Ale przynajmniej wiedziałam, od czego zacząć.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

GRACE

Wreszcie go zobaczyłam. Był taki, jakim go zapamiętałam, po tym długim czasie.

Stałam pośród drzew o białej korze, kiedy mnie odnalazł. Moje wycie przywołało jeszcze dwóch innych członków sfory, zanim on się pojawił. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej niespokojna się stawałam. Trudno było wyć, zamiast skomleć. Inne wilki próbowały mnie pocieszać, ale ja wciąż przesyłałam im obraz jego spojrzenia, starałam się przekazać… to coś. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę słyszę jego wycie, dopóki nie ujrzałam tych oczu.

Kiedy go zobaczyłam, dyszał po biegu, niepewny. Truchtem wpadł na polankę, lecz zawahał się, kiedy zobaczył towarzyszące mi wilki. Jednak one natychmiast zidentyfikowały go po zapachu. Przekazaliśmy sobie całą chmurę obrazów: on bawiący się i polujący z członkami sfory.

Ruszyłam ku niemu susami, z ogonem uniesionym do góry, podekscytowana i drżąca. Rzucił mi obraz tak mocny, że aż się zatrzymałam. Zobaczyłam drzewa wokół nas, pnie białych drzew z czarnymi pręgami, opadające liście. I ludzi.

Ja tez posłałam mu jedną myśl: ja pędząca tutaj, żeby go odnaleźć, podążająca za jego głosem.

Ale on znowu przesłał mi tamten obraz.

Nie rozumiałam. Czy to było ostrzeżenie? Czy nadchodzili ludzie? A może to było wspomnienie? Czy on ich naprawdę widział?

Obraz się zmienił, zamigotał: chłopak i dziewczyna, liście w dłoniach, wszystko przesycone tęsknotą i pragnieniem. Chłopak miał oczy mojego wilka.

Coś zabolało mnie wewnątrz.

„Grace”.

Zaskomliłam cicho.

Nie rozumiałam, co się dzieje. Poczułam tę znajomą pustkę w środku.

„Grace”.

To był dźwięk, który nie znaczył nic, a jednocześnie znaczył wszystko. Mój wilk podszedł ku mnie ostrożnie, czekając, Az nadstawię uszu, zanim polizał mnie po podbródki i musnął nosem uszy i pysk. Poczułam się tak, jakbym czekała na jego nadejście całe życie. Drżałam. Nie mogłam się powstrzymać przed napieraniem na niego, dociskaniem nosa do jego policzka, ale to było w porządku, bo on był równie natarczywy. Uczucie wymagało dotykania się i przepychania.

Przesłała mi obraz, który zrozumiałam: my, z odrzuconymi głowami, śpiewający razem, wzywający inne wilki z całego lasu. Wrażenie było nasycone pośpiechem, niebezpieczeństwem. Znałam oba te uczucia.

Wilk odrzucił łeb do tyłu i zawył. To był długi, przenikliwy lament, smutny i jasny. Dzięki niemu lepiej pojęłam znaczenie słowa „Grace” niż dzięki obrazom, które mi przesyłał. Po chwili dołączyłam do niego.

Razem nasze głosy były mocniejsze. Inne wilki napierały na nas, obwąchiwały, skomlały, a w końcu dołączały do wycia.

Było nas słychać w całym lesie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

COLE

Piąta piętnaście rano.

Byłem tak zmęczony, że nie mogłem sobie wyobrazić, żebym mógł teraz zasnąć. Byłem tak zmęczony, że ręce mi się trzęsły, a kątem oka widziałem światła i ruch tam, gdzie ich nie było.

Ani śladu Sama.

Świat jest dziwny. Przyjechałem tutaj, żeby utracić siebie, a w zamian traciłem wszystko poza sobą. Możliwe, że przerzuciłem nad płotem ogródka Pana Boga o jeden koktajl Mołotowa za dużo. Ostatecznie byłaby to bosko paradoksalna kara – poczekać, aż zacznie mi na czymś zależeć, a potem mi to odebrać.

Nie miałem pojęcia, co zrobię, jeśli nasz plan się nie powiedzie. Uświadomiłem sobie, że w którymś momencie zacząłem bezwarunkowo wierzyć, że Samowi uda się tego dokonać. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, więc teraz odczuwałem rozczarowanie. Czułem się zdradzony.

Nie mogłem wrócić do tamtego pustego domu. Był niczym bez zamieszkujących go ludzi. I nie mogłem tez wrócić do Nowego Jorku. Tamto miejsce już dawno przestało być domem. Byłem człowiekiem bez korzeni. Ale gdzieś po drodze stałem się członkiem sfory.

Zamrugałem, przecierając oczy. Kątem oka znowu dostrzegłem jakiś ruch. Wzrok pewnie znowu mnie mylił. Z rezygnacją potarłem oczy i oparłem głowę o kierownicę.

Ale tym razem rzeczywiście coś się ruszało.

To był Sam, z żółtymi oczami czujnie utkwionymi w aucie.

A za nim biegły wilki.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

SAM

Wszystko szło nie tak. Byliśmy na otwartej przestrzeni, byliśmy zbici w jedną gromadę, byliśmy zbyt blisko pojazdu. Instynktownie zjeżyło mi się futro na grzbiecie. Światło księżyca połyskiwało wewnątrz mgły, sztucznie rozjaśniając świat. Kilka wilków zaczęło zawracać, by skryć się w mroku lasu, ale pobiegłem za nimi i zagoniłem je z powrotem w pobliże wody. Obrazy błyskały w moim umyśle: my, przy jeziorze, wszyscy razem. Ja i ona. „Grace".

„Grace. Znaleźć wilki. Jezioro".

Zrobiłem to. I co teraz? Nie było żadnego c o t e r a z .

Grace odbierała moje poruszenie. Potarła nosem mój pysk, przytuliła się do mnie, ale to nie pocieszało.

Sfora była niespokojna. Znowu musiałem się odłączyć, żeby zagonić kilku maruderów w pobliże jeziora. Biała wilczyca –Shelby – warknęła na mnie, ale nie zaatakowała. Wilki wciąż zerkały na pojazd. W środku siedział jakiś człowiek.

„Co teraz, co teraz?".

Byłem rozdarty.

– Sam.

Drgnąłem. Rozpoznałem ten głos.

– Sam, słuchasz mnie?

I nagle zobaczyłem wyraźny obraz. Wilki biegnące drogą, wolność przed nami i coś… coś groźnego za nami.

Nadstawiałem uszu, próbując odnaleźć kierunek, z którego przyszła informacja. Odwróciłem się do pojazdu. Napotkałem nieruchome spojrzenie młodego człowieka w środku auta. Znowu dotarł do mnie obraz, tym razem jeszcze wyraźniejszy. Nadciągające niebezpieczeństwo. Sfora pędząca drogą. Przyjąłem go, wyostrzyłem i przekazałem innym wilkom.

Grace, która zastąpiła mnie i sama powstrzymywała zwierzęta przed powrotem pomiędzy drzewa, gwałtownie poderwała głowę. Pośród dwóch tuzinów poruszających się ciał napotkałem jej spojrzenie i przez sekundę patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

Pod łapami wyczułem jakąś nieznajomą wibrację. Coś się zbliżało.

Grace przesłała mi obraz. Sugestię. Sfora, ja na czele, prowadzący grupę jak najdalej od zagrożenia, które nadciągało za nami. Ona obok mnie. Pomagająca mi prowadzić wilki. Nie mogłem nie zaufać tamtym obrazom wysyłanym z samochodu, bo raz za razem towarzyszyło im słowo „Sam". Dzięki temu wiedziałem, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli nie do końca potrafiłem utrzymać cały koncept w głowie.

Wysłałem obraz do sfory. Nie prośbę. Rozkaz: ruszamy! Mają podążać za mną.

Tak naprawdę rozkazy miał prawo wydawać tylko Paul, czarny wilk. Każdy inny, kto tego próbował, był karany za niesubordynację.

Przez chwilę nic się nie działo.

A potem, niemal w tym samym momencie, zaczęliśmy biec. Zupełnie jak na polowaniu, tylko że to, za czym teraz goniliśmy, znajdowało się poza zasięgiem naszego wzroku.

Wszystkie wilki mnie posłuchały.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

COLE

Udało się.

Ale gdy ruszyłem za nimi volkswagenem, rozproszyły się i długo trwało, zanim znowu się przegrupowały. Już niemal świtało. Nie było czasu na to, żeby przywykły do samochodu. Wysiadłem więc i wysyłałem im obrazy najlepiej, jak potrafiłem – wychodziło mi to coraz sprawniej, choć musiałem trzymać się niedaleko – i zacząłem biec razem z nimi. Nie za blisko. Trzymałem się pobocza drogi, żeby nie stracić orientacji, a one pędziły kilkadziesiąt metrów dalej. Starałem się być wystarczająco blisko, żeby mieć je na oku i widzieć, w którą stronę zmierzają. Nie mogłem uwierzyć, że wcześniej przeklinałem ich opieszałość. Gdyby były bardziej skupione, nie byłbym w stanie dotrzymać im kroku. A tak udawało mi się biec razem z nimi, jakbym znowu był częścią sfory, podczas gdy one mknęły pod blednącym światłem księżyca. Nie byłem pewien, co się stanie, kiedy się zmęczę. W tej chwili, napędzany adrenaliną, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić.

I nawet jako cynik musiałem przyznać, że było coś pięknego w widoku wilków skaczących i robiących uniki, i pędzących razem. Widok Sama i Grace razem także był poruszający.

Wysyłałem Samowi obrazy, ale ich zrozumienie wyraźnie wymagało od niego wiele wysiłku. Natomiast to, co łączyło go z Grace, było niesamowite. Nawet gdy oboje byli wilkami. Wystarczyło, że Sam ledwie obrócił głowę, a Grace już cofała się, by zachęcić do dalszego biegu jakiegoś marudera, którego zatrzymał fascynujący zapach. Przechwytywała moje obrazy i objaśniała je Samowi machnięciem ogona, a wilki nagle zmieniały kierunek tak, jak chciałem. I choć sfora musiała się śpieszyć, oni wciąż dotykali się, obwąchiwali, napierali na siebie. Wszystko co było między nimi jako ludźmi, przekładało się na ich wilcze zachowania.

Był jeden problem.

Na północ od lasu Boundary znajdowała się duża, płaska połać ziemi, porośnięta tylko krzakami. W momencie przekraczania jej wilki stanowiły łatwy cel. Przejechałem tamtędy wcześniej i wydawało mi się, że teren nie jest zbyt duży. Ale pokonywałem samochodem go z prędkością około 100 kilometrów na godzinę. Teraz biegliśmy z prędkością może dziesięciu, dwunastu kilometrów na godzinę. Linia horyzontu zaróżowiła się od słońca, które zaczęło rozważać możliwość wzejścia.

Za wcześnie. A może za późno. Odsłonięty teren rozciągał się na kilometry przed nami. Nie było mowy, żeby wilki pokonały go przed wschodem słońca. Jedyne, na co mogłem mieć nadzieję, to że helikopter przyleci z opóźnieniem. Że wystartował na dalekim krańcu lasu Boundary, a załoga rozgląda się za wilkami w lesie, zastanawiając się, gdzie się podziały. Gdybyśmy mieli szczęście, tak by się stało. Gdyby świat był sprawiedliwy.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

ISABEL

Kiedy odnalazłam volkswagena stojącego na parkingu przy jeziorze, już niemal świtało. Zaczęłam przeklinać Cole'a za to, że porzucił telefon Sama, że porzucił samochód, ale wtedy zobaczyłam, że sfora pozostawiła na ziemi mnóstwo tropów. Więcej niż kiedykolwiek widziałam. Ile wilków mogło tędy przebiec? Dziesięć? Dwadzieścia? Zarośla były zadeptane tam, gdzie zgromadziła się sfora, a potem ślady zwierząt poprowadziły mnie wzdłuż drogi 169.

Tak jak było zapisane w dzienniku.

Byłam tak podekscytowana świadomością, że jestem na właściwym tropie, że początkowo nie dotarło do mnie, co to oznacza, że widzę ślady wilków tak wyraźnie. Słońce wschodziło, czyli kończył nam się czas. Nie. Czas j u ż nam się skończył, chyba że wilki zdążyły pokonać szeroki pas leżącej odłogiem ziemi, który ciągnął się za lasem Boundary i Mercy Falls. Jeśli zostaną przyłapane właśnie tam, będą celem idealnym.

Potrafiłam myśleć tylko o tym, że wszystko się uda, jeśli dotrę do wilków. Ruszyłam więc w dalszą drogę. Nagle uświadomiłam sobie, że jest mi strasznie zimno, chociaż wcale nie było tak lodowato. Na zewnątrz panował zwykły poranny chłód. Jakoś nie mogłam się rozgrzać. Podkręciłam ogrzewanie i mocniej ścisnęłam kierownicę. Po drodze nie napotkałam żadnych innych pojazdów. Zresztą kto miałby podróżować ta prowincjonalna drogą o świcie poza wilkami i ścigającymi je ludźmi… Nie byłam pewna, do której kategorii by mnie zaliczono.

I nagle je zobaczyłam. Czarne i szare punkciki na porośniętym krzakami terenie. Właśnie pokonywały odsłonięty obszar, rozciągnięte w długą, uporządkowaną linię, pędząc dwójkami i trójkami. Stanowiły idealny cel. Gdy podjechałam bliżej, dostrzegłam Grace. Od razu ja rozpoznałam: kształtne ciało, długie nogi i sposób, w jaki przechylała głowę. Obok pędził Sam. Wzrokiem odnalazłam też białą wilczycę. Przez chwilę myślałam, że to Olivia, ale potem uświadomiłam sobie, że ona przecież nie żyje, a to musi być Shelby, ta szalona wilczyca, która kręciła się koło kliniki dawno temu. Pozostałe wilki były mi obce. Były po prostu wilkami.

Nagle w oddali zobaczyłam człowieka biegnącego poboczem drogi. Wstające słońce rozciągało jego cień tak, że wydawał się sto razy wyższy od właściciela. Cole St. Clair. Biegł razem ze sforą, wymijał przeszkody, od czasu do czasu przeskakiwał na druga stronę rowu, po czym wracał na pas awaryjny drogi. Gdy skakał, dla równowagi wyciągał ramiona na boki, nieświadomie, jak chłopiec. Było cos tak niewiarygodnie s z l a c h e t n e g o w tym, co robił dla wilków, że moje ostatnie słowa skierowane pod jego adresem aż rozdzwoniły mi się w uszach. Ogrzał mnie wstyd, choć nic innego nie potrafiło.

Miałam nowy cel. Po tym wszystkim go przeproszę.

Dotarło do mnie, że coś grzechocze mi w desce rozdzielczej. Docisnęłam ją, a potem obicie drzwi, starając się zlokalizować źródło wibracji.

A potem uświadomiłam sobie, że hałas nie dochodzi z wnętrza SUV-a. Opuściłam szybę od strony kierowcy.

Usłyszałam huk młócących powietrze śmigieł helikoptera, który właśnie nadlatywał od strony lasu.

COLE

Wszystko zaczęło się dziać tak szybko, że straciłem panowanie nad sytuacją.

Usłyszałem huk nadlatującego helikoptera. Serce dudniło mi w uszach, ale śmigła maszyny obracały się dwa razy szybciej. Leciała nisko, była głośniejsza niż eksplozja i szybsza od jakiegokolwiek wilka. W świetle poranka rysowała się czarno na tle nieba. Nawet w moich oczach wyglądała jak potwór. Jak widmo

śmierci. Tempo obracających się śmigieł dokładnie pasowało do rytmu jednej z moich starych piosenek i jej tekst natychmiast pojawił się w mojej głowie, nieproszony.

Jestem zbędny.

Obecność helikoptera natychmiast spowodowała popłoch w sforze. W wilki uderzyła ściana dźwięku. Zaczęły biec chaotycznie, to zbijając się w kupę, to rozpraszając. Potem, gdy maszyna obniżyła lot, zwierzęta zaczęły wykręcać głowy ku niebu w trakcie biegu. Podkulały ogony, kładły uszy po sobie.

Przerażenie.

Nie było gdzie się ukryć. Ludzie w helikopterze nie widzieli mnie, a jeśli nawet, to ich nie obchodziłem. Sam obrócił ku mnie głowę, czekając na wskazówki. Grace kręciła się w pobliżu, próbując utrzymać w ryzach ogarnięte paniką zwierzęta. Ja wciąż przesyłałem im jeden obraz: wilki biegnące do lasu po drugiej stronie otwartego terenu. Ale odległy pas drzew zdawał się pozostawać poza ich zasięgiem.

Analizowałem sytuację sfory, prędkość helikoptera i ukształtowanie terenu, starając się wymyślić nowy plan, który w ciągu następnych dwudziestu sekund zapewni ocalenie uciekającym zwierzętom.

Zobaczyłem Shelby trzymającą się na tyłach watahy. Wciąż zaczepiała Becka, który zamykał pochód. Kłapnął na nią zębami, ale była nieustępliwa. Jak komar powracający raz za razem. Długo nie mogła rzucić wyzwania nikomu ze sfory, bo on jej to uniemożliwiał, więc teraz, kiedy jego uwaga była skupiona na czymś innym, postanowiła się zemścić. Przez jej zaczepki Beck zostawał coraz bardziej w tyle za całą grupą. Żałowałem, że nie walczyłem lepiej, kiedy wcześniej spotkałem ją w lesie. Żałowałem, że jej nie zabiłem.

Sam jakimś cudem wyczuł, że Beck ma kłopoty, więc zawrócił, pozostawiając Grace zadanie prowadzenia wilków. Utkwił wzrok w Becku.

Ryk helikoptera był tak głośny, tak wszechogarniający, że miałem wrażenie, jakbym nigdy wcześniej nie słyszał niczego takiego. Zatrzymałem się.

I wtedy wszystko ostatecznie wymknęło się spod kontroli. Sam warknął na Shelby, a ona porzuciła Becka, jakby w ogóle nie zależało jej na atakowaniu go. Przez chwilę sądziłem, że podziałał na nią autorytet Sama…

Ale wtedy Shelby rzuciła się na niego.

Pomyślałem, że wyślę mu ostrzeżenie. Powinienem wysłać ostrzeżenie.

Ale i tak byłoby za późno, nawet gdyby mnie słuchali.

Ziemia zaczęła eksplodować wokół nich fontannami piachu i zanim zrozumiałem, co się dzieje, Beck padł. Próbował się podnieść, ale wtedy znów rozległ się terkot, ledwie słyszalny przez ryk helikoptera. Wilk pozostał na ziemi. Jego ciało było zmasakrowane.

Nie mogłem o tym myśleć. Beck. Drgał, kłapał zębami, miotał się, nie mogąc wstać. Nie przemieniał się. Umierał. Jego rany były zbyt ciężkie, żeby był w stanie się wyleczyć.

Nie mogłem na to patrzeć.

Nie potrafiłem odwrócić wzroku.

Sam zamarł i zobaczyłem, jak zaczyna skomleć, choć nie mogłem tego słyszeć z miejsca, w którym stałem. Obaj byliśmy jak sparaliżowani. Beck nie mógł umrzeć. Był przecież nie do pokonania.

A jednak umarł.

Wykorzystując nieuwagę Sama, Shelby zaatakowała jego bok, powalając go. Potoczyli się po podłożu i po chwili cali byli umazani błotem. Próbowałem wysyłać Samowi obrazy, podpowiadając mu, żeby strząsnął ją z siebie i biegł dalej, ale on nie słuchał. Albo dlatego, że nie widział niczego poza Beckiem, albo dlatego, że skupiał swoja uwagę całkowicie na białej wilczycy.

Powinienem był ja zabić.

Helikopter wciąż nieśpiesznie podążał za wilkami. Kolejna seria małych eksplozji zaczęła chłostać ziemię, ale tym razem pociski nie trafiły w żadnego członka sfory. Miałem tylko chwilę, żeby pomyśleć:

„Może Beck będzie jedyna ofiarą”, kiedy wilk pośrodku grupy padł w pół korku, zwijając się w konwulsjach. Dokończenie roboty zajęło strzelcom kilka długich minut.

To była katastrofa.

Wyprowadziłem wilki z lasu tylko po to, żeby jeden po drugim zostały wybite. Śmierć niesiona siedmioma bezlitosnymi kulami.

Helikopter przechylił się na bok. Miałem nadzieję, że kończy polowanie, ale wiedziałem, że tak naprawdę tylko zawraca, żeby mieć lepsze pole do manewru. Sfora rozpierzchła się w przerażeniu. Sam walczył z Shelby, a wilki dosłownie kręciły się w miejscu. A były tak blisko lasu… Gdyby tylko ruszyły, znalazłyby schronienie. Potrzebowały tylko paru chwil bez tego potwornego huku.

Ale nie mieliśmy ani chwili. I wiedziałem, że bez opieki Sama one padną następne.

Wciąż miałem przed oczami obraz umierającego Becka.

Nie mogłem pozwolić na to, żeby Sama spotkał podobny los.

Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Mój cień rozciągnął się przede mną, sięgając do kieszeni bojówek w tym samym momencie, kiedy ja to zrobiłem. Wyciągnąłem strzykawkę, ściągnąłem zatyczkę zębami i wbiłem igłę w żyłę. Nie było czasu na refleksję. Nie było czasu na myślenie o tym, jak szlachetnie postępuję. Poczułem tylko gwałtowną falę bólu, a potem kop adrenaliny pomógł mi przyśpieszyć przemianę. Zwijałem się w męczarniach, a potem nagle stałem się wilkiem. Zacząłem biec.

„Shelby. Zabić Shelby. Ocalić Sama”.

Tylko tyle musiałem zapamiętać. Gdy zaatakowałem wilczyce pełna parą, słowa już zdążyły się częściowo rozpłynąć. Byłem złożony ze szczęk i warkotu. Najpierw spróbowałem rozerwać jej oczodół, tak jak mnie nauczyła. Wykręciła się i kłapnęła zębami, wiedząc, że tym razem czeka nas walka na śmierć i życie. W moim ataki nie było gniewu. Tylko bezwzględna determinacja. Tak powinna wyglądać nasza poprzednia potyczka.

Krew wypełniła mi usta. Nie wiedziałem, czy należy do Shelby, czy do mnie. Przekazałem Samowi obraz: „wynoś się”. Chciałem, żeby dołączył do Grace. Chciałem, żeby się oddalił ode mnie i wrócił do sfory. Żeby znalazł się w grupie i przestał stanowić samotny cel.

Dlaczego nie chciał sobie pójść? „WYNOŚ SIĘ STĄD”. Nie mogłem ubrać tego w inne, bardziej uprzejme słowa. Istniało wiele sposobów, żeby go przekonać, ale mój mózg już o nich nie pamiętał. Wtedy dotarł do nas obraz rzucony przez Grace: rozproszona sfora biegła bez celu, bez przywództwa Sama, las był blisko, a jednocześnie tak daleko. Helikopter już zawracał. Beck był martwy. Wilki były przerażone. Sam. Potrzebowały Sama. Ona go potrzebowała.

Nie chciał mnie zostawić.

Puściłem Shelby, żeby warknąć na niego z całej mocy. Położył uszy po sobie i zniknął.

Całym sercem pragnąłem mu towarzyszyć.

Shelby rzuciła się za nim, ale znowu ją dopadłem. Przetoczyliśmy się po piachu i kamieniach. Ziemia dostała mi się do pyska i oczu. Wilczyca była rozwścieczona, raz za razem przesyłała mi te same obrazy, niemal obezwładniając mnie siłą swojego strachu, zazdrości i gniewu: ona zabijająca Sama, ona zabijająca Grace, ona torująca sobie drogę na szczyt hierarchii w sforze.

Chwyciłem ją za gardło. Ta zemsta nie sprawiała mi radości. Shelby próbowała się wyrwać, jednak ja trzymałem mocno. Nie miałem innego wyjścia.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

GRACE

Sfora była kompletnie zdezorientowana. Wcześniej mój wilk wysyłał mi obrazy. Dziwne, ale chłopak, który biegł za nami, robił to samo. Teraz żaden z nich nie przekazywał mi informacji i sama musiałam przegrupować zwierzęta najlepiej, jak potrafiłam. Ale ja nie byłam przywódcą. Dopiero co sama nauczyłam się być wilkiem. To o n musiał je zgromadzić i prowadzić. Ale jego rozpaczliwe myśli huczały tak głośno w mojej głowie, że nie było w niej już miejsca na nic innego. „Beck, Beck, Beck". Zrozumiałam, że to było imię pierwszego wilka, który poległ. Mój wilk chciał wrócić do tamtego porzuconego ciała, a ja nagle zobaczyłam obrazy, które mi przekazał. Beck był zmasakrowany. Odszedł.

Grzmiąca maszyna, czarna na tle nieba, znowu zbliżała się do nas z ogłuszającym rykiem. To był opanowany drapieżnik. Nie śpieszył się.

Gorączkowo przesłałam mojemu wilkowi obraz sfory uspokajającej się pod naszym prowadzeniem, uciekającej, by schronić się pośród drzew. Przez cały czas krążyłam wokół wilków, które znajdowały się najbliżej mnie, popędzając je, żeby biegły dalej, popychając je w stronę bezpiecznego miejsca. Kiedy mój wilk przybiegł do mnie, jego przekaz stanowił tak naprawdę zlepek widoków i dźwięków, których nie potrafiłam zinterpretować. Wyłapywałam jeden obraz na sto. Nie miały sensu, gdy próbowałam je połączyć. A w górze nadlatywał potwór.

Za pomocą zmysłu powonienia odebrałam naglącą rozproszona myśl. „Cole. Shelby".

I może z powodu siły tej myśli, a może dlatego, że słońce ogrzewało mnie i poczułam w sobie cień kogoś innego, kto kiedyś żył we mnie, zrozumiałam, o kogo chodzi.

Zerknęłam przez ramię, nadal na wpół biegnąc, robiąc bokami, żeby nie utracić pędu. A tam rzeczywiście byli Cole i Shelby, zwarci w walce, której zaciekłość i dzikość zapierały dech w piersi. Byli za daleko, żebym mogła wyraźnie ich zobaczyć, ale akurat pokonaliśmy pochyłość terenu i kiedy czarne stworzenie z rykiem przecięło powietrze za nimi, już nic nie blokowało mi widoku.

Rozległa się seria trzasków, ledwie słyszalna w huku maszyny, a potem Shelby wypuściła Cole'a ze śmiertelnego uścisku.

Odskoczył od niej, a ona zaczęła się miotać w agonii. Zanim padła, zwróciła ku mnie zmasakrowana głowę.

Helikopter obniżył lot.

Sekundę później Cole też padł na ziemię.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

ISABEL

Z jakiejś przyczyny wcześniej nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłoby do tego dojść.

Cole.

Biała wilczyca wciąż ryła ziemie jedną słabnącą tylna łapą, a Cole leżał w bezruchu, w miejscu, gdzie upadł.

Serce łomotało mi w piersi. Malutkie fontanny piachu eksplodowały od kul, które mój ojciec posyłał w stronę sfory. Sam i Grace galopem pędzli w kierunku drzew. Jeszcze jeden wilk ciągnął za nimi. Nigdy nie uda im się tam dotrzeć.

Moja pierwsza myśl była samolubna: „Dlaczego właśnie Cole? Ze wszystkich wilków, które się tu znalazły… Dlaczego właśnie ten, na którym mi zależało?".

Ale wtedy zobaczyłam, że ziemia wokół jest pokryta ciałami, że Cole był tylko jednym z pół tuzina poległych. Zrozumiałam, że wrócił, gdy zobaczył, że Sam jest w niebezpieczeństwie. Wiedział, co może mu…

Spóźniłam się.

Helikopter zboczył z kursu, żeby dogonić jednego marudera. Słońce na krawędzi horyzontu przypominało dziki czerwony dysk i lśniło na oznaczeniach identyfikacyjnych na boku maszyny. Drzwi były odsunięte, a za pilotem siedziało dwóch mężczyzn z karabinami wycelowanymi w ziemię. Jednym z nich był mój ojciec.

Nagle poczułam pewność.

Nie mogłam… nie mogłam już uratować Cole'a.

Ale wciąż mogłam ocalić Sama i Grace. Byli już niemal w lesie. Tak blisko. Potrzebowali jeszcze tylko kilku chwil.

Maruder padł martwy. Nie wiedziałam, kto to był. Helikopter zakołysał się powoli, zawracając i szykując się do kolejnego podejścia. Zerknęłam na Cole'a. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dużą miałam nadzieję, że się poruszy, dopóki nie zobaczyłam, że nawet nie drgnie. Nie widziałam, w co został postrzelony, ale leżał w kałuży krwi, zupełnie płasko, taki mały i pokonany. Dobrze, że przynajmniej nie był w tak potwornym stanie, jak niektóre z zabitych wilków. Tego bym nie zniosła.

Musiał zginąć szybko. Wmówiłam sobie, że stało się to szybko.

Coś dławiło mnie w piersi.

Nie mogłam o tym myśleć. Nie mogłam myśleć o tym, że nie żyje.

Ale pomyślałam.

I nagle przestało mnie obchodzić, że ojciec będzie na mnie zły, że to wywoła milion komplikacji, że stosunki między nami całkowicie się popsują.

Mogłam jeszcze powstrzymać tę rzeź.

Kiedy helikopter powrócił, zjechałam z drogi, pokonałam nasyp i ruszyłam przez pustkowie. Ten SUV prawdopodobnie nie był przeznaczony do jazdy terenowej, bo na każdym wyboju wydawał takie dźwięki, jakby rozpadał się na kawałki, a piekielne dusze próbowały uciec z podwozia. Pomyślałam, że prawdopodobnie złamię oś, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe.

Ale mimo utrudnień i tak dogoniłam wilki. Wjechałam w sam środek stada, rozpraszając zwierzęta i pędząc je przed sobą.

Ostrzał natychmiast został przerwany. Wokół SUV-a kłębiły się chmury pyłu, tak że nie mogłam dostrzec maszyny nad moja głową. Spojrzałam przez przednią szybę: wilki wbiegały do lasu za Samem i Grace, jeden po drugim. Czułam, jakby serce miało mi eksplodować.

Pył trochę opadł, a helikopter zawisł nade mną. Odetchnęłam głęboko, otworzyłam szyberdach i spojrzałam prosto w niebo. Wiedziałam, że ojciec widzi mnie przez odsunięte drzwi. Nawet dość wysoko w powietrzu, rozpoznawałam tę jego minę. Szok, konsternacja i zażenowanie w jednym.

Nie wiedziałam, co się teraz wydarzy.

Miałam ochotę płakać, ale wciąż tylko spoglądałam w górę, dopóki ostatni z wilków nie zniknął w lesie.

Mój telefon zabrzęczał – SMS od ojca.

wynoś się stamtąd

Odpisałam mu:

razem z tobą

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

SAM

Wróciłem do ludzkiej formy bez żadnych ceregieli. Jakby to nie był cud. Słońce zaczęło grzać mnie w plecy, poczułem upał dnia, wilk krążący w moich żyłach ukrył się, a ja nagle znowu byłem człowiekiem.

Ocknąłem się na półwyspie, w pobliżu domu, gdzie czekał na nas Koenig. Nie komentując mojej nagości, po prostu podał mi T-shirt i spodnie od dresu, które wyjął z samochodu.

– Na tyłach domu jest pompa, jeśli chcesz się obmyć – powiedział, choć przecież nie mogłem być brudny. Skóra, którą miałem na sobie, była jak świeżo wybita moneta.

Ale i tak ruszyłem na tyły domu, zachwycony własnym pewnym krokiem, dłońmi, powolnym ludzkim biciem serca. Kiedy ze starej metalowej pompy zaczęła płynąć woda, zauważyłem, że zdążyłem jednak zabrudzić sobie ręce i kolana.

Wyszorowałem się, nałożyłem ubranie i ugasiłem pragnienie. Myśli zaczęły kłębić się w mojej głowie, dzikie, narastające i niepewne. Dokonałem tego. Przyprowadziłem tu sforę. Zmieniłem się z powrotem w człowieka. Byłem wilkiem, a jednak nie straciłem nic z siebie, a na pewno nie straciłem serca.

Wydawało mi się niemożliwe, że stoję tutaj, we własnej skórze.

A potem przypomniała mi się śmierć Becka i zacząłem oddychać nierówno i z trudem, jakby mój oddech był statkiem targanym falami.

Pomyślałem o tym, jak oboje z Grace byliśmy wilkami. O tym, co czułem, biegnąc u jej boku. Było to coś, o czym marzyłem przez te wszystkie lata, zanim już nie jako wilk, tylko człowiek poznałem ją – dziewczynę. Te godziny, które spędziliśmy razem w wilczych skórach, upłynęły dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem. Żadne słowa nam nie przeszkadzały. Pragnąłbym spędzić z nią w ten sposób wszystkie zimy, ale wiedziałem, że los chciał inaczej i w te mroźne miesiące czeka nas rozłąka. Szczęście było jak odłamek, który tkwił między żebrami.

A potem pomyślałem o Cole'u.

Tylko dzięki niemu udało nam się wcielić w życie ten niemożliwy plan. Przymknąłem oczy.

Koenig znalazł mnie obok pompy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Powoli uniosłem powieki.

– Gdzie reszta?

– W lasach.

Pokiwałem głową. Wilki prawdopodobnie szukały jakiegoś bezpiecznego miejsca, żeby odpocząć.

– Dobra robota – pochwalił mnie policjant, krzyżując ręce na piersi.

– Dzięki – rzuciłem, spoglądając na drzewa.

– Sam, wiem, że nie masz ochoty teraz o tym myśleć, ale oni wrócą po ciała… - zaczął. – Jeśli chcesz je…

– Grace zaraz się przemieni – uciąłem. – Chcę na nią poczekać.

Prawda była taka, że jej potrzebowałem. Nie mogłem tam bez niej wrócić. A co więcej, chciałem ją zobaczyć. Nie mogłem wierzyć swoim wilczym wspomnieniom. Musiałem się upewnić, że wszystko jest z nią w porządku.

Koenig nie naciskał. Weszliśmy do domu, ale policjant cofnął się jeszcze do samochodu, wyjął stamtąd kolejny zestaw ubrań i wyłożył go przed wejściem, niczym podarunek. Pojawił się po chwili ze styropianowym kubkiem kawy dla mnie. On też trzymał w ręku kubek z kawą. Smakowała ohydnie, ale wypiłem, zbyt wdzięczny za jego dobroć, żeby odmówić.

Potem usiadłem na jednym z zakurzonych krzeseł w naszym nowym domu, opierając głowę na dłoniach. Wlepiłem wzrok w podłogę, przesiewając swoje wilcze wspomnienia.

Przypomniałem sobie ostatnią rzecz, jaka Cole do mnie powiedział: „Spotkamy się po drugiej stronie".

A wtedy rozległo się ciche pukanie do drzwi. To była Grace, ubrana w nieco przyduży T-shirt i spodnie od dresu. Wszystko, co chciałem jej powiedzieć: „Straciliśmy Cole'a. Beck jest martwy. Ty żyjesz" – rozpłynęło mi się na języku.

- Dziękuję – Dziewczyna szczerze uśmiechnęła się do Koeniga.
- Ratowanie ludziom życia to mój obowiązek – oznajmił policjant.

Potem Grace podeszła do mnie i mocno mnie uściskała, a ja ukryłem twarz w jej włosach. W końcu odsunęła się i westchnęła:

- Jedźmy po nich.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

SAM

Dotarcie na pole, gdzie namierzył nas helikopter, tym razem zajęło nam zaledwie parę minut. Zobaczyłem zmasakrowane ciało Becka, z wnętrznościami na wierzchu.

– Sam… - szepnęła Grace, patrząc na mnie.

Jego ciało wyglądało na tak płaskie i cienkie, jakby nic w nim nie zostało. I może tak było. Może wszystko zostało zniszczone przez kule. Ale te wnętrzności, które musiał ciągnąć za sobą, zanim zmarł… Przypomniałem sobie ptaka, którego Shelby wybebeszyła i zabiła na naszym podjeździe.

– Sam…

Pysk miał częściowo otwarty, język leżał na zębach. Ale nie tak, jak wystawia jęzor dyszący pies, tylko w jakiś dziwny, nienaturalny sposób, pod kątem, który świadczył o tym, że ciało musiało być już sztywne. Zupełnie jak pies potrącony przez samochód. Po prostu kolejne zwłoki.

– Sam…

– … powiedz…

ale jego oczy

– … coś…

to miało jego oczy

– Sam…

a ja miałem mu jeszcze tyle do powiedzenia

– … przerażasz mnie.

Wszystko będzie dobrze. Nic mi nie jest. Przecież podświadomie cały czas wiedziałem, że on umarł. Jest martwy. Że znajdziemy jego ciało w takim stanie, zmasakrowane. Że opuści mnie i już nigdy nie naprawimy tego, co zostało zniszczone między nami. Nie płakałem, bo tak właśnie miało być. On miał odejść. A w rzeczywistości utraciłem go już wcześniej, więc przecież nie ma różnicy. Odszedł absolutnie. Odszedł na zawsze. Nie ma już nadziei, że wiosna i ciepło sprowadzą go z powrotem do mnie.

Nie czułem niczego, bo nie było czego czuć. Miałem wrażenie, jakbym przeżył ten moment tysiące razy. Tak wiele razy, że nie miałem już energii ani emocji, żeby zareagować. Wypróbowywałem tę myśl w mojej głowie: „Beck nie żyje. Beck nie żyje. Beck nie żyje". Czekałem na łzy, na uczucia, na cokolwiek.

Powietrze wokół nas pachniało wiosną, ale miałem wrażenie, że jest zima.

GRACE

Sam po prostu tam stał, trzęsąc się, z opuszczonymi rękami. W milczeniu wpatrywał się w ciało u naszych stóp. Straszny wyraz jego twarzy sprawił, że łzy zaczęły bezgłośnie płynąć mi po policzkach.

– Sam – błagałam. – Proszę.

– Nic mi nie jest – uciął.

A potem osunął się na ziemię i skulił, z rękoma zarzuconymi na głowę, i docisnął sobie twarz do kolan. Było to o tyle gorsze od płaczu, że nie wiedziałam, co robić.

Kucnęłam obok i objęłam go ramionami. Trząsł się i trząsł, ale łzy nie nadeszły.

– Grace – wyszeptał i w tym jednym słowie usłyszałam cały jego ból. Raz za razem przeczesywał włosy palcami, nieustannie zaciskając dłonie w pięści i rozluźniając je. – Grace, pomóż mi. Pomóż mi – powtarzał.

Ale ja nie wiedziałam, co robić.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

GRACE

Użyłam telefonu Koeniga, żeby zadzwonić do Isabel. Razem z policjantem spędziliśmy godzinę, krążąc wśród krzaków, licząc martwe zwierzęta i sprawdzając, czy Sam je rozpoznaje. Siedem wilczych ciał, w tym Beck. Wciąż nie odnaleźliśmy zwłok Shelby i Cole'a.

W tym czasie Sam tylko stał, spoglądając w las, z dłońmi splecionymi za głową. Był to gest, który należał do niego, a jednocześnie przypominał mi Becka. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek powiedziałem o tym na głos. Nie wiedziałam, czy wspominając mu o tym teraz, pomogłabym, czy tylko sprawiła większy ból.

– Isabel… - zaczęłam.

Tylko westchnęła.

– Wiem. Jak się trzymasz?

Jej głos brzmiał obco. Pomyślałam, że może płakała.

– Och, jak zwykle. Mam szlaban do końca życia, czyli gdzieś do przyszłego tygodnia, gdyż potem mnie zabiją. Siedzę w swoim pokoju, bo już zmęczyły mnie wrzaski.

To wyjaśniało jej zachrypnięty głos.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Niepotrzebnie. Dotarłam tam trochę za późno, co?

– Nie zadręczaj się tym, Isabel. Wiem, że lubisz to robić, ale nie byłaś wilkom niczego winna, a i tak im bardzo pomogłaś.

Długo milczała i zastanawiałam się, czy mi uwierzyła. W końcu się odezwała:

– I wysyłają mnie do Kalifornii do Babci, dopóki nie uda im się sprzedać domu.

– Co?!

Zareagowałam tak ostro, że aż Sam zerknął w moja stronę, ściągając brwi.

– Tak – potwierdziła dziewczyna głosem wypranym z emocji. – Po egzaminach końcowych pakują mnie i wsadzają w samolot. Isabel Culpeper. Oto, jak skończyła. Wraca do Kalifornii z podkulonym ogonem. Myślisz, że jestem słaba, ulegając im?

Teraz to ja westchnęłam.

– Jeśli masz szansę na naprawienie stosunków z rodzicami, myślę, że powinnaś to zrobić. Oni cię kochają, nawet jeśli twój tata to kretyn… Co nie oznacza, że chcę, żebyś wyjechała. – Isabel w Kalifornii…? – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Jesteś pewna, że nie zmienią zdania?

Prychnęła drwiąco. To był surowy dźwięk niczym świeżo otwarta rana.

– Podziękuj jej – poprosił Sam.

– Sam kazał ci podziękować.

Isabel roześmiała się twardo. „Ha. Ha. Ha".

– Za to, że opuszczam granice stanu? – zapytała.

– Za to, że uratowałaś nam życie.

Przez chwilę milczałyśmy. Znad jeziora dotarł do mnie krzyk nura. Gdybym nie miała świadomości, że byłam tu dziś rano, w ogóle bym tego nie pamiętała. Dla wilka to miejsce wyglądało zupełnie inaczej.

– Nie wszyscy przeżyli – zauważyła Isabel ponuro.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć; paskudna prawda. To nie była jej wina, a jednak nie mogłam zaprzeczyć jej słowom. Więc zamiast tego poinformowałam ją:

– Jesteśmy na polu. Gdzie był Cole… eee… kiedy…

– Przy drodze jest nasyp – przerwała mi. – Znajdź ślady opon. Leżał kilka metrów… Muszę kończyć. Ja…

Telefon zamilkł.

Westchnęłam i przekazałam jej wskazówki Samowi i Koenigowi. Wkrótce dotarliśmy do ciała Shelby, które było w zaskakująco dobrym stanie – z wyjątkiem głowy tak zmasakrowanej, że nie mogłam na nią patrzeć. Wokół było mnóstwo krwi.

Chciałam jej współczuć, ale potrafiłam myśleć tylko o tym, że to przez nią Cole nie żyje.

– Wreszcie odeszła – skwitował Sam. – Zginęła jako wilk. Myślę, że tego właśnie chciała.

Trawa wokół Shelby była czerwona. Nie wiedziałam, jak daleko od niej padł Cole. Czy to była jego krew? Sam przełykał ślinę, patrząc na jej ciało, i wiem, że poza potworem widział cos jeszcze. Ja nie potrafiłam.

Koenig wymamrotał, że musi wykonać telefon i odszedł kawałek dalej, dając nam trochę prywatności.

Dotknęłam dłoni Sama. Stał w takiej kałuży krwi, że wyglądał, jakby tez był ranny.

– Jak sobie radzisz?

Potarł bezradnie ramiona. Słońce zachodziło i zaczęło się robić chłodno.

– Podobało mi się to, Grace.

Nie musiał wyjaśniać. Wciąż pamiętałam uczucie radości na jego widok, gdy dołączył do mnie jako wilk, nawet jeśli nie pamiętałam wtedy jego imienia. Przypomniałam sobie, jak wymienialiśmy się obrazami, pędząc na czele sfory. Wszyscy ufali mu tak jak ja.

– To dlatego, że radziłeś sobie znacznie lepiej – powiedziałam cicho.

– Nie – potrząsnął głową. – To dlatego, że wiedziałem, że to nie jest na zawsze.

Dotknęłam jego włosów, a on pochylił głowę, by mnie pocałować. Był to pocałunek cichy jak tajemnica. Przytuliłam się do jego piersi i razem staliśmy tak, chroniąc się przed chłodem.

Po kilku długich minutach Sam odsunął się i spojrzał w las. Przez chwile myślałam, że nasłuchuje, ale przecież już żaden wilk nie mógł zawyć w lesie Boundary.

– To jeden z ostatnich wierszy, których Urlik kazał mi się nauczyć na pamięć – powiedział:

endlich entschloss sich niemand
und niemand klopfte
und niemand sprang auf
und niemand öffnete
und da stand niemand
und niemand sprach: willkomm
und niemand antwortete: endlich[*]

– Co to znaczy? – zapytałam.

Początkowo nie sądziłam, że odpowie. Mrużył oczy w zachodzącym słońcu, spoglądając w las, do którego uciekliśmy dziś rano, choć zdawało się, jakby to było wieki temu. Potem skierował wzrok na drzewa, pośród których do niedawna żyliśmy.

Tak bardzo zmienił się od czasu, kiedy znalazłam go krwawiącego na tarasie. Tamten Sam, był nieśmiały, naiwny, łagodny, zagubiony w swoich piosenkach i słowach. Zawsze będę kochała tamtą wiersję jego. Ale ta zmiana była dobra. Stary Sam nie przetrwałby tego wszystkiego. Jeśli chodzi o ścisłość, dawna Grace też nie.

[*] C. Reining, :Endlich".

Wyszeptał, patrząc na las Boundary:

i w końcu nikt nie podjął decyzji
i nikt nie zapukał
i nikt nie przyskoczył do drzwi
i nikt nie otworzył
i nie stał tam nikt
i nikt nie wszedł
i nikt nie powiedział: witaj
i nikt nie odrzekł: w końcu.

Nasze wieczorne cienie były wysokie jak drzewa. Porośnięty krzakami otwarty teren przypominał obca planetę. Płytkie zagłębienia wypełnione wodą nagle zalśniły na pomarańczowo i na różowo, pożyczając barwę od zachodu słońca. Nie wiedziałam, gdzie jeszcze moglibyśmy szukać ciała Cole'a. Nie było po nim żadnego śladu poza kałużami krwi, która kroplami znaczyła trawę wokół.

– Może dowlókł się do lasu – zasugerował Sam bezbarwnym głosem. – Może instynkt nakazał mu szukać schronienia, nawet jeśli umierał.

Serce zaczęło mi szybciej bić.

– Myślisz, że…

– Stracił za dużo krwi – przerwał mi Sam, nie patrząc na mnie. – Spójrz na to wszystko. Pomyśl, że ja nie byłem w stanie uleczyć się po jednym postrzale w szyję. Nie mogło mu się udać. Mam tylko nadzieję… Mam tylko nadzieję, że się nie bał, kiedy umierał.

Nie powiedziałam na głos tego, co sobie pomyślałam, że przecież wszyscy boja się w obliczu śmierci.

Na wszelki wypadek przeczesaliśmy skraj lasu. Dalej szukaliśmy, mimo że zapadły już ciemności, bo oboje wiedzieliśmy, że węch i tak pomoże nam bardziej niż wzrok.

Ale nie znaleźliśmy żadnego śladu Cole'a St. Claira. Chłopak zrobił wreszcie to, co wychodziło mu najlepiej.

Zniknął.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

ISABEL

Kiedy się tu wprowadziliśmy, pokój muzyczny był jedynym pomieszczeniem, które polubiłam. Nienawidziłam tego, że przenieśliśmy się z Kalifornii do stanu leżącego dokładnie pośrodku drogi pomiędzy dwoma oceanami. Nienawidziłam stęchłego zapachu tego miejsca i upiornych lasów wokół. Nienawidziłam tego, że przez przeprowadzkę mój gniewny brat stał się jeszcze bardziej rozgniewany. Nienawidziłam nawet pochyłych ścian naszej sypialni i skrzypiących schodów, i kuchni, w której zawsze były mrówki, niezależnie od wysokiej jakości wyposażenia.

Ale uwielbiałam pokój muzyczny. Był okrągły, ze ścianami w odcieniu głębokiego burgunda i pełen okien. Nie było tam nic poza fortepianem, trzema krzesłami i żyrandolem, który o dziwo nie był kiczowaty, biorąc pod uwagę resztę dekoracyjnego oświetlenia w tym domu.

Nie grałam na fortepianie, ale i tak lubiłam siadać na ławeczce, plecami do klawiatury, i wyglądać przez duże szyby na zewnątrz. Gdy tu byłam, w bezpiecznej odległości od lasu, już nie wydawał mi się tak upiorny. Może i czaiły się w nim potwory, ale nie mogły pokonać dwudziestu metrów podwórza, grubej na prawie trzy centymetry szyby i steinwaya. To był najlepszy sposób na doświadczanie natury.

Wciąż miałam takie dni, kiedy myślałam, że przesiadywanie w tym miejscu to najlepszy sposób, żeby radzić sobie z problemami.

Wieczorem wyszłam z sypialni, unikając rodziców, którzy rozmawiali ściszonymi w bibliotece, i zakradłam się do pokoju muzycznego. Cicho zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam po turecku na ławeczce przy fortepianie. Było ciemno, a za oknami widziałam tylko krąg trawy oświetlony przez lampę przy tylnym wejściu. Nie mogłam widzieć drzew, ale było to bez znaczenia. W lesie nie kryły się już potwory.

Nałożyłam kaptur bluzy na głowę i przyciągnęłam nogi do piersi, sadowiąc się bokiem na ławeczce. Miałam wrażenie, że w Minnesocie zawsze jest zimno. Wciąż czekałam, aż nadejdzie lato, ale na tej szerokości geograficznej temperatura chyba nigdy nie była zbyt wysoka.

Nagle powrót do Kalifornii przestał mi się wydawać złym pomysłem. Miałam ochotę zakopać się w piasku i spać, aż przestanę czuć się taka pusta w środku.

Kiedy zadzwoniła komórka, drgnęłam i niechcący uderzyłam łokciem w klawiaturę fortepianu. Rozległ się niski, głuchy łomot. Nie pamiętałam, że nadal mam telefon w kieszeni.

Wyciągnęłam go i spojrzałam na ekran. Dzwonił Sam. Naprawdę nie miałam ochoty brzmieć jak Isabel, którą wszyscy znali. Dlaczego nie mogli dać mi spokoju na ten jeden wieczór?

Przyłożyłam komórkę do ucha.

– Co?

Po drugiej stronie linii panowała cisza. Zerknęłam na ekran, żeby upewnić się, że połączenie wciąż trwa.

– Słucham? Halo? Jest tam kto?

– *Da.*

Poczułam, jakby w moim ciele nie została ani jedna kość. Zsunęłam się z ławeczki, próbując przytrzymać telefon przy uchu, i w ogóle utrzymać głowę w górze, bo moje mięśnie wydawały się kompletnie niezdolne do pełnienia swoich funkcji. Serce dudniło mi w uszach; dopiero po chwili uświadomiłam obie, że mój rozmówca powiedział coś jeszcze, a ja nawet tego nie usłyszałam.

– Ty… - warknęłam, bo nie mogłam wymyślić nic innego. Byłam pewna, że reszta zdania zaraz do mnie przyjdzie. – Napędziłeś mi stracha, ty draniu!

Roześmiał się, tym samym śmiechem, co wtedy w klinice. A ja zaczęłam płakać.

– Teraz Ringo i ja mamy jeszcze więcej wspólnego – powiedział Cole. – Twój ojciec postrzelił nas obu. Ile osób może się pochwalić czymś takim? Dławisz się czymś?

Pomyślałam o tym, żeby podnieść się z podłogi, ale nogi wciąż miałam jak z waty.

– Tak. Tak, dokładnie! To właśnie robię, Cole.

– No właśnie, to ja. Zapomniałem się przedstawić.

– Gdzie byłeś?!

Prychnął lekceważąco.

– W lesie. Odradzał mi się *spleen* czy coś. Oraz niektóre fragmenty ud. Nie jestem pewien, czy moje najszlachetniejsze części wciąż działają. Czuj się zaproszona, żeby wpaść i zajrzeć mi pod maskę.

– Cole – przerwałam mu – muszę ci coś powiedzieć.

– Widziałem – powiedział. – Wiem, co zrobiłaś.

– Przykro mi.

– Wiem – przyznał po chwili.

– Czy Sam i Grace wiedzą, że żyjesz?

– Jeszcze zdążę się z nimi zjednoczyć w radości. Najpierw musiałem zadzwonić do ciebie.

Przez chwilę pozwoliłam sobie po prostu rozkoszować się tym ostatnim zdaniem. Starałam się je zapamiętać jak najlepiej, żebym potem mogła odtwarzać je w głowie w nieskończoność.

– Moi rodzice odsyłają mnie do Kalifornii za to, co zrobiłam. – Nie wiedziałam, jak to inaczej ująć, więc powiedziałam prosto z mostu.

Cole milczał przez chwilę.

– Byłem w Kalifornii – oznajmił w końcu. – Magiczne miejsce. Upał, ogromne czerwone mrówki i szare importowane samochody z wielkimi silnikami. Wyobrażam sobie ciebie tuż obok dekoracyjnego kaktusa. Wyglądałabyś przepysznie.

– Powiedziałam Grace, że nie chcę jechać.

– Kłamczucha. Jesteś kalifornijską dziewczyną z krwi i kości – powiedział. – Tutaj jesteś kosmitką.

Zaskoczyłam samą siebie, śmiejąc się szczerze.

– No co? – zapytał Cole.

– Znasz mnie jakieś czternaście sekund, z czego siedem zajęło nam migdalenie się, a wciąż wiesz o mnie więcej, niż wszyscy moi przyjaciele razem wzięci w tym cholernym miejscu – wyjaśniłam.

Cole zastanowił się nad tym.

– Cóż, znam się na ludziach.

Już sama myśl o tym, że siedzi w domu Becka z komórką Sama przy uchu, żywy, sprawiła, że poczułam ukojenie. Zaczęłam się śmiać do utraty tchu. Moi rodzice mogli sobie być na mnie wściekli do końca życia.

– Cole – powiedziałam. – Nie zgub tego numeru.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

GRACE

Pamiętam, jak leżałam na śniegu. Mały czerwony pulsujący życiem punkt, marznący i otoczony przez wilki.

– Czy to na pewno to miejsce? – zapytałam Sama.

Był październik, więc zimne nocne powietrze zdołało już przegnać zieleń z liści i zasłało poszycie lasu czerwienią i brązem. Znajdowaliśmy się na małej polance. Tak małej, że gdybym stanęła po środku i wyciągnęła ramiona na boki, mogłabym dotknąć pnia brzozy jedną dłonią, a drugą musnąć gałęzie sosny. I zrobiłam to.

– Tak – zapewnił Sam.

– Wydawało mi się, że było większe.

Choć wtedy oczywiście ja byłam mniejsza i wszędzie leżał śnieg. Biały puch sprawiał, że wszystko wydawało się większe. Wilki zaciągnęły mnie tu po tym, jak porwały mnie z huśtawki. Przyszpiliły mnie do ziemi i zamieniły w członka sfory. Omal nie umarłam.

Obracałam się powoli, czekając, aż rozpoznam to miejsce, aż zobaczę jakieś obrazy z przeszłości, aż dostrzegę coś, co potwierdzi, że to naprawdę tu. Ale las wyglądał zwyczajnie jak wszędzie. Polanka była zwykłą polanką. Gdybym spacerowała tędy sama, prawdopodobnie pokonałabym ją w dwóch krokach i nawet nie uznała za polankę.

Sam szurał stopą pośród liści paproci.

– Więc twoi rodzice myślą, że jedziesz do… Szwajcarii?

– Do Norwegii – poprawiłam go. – Rachel naprawdę tam jedzie, a ja oficjalnie zabieram się razem z nią.

– Myślisz, że ci uwierzyli?

– Tak naprawdę nie mieli powodów, żeby nie wierzyć. A Rachel okazała się niezła w knuciu intryg.

– To głęboko niepokojące – zauważył Sam, chociaż w jego głosie nie pobrzmiewała troska.

– Tak – zgodziłam się z uśmiechem.

Nie powiedziałam tego na głos, ale oboje wiedzieliśmy, że to tak naprawdę nieistotne, czy moi rodzice mi uwierzyli, czy nie. Miałam już osiemnaście lat, a w lecie skończyłam liceum, tak jak im obiecałam. oni przez ten czas zachowywali się przyzwoicie wobec Sama i pozwalali mi spędzać z nim dni i wieczory, tak jak obiecali. A teraz mogłam wyjechać do college'u albo wyprowadzić się, tak jak chciałam. Torby miałam już spakowane. Czekały w bagażniku samochodu Sama, na podjeździe moich rodziców. Było tam chyba wszystko, czego potrzebowałam, żeby odejść.

Jedyny problem stanowiła nadchodząca zima. Czułam, jak krąży mi w żyłach, związuje żołądek w supeł, kusi, żebym przemieniła się w wilka. Nie było mowy o żadnym college'u, żadnej wyprowadzce, a nawet o żadnej Norwegii, dopóki nie byłam pewna, że tkwię solidnie w ludzkiej skórze.

Obserwowałam Sama, który kucnął i zaczął grzebać w leżących na ziemi liściach. Cos przykuło jego wzrok.

– Pamiętasz mozaikę przy domu Isabel? – zapytałam.

Sam znalazł to, czego szukał – jaskrawożółty liść w kształcie serca. Zaczął nim obracać, trzymając za długą łodyżkę.

– Jestem ciekaw, co się z nią stanie teraz, kiedy dom jest pusty.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, stojąc blisko siebie na tej polance, czując znajomą obecność lasu Boundary wokół nas. Drzewa pachniały tu jak nigdzie indziej, a ich woń mieszała się z dymem drzewnym i wiatrem wiejącym znad jeziora. Liście szeptały do siebie nawzajem w sposób, który był subtelnie odmienny od szeptu listowia na półwyspie. W gałęziach drzew kryły się wspomnienia, czerwone i umierające w zimne noce.

Podejrzewałam, że któregoś dnia tamte lasy staną się dla nas domem, a te będą obce.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytał sam cicho.

Miał oczywiście na myśli strzykawkę z krwią zakażoną zapaleniem opon mózgowych, która czekała na mnie w domu na półwyspie. To samo niemal-lekarstwo, które pomogło jemu, a zabiło Jacka. Jeśli teoria Cole'a była słuszna i zwalczę chorobę jako wilk, bakterie powoli pokonają wilczą toksynę we mnie i sprawią, że na dobre stanę się człowiekiem. Jeśli Cole się mylił i przypadek Sama był wyjątkiem od reguły, szanse na przeżycie miałam minimalne.

– Ufam Cole'owi – powiedziałam.

Chłopak miał teraz ogromną moc i był teraz znacznie lepszą osobą niż na początku. Sam powiedział, że cieszy się, iż Cole używa swoich talentów w służbie dobra zamiast zła. Ja natomiast cieszyłam się, widząc, jak zamienia nasz nowy dom w swój zamek.

– Wszystko, co do tej pory wykombinował, sprawdziło się – dodałam.

Poczułam ukłucie straty, bo w niektóre dni uwielbiałam być wilkiem. Uwielbiałam to uczucie, że znam otaczające mnie lasy, że jestem ich częścią. Uwielbiałam uczucie całkowitej wolności. Z większą jednak siłą nienawidziłam utraty pamięci, dezorientacji, pragnienia, żeby wiedzieć więcej i niezdolności do przypomnienia sobie tej wiedzy.

Choć kochałam bycie wilkiem, bardziej kochałam bycie Grace.

– Co będziesz robił, kiedy mnie nie będzie? – zapytałam cicho.

Sam bez słowa sięgnął po moją lewą dłoń. Owinął łodygę liścia wokół mojego palca serdecznego, tak że ułożyła się w jaskrawożółty pierścionek. Oboje przyglądaliśmy się temu z zachwytem.

– Będę za Toba tęsknił – powiedział.

Wypuścił liść z dłoni, a on poszybował na ziemie pomiędzy nami. Sam nie przyznał się do swoich obaw odnośnie teorii Cole'a, choć wiedziałam, że się boi.

Odwróciłam się w stronę domu moich rodziców. Nie mogłam go stąd dostrzec. Przesłaniały go drzewa. Może zimą byłby widoczny, ale teraz był ukryty za jesiennymi liśćmi. Przymknęłam powieki i raz jeszcze odetchnęłam zapachem tych drzew. To było pożegnanie.

– Grace? – szepnął Sam.

Otworzyłam oczy.

Wyciągnął do mnie dłoń.

KONIEC